

nr 11 (62)

ZIMA 2013

cena 15 zł
(w tym 5% VAT)

NOWY

BYWATEL

PISMO NA RZECZ SPRAWIEDLIWOŚCI SPOŁECZNEJ

*Jezus kontra
krezus*



Europa 5,5 EUR
USA 7 USD
ISSN 2082-7644
INDEX 361569



DO NUMERU BROSZURA
LUDWIKA KRZYWICKIEGO
„TAKIMI BĘDĄ DROGI WASZE”

2 × więcej
płacisz,
6 × więcej
masz

Klubowicz
bierze
wszystko

KLUB OBYWA TELA

Nowy
Obywatel

Nowy
Obywatel bez
wychodzenia
z domu

Pełny dostęp
do archiwum
tekstów na
nowyobywatel.pl

Wersja na urzą-
dzenia mobilne
(formaty MOBI
i EPUB)

Gadżety
i niespo-
dzianki

Duma
z wsparcia
pisma



CZYTELNIK
(60 zł/rok)



PRENUMERATOR
(50/25 zł)

KLUBOWICZ
(120 zł)



nowyobywatel.pl/klub

Nie lękajmy się!

Fot. Katarzyna Reszka

**REMIGIUSZ OKRASKA**

Wniedawno wydanej książce „III RP. Kulisy systemu” prof. Andrzej Zybertowicz, zapytany o przyczyny bierności Polaków i akceptowanie przez nas wielu patologicznych zjawisk, odparł: *Może za wdzięczamy to Leszkowi Balcerowiczowi, który stosując terapię szokową, spowodował, że wizja bezrobocia skłoniła wiele osób do powrotu do prywatności. Ludzie zrozumieli, że muszą zabezpieczyć byt sobie i swojej rodzinie, bo zagrożenia są tak poważne. Jeśli proces przebudowy łączy się z zagrożeniem podstaw bytu dla wielkich grup ludzi, to oni w niejako naturalny sposób w krótkim czasie zrezygnują z troski o sprawy publiczne.*

Takie słowa wypowiedziane przez naukowca kojarzonego z prawicą muszą cieszyć, gdyż potwierdzają to, co od wielu lat głosimy w naszym piśmie. Że warunki materialne i poziom życia społeczeństwa mają decydujący wpływ na zjawiska w sferze publicznej. Im bardziej Polska będzie liberalna, czyli biedna, pełna nierówności i niestabilności, tym bardziej będzie ona byle jaka.

Oczywiście przyczyn pogodzenia się z niedoskonałą rzeczywistością jest więcej. Jednak diagnoza prof. Zybertowicza przedstawia ważną część prawdy o Polsce ostatnich lat. Niespłacony kredyt, niesamodzielne dzieci, niestabilna posada, zarobki starczające ledwo do pierwszego... Niewidzialny bat wciąż wisi nad głowami. Gdy Polacy powstałi przeciwko poprzedniemu systemowi, towarzyszyło im buńczuczne i zarazem realistyczne powiedzonko: „wszystkich nas nie zamkną”. Dzisiaj natomiast, jak śpiewał ze spół Dezerter, „boimy się nie bać, kiedy trzeba”.

W bieżącym numerze przygotowaliśmy zestaw tekstów o różnych kwestiach, jednak część z nich dotyczy antytezy strachu - odwagi. To artykuły o ludziach, którzy wyprostowali kark i stawili czoła przeciwnościom. Nie zawsze wygrywali - to byłoby zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe. Jednak zazwyczaj zwyciężyli przynajmniej z własnym lękiem, z niewypowiedzianym wprost, lecz wiszącym w powietrzu przekonaniem, że „nic nie można z tym zrobić”.

O takich ludziach opowiada m.in. otwierający numer obszerny wywiad o teologii wyzwolenia. A raczej o tym, jak inspiracje czerpane z chrześcijaństwa pozwoliły tysiącom osób uwierzyć, że świat można

uczynić choć trochę lepszym. Uwierzyli w to ludzie zazwyczaj znacznie ubożsi od nas, ludzie, których niepewność dotyczyła tego, czy do końca tygodnia będą mieli co jeść. Ich głosem i wsparciem stali się natomiast tacy, którym wmawiano, że w imię tradycji, porządku czy hierarchii powinni się pogodzić ze złem, że „tak przecież musi być”. Opluwano ich, oczerniano, przypisywano zbrodnicze zamiary i złe fascynacje. Ale przynajmniej częściowo udało się.

Jednak nie tylko im i nie tylko „tam”, daleko stąd. Opisujemy również Polaków. Takich, którzy rzucili wyzwanie lokalnym klikom i sitwom, próbując je obalić w referendum lokalnych. Albo takich, którzy nie zgadzali się na sprzedaż przedsiębiorstw zapewniających podstawowe usługi publiczne - dostawy wody, ciepła itp. Opisujemy również odważnych Amerykanów, którzy kreślą alternatywne wizje -kapitalizmowi w jego kolebce przeciwstawiają aktywność związków zawodowych, spółdzielni pracowniczych czy prospołeczną politykę władz lokalnych. Do numeru dołączamy natomiast broszurę z „klasycznym” tekstem sprzed ponad stu lat, pisanym w gorących latach rewolucji 1905 roku, kiedy Polacy powstałi przeciwko jednocześnie carskiemu zamordyzmowi oraz swojskiemu i obcemu wyzyskowi. Wszyscy oni - ci z daleka i ci stąd sprzed dekad - mówili i krzyczeli: „nie lękajmy się”.

Nie jest i nie będzie łatwo. Jednak im bardziej kultywujemy obawy i poczucie bezsilności, tym bardziej one narastają, jeszcze mocniej paraliżując myśli i krępując ręce. Niech boją się oni. Ci, którzy nas lekceważą, wyzyskują, manipulują nami, narzucają rozwiązania korzystne tylko dla garstki łotrów. Podarujmy im to, co oni mieli dla nas jako jedyny prezent - strach. Nie lękajmy się. ✂

PS Losy „Nowego Obywatela” są niepewne. Jak każde czasopismo, które nie kłania się obozowi władzy i pieniądza, nie możemy liczyć na wsparcie możnych i stabilność. To nie do nas trafiają wielotysięczne dotacje na „rozbudzanie aktywności obywatelskiej”. Naszym jedynym oparciem jesteście Wy - Czytelnicy. Możecie pomóc bardzo łatwo - wykupić prenumeratę. Wierzymy, że nas nie zawiedziecie. Szczegóły na stronie 27 niniejszego numeru oraz na nowyobywatel.pl/akcja-prenumerata.

7 Zanim nadejdzie Królestwo Niebieskie...

WYWIAD

ROZMOWA Z KS. DR. ANDRZEJEM PIETRZAKIEM

21 Zadowolony biedak odpowiada na ankietę

DR KRZYSZTOF POSŁAJKO

28 Lokalni bezradni

KRZYSZTOF WOŁODŹKO

Obecna sytuacja zdecydowanie utrudnia budowanie demokracji innej niż iluzoryczna. I w tym sensie po dwudziestu latach III Rzeczypospolitej wciąż jesteśmy gdzieś na początku drogi ku społeczeństwu podmiotowemu i samorządnemu oraz państwu transparentnemu, wiarygodnemu i rzetelnie wypełniającemu swoje zobowiązania. Niestety, im więcej ludzie, którzy nami rządzą, mówią o trosce o dobro demokracji i życia obywatelskiego, tym coraz częściej są powody do obaw, czy nie jesteśmy manipulowani. Casus referendum lokalnych jest tutaj dobitny. Ich rosnąca popularność świadczy, że aktywność obywateli wzrasta, poszerzając tym samym nasz skromny kapitał społeczny. Jednak realia przeprowadzania referendum, ich frekwencja oraz wyniki pokazują, że państwo wciąż jest dla Polaków bardzo trudnym przeciwnikiem.

38 Co nierówno, to niezdrowo

MICHAŁ SOBCZYK

48 O własne białko

KONRAD MALEC

Prawie 80% zapotrzebowania na białko paszowe w Polsce zaspokajane jest z importu. Wartość sprowadzonych do Polski pasz w 2012 r. wynosiła prawie 6 mld zł. Niemal całość importu śruty sojowej odbywa się za pośrednictwem firm zagranicznych: amerykańskich - Cargill, ADM i Bunge oraz francuskiej Louis Dreyfus, niemieckiej Cefetry i holenderskiej De Heus Koudijs Hima. Cargill i Louis Dreyfus sprowadzają 60% ogółu używanej w Polsce śruty sojowej, a pierwsza z wymienionych firm wraz z De Heus Koudijs Hima kontrolują ponad 30% całego krajowego rynku pasz. Sprzedaliśmy też znaczną część mieszalni pasz, z których wiele trafiło w ręce importerów śrut paszowych. Jakie mamy szanse na obronę?



7

Nie znam zakonnic, księży, biskupów i teologów, którzy nawoływaliby do rewolucji. W duchu Ewangelii wzywali i motywowali do sprawiedliwości i pokoju, poszanowania godności człowieka i odpowiedzialności społecznej. Za to niejednokrotnie przypina się im łątkę komunistów lub lewicowców. Wielu świeckich i duchownych ze względu na obronę wymienionych wartości było prześladowanych, niektórzy stracili nawet życie. Oprawcami byli zazwyczaj „dobrzy” obywatele, obrońcy „wartości” cywilizacji zachodniej.



21

„Diagnoza społeczna” wskazuje na zjawisko, które można by nazwać „prywatyzacją szczęścia”. Ludzie w Polsce są zadowoleni, ale ich szczęście ma charakter ściśle prywatny i jest w dużej mierze niezależne od tego, jak się rzeczy mają w kraju, w którym mieszkają. „Prywatyzacja szczęścia” prowadzi - jak się wydaje - do braku jakiegokolwiek zaangażowania obywatelskiego w los szerszej wspólnoty, czy to na szczeblu krajowym, czy lokalnym. W rezultacie sfera publiczna jest miejscem, w którym zwykły Polak jest po prostu nieobecny i decyzje są tam podejmowane obok niego.



38

Zewsząd słyszymy napomnienia, że zachowując się w określony sposób - np. unikając aktywności fizycznej - znacząco zwiększamy ryzyko problemów zdrowotnych. Bombarduje się nas także informacjami o nowych odkryciach w zakresie dziedziczenia chorób. Można by pomyśleć, że stan naszego zdrowia jest wypadkową szczęścia w genetycznej ruletce oraz osobistych wyborów. Tymczasem istotne znaczenie mają także różnorodne czynniki, których źródłem są nierówności społeczne. Oznacza to, że wszelkie działania na rzecz egalitaryzmu przynoszą owoce także w sferze zdrowia publicznego - i na odwrót.

55 Jak Zabłocki na prywatyzacji

BARTOSZ OSZCZEPALSKI



Historia Kieleckich Kopalni Surowców Mineralnych przeczy liberalnym mitom o optymalnej strukturze własnościowej. Jeszcze kilka lat temu wielkie, państwowe przedsiębiorstwo przynosiło duże zyski. Dzisiaj, po prywatyzacji, walczy o przetrwanie. Niestety za błędy urzędników Ministerstwa Skarbu Państwa do tej pory płacić muszą pracownicy, którzy od początku byli przeciwni sprzedaży zakładu. W ten sposób zniszczono w Polsce mnóstwo zakładów i pozbawiono pracy wiele osób. Kieleckie przedsiębiorstwo uniknęło całkowitej likwidacji, ale walka, którą toczą związki zawodowe, personel oraz wszyscy mniej lub bardziej wpływowi przyjaciele KKSM, jest ciężka i nierówna. Albowiem przeciwnik od samego początku stosował ciosy poniżej pasa.

62 Państwa narodowe jako podmioty globalizacji

DR JOANNA SZALACHA-JARMUŻEK

Z przedstawionych typów współczesnych państw narodowych wyłania się obraz typu organizmu państwowego, który może być podmiotem globalnym. Jest to państwo-katalizator. W przeciwieństwie do państw przechwyconych czy upadłych, państwa-katalizatory działają według formuły pozwalającej im na korzystanie z procesów globalizacji w sposób dla siebie dogodny, wykazując cechy „silnego państwa”. Państwa te potrafią wykorzystać posiadane zasoby (np. technologie powstające w firmach z udziałem skarbu państwa) do zdobywania dalszych zasobów. Gdy dziś mówimy o świecie wielobiegunowym i o braku jednego mocarstwa globalnego, być może kategoria państwa-katalizatora może służyć jako kategoria zastępcza wobec tradycyjnego „imperium”.



GOSPODARKA SPOŁECZNA

70 Wieczny kryzys mieszkaniowy

WYWIAD

ROZMOWA Z DR IRENĄ HERBST

W każdym kraju, bogatym czy biednym, istnieje znaczna grupa ludzi, których nie stać na zakup własnego mieszkania. W Polsce struktura własności jest patologiczna: mamy 20 proc. mieszkań na wynajem, a 80 proc. prywatnych. To oznacza, że potrzebne są ogromne przedsięwzięcia ze strony państwa w zwiększaniu dostępu do dachu nad głową, bo w przeciwnym razie, w dłuższej perspektywie, ludzie będą lądować na dworcach. W krajach Zachodu znaczna część osób, które żyją w mieszkaniach na wynajem, to ludzie całkiem zamożni. W Szwajcarii i Japonii ponad 65 proc. to mieszkania na wynajem. W Danii to 55 proc. W Niemczech - 60 proc. W Holandii, Francji, Finlandii, Szwecji - 50 proc. W USA to ponad 40 proc. W Wielkiej Brytanii - 40 proc.

78 Wspólne dobro tanio sprzedam

BARTOSZ OSZCZEPALSKI

Od dwudziestu lat państwo i samorządy konsekwentnie pozbywają się odpowiedzialności za podstawowe usługi komunalne, oddając je w ręce prywatnych koncernów, głównie zagranicznych. Ma to konkretne następstwa w postaci wzrostu - zwykle znacznego - opłat za ogrzewanie czy wodę, likwidacji miejsc pracy czy nieracjonalnej polityki usługowej inwestorów, których koszty muszą ponieść zwykli obywatele. Najwyższy czas przerwać to błędne koło.

86 Społeczna gospodarka rynkowa - wzloty i powroty

KRZYSZTOF MROCZKOWSKI

W XXI wieku państwa niemieckie i francuskie nie wahały się użyć instrumentów pomocy dla ratowania swojego przemysłu. Do legendy przejdzie również telefon Angeli Merkel do prezesa Deutsche Banku, nakazujący prywatnemu bankowi ratowanie prywatnego producenta aut - firmy Porsche. Porządek neoliberalny nie zerwał bowiem całkowicie ciągłości tradycji zarządzania państwem. Co więcej, już na starcie neoliberalnej gry dobrze kierowane instytucjonalnie państwa miały wielką przewagę nad krajami doktrynalnie trzymającymi się neoliberalnych zasad, takimi jak Polska.

REDAKCJA

Remigiusz Okraska (redaktor naczelny), Michał Sobczyk

ZESPÓŁ

Konrad Malec, Szymon Surmacz, Krzysztof Wołodźko

WSPARCIE REDAKCJI W NR. 62

Aleksandra Sech, Anna Sobótka, Piotr Świderek,
Magdalena Warszawa, Magdalena Wrzesień, Aleksandra Zarzeczkańska

STALI WSPÓŁPRACOWNICY

Rafał Bakalarczyk, Mateusz Batelt, Joanna Duda-Gwiazda,
Bartłomiej Grubich, dr hab. Rafał Łętocha,
dr hab. Sebastian Maćkowski, Krzysztof Mroczkowski,
Bartosz Oszczepalski, Janina Petelczyc, dr Joanna Szalacha,
dr Jarosław Tomasiewicz, Karol Trammer

RADA HONOROWA

dr hab. Ryszard Bugaj, Jadwiga Chmielowska,
prof. Mieczysław Choraży, Piotr Ciompa, prof. Leszek Gilejko,
Andrzej Gwiazda, dr Zbigniew Hałat, Grzegorz Ilka,
Bogusław Kaczmarek, Jan Koziar, Marek Kryda,
Bernard Margueritte, Mariusz Muskat, dr hab. Włodzimierz Pańków,
dr Adam Piechowski, Zofia Romaszewska, dr Zbigniew Romaszewski,
dr Adam Sandauer, dr hab. Paweł Soroka, prof. Jacek Tittenbrun,
Krzysztof Wyszowski, Marian Zagórny, Jerzy Zalewski,
dr Andrzej Zybała, dr hab. Andrzej Zybortowicz

NOWY OBYWATEL

ul. Piotrkowska 5, 90-406 Łódź, tel./fax 42 630 22 18

propozycje tekstów: redakcja@nowyobywatel.pl

reklama, kolportaż: biuro@nowyobywatel.pl

nowyobywatel.pl

ISSN 2082-7644

NAKŁAD 1500 szt.

WYDAWCA

Stowarzyszenie „Obywatele Obywatelom”

ul. Piotrkowska 5, 90-406 Łódź

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania, zmian stylistycznych i opatrywania nowymi tytułami materiałów nadesłanych do druku. Materiałów niezamówionych nie zwracamy. Nie wszystkie publikowane teksty odzwierciedlają poglądy redakcji i stałych współpracowników. Przedruk materiałów z „Nowego Obywatela” dozwolony wyłącznie po uzyskaniu pisemnej zgody redakcji, a także pod warunkiem umieszczenia pod danym artykułem informacji, że jest on przedrukiem z kwartalnika „Nowy Obywatel” (z podaniem konkretnego numeru pisma), zamieszczenia adresu naszej strony internetowej (nowyobywatel.pl) oraz przesłania na adres redakcji 2 egz. gazety z przedrukowanym tekstem.

SPRZEDAŻ

„Nowy Obywatel” jest dostępny w prenumeracie zwykłej i elektronicznej (nowyobywatel.pl/prenumerata), można go również kupić w sieciach salonów prasowych Empik i RUCH oraz w sprzedaży wysyłkowej.

SKŁAD, OPRACOWANIE GRAFICZNE

kooperatywa.org



PROJEKT OKŁADKI

Michał Sobczyk, Magda Warszawa,
Kooperatywa.org
Na podstawie obrazu Theodoora Romboutsa
„Wypędzenie przekupniów ze świątyni”

DRUK I OPRAWA

Drukarnia READ ME w Łodzi
92-403 Łódź, Olechowska 83

94 Socjalizm w amerykańskim stylu

GAR ALPEROVITZ

Nie mieliście o takich rzeczach pojęcia? Większość ludzi nie wie nic na ten temat, a chylące się ku upadkowi media amerykańskie również o tym nie informują. Nasi „przeciwnicy” nie mają zaś żadnego interesu w tym, żebyście wiedzieli, jakie są alternatywy. W całym kraju mamy do czynienia z demokratyzacją własności na szeroką skalę albo nawet z „socjalizmem” w amerykańskim stylu. Istnieje dużo więcej precedensowych rozwiązań, z których można czerpać inspiracje.

100 Nowa alternatywa: związki ze spółdzielniami

JOHN CLAY

Przedsiębiorstwo demokratyczne może mieć nawet większe szanse przetrwania. W przypadku Kanady okazuje się, że spółdzielnie mogą być narażone na mniejsze ryzyko niepowodzenia niż nowo tworzone firmy tradycyjne. Pierwsze 5 lat przetrwało 66% spółdzielni w porównaniu z 38% tradycyjnych firm w Kolumbii Brytyjskiej i 43% wszystkich takich firm w całej Kanadzie. Podobnie z badania przeprowadzonego w 2008 r. wynika, że w prowincji Quebec przez 10 lat utrzymało się na rynku 44% nowych spółdzielni, podczas gdy firm tradycyjnych jedynie 20%.

109 Socjaldemokratyczna polityka społeczna

RAFAŁ BAKALARCZYK

Jeszcze do niedawna nawet w środowiskach lewicowych nierzadkie było przekonanie, że wsparcie powinno być adresowane do najbardziej potrzebujących, czyli najuboższych, a więc spełniających kryterium dochodowe. Dlaczego dzieci Kulczyka miałyby dostawać tyle samo co dzieci z byłych PGR-ów lub wielkomiejskich enklaw biedy? Środków mamy przecież mało, a trzeba trafić do najbardziej potrzebujących, zaś korzystanie ze świadczeń przez osoby z klasy średniej czy wyższej to przecież marnotrawstwo ograniczonych zasobów. Czy na pewno?



119 Lewica wobec Śląska

ROMAN ADLER

W zderzeniu z neokolonialnym przekształcaniem społeczeństwa polskiego w tanią siłę roboczą zrodziły się frustracje nie tylko na Śląsku, ale i w całej Polsce. We wspólnym interesie klasy pracowniczej na Śląsku i w całej Polsce jest zorganizowany opór przeciw wspomnianej manipulacji, prowadzonej pod hasłami autonomii dla Śląska, a ostatnio również - autonomizacji całej Polski.

126 Chciwość przeciwko społeczeństwu i przyrodzie

PROF. DR HAB. LUDWIK TOMIAŁOJC

Jest wręcz paradoksem, że w czasie, gdy neoliberalizm sprowadził życie ekonomiczno-społeczne do brutalnej walki o byt, produkując miliony ludzi-odpadów, naukowcy ewolucjoniści coraz dobitniej wykazywali, że sama rywalizacja między osobnikami nie była w przyrodzie najważniejszym motorem progresywnych zmian ewolucyjnych. Co znamienne, główną „zabawą” w mediach stały się okrutne programy eliminujące typu „ty odpadasz”, niezawierające już nawet śladu współczucia dla wykluczanych z rywalizacji. Dla ludzi mojego pokolenia one wcale nie są zabawne, gdyż zbyt przypominają selekcję w obozach koncentracyjnych lub programy hodowlane Aryjczyków.

Z POLSKI RODEM

134 O lepszą szkołę, pomyślność kraju i zdrowsze społeczeństwo. Tadeusz Łopuszański jako pedagog i wychowawca

DR HAB. RAFAŁ ŁĘTOCHA

Analiza losów 168 absolwentów z okresu 11 lat istnienia Zakładu wykazała, że wszyscy podjęli studia wyższe, większość absolwentów wybierała kierunki gospodarcze lub pracę naukową, czyli kierunki preferowane w Rydzynie. W terminie studia ukończyło 63% absolwentów, przy średniej krajowej wynoszącej w latach trzydziestych 20%. Absolwenci Zakładu opatentowali 150 wynalazków, ogłosili ponad 1000 publikacji w 10 językach. W czasie wojny 80% „rydzyniaków” brało udział w walkach, a 29% zginęło na frontach świata, w więzieniach i obozach koncentracyjnych. Absolwenci potwierdzili więc w swoim życiu słuszność koncepcji pedagogicznych Łopuszańskiego.



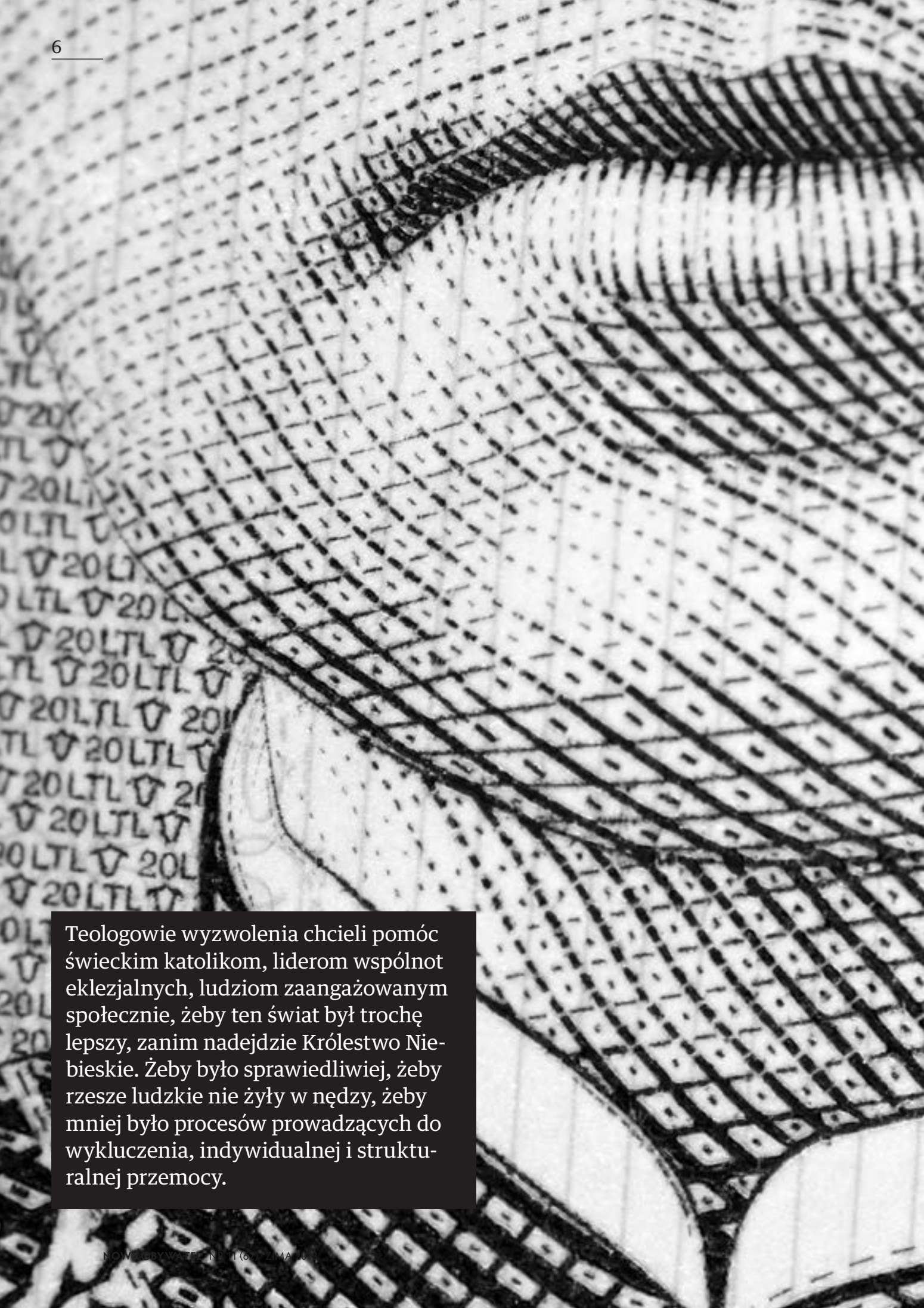
Nic śmiesznego
© Piotr Świderek
rysunki.me

Z cyklu „przysłowia dostosowane do wymogów poprawności politycznej”:

~ ~ ~
Bo w tym cały jest ambaras,
zeby dwóch / dwie / dwoje /
n (gdzie $n \geq 2$) osób*
chciało naraz.



* niepotrzebne skreślić



Teologowie wyzwolenia chcieli pomóc świeckim katolikom, liderom wspólnot eklezjalnych, ludziom zaangażowanym społecznie, żeby ten świat był trochę lepszy, zanim nadejdzie Królestwo Niebieskie. Żeby było sprawedliwiej, żeby rzesze ludzkie nie żyły w nędzy, żeby mniej było procesów prowadzących do wykluczenia, indywidualnej i strukturalnej przemocy.

Zanim nadejdzie Królestwo Niebieskie...

z ks. dr. Andrzejem
Pietrzakiem SVD

rozmawia Krzysztof Wołodźko

- Skąd u księdza znajomość teologii wyzwolenia, nurtu tak mało obecnego w naszych realiach?
- Ks. Andrzej Pietrzak SVD: Może zabrzmieć to dla kogoś niezwykle, ale moje zainteresowanie teologią wyzwolenia ma rodzime rodowody, wiąże się z doświadczeniem polskości. Idee wolnościowe, wyzwolenie oraz jego antagonistka – niewola, nie są obce naszej tradycji. Mamy własne doświadczenia i nurty interpretacyjne. Najczęściej nieświadome i nieusystematyzowane (czasami wypierane) są wyraźnie obecne w trzech zasadniczych wymiarach: narodowym, społeczno-wspólnotowym i osobistym. Przykładów takiej „ukrytej” teologii wyzwolenia jest wiele: działania niepodległościowe, zmagania społeczników i instytucji, wspieranie rozwoju cywilizacyjnego i kultury, pielęgnacja wzrostu osobowościowego, intelektualnego i religijnego. Polskie rozumienie dyktum niewola-wyzwolenie jest silnie osadzone w naszej historii narodowej, rodzin i środowisk. Ma szczególnie mocne inspiracje religijne, judeochrześcijańskie i wywodzące się z filozofii europejskiej.

Nasz ojczysty sposób rozumienia niewoli i wyzwolenia łatwo odkryć w apelach o godność człowieka, prawdę, nawrócenie z grzechów osobistych i społecznych, solidaryzm i miłosierdzie, domaganie się prawa narodu do samostanowienia itd. Do jej kształtowania przyczynia się także działalność formacyjna i świadectwo duchownych. Proszę zwrócić uwagę, że ich praca przybiera formę wyzwolenia przez odnowę moralną jednostek i narodu oraz zazwyczaj implikuje

jakąś konkretną formą działań i zmian strukturalnych, nie tylko „nawrócenia serca”. Przypomnijmy ks. Piotra Ściegiennego. Z bliższych nam czasów – św. Jerzego Popiełuszkę czy ks. Romana Kotlarza, kapłana radomskich robotników w czerwcu 1976 r., który przeszedł z nimi „ścieżki zdrowia”. W wielu historycznych momentach pojawiały się ewangeliczne pytania o podmiotowość i prawa człowieka, o spełnione życie indywidualne i wspólnotowe, za fałszowane relacje międzyludzkie. W tym ukryta jest nienazwana teologia wyzwolenia.

Do tych i podobnych kwestii trzeba się odnosić, gdy chcemy zrozumieć latynoamerykańską sytuację i myśl społeczno-religijną. Teologia wyzwolenia jest czymś o wiele bogatszym, niż sugerują to jej stereotypowe, negatywne interpretacje. Dotyczy również nas, kwestii istotnych dla każdego człowieka, wspólnoty i społeczeństwa.

- Zapytam także o wymiar biograficzny księdza znajomości tej myśli...

- W 1980 r., jeszcze jako kleryk, wyjechałem do Ameryki Łacińskiej, do São Paulo w Brazylii. Tam odbyłem formację przygotowującą do kapłaństwa, studiowałem teologię, w tym różne nurty i aspekty teologii wyzwolenia. Miałem kontakty z teologami, którzy – tak to ujmę – myśleli o wyzwoleniu. Pracowałem w slumsach trzy razy w tygodniu, z bardzo

bliska poznałem realia skrajnej biedy i upodlenia. Nie sposób było nie zadawać sobie pytań o przyczyny ubóstwa i wykluczenia, o kwestie przemian, wyzwolenia osobistego i społecznego oraz o ich związek ze zbawieniem w Jezusie Chrystusie, o rolę Kościoła, o aktualne zadania chrześcijan.

Po święceniach kapłańskich pracowałem w kilku rejonach Brazylii, zwykle w ubogich parafiach. Działaliśmy w duchu Soboru Watykańskiego II i ówczesnych dokumentów papieskich, a zwłaszcza Konferencji Ogólnych Episkopatu Latynoamerykańskiego w Medellin w Kolumbii (1968 r.) i Puebla w Meksyku (1979 r.). Problematyka wyzwolenia, w znaczeniu integralnym (wyzwolenia z grzechów osobistych i społecznych), była bardzo ważna dla ówczesnej praktyki pastoralnej.

Dzisiaj mam sposobność badać naukowo dziedzictwo chrześcijańskie w Ameryce Łacińskiej, w tym teologię wyzwolenia. Robię to w ramach projektów badawczych w Instytucie Teologii Fundamentalnej KUL.

- Czy Kościół ubogich, Kościół dla ubogich to wtedy i obecnie główny nurt katolicyzmu w Ameryce Południowej?

- Trudno o precyzyjne szacunki. Zdecydowanie jednak należy powiedzieć, że jest to jeden z nurtów wiodących i posiadający legitymizację ze strony episkopatu



Przeciwnie, gdy urządzasz przyjęcie, zapraszaj ubogich, ułomnych, kulawych, niewidomych. Będiesz szczęśliwy, gdyż nie mają dla ciebie nic w zamian; swoją zapłatę otrzymasz przy zmartwychwstaniu sprawiedliwych. / Łk 14,13-14

latynoamerykańskiego i Rzymu. Jednak trzeba też pamiętać, że nie wszystkie diecezje, parafie i wspólnoty zakonne funkcjonują w oparciu o „opcję na rzecz ubogich” lub nie wszędzie stanowi ona priorytet. Kościół w Ameryce Południowej jest zróżnicowany. Pewna jego część funkcjonuje w złożonym i trudnym kontekście, którego autorami są lokalne oligarchie, świat mediów i biznesu, różne grupy nacisku, korporacje transnarodowe itd.

- Teologia wyzwolenia w oczach polskiego odbiorcy rysuje się jako pewna monolityczna doktryna, zwyczajowo oskarżana o korzenie marksistowskie. Czy to fikcja czy fakt?

- Uważam, że to błędna diagnoza, wytwór nie tylko mediów oraz napięć ideologicznych okresu zimnej wojny, ale także niektórych kręgów chrześcijańskich, niechętnych wobec idei *aggiornamento* Soboru Watykańskiego II oraz inkulturacji i podmiotowości Kościołów lokalnych. Również w Polsce pojęcie „teologia wyzwolenia” funkcjonuje jako pejoratywny termin, wykrzywiający slogan.

Teologię katolicką w Ameryce Południowej uprawia się od początków kolonizacji. Do Soboru Watykańskiego II była niemal kopią teologii europejskich. W połowie XX wieku zrodziły się ruchy odnowy, które, wsparte nauczaniem Soboru i papieża, doprowadziły do stworzenia zgodnej z nauką Kościoła teologii i inicjatyw pastoralnych, wspomagających realizację jego zadań misyjno-ewangelizacyjnych. W tym kontekście pojawiła się grupa teologów (zawodowych), która podjęła zagadnienie wyzwolenia. Równoległe do tego zjawiska rozwijały się ruchy społeczno-polityczne i kulturalne, dla których ważne były tematy zmian społecznych, sprawiedliwości i godności człowieka, w tym wyzwolenia. Były to grupy o różnym rodowodzie ideologicznym: od liberałów, przez socjalistów, po komunistów. Często bezrefleksyjnie nakłada się na siebie te dwie rzeczywistości i myli się postaci z nimi związane. Działacze społeczni i pastoralni, liderzy wspólnot o charakterze zarówno eklezjalnym, jak i świeckim, ludzie z pogranicza polityki, mediów, kultury czy nauki korzystali z dorobku teologii wyzwolenia, ale nie byli przecież teologami.

My - Polacy - mamy poważny problem z teologią wyzwolenia. Z jednej strony odrzucamy to zagadnienie, a ono w nas jest, a z drugiej trudno nam uwolnić się od postkomunistycznych sloganów. U nas ten kierunek myśli był przedstawiany jako wersja marksizmu, nie tylko ze względu na PRL-owskie i sowieckie manipulacje ideologiczne, ale także ze zwykłej nieznajomości tematu. Proszę dokonać obliczeń: kto może i rzeczywiście czyta prace profesjonalnych teologów wyzwolenia? Rozumiem, że argument *ad ignorantiam* to słaby argument, ale faktem jest, że



PIETRZAK

Ks. Andrzej Pietrzak SVD - latynoamerykanista, teolog i misjolog. Pracownik Katedry Eklezjologii i Misjologii na Wydziale Teologii Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II. Członek Zgromadzenia Słowa Bożego. Formację zakonno-misyjną odbył w Polsce i Brazylii, gdzie w 1985 r. w São Paulo przyjął święcenia kapłańskie. Pracował w slumsach i w ubogich regionach Brazylii oraz z imigrantami w Madrycie. Studiował filozofię w Pieniężnie, teologię w Instytucie Teologicznym Świętego Pawła w São Paulo, teologię fundamentalną w KUL, misjologię w Papieskim Uniwersytecie Gregoriańskim. Uzyskał: bakalaureat (Uniwersytet Świętego Anzelma w Rzymie - 1990); magisterium (KUL, 1991); doktorat (KUL, 2001); licencjat z Misjologii (PUG w Rzymie, 2005). W latach 2002-2003 prowadził badania w USA i zajęcia z informatyki w Divine Word College, Epworth, IA. Autor książki „Opcja na rzecz ubogich znakiem wiarygodności Kościoła”.

niewielu źródłowo studiowało ten kierunek, a dotąd recepcja tej problematyki była w teologii znikoma.

Wiele fikcyjnych i etykietkowych opinii trudno odkłamać. Wciąż stanowią jeden ze stereotypów stworzonych w czasach PRL-u. W latach 80. myślano w Polsce tak: skoro teologowie wyzwolenia interesowali się kwestiami społecznymi (a ich podnoszenie kojarzyło się z propagandą uprawianą w krajach „demokracji ludowej”) i dialogują z Marksem, to muszą być marksistami, a na pewno są niebezpieczni. Do tego należy jeszcze dołączyć okrojone, a nawet stroniczne czytanie dokumentów Kongregacji Nauki Wiary z lat 80.: *Libertatis nuntius* i *Libertatis conscientia*. I tak zostało do dzisiaj.

Nie oznacza to jednak, że problematyka marksistowska nie istnieje w obrębie teologii latynoamerykańskiej czy w teologii wyzwolenia. Jest to jednak temat poboczny, gdyż u jej podstaw leży coś innego niż doktryna Marksa: doświadczenie Boga w kontekście latynoamerykańskim, zwłaszcza wśród ubogich, i związana z tym wrażliwość na problematykę społeczną. To teologia, która wyrosła w Kościele, a nie w radykalnych partiach i oddziałach partyzanckich lewicy. Nie jest to także teologia, która mówi,

jak uczynić z biednych ludzi bogatych albo jak tym ostatnim odebrać to, co mają, wprowadzić anarchię i moralny bezład. Przeciwnie, chodzi o ortodoksyjną teologię, która będzie znacząca dla Latynoamerykanów, o przemyślenie doktryny chrześcijańskiej w kontekście wyzwolenia i opcji na rzecz ubogich.

- **Wskazuje ksiądz, że obraz „Chrystusa z karabinem na ramieniu” nie jest typowy dla teologii wyzwolenia. Jednak jakieś trudne kwestie, bolączki społeczne wzbudziły w jej obrębie zainteresowanie marksizmem.**

- Trzeba tu przypomnieć ważny wątek z nie tak odległej historii Ameryki Łacińskiej. W latach 30. XX wieku dotarła tam Akcja Katolicka, bardzo ważny i silny ruch, który ukształtował pokolenia katolików w wielu krajach na świecie. Wpłynął on także na społeczne przebudzenie katolików latynoamerykańskich. Owocem odnowy było zaangażowanie się katolików w kwestie społeczne, wyraźniej niż wcześniej pojawił się problem powszechnej biedy, zapaści cywilizacyjnej kontynentu, marginalizacji różnych grup. Odczytywano te problemy na gruncie katolickiej nauki społecznej.

Na przełomie lat 50. i 60. doszło do poważnego kryzysu pokolenia ukształtowanego przez Akcję Katolicką. Pojawiły się głosy, że działania podejmowane w obrębie przyjętej interpretacji katolickiej nauki społecznej są zbyt ostrożne. Mówiono, że w sytuacji Ameryki Łacińskiej potrzebne są nie tyle drobne korekty istniejącego systemu społeczno-gospodarczego, ale jego gruntowna rewizja, nawet wymiana systemu na inny. Część aktywnych społecznie katolików zaczęła głosić, że ówczesny system na mocy własnych założeń generuje przemoc, niesprawiedliwość, biedę. Reformistyczne instrumenty, które oferowała Akcja Katolicka, zostały w tym środowisku uznane za niewystarczające. W tej sytuacji część katolików weszła w sferę oddziaływania idei marksistowskich. Niektórzy stali się liderami z pogranicza wspólnot eklezjalnych i ruchów lewicowych.

Ale uwaga! Wpływ na tę diagnozę miała również socjologia, która dawała nie tylko narzędzia, ale także kreowała zaangażowanie społeczne. W tamtych czasach wielu teologów wyzwolenia, a także liderów ruchu wyzwolenia studiowało socjologię (znany ks. Camilo Torres Restrepo był socjologiem). Wszystko to poszerzało i wzmacniało przekonania, oparte także na analizach politologicznych i ekonomicznych, że system wymaga bardziej zdecydowanych kroków niż korygujący lub upiększający retusz. Utrwalało się rozczarowanie lekarstwami, jakie dotychczas proponowano w obrębie Akcji Katolickiej. Ludzie odchodzili do ruchów centrolewicowych lub lewicowych, inspirowanych

zachodnioeuropejskimi, azjatyckimi i sowieckimi interpretacjami marksizmu.

Typowym przykładem takiej osoby jest Marta Harnecker, chilijska socjolog. Zaczynała w Akcji Katolickiej, później skrzyła w lewo, była więziona, gdy Pinochet objął władzę, następnie wyjechała na Kubę. Tam założyła instytut Memoria Popular Latinoamericano. Napisała książkę „Podstawowe koncepcje materializmu historycznego”, która w języku hiszpańskim została wydana w milionach egzemplarzy. Wiele takich osób jak ona odeszło, oddaliło się na wiele lat lub na zawsze od oficjalnego katolicyzmu. Ludzie, często ich koledzy i koleżanki, którzy pozostali w Kościele, zadawali sobie pytania: „Dlaczego tak się dzieje; dlaczego oni odchodzą?”. Ten fakt również przyczynił się do narodzin teologii wyzwolenia.

Dlatego podziwiam o. Gustavo Gutiérreza OP, który pozostał w Kościele nie po to, aby go zniszczyć – jak twierdzą zwiasztuni czarnych i spiskowych teorii – ale aby poprzez wierność Chrystusowi i jego Kościołowi trwać w wierze, tworząc myśl teologiczną nadającą jej sens w kontekście niewoli, zubożenia, wykluczenia i wielu innych problemów społecznych.

- **A jak brzmiała odpowiedź katolików na pytanie, dlaczego wielu z nich opuszcza w Ameryce Południowej Kościoły?**

- W latach 60. i 70. XX w. stwierdzano, że formacja dotycząca praktyki życia codziennego, którą oferuje się katolikom, jest niewystarczająca w aspekcie wyzwolenia. Bardziej krytyczni twierdzili, że diecezje i parafie, ich liderzy duchowni i świeccy, ulegają manipulacji ideologicznej typu konserwatywnego i liberalnego bądź lewicowego. Tak powstawała myśl teologiczna w obrębie Kościoła latynoamerykańskiego dotycząca tych spraw.

Równocześnie w kręgach katolickich i protestanckich pojawiło się niebagatelne pytanie: „my, chrześcijanie, jesteśmy tutaj od czasów kolonizacji. Dlaczego do dziś mamy takie rzesze ubogich?”. Po przeprowadzeniu diagnozy, wspomaganej narzędziami naukowymi, odpowiedź w uproszczeniu brzmiała: wprawdzie czynników jest wiele, ale w tym momencie historii źródło zubożenia, nowoczesnych form niewoli i wykluczenia tkwi w przyczynach systemowych, tj. w systemie społeczno-gospodarczym i politycznym, a podstawą jest liberalna gospodarka wolnorynkowa – kapitalizm. Chcąc go poznać, opisywano założenia i sposoby funkcjonowania. To doprowadziło do spotkania z marksizmem. Nie oznaczało to jednak, że teologowie stali się marksistami. Niektórzy wykazywali, że na etapie diagnozy rzeczywistości analiza marksowska kapitalizmu i relacji międzyludzkich jest przydatna, ale fundamentalnym źródłem oceny i opisu tej rzeczywistości

Nie przebywają jedynie na uczelniach i w swoich pracowniach. Są z ludu i dla ludu, we wspólnocie Kościoła. Jest to typowa postawa teologów wyzwolenia.

było Objawienie, Tradycja i współczesne nauczanie Kościoła.

- **A jednak ten nurt myślenia, zarazem teologicznego i społecznego, spotkał się z krytyką Watykanu. Myślę przede wszystkim o wydanej w 1984 r. przez Kongregację Nauki Wiary „Instrukcji o niektórych aspektach »teologii wyzwolenia«”, podpisanej przez jej ówczesnego prefekta, kardynała Józefa Ratzingera, późniejszego papieża Benedykta XVI.**
- To bardzo ważny dokument. Wbrew przyjętym opiniom potwierdza on potrzebę prowadzenia refleksji nad tematem wyzwolenia, tym samym teologii wyzwolenia. W tamtych czasach w Ameryce Łacińskiej podkreślano, że uprawomocnia on teologię wyzwolenia, chociaż mówi o możliwych niedomaganiach. W Polsce przyjęło się, że ten dokument jest potępieniem teologii wyzwolenia i jej negatywną diagnozą. To nieprawda. Mamy do czynienia z uszczegółowionym katalogiem zagrożeń związanych z wpływami marksizmu i możliwych błędnych wyjaśnień Pisma Świętego i Tradycji. W Polsce niektóre interpretacje tego dokumentu potwierdzają, że dominuje myślenie życzeniowe i uproszczone, podporządkowane uprzednim założeniom.

Teologia wyzwolenia jest propozycją refleksji nad znaczeniem wiary w kontekście latynoamerykańskim. Nie jest to odpowiedź wyłącznie na kwestie społeczne, np. redystrybucji bogactwa. Nie jest także instrukcją przeprowadzenia rewolucji proletariackiej, nawrócenia bogatych, odebrania im wypracowanych dóbr i przekazania ubogim. Najbardziej reprezentatywne dla tego nurtu postacie, jak Gustavo Gutiérrez, Juan Luis Segundo, Juan Carlos Scannone, Leonardo Boff czy Ignacio Ellacuría, twierdziły, że wiara musi być przemyślana również z perspektywy ludzkiego wyzwolenia i w świetle naszego odniesienia do ubogich oraz związku tego wszystkiego ze zbawieniem w Jezusie Chrystusie. Akcentowano, że wiara musi mieć odniesienia wspólnotowe, nie czysto indywidualistyczne. Ten rodzaj refleksji nie wyklucza grup zamożnych. Ze względu jednak na trudną sytuację uwydatniano miejsce poszkodowanych przez systemy gospodarcze, społeczne, polityczne i religijne. Gdy w latach 80. mieszkałem w Ameryce Łacińskiej, obliczano, że ok. 60 proc. społeczeństwa żyło w poważnej biedzie, którą tutaj, w Polsce, możemy w niedoskonały sposób porównać choćby z sytuacją popegeerowskich wsi w latach 90. XX w. lub przedwojennych czworaków.

Ważne pytanie, związane z krytyką niektórych aspektów teologii wyzwolenia, brzmiało: czy w teologii można korzystać z kategorii wypracowanych przez filozofię nietomistyczną oraz nauki społeczne, także typu ateistycznego? Wątpliwości budziły

i nadal budzą kategorie materializmu historycznego i walki klas. Na to zwracała uwagę Kongregacja Nauki Wiary i trudno odmówić jej racji.

- Jak poglądy tamtej epoki odzwierciedlały się w postrzeganiu szerszego kontekstu, spraw międzynarodowych?

- Dla niektórych katolików w Ameryce Łacińskiej rządy określane mianem lewicowych czy rewolucyjnych były znakiem, że istnieje alternatywa dla władzy oligarchii z narzucanymi przez nią zewnętrznymi zależnościami, że można uwolnić się od dominacji wielkich korporacji i bogatych państw. Ale nie było to bezkrytyczne zaufanie, oczekiwanie raju na ziemi: nie utożsamiono „królestwa ziemskiego” z Królestwem Niebieskim.

Choć muszę dodać, że jeszcze w czasach, gdy byłem w Brazylii, dostrzegałem wśród ludzi lewicy postawę, którą poznałem także w Polsce, tyle że miała przeciwnie skierowany wektor. My patrzyliśmy na Stany Zjednoczone, na zachodni liberalizm niemal bezkrytycznie, wolny rynek traktowano u nas jako remedium na wszystkie bolączki. Widziałem to także wśród duchownych, gdy wróciłem do Polski na początku lat 90. Tam z kolei, ponieważ ZSRR był bardzo daleko, nawet pomysły komunistyczne wydawały się niektórym właściwą odpowiedzią. Naiwność w peryferyjnych częściach świata potrafi być duża. Komunizm traktowano tam jednak jako propozycję zmiany na lepsze, ludzie nie dopuszczali do siebie myśli, że zmiany prospołeczne miałyby przynieść krwawe represje, które my kojarzymy z bolszewizmem.

- Co stanowi najważniejsze - z perspektywy doktryny katolickiej - punkty odniesienia dla teologii wyzwolenia?

- Niedawno wydałem książkę „Modele ewangelizacji kultur i inkulturacja wiary w teologii latynoamerykańskiej”. Bronię w niej m.in. tezy, że Objawienie i Tradycja są najistotniejszymi filarami teologii wyzwolenia, bez nich w ogóle nie ma katolickiej teologii. W Pampelunie poznałem hiszpańskiego teologa i historyka Josepa Ignasi Saranyana, należącego do Opus Dei, który twierdzi, że teologia wyzwolenia, pomimo niedociągnięć, jest współczesną odmianą teologii fundamentalnej, ale są w niej także treści dogmatyczne i pastoralne. Tym samym ta teologia poszukuje sensownego uzasadnienia wiary katolickiej w rzeczywistości latynoamerykańskiej oraz sposobów jej urzeczywistnienia tu i teraz, w przygotowaniu na powtórne przyjście Chrystusa.

Dla teologów latynoamerykańskich ważna jest również tzw. mediacja socjoanalityczna, czyli rozumienie-opis kontekstu wiary. Dużo uwagi poświęcają poznawaniu rzeczywistości społecznej i kulturowej

kontynentu za pomocą narzędzi naukowych. Mówiąc językiem programistów komputerowych, tak poznana rzeczywistość jest miejscem implementacji wiary. Sprawia to, że ich teologie najczęściej są żywą aktualizacją wiary. Stąd już w latach 60. podejmowano tematy, które szczególnie dotyczyły społeczności latynoamerykańskie, np. ubóstwo, miejsce Kościoła w życiu społecznym, sens dogmatów w kontekście niewoli i wykluczenia, godności człowieka, manipulacji wiarą i wspólnotami eklezjalnymi itd. Dokonywano prób spojrzenia na klasyczne tematy teologii z perspektywy wyzwolenia i opcji na rzecz ubogich.

- Jak przedstawiciele teologii wyzwolenia odnosili się do społecznych encyklik kolejnych papieży: „*Rescriptum novarum*” Leona XIII, „*Quadragesimo Anno*” Piusa XI, „*Populorum progressio*” Pawła VI, „*Laborem exercens*” Jana Pawła II?

- Bez wymienionych papieży i dokumentów nie byłoby odnowy katolicyzmu, teologii, także teologii wyzwolenia. Wróć jeszcze do Akcji Katolickiej, która nasiliła zainteresowanie kwestiami społecznymi w Kościele w Ameryce Łacińskiej. Przyczyniła się ona do wypracowania duchowości, która umieszcza wyznawców Chrystusa w czasie teraźniejszym i kładzie nacisk na zadania w środowisku, w którym żyje (misyjność). Leon XIII dał impuls do zrodzenia tego typu inicjatyw w Kościele, a Piusa XI nazywano „papieżem Akcji Katolickiej”.

Trudno byłoby mówić o Kościele w Ameryce Łacińskiej i teologii wyzwolenia w znanym kształcie bez pozostałych dokumentów. Wzięte razem, w połączeniu z Pismem Świętym i Tradycją, tworzą kontekst oraz źródło teologiczne narodzin, rozwoju i odnowy tamtejszego katolicyzmu, teologii i teologii wyzwolenia. Jest to fakt, który trudno zaakceptować osobom nieznaną historią tamtego regionu. Zazwyczaj nie doceniają tego ludzie podejrzliwi, łowcy herezji i bojówkarze różnych ideologii, osoby napędzane dynamiką spiskowych teorii. Wspominam o tej stronie subiektywnej głoszonych poglądów, ponieważ są często spotykane w debatach o Ameryce Łacińskiej i teologii wyzwolenia.

Kluczem do zrozumienia Kościoła w Ameryce Łacińskiej, różnych inicjatyw odnowy, teologii, osiągnięć, różnic i niestety napięć, jest Sobór Watykański II. Sobór był i jest dobrem dla katolików, ale nie wszyscy go tak postrzegali i postrzegają. Oto mała ilustracja. Waldyr Calheiros, biskup Volta Redonda w Brazylii, w wydanych w 2001 roku „Wspomnieniach” opisuje trudności teologiczne i pastoralne, jakie napotkali niektórzy duchowni wychowani w duchu przedsoborowym. Był to kryzys mentalny i tożsamości oraz problem aktualizacji, która wymagała sporego wysiłku. Wydawało im się, że neguje



się ich dotychczasowe życie i pracę, burzy podwaliny wiary. Trudno było im zrozumieć choćby zaangażowanie świeckich, a obrona robotników przez biskupa była przez nich klasyfikowana jako niewłaściwa i jako przejaw jego lewicowych poglądów. Posądzano go nawet o komunizm.

Wspomniana kwestia jest ważna, ponieważ tym, którzy wprowadzają Sobór i realizują treści wspomnianych encyklik, przypina się łatkę: „to ci od wyzwolenia”.

W Polsce, w epoce kardynała Stefana Wyszyńskiego, który ze względu na kontekst ustrojowy prowadził tutejszy Kościół bardzo ostrożnie, nie przeżywaliśmy zmian soborowych tak radykalnie. W Ameryce Łacińskiej natomiast odnowa była przeprowadzana dosyć sprawnie i szybko. Teologię wyzwolenia niejednokrotnie kojarzono błędnie z wszelkimi próbami wprowadzenia Soboru. On wciąż budzi tam silne emocje, a teologia latynoamerykańska (wyzwolenia) siłą rzeczy jest włączona w spór między „tradycjonalistami” a „progresistami”.

Warto przy okazji dodać, że dla niektórych teologów wyzwolenia i liderów związanych ze społeczno-kulturowym ruchem wyzwolenia Jan Paweł II jawił się jako konserwatysta. Z kolei dla innych, z tych

samych środowisk, jego wizyty w Ameryce Południowej, spotkania z ludźmi pracy, z Indianami były wielką nadzieją, wołaniem o sprawiedliwość. Warto podkreślić te fakty. Wiele zależy od osobistej i wspólnotowej hermeneutyki. I tak odczytywano działania Jana Pawła II, niebawem świętego: w Ameryce Łacińskiej do przemówień papieża podchodzi się z fascynacją, z drugiej - nie brakuje krytyków zarzucających mu zbytnią ostrożność.

- Jakie główne nurty teologii wyzwolenia należy wskazać w historycznym i ideowym ujęciu, także w kwestii używanych narzędzi socjologicznych?

- Trudno w tym momencie mówić o głównych nurtach. Mamy na razie za mało analiz i jest to rozległe zagadnienie. Zazwyczaj teologowie wyzwolenia preferowali tak zwaną metodę strukturalno-dialektyczną oceny rzeczywistości, stosowaną w celu zrozumienia przyczyn zubożenia i marginalizacji społecznej. Były także inne podejścia. W takim kontekście ideowym kształtował się latynoamerykański sposób naukowo-krytycznego oglądu rzeczywistości. Najpierw miał on charakter strukturalno-funkcjonalistyczny i pozytywistyczny. Ale ważna jest też rola społecznej funkcji nauki, nauki zaangażowanej. Tutaj pojawia

się postulat podejmowania zagadnień społecznie znaczących. Na przykład: niedorozwój-rozwód, zależność-dominacja, marginalizacja-partycypacja. Sprzeciwiano się równocześnie sytuacji, która umieszczała badacza poza rzeczywistością badaną, na rzecz wejścia w kontekst występowania badanych kwestii i dokonania klarownej analizy w duchu wartości humanistycznych lub chrześcijańskich.

- Instrumentarium socjologiczne nie zaciemniało ewangelicznych treści?

- Teologia, aby spełniała funkcję „inteligencji wiary”, musi używać języka kultury. Dawniej był to język filozofii. W ostatnich czasach, aby zrozumieć rzeczywistość, do której jest skierowana Dobra Nowina Jezusa z Nazaretu, stosuje się także osiągnięcia nauk humanistycznych. Jeśli taki zabieg nie jest bezkrytyczny, niewątpliwie ułatwia połączenie wiary i życia, inkulturację wiary. Poza tym dogmat zawsze jest przesłanką większą w teologii, jest takim „światłem w tunelu”, które sprawia, że trudno zbłądzić.

Teologia latynoamerykańska jest określana jako „nowy sposób uprawiania teologii”. Choć zagadnienie dotyczy nie tylko teologii w Ameryce Łacińskiej, to w jej przypadku dokonała się ważna innowacja. Nauki szczegółowe zastosowano nie tylko w kwestiach związanych z teologią pastoralną, katolicką nauką społeczną i duchowością, ale próbuje się zintegrować je z całą teologią, proponując koncepcję teologii jako krytycznej refleksji nad prakcją wiary chrześcijańskiej, w której nauki szczegółowe pełnią ważną funkcję, chociaż nie najważniejszą.

Zwróć uwagę na postać bardzo interesującego teologa latynoamerykańskiego, João Batisty Libânio. Wyrażał on pogląd, że opcja na rzecz ubogich nie identyfikuje się z opcją klasową, lecz ją w pewnym sensie zakłada. Nie można efektywnie kochać ubogich, abstrahując od warunków socjalno-bytowych, w których oni funkcjonują. Ubodzy żyją w społeczeństwie, które ich w pewnym sensie tworzy i przyczynia się do ciągłego odtwarzania problemów społecznych. Libânio twierdził wręcz, że teologowie w Ameryce Łacińskiej po Soborze Watykańskim II poszli dalej niż marksizm i przezwyciężyli go. Dla nich kryterium przynależności do grupy ubogich, a więc w sensie socjologicznym klasy społecznej, nie jest jedynie aspekt ekonomiczny – stosuje się także inne wskaźniki (np. płeć, rasę, kulturę, wiek i wyznanie), a przede wszystkim dane Objawienia na temat ubogich. Ale równocześnie w niektórych inicjatywach i materiałach pastoralnych, postawach osób zaangażowanych w ewangelizację można było dostrzec klasowe traktowanie ubogich i obecność elementów marksistowskiej analizy procesów historycznych oraz krytyki kapitalizmu.

Mówiąc mniej naukowym językiem: teologowie wyzwolenia chcieli pomóc świeckim katolikom, liderom wspólnot ekklezjalnych, ludziom zaangażowanym społecznie, żeby ten świat był trochę lepszy, zanim nadejdzie Królestwo Niebieskie. Żeby było sprawiedliwiej, żeby rzesze ludzkie nie żyły w nędzy, żeby mniej było procesów prowadzących do wykluczenia, indywidualnej i strukturalnej przemocy.

- Zaryzykuję w tym kontekście stwierdzenie, że teologia wyzwolenia miała także rolę służebną...

- Jest to cecha wielu teologów latynoamerykańskich: są z prostymi ludźmi, znają ich życie zawodowe, rodzinne. Dzielą się posiadanym doświadczeniem, wiedzą. Nie przeżywają swojej wiary w odosobnieniu od spraw zwykłych ludzi. To choćby przypadek Gutiérreza, Boffa i wielu innych. Teologowie nie przebywają jedynie na uczelniach i w swoich pracowniach. Są z ludu i dla ludu, we wspólnocie Kościoła. Jest to typowa postawa teologów wyzwolenia.

- Podczas studiów uczęszczałem na wykłady z filozofii religii, prowadzone przez o. Jana Andrzeja Kłoczowskiego OP. Dominikanin wspominał na jednym z nich, że czas Soboru Watykańskiego II zdaniem części teologów przyniósł inne rozłożenie akcentów w obrębie doktryny: obok ortodoksji katolickiego nauczania pojawiła się kwestia ortopraksji, dobrego działania, zgodnego z Ewangelią.

- W porządku analitycznym możemy rozdzielić te kwestie, ale w życiu występują one równocześnie. Sądzę, że relację ortodoksja-ortopraksja objaśniają słowa zastosowane przy definicji dogmatu chrystologicznego, dotyczącego dwóch natur Jezusa Chrystusa, boskiej i ludzkiej: współistnieją one „bez zmieszania, bez zmiany, bez rozdzielenia i rozłączenia”. Podział na ortodoksję i ortopraksję prowadzi dyskusję na intelektualne manowce. Tu znów warto przypomnieć zasadę przywoływaną przez teologów wyzwolenia: formuła wiary zakłada określone działanie, a te zaś formułę wiary. Gutiérrez twierdzi, że teologia musi być krytyczną refleksją człowieka nad samym sobą i społecznością. Chodzi tu również o jasną i krytyczną postawę wobec problemów ekonomicznych i społeczno-kulturowych. Peruwiański teolog proponował, by uwzględnić kryterium ortopraksji. Dlaczego? Dla spełnienia misji powierzonej przez Chrystusa jest ważna nie tylko poprawna formuła wiary – wyznania wiary, ale także świadectwo.

- Ideologia neoliberalna, promieniująca z USA, próbowała przez dziesięciolecia wzmocnić „złą legendę” teologii wyzwolenia, oskarżając ją jeszcze w czasach zimnej wojny o „zależność od Moskwy”. Z drugiej



jednak strony w Stanach Zjednoczonych również istniały tradycje katolicyzmu społecznego, którego symbolami są Dorothy Day, pismo i ruch „Catholic Workers”. Czy znajdziemy w teologii wyzwolenia ślady tej „zachodnioamerykańskiej katolewicy”?

- Wskazałbym na odwrotną sytuację. Część społecznie zaangażowanych katolików w Stanach Zjednoczonych, których poznałem osobiście, była ukształtowana przez myśl teologiczną Ameryki Łacińskiej. Działalność Dorothy Day i jej poglądy przypominają poglądy teologów i działaczy społecznych latynoamerykańskich. Nie należy się temu dziwić, istnieją wspólne dla całego świata katolickiego korzenie takiej myśli i postawy. Myślę choćby o katolicyzmie społecznym kojarzonym z belgijskim księdzem Josefem-Leonem Cardijn, który u schyłku życia został kardynałem. Działał wśród robotników, był inspiratorem chrześcijańskich związków zawodowych. Jego osobą był zafascynowany choćby młody student ks. Karol Wojtyła.

Trzeba pamiętać, że wielu latynoamerykańskich intelektualistów zaangażowanych społecznie kształciło się we Francji, Niemczech, we Włoszech czy w Hiszpanii. Byli baczniymi obserwatorami tamtejszej rzeczywistości. Część teologów studiowała

także w Belgii, na Katolickim Uniwersytecie w Leuven. Lata 50. na Zachodzie były czasem ogromnego zainteresowania nowymi metodami duszpasterskimi, powstawały grupy robotników i studentów, na których wpływ miał także ks. Cardijn. Od niego wywodzi się metoda, którą przyswoiła sobie i rozbudowała teologia latynoamerykańska: „widzieć, ocenić, działać”. Znalazła ona także akceptację doktrynalną Kościoła powszechnego, odwoływał się do niej Jan XXIII, niektóre jej echa można odnaleźć także w dokumentach Soboru Watykańskiego II.

- Na czym ona polega?

- Ta metoda - moim zdaniem - jest cichym i pokornym uczestnikiem przemian społecznych i ekologicznych, jakie zaszły w Kościele w Ameryce Łacińskiej. Stosując ją, przygotowano dokumenty Konferencji Ogólnych Episkopatu Latynoamerykańskiego z Medellin i Puebla, ale także z Aparecidy w Brazylii (2007 r.). Uważam, że może być też bardzo przydatna dziś w Polsce. To metoda „punktowa”, trzyetapowa, pozwala określić precyzyjnie aktualne problemy i ich wagę oraz ocenić je w świetle rozumu i nauki Kościoła. Jest to metoda oparta na jedności i współuczestnictwie, oddolna. Służy do planowania „z”,

a nie „dla” osób, na rzecz których organizowane są działania ewangelizacyjne.

- **Wspominaliśmy o Janie Pawle II. Pierwszy tekst, jaki w roku 1949 opublikował w „Tygodniku Powszechnym”, dotyczył ruchu księży-robotników.**

- Ten ruch miał bardzo szerokie oddziaływanie na różnych kontynentach. W Ameryce Południowej inspirował świeckich katolików, teologów, biskupów. Sprzyjał przybliżeniu ludzi do Kościoła.

W 1980 r., jeszcze przed wyjazdem do Brazylii, poznałem teologów, którzy traktowali księży-robotników z dużym dystansem. Niektórzy nawet twierdzili, że ten ruch to macki „komuny”, agentury sowieckie, bojówkarze. W São Paulo osobiście poznałem duchownych, którzy należeli do tego ruchu, niektórzy nieformalnie. Arcyciekawe postacie! Głęboko wierzący kapłani i mężni ludzie. Mieli odwagę zbliżyć się do robotników, razem z nimi starali się, by chrześcijaństwo było treścią życia, a nie zewnętrznym rytuałem.

Moim zdaniem jeśli w Ameryce Południowej dokonało się w ostatnich dziesięcioleciach odejście od rządów junt wojskowych, od dyktatur, jeśli możliwe stało się choć trochę lepsze i bardziej sprawiedliwe życie, to jest to między innymi zasługa latynoamerykańskich księży oraz liderów chrześcijańskich, którzy potrafili zakasać rękawy, żyjąc i pracując pośród ubogich.

- **Trudno nie zapytać, czy pojawiały się tutaj także wątki rewolucyjne...**

- Oskarżenia, że teologowie wyzwolenia przygotowywali rewolucję, są kłamstwem. Przemoc w wydaniu latynoamerykańskim niejednokrotnie miała prawicowe korzenie. Oto znany przykład: za śmiercią prospołecznego arcybiskupa Romero stali ludzie, którzy reprezentowali tak zwaną prawicę, odwoływali się ponadto do wartości chrześcijańskich i przypisywali sobie miano obrońców cywilizacji opartej na katolicyzmie.

Jeśli chodzi o wątki rewolucyjne, w Ameryce Południowej mają one różnorodne pochodzenie, nie tylko marksistowskie. Często są to także ruchy o charakterze patriotycznym, narodowowyzwoleńczym. Zaś wątki religijne, jak wiemy, można wykorzystywać także wbrew ich rzeczywistemu znaczeniu. Nie znam zakonnic, księży, biskupów i teologów, którzy nawoływali do rewolucji. W duchu Ewangelii wzywali i inspirowali do wprowadzania do sprawiedliwości i pokoju, poszanowania godności człowieka i odpowiedzialności społecznej. Za to niejednokrotnie przypina się im łatkę komunistów lub lewicowców. Wielu świeckich i duchownych ze względu na obronę wymienionych wartości było prześladowanych, niektórzy stracili nawet życie. Oprawcami byli

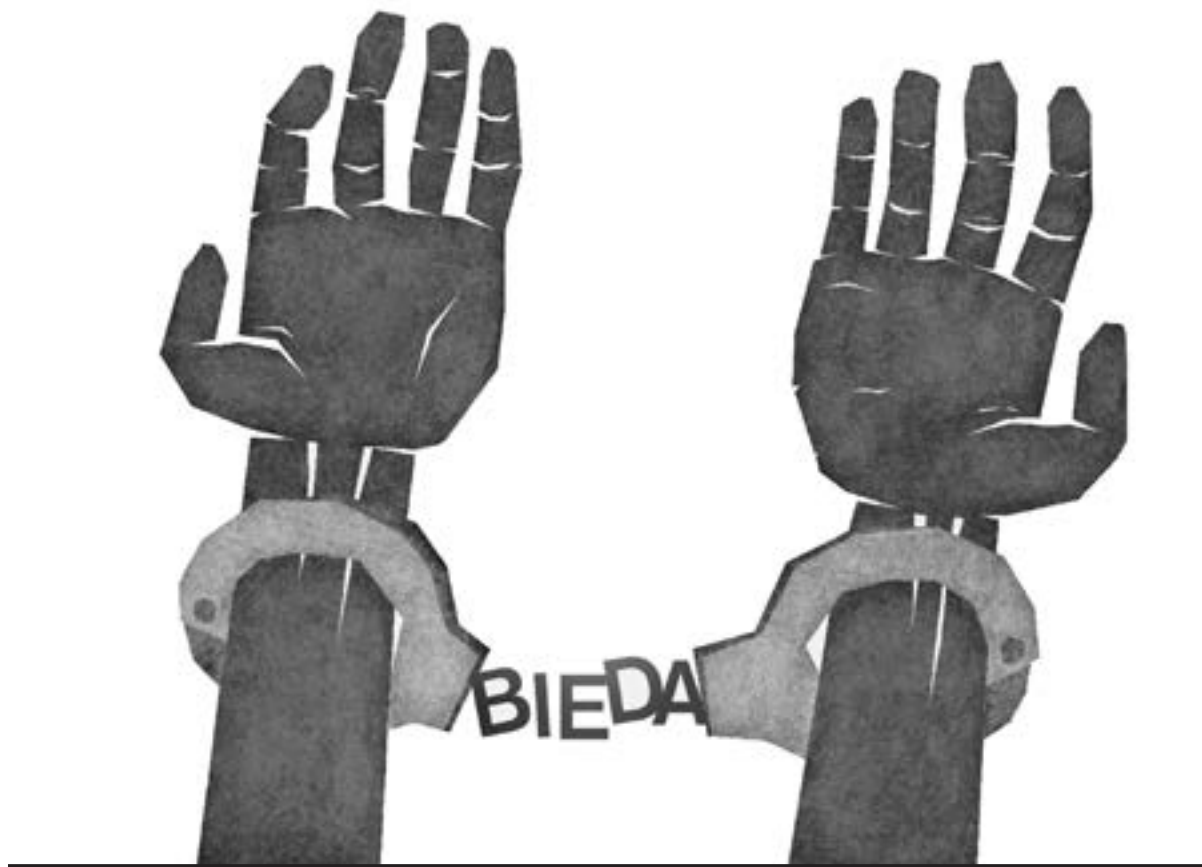
zazwyczaj „dobrzy” obywatele, obrońcy „wartości” cywilizacji zachodniej.

- **Warto tu przytoczyć słowa samego abp. Romero wypowiedziane w 1980 r., gdy rządząca junta spacyfikowała ponad stutysięczną pokojową manifestację na ulicach San Salvador. Mówił on: *W obliczu przemocy stosowanej przez siły zbrojne jestem zmuszony przypomnieć, że ich obowiązkiem jest służenie ludowi, a nie przywilejom nielicznych. W odpowiedzi na bezwzględne akty przemocy ze strony prawicy powtarzam po raz kolejny ostrzeżenie Kościoła, który władzę obarcza winą za złość i desperację społeczeństwa. [...] To rządzący są prawdziwym nasieniem i niebezpieczeństwem nadejścia komunizmu, o który z pełną hipokryzją rzucają oskarżenia.***

- Trafna diagnoza tamtej rzeczywistości! Ale trzeba dodać, że wśród latynoamerykańskiej lewicy byli ludzie, którzy naiwnie patrzyli na blok sowiecki. Jednak najczęściej podnoszono naprawdę proste i podstawowe sprawy: likwidacja analfabetyzmu, poprawa systemu szkolnictwa, opieka medyczna, przeciwdziałanie upodleniu związanemu z powszechną przemocą wobec biednych i wykluczonych, ochrona przed wyzyskiem ze strony bezkarnych pracodawców. W to wszystko włączony był Kościół, dopominający się ochrony godności człowieka, a więc jednej z podstawowych prawd naszej wiary.

W diecezji Senhor do Bonfim, w której kiedyś pracowałem, ksiądz biskup Jairo Rui Matos da Silva polecał mi szczególną troskę o sprawność samochodów, które mieliśmy do dyspozycji. Nie były to drogie auta, miały być bezpieczne. Często powtarzał: „łatwiej zdobyć samochód niż wychować kapłana”. Zatem co miesiąc musiałem jeździć do mechanika. Pewnego razu podszedł do mnie mężczyzna, którego znałem z widzenia. Był latyfundystą, miał kilka tysięcy hektarów ziemi – to brazylijski standard w przypadku bogatych właścicieli ziemskich. Znany był z tego, że odgradzał ludziom dostęp do wody, co prowadziło do sporów. Zagadnął mnie: „Jesteś księdzem... Wiesz, kiedyś to byli księża. Przyjeżdżał do mnie duchowny, zbierałem ludzi, a on mówił im, że mają być posłuszni i pracowici. A teraz to jacyś komuniści”. Łatwo zrozumieć, jaki typ Kościoła odpowiadał temu człowiekowi i dlaczego zginął abp Romero.

Wspomniany latyfundysta rozumiał, że coś się stało, że zaszły przeobrażenia, które w teologii i historii Kościoła w Ameryce Łacińskiej określa się mianem: „zmiana miejsca społecznego Kościoła”. W pewnym momencie niektórzy hierarchowie, aktywni katolicy, zrozumieli, że przyłgnięcie Kościoła do obozu władzy, do posiadaczy, jest szkodliwe. A władza i ugrupowania polityczne wykorzystują Kościół dla własnych celów, przez usankcjonowanie panujących realiów.



Upominanie się o sprawiedliwość, pokój, o ubogich, przebywanie wśród nich, spotkało się z dezaprobatą ze strony dużych grup interesu, także tych międzynarodowych. Stąd bierze się również bardzo interesowna krytyka teologii wyzwolenia. Nic też dziwnego, że dla wielu wygodniejszy był „katolicyzm zakrystii”, teologia bez wyraźnych związków z życiem lub teologia Michaela Novaka - teolodzy wyzwolenia cierpko nazywali go nadwornym prorokiem, nawiązując do opisanego w Starym Testamencie zjawiska proroków nominowanych i opłacanych przez władców. Nie oznacza to, że ludzie Kościoła ustrzegli się błędów spowodowanych radykalizmem postaw.

- **A jakie były/są szersze konteksty teologii wyzwolenia? Myślę zarówno o narzędziach, których używała, jak i o perspektywach przez nią obejmowanych.**
- Jak wspomniałem, w ubiegłym stuleciu znacznie rozbudowano język teologii, który zwyczajowo wiązał się z dorobkiem nurtów filozoficznych związanych z Platonem i Arystotelesem, św. Augustynem i św. Tomaszem oraz różnymi odmianami ich myśli. W XX w. pojawiły się teologie nawiązujące do języka neotomizmu, personalizmu, egzystencjalizmu, fenomenologii, filozofii życia, filozofii analitycznej. Równocześnie odwołano się do kategorii, metod i rezultatów takich nauk jak socjologia, psychologia, ekonomia, biologia, fizyka, historia. Pełniły one funkcję źródła informacji, inspiracji do rozbudowy kwestii doktrynalnych lub opracowania stanowiska

katolickiego, także polemik i dialogu. To oczywiście stało się źródłem nieuniknionych napięć, żeby nie powiedzieć - kryzysu w samym Kościele. Dyskusja na ten temat jeszcze się nie zakończyła.

Kierując się bardzo uproszczonym myśleniem, teologii wyzwolenia postawiono zarzut, że korzysta z narzędzi filozofii/socjologii marksistowskiej. Jednak w rzeczywistości czerpała ona z bardzo różnorodnych współczesnych nauk humanistycznych. Korzystała przy tym z diagnoz opisujących sytuację kontynentu i innych regionów świata. Kluczowe znaczenie miały także wspomniane encykliki papieskie.

Ponadto znaczenia prac socjologicznych, tzw. analiz koniunktur, dowodzi latynoamerykańska, krytyczna ocena projektów rozwojowych. Naukowcy badając tę kwestię w Ameryce Łacińskiej, postawili pytanie: czy w imię postępu mamy doganiać świat kapitalistyczny, zbudowany na gospodarce wolnorynkowej? Czy jedynie w procesach dostosowawczych tkwi problem? W ten sposób powstała teoria zależności od kapitałowych/politycznych centrów. Czyli: problem współczesny biedy to nie tylko kwestia rozwoju gospodarki, ale także problem systemowy, peryferyjny, merkantylny, kwestia gospodarki podległej kapitalistycznym ośrodkom. Dostrzeżono pułapkę zagranicznych ofert, które głosiły: u was też będzie lepiej, jeśli zaakceptujecie nasze warunki i dzięki temu w końcu nas dogonicie... Z całą ostrością zarysował się schemat: centrum - peryferie. Ten rodzaj myślenia wywarł duży wpływ na środowiska katolickie, także na teologów wyzwolenia.



- **Jakbym słyszał opowieść o współczesnej Polsce.**

- Prawdę mówiąc, dziś przerabiamy problemy, które społeczeństwa Ameryki Łacińskiej zaczęły sobie uświadamiać przynajmniej w połowie lat 50. XX w. Również w sytuacji Kościoła w Polsce widzę wiele zbieżności...

Dodam, że pod wpływem prac antropologów, ale również dorobku Jana Pawła II, zaczęto dostrzegać, że kwestie ekonomicznego niedorozwoju mają także swój kontekst kulturowy. Zaczęto mówić o inkulturacji, ewangelizacji kultur, co zmieniło charakter teologii wyzwolenia. O ile przez dziesięciolecia kojarzona była z zagadnieniami społeczno-gospodarczymi, o tyle od lat 90. weszła głębiej w problematykę dotyczącą kultury/cywilizacji ludzkiej i ekologii. Podjęto dyskusję nad wzorcami społecznych zachowań, symboliką, wartościami typowymi dla współczesnych kultur. Taka zmiana była wywołana wcześniejszymi krytycznymi uwagami Watykanu - radykalni społecznie teologowie przycichli. Z drugiej jednak strony dorobek teologii wyzwolenia stał się integralną częścią codziennej praktyki duszpasterskiej, co widać choćby we wspomnianej metodzie działań w Kościele latynoamerykańskim: „widzieć, oceniać, działać”.

- **Skupmy się zatem na bliższych nam czasach i realiach. Przynajmniej od początków III RP przyjęło się dość powszechnie uważać, że konieczne jest połączenie doktryny wolnorynkowej z katolicyzmem. Dzięki temu powstał na przykład tzw. konserwatywny liberalizm. Obecny pontyfikat można chyba uznać za mocne zaprzeczenie tej tezy?**

- Uważam, że stoimy przed problemem, z którym nigdyś musiała się zmierzyć Ameryka Łacińska. Papież Franciszek przynajmniej kilkakrotnie zwracał uwagę, że dla Kościoła niebezpieczeństwo kryje się w ideologizacji chrześcijaństwa. Ten temat podejmowano w teologii latynoamerykańskiej. Pod wpływem analiz socjologicznych, antropologicznych, historycznych wyprowadzono wnioski, że doktryna katolicka bezwiednie może być wykorzystywana dla uzasadnienia pewnego społecznego *status quo*, może stać się wersją *soft* chrześcijaństwa, czyli zniekształconym chrześcijaństwem. W takiej sytuacji traci się nadrzędność doktryny: kanony interpretacji Pisma Świętego i Tradycji będą wyznaczały światopoglądy i ideologie. Obawiam się jednak, że w Polsce właśnie przeżywamy kryzys związany z tą kwestią...

- **Często słychać głosy, że czas posługi papieża Franciszka jest pontyfikatem „drobnych gestów”. Czy możemy jednak wskazać główne aspekty jego społecznego nauczania?**

- W sprawach społecznych papież Franciszek będzie kontynuował nauczanie swoich poprzedników.

Pokazał już, że będzie dbał o sprawę ludzi ubogich, czyli zwróci uwagę na problemy około 2/3 ludzkości.

Warto podkreślić jeszcze inną rzecz. Kościół działa w wielu krajach i kulturach. Dla nas, Polaków, jest to ważny pontyfikat, bo może pomóc nam uświadomić sobie tę różnorodność i dostrzec niedostrzegalne. Czasem pokutuje u nas opinia, że Kościół latynoamerykański jest jakimś gorszym Kościołem. A przecież choćby katolicy w Argentynie, podobnie jak tutaj w Polsce, mają własną historię, tożsamość, która wpływa także na postać papieża Franciszka. Przecież i Jan Paweł II był kształtowany przez pewną zastanę historycznie rzeczywistość, kulturę, także religijną, i było to dla nas oczywiste. Sądzę, że w przypadku Franciszka, ze względu na jego doświadczenie, tło kulturowe, w które jest wpisany, dochodzi do innego rozłożenia akcentów. Papież strzeże depozytu wiary i go interpretuje, ale równocześnie jego wrażliwość jest trochę odmienna od europejskiej.

Franciszek wskazuje na Kościół obecny wśród ludzi, dla ludzi i z ludźmi. Mówi nam, że Kościół nie jest tylko instytucją, która udziela jakichś „usług duchowych”. Kościół to nie przedsiębiorstwo duchownych i dobrze zorganizowanych ludzi świeckich. Słowa i gesty papieża przywracają istotę Kościoła i jego misję na świecie, mówią o współodpowiedzialności każdego katolika i za Kościół, i za otoczenie społeczne, w którym działa.

Uważam, że szczególnie ważne, inspirujące i nowatorskie na naszym gruncie jest wezwanie Franciszka, że wszyscy jesteśmy uczniami i misjonarzami Jezusa Chrystusa (zacytowane z dokumentu końcowego Konferencji Biskupów Latynoamerykańskich i Karaibów w Aparecidzie - 2007 r.). To może wydawać się oczywistością, ale czy jest nią faktycznie? Ponadto w Polsce jesteśmy przyzwyczajeni do pewnego typu nauczania, które jest dostojne, ale można nad nim przejść szybko do porządku dziennego. Sposób, w jaki mówi Franciszek, jest prostszy, ale trafny i prowadzi do dawania świadectwa, a tym samym poprawy jakości życia.

- **Z pewnością uderza Jego wskazanie na problemy społeczne jako na ściśle powiązane z odpowiedzialnością wierzących, niezależnie, czy są świeckimi, czy duchownymi.**
- Również to nie wzięło się znikąd. A odniesienia do pięknych kart Kościoła są naprawdę interesujące. Przypomnę pewien mało znany fakt. 16 listopada 1965 r., pod koniec obrad Soboru Watykańskiego II, kilkudziesięciu biskupów, którzy spotykali się już wcześniej, podpisało w katakumbach „Postanowienia z katakumb św. Domitylli”. Zadali sobie pytanie o autentyczność ich życia chrześcijańskiego, o kwestię odpowiedzialności za losy świata, który

w większości jest przecież światem ludzi biednych. Podkreślili wagę osobistego życia w ubóstwie, zrzekli się własności prywatnej, pałaców, bogatych strojów, nawet osobistych kont bankowych. Zobowiązali się, że będą działać dla wszystkich, ale w szczególny sposób na rzecz ubogich i wykluczonych. Zdecydowali, że dzieła charytatywne w swoich lokalnych Kościołach przekształcą w inicjatywy promujące ludzi i oparte na miłości społecznej i sprawiedliwości. Oczywiście, pod ich adresem pojawiły się oskarżenia, że reprezentują lewicę...

- **Był wśród nich Dom Hélder Câmara, biskup z Brazylii, autor znanych słów: „Gdy daję biednym chleb, nazywają mnie świętym. Gdy pytam, dlaczego biedni nie mają chleba, nazywają mnie komunistą”.**
- Miałem okazję spotkać go kilka razy, na wspólnej mszy św. i konferencjach. Mądry, wrażliwy, odważny, pokorny, prosty i głęboko wierzący człowiek. Te chwile wpłynęły nie tylko na moją duchowość i widzenie świata.

Deklarację w katakumbach Domitylli podpisali również inni biskupi latynoamerykańscy. Oni także zaszczepiali tę problematykę w swoich lokalnych Kościołach. Tak rodziła się „preferencyjna opcja na rzecz ubogich”, do której wyraźnie nawiązuje papież Franciszek.

Tu warto podkreślić, że tamtejszy katolicyzm jest ortodoksyjny, a równocześnie otwarty społecznie. Jest w nim też wiele innych pozytywnych cech, na przykład odwaga w poszukiwaniu nowych form pracy dynamizujących parafie, nie tylko miejskie, ale przede wszystkim ubogie i oddalone (wiejskie). Imponuje uczestnictwo świeckich w życiu Kościoła. U nas rady parafialne często pełnią rolę fasadową, tam jest zdecydowanie inaczej. I wcale ta aktywność laikatu nie zaprzecza hierarchiczności Kościoła, czego często u nas obawiają się księża.

Uważam, że jest wiele dobrych spraw, których możemy się uczyć, patrząc na papieża Franciszka i Kościół, z którego pochodzi.

- **A co z odpowiedzialnością świeckich? Czasem odnoszę wrażenie, że etyka katolicka zamyka się u nas w horyzoncie spraw obyczajowych, w rodzinnej plemienności. Odpowiedzialność społeczna czy wręcz refleksja nad powiązaniem między etyką katolicką a systemowymi zagadnieniami dotyczącymi sprawiedliwego państwa - to już dla wielu za dużo. W kwestii katolickiej nauki społecznej chętnie podkreśla się szacunek dla własności prywatnej, ale zdecydowanie rzadziej - wnioski, jakie płyną z solidaryzmu.**
- Społeczeństwo bez solidaryzmu właściwie nie istnieje. W Ameryce Łacińskiej przerabiano ten problem

i nadal jest on omawiany. Z ciekawszych zagadnień warto wspomnieć o funkcji społecznej, jaką wyznacza się wierze i wspólnotom religijnym, w tym o kwestii zamierzonej lub nieświadomej ideologizacji religii, przyporządkowanie okrojonej wiary (pozornie ortodoksyjnej) celom korporacyjnym. W takich systemach myślowych zachodzi fałszowanie Ewangelii i wpisanie jej w systemy społeczno-kulturowe, gospodarcze i polityczne (np. ideologie liberalne, nacjonalistyczne). Biskupi i teolodzy podejmują także inny problem: wytwarzane dobra pełnią funkcje społeczne, nie mają jedynie charakteru merkantylnego. Tu warto dodać, że w teologii wyzwolenia jest inny aktualny i inspirujący do badań temat: fetyszyzacja pieniądza, dóbr i handlu, które byłyby nowoczesną formą idolatrii.

Z publikacji takich teologów jak np. Gustavo Gutiérrez, Leonardo Boff i Ignacio Ellacuría można dowiedzieć się, że solidaryzm, jedność i współuczestnictwo są sprawdzianem człowieczeństwa. Ostatecznym ich źródłem jest Bóg, który nie jest Bogiem samotnym, nieobecnym i odległym demiurgiem, ale wspólnotą Osób Boskich przepełnionych miłością, źródłem i głównym celem wszystkich stworzeń i historii. Stąd trynitologia ma poważne konsekwencje dla życia osób i wspólnot, twierdzą wspominani teolodzy. Boff mówi nawet, że Trójca Święta jest najlepszą wspólnotą, źródłem inspiracji życia osób i społeczności.

Gdy patrzę na to, co się dzieje we współczesnej Polsce, dostrzegam wiele osiągnięć, ale odczuwam także głębokie zasmucenie. Część społeczeństwa się wzbogaciła, co uważam za rzecz dobrą. Jednak w wielu przypadkach, które znam osobiście, czyniono to, nie licząc się z innymi ludźmi, wręcz żerując na ich pracy i niedoli, a nawet na anihilacji grup niepotrzebnych systemowi - na przykład emerytów i chorych. W latach 90. zapanowała u nas odmiana pesymistycznej wizji świata - dżungla, w której trzeba przetrwać, nie patrząc na innych.

Przyznam, że zmieniła się moja wizja liderów i grup społecznych, które uważałem za elity mogące poprowadzić nas w lepszym kierunku. Spadły mi przysłowiowe „klapki z oczu”. Serce mi pęka, gdy widzę ludzi, którzy chodzą do kościoła, są wierzący, odwołują się do Jana Pawła II, lansują siebie na ekspertów i łaskawców narodu, ale w stosunku do pracowników prowadzą rabunkową gospodarkę lub na nią zezwalają. Niektórzy nawet zerwali z Kościołem, bo stał się niewygodny. Zniknęła gdzieś myśl, obecna przecież w nauczaniu papieża z Polski, że także przedsiębiorstwo jest rodzajem wspólnoty. Nie jest narzędziem bezwzględnego osiągnięcia zysku. Powstają majątki, ludzie żyją wspaniale - ale znika myśl, że dzieje się to kosztem czyjejś straty, złe opłaconej pracy. Tu pojawia się też kwestia: kto ma

prawo do wypracowanej nadwyżki? Znam ludzi biznesu, którzy starają się prowadzić działalność uczciwie, ale słucham też swoich studentów, jak skarżą się na warunki pracy: bardzo niskie zarobki, śmieciowe umowy, zwlekane z wypłatami. Znam rodziny, w których kobiety miały trudności ze znalezieniem pracy, bo mogły zająć w ciąży.

Podobne wątki występują w teologii latynoamerykańskiej. Płynie z nich taka oto nauka: solidaryzm nie może być paternalistyczny i sprowadzać się jedynie do akcji zbierania pieniędzy, tzw. dzieł miłosierdzia, które, chociaż ważne, często zagłuszają sumienie i nie pokazują rzeczywistych przyczyn problemów osobistych i społecznych. W São Paulo widziałem bale charytatywne z udziałem biznesmenów, polityków, na które bilet wstępu kosztował równowartość tysiąca dolarów, a z tego na filantropię przeznaczano tylko kilka procent. Reszta szła na obsługę imprezy, na wykwinne jedzenie. A nieopodal ludzie żyli w nędznych fawelach.

W Ameryce Łacińskiej dorobek Kościoła i uprawianej tam teologii prowadzi do innego ważnego wniosku: solidaryzm nie polega jedynie na indywidualnej postawie. Kluczowe jest wspólne dążenie do budowy takiego systemu prawnego i społeczno-gospodarczego, na publicznym wsparciu takich wartości i wzorców, które będą dawały ludziom większe szanse na godne życie. Szanse rzeczywiste, nie tylko zapisane w konstytucji, ustawie, deklaratywne...

- Katolicy w Polsce naprawdę mają się czym zajmować w kwestiach społecznych...

- Może to źle zabrzmieć, ale u nas bardziej się liczy i jest powielany drobnomieszczański wariant wiary: skrajny indywidualizm, nieraz zaprawiony dulszczyzną. Mamy trudności w rozumieniu albo celowo pomijamy temat związków wiary z życiem społecznym, gospodarczym i politycznym. W naszych wspólnotach katolickich nie rozwiązaliśmy jeszcze ważnej dla wspólnego życia i zbawienia kwestii: pierwsze nawrócenie serca czy struktur? Na to pytanie łatwo znaleźć odpowiedź w dokumentach Kościoła w Ameryce Łacińskiej i w tamtejszej teologii, także wyzwolenia. Dobrą wskazówką są słowa Jezusa Chrystusa: „Biada wam, uczeni w Piśmie i faryzeusze, obłudnicy! Bo dajecie dziesięcinę z mięty, kopru i kminu, lecz pomijacie to, co ważniejsze jest w Prawie: sprawiedliwość, miłosierdzie i wiarę. To zaś należało czynić, a tamtego nie opuszczać. Przewodnicy ślepi, którzy przedczacie komara, a połykacie wielbłąda!” (Mt 23,23-24).

- Dziękuję za rozmowę. ✕

Lublin, 12 listopada 2013 r.

Zadowolony biedak odpowiada na ankietę



DR KRZYSZTOF POSŁAJKO

Główna strona portalu gazeta.pl w dniu 4 października 2013 przedstawia zdjęcie roześmianej rodziny opatrzone podpisem „Coraz więcej szczęśliwych i bardzo szczęśliwych Polaków - Diagnoza Społeczna 2013”. Ten obrazek nieźle ilustruje funkcjonowanie Diagnozy Społecznej w mediach głównego nurtu. Zebrane tam dane mają zadawać kłam pesymistycznej propagandzie i udowodniać, że mimo błędów i wypaczeń potransformacyjna Polska jest krajem, który rośnie w siłę i w którym ludziom żyje się dostatniej.

Ten optymistyczny aspekt Diagnozy jest o tyle łatwy do podkreślania, że to na niego właśnie zwracają uwagę - przynajmniej w komunikatach medialnych - autorzy badania, z profesorem Januszem Czaplińskim na czele. Tymczasem jeśli przyjrzeć się danym, które można znaleźć w Diagnozie, a nawet interpretacjom tych danych, jakie znajdujemy w pełnych raportach (a nie w ich medialnych streszczeniach), to obraz społeczeństwa polskiego, jaki się

z nich wyłania - a do poprawności metodologicznej badania trudno mieć zastrzeżenia - jest mocno niepokojący.

Nie da się polemizować z faktem, że Polacy jawią się w świetle Diagnozy jako społeczeństwo ludzi zadowolonych z życia. 81% rodaków deklaruje, że są szczęśliwi i ten odsetek systematycznie rośnie (odnotowano niemal dwukrotny wzrost w porównaniu z najgorszym pod tym względem rokiem 1993), nawet



w sytuacji kryzysu gospodarczego. Jednak ten wynik dotyczy jedynie subiektywnego poczucia satysfakcji z życia, a wyciąganie na ich podstawie wniosków na temat ogólnej sytuacji w Polsce jest głęboko nieuzasadnione.

Przede wszystkim wskaźniki obrazujące sytuację materialną naszych rodaków dowodzą jednoznacznie, że pod tym względem miewają się oni raczej źle. Po pierwsze, realne (czyli liczone z uwzględnieniem inflacji) dochody gospodarstw domowych w Polsce systematycznie spadają - w ciągu ostatnich dwóch lat o 5% (*Diagnoza...*, s. 40¹). Problemy materialne dają o sobie znać również w wymiarze subiektywnym. Jak czytamy w *Diagnozie: Najczęściej badane gospodarstwa domowe deklarowały w lutym/marcu 2013 r., że przy aktualnym dochodzie wiązały koniec z końcem z pewną trudnością (36 proc. gospodarstw), prawie 20 proc. gospodarstw radziło sobie z trudnością, a ponad 17 proc. z wielką trudnością* (s. 45). Jedynie 26% Polaków radzi sobie pod względem materialnym „łatwo” lub raczej „łatwo”, co oznacza, że $\frac{3}{4}$ ludzi w naszym kraju radzi sobie nie za dobrze.

Powtórzmy to wyraźnie: zdecydowana większość Polaków uważa, że ma problemy finansowe. Jedy-
nym jasnym punktem w tych statystykach jest fakt, że odsetek ludzi, którzy radzą sobie „z wielką trudnością”, nieznacznie spadł (o 2 punkty procentowe). Być może oznacza to, że obszary skrajnej biedy nieco się zmniejszają, ale nie ludźmy się, że zniknęły one całkowicie. Czy można spokojnie przejść obok faktu, iż prawie 30% gospodarstw wiejskich deklaruje, że ich „stałe dochody nie pozwalają na zaspokojenie bieżących potrzeb” (s. 48)? Czy rzeczywiście możemy mówić, że Polska jest krajem dobrobytu materialnego, jeśli ponad 20% gospodarstw domowych nie posiada ciepłej bieżącej wody, a w województwie świętokrzyskim ten odsetek sięga ponad 40%? Wydawać by się mogło, że mamy tu do czynienia z czymś, co w drugiej dekadzie XXI wieku, w regionie znajdującym się w Unii Europejskiej, powinno być uznane za podstawowy dorobek cywilizacyjny, a nie luksus dostępny jedynie dla wybranych.

Warto też zauważyć, że zgromadzone w *Diagnozie* dane jednoznacznie falsyfikują tezę, iż w Polsce

Ludzie w Polsce są zadowoleni, ale ich szczęście ma charakter ściśle prywatny i jest w dużej mierze niezależne od tego, jak się rzeczy mają w kraju, w którym mieszkają.



©©© RedKoala1, flickr.com/photos/redkoala1/5204827393/

mamy do czynienia z „rozbuchanym państwem socjalnym”, utrzymującym przy życiu całe rzesze „nie-robów”, co wpędza ich w „wyuczoną bezradność”. W rzeczywistości jakkolwiek pomoc zewnętrzną otrzymuje jedynie 11% badanych (s. 52). Warto zwrócić uwagę, że mówimy tu o jakiejkolwiek pomocy – niestety Diagnoza nie dostarcza informacji na temat tego, w jakim stopniu ta pomoc zaspokaja potrzeby materialne badanych. Wiedząc wszakże, ile w Polsce wynosi choćby zasiłek dla osób będących opiekunami osób niepełnosprawnych, możemy się domyślać, że niewielu znajdziemy ludzi żyjących z pomocy społecznej. W każdym razie, biorąc pod uwagę skalę deprivacji materialnej, jaką ujawnia badanie, zasięg działania pomocy społecznej w Polsce okazuje się nad wyraz skromny.

Należy zaznaczyć, że autorzy Diagnozy te wszystkie dane, świadczące o trudnej sytuacji bytowej mieszkańców naszego kraju, referują nadzwyczaj rzetelnie. Zastrzeżenia może jedynie budzić fakt, iż bardzo często, gdy podaje się informacje wskazujące na niekorzystną sytuację rodaków, są one

uzupełniane komentarzami, które mają świadczyć o tym, że co prawda nie jest najlepiej, ale sytuacja się poprawia.

Weźmy na przykład fragment mówiący, że wielu dorosłych Polaków zmuszonych jest rezygnować z wyjazdów wypoczynkowych ze względu na trudną sytuację finansową – w 2013 roku wystąpienie takiej sytuacji zasygnalizowało 32% respondentów. Zaraz potem w raporcie Diagnozy czytamy: *W ostatnich dwóch latach nastąpił natomiast znaczący spadek konieczności rezygnacji ze względów finansowych z wyjazdów dorosłych* (s. 115). Dowiadujemy się następnie, że ów spadek wyniósł... 3 punkty procentowe – z 35% do 32%. Czy rzeczywiście taka zmiana zasługuje na miano „znaczącego spadku”? Czy nie jest to przypadkiem próba zaklinania rzeczywistości?

Takie manewry dyskursywne znajdujemy w Diagnozie często – wystarczy, że jakaś zła statystyka poprawi się w ujęciu dwuletnim o choćby dwa punkty procentowe, to już mówi się o tym, że jest znacznie lepiej. Czy nie uczciwiej byłoby jednak skwitować taką obserwację komentarzem, że pacjent co prawda

nadal miewa się nie najlepiej, ale jednak nastąpiła delikatna poprawa?

Niezwykle doniosłą i bolesną konsekwencją materialnej deprywacji Polaków jest katastrofalna sytuacja demograficzna naszego kraju. Przypomnijmy – przyrost naturalny w 2013 roku niemal na pewno będzie ujemny, zaś współczynnik dzietności w Polsce w roku 2012 wyniósł zaledwie 1,3, wypadając zdecydowanie poniżej tego, który gwarantuje zastępowalność pokoleń. Mówiąc krótko – nawet jeśli weźmiemy w nawias fenomen masowej emigracji, widzimy, że Polska zaczyna się wyludniać i jeśli obecne tendencje się utrzymają, to proces ten postępować będzie w zastraszającym tempie.

Wielką wartością *Diagnozy Społecznej* jest to, że zawiera ona szczegółowe badania nad „rezerwą prokreacyjną”, czyli ludźmi, którzy mogliby mieć dzieci (czy to pierwsze, czy też kolejne), a jednak z jakichś względów się na to nie decydują. Dzięki temu badaniu możemy poznać rzeczywiste motywacje tych osób, a nie zadowalać się ideologicznymi projekcjami na ich temat. Okazuje się bowiem, że powodem, dla którego ludzie w naszym kraju nie mają dzieci, nie są żadne postępy „cywilizacji śmierci” (jak lubią to sobie roić przedstawiciele prawicy kulturowej), lecz właśnie problemy materialne oraz, co należy dodać, bezpłodność. Ponad 58% osób należących do owej „rezerwy prokreacyjnej” jako powód nieposiadania dziecka wskazuje „trudne warunki bytowe”, 36% „niepewną przyszłość”, a 30% „koszty wychowania”. Niecałe 30% wskazuje jeszcze „trudność godzenia pracy z rodzicielstwem”, „za niski zasiłek” oraz brak dostępu do żłobków i przedszkoli (s. 163). Widać zatem wyraźnie, że to nie żadne domniemane mroczne wpływy „lewactwa”, rzekomo demoralizującego polską rodzinę, a zwykłe problemy bytowe sprawiają, iż sytuacja demograficzna naszego kraju przedstawia się tak tragicznie.

Z drugiej jednak strony te dane powinny wziąć sobie również do serca środowiska lewicowe, które za fatalną demografię obwiniają przede wszystkim brak wspierającej młodych rodziców infrastruktury i rozwiązań prawnych. Rzeczywiście, jest to istotna kwestia, jednak, jak się okazuje, to nie ona ma fundamentalne znaczenie, lecz zwykła, nie bójmy się użyć tego słowa, bieda. Oznacza to, że polityki demograficznej nie można prowadzić w izolacji od polityki ekonomicznej jako takiej – nie można liczyć na to, że samo zbudowanie żłobków i przedszkoli czy objęcie pracowników na umowach śmieciowych urlopami macierzyńskimi (jakkolwiek są to działania niezwykle ważne) rozwiąże ów problem. Zapaści demograficznej nie powstrzymamy bez takiej zmiany polityki, która umożliwi radykalną poprawę warunków życia społeczeństwa.

Pesymistyczna ocena warunków życia rzutuje również – i to bardzo wyraźnie – na w gruncie rzeczy negatywną ocenę całokształtu transformacji, jaka dokonała się w Polsce po 1989 roku. *Ogólna ocena reform rozpoczętych w 1989 r. jest dla badanych zadaniem trudnym. Tylko nieco ponad połowa badanych (55,5 proc.) może się na nią zdecydować – 44,4 proc. znalazła się w kategorii „trudno powiedzieć”* (s. 286). Z drugiej jednak strony: *Wśród badanych, którzy ocenili reformy po 1989 r. jako udane albo nieudane, pogląd, że reformy się nie udały (53,9 proc.) występuje prawie 4 razy częściej niż pogląd, że się udały (11,6 proc.); w stosunku do 2011 r. oceny te się pogorszyły; dwa lata wcześniej o sukcesie reform mówiło 14,0 proc., a o ich niepowodzeniu 37,2 proc. badanych* (s. 286).

Takie wyniki nie powinny zaskakiwać. Jak można spodziewać się, że Polacy będą zadowoleni z przemian, skoro ich warunki życiowe pozostawiają tak wiele do życzenia? A jednak, nawet jeśli weźmiemy ten fakt pod uwagę, wskaźnik akceptacji dla reform pozostaje szokująco niski – 11% to o wiele mniej niż odsetek Polaków, którzy „radzą sobie w życiu z łatwością”. Oznacza to, że nawet ludzie zadowoleni ze swojej sytuacji materialnej nie zawsze potrafią zdecydować się na jednoznacznie pozytywną ocenę reform. I dzieje się tak mimo że przygniatająca większość mediów głównego nurtu od lat uprawia u nas propagandę sukcesu, obwieszczając, że polska droga do demokracji może być przykładem dla niemal całego świata. Rzutuje to oczywiście na ogólną ocenę sytuacji w kraju, która, jak pokazuje *Diagnoza*, jest w Polsce bardzo niska – odsetek Polaków „zadowolonych” i „bardzo zadowolonych” z sytuacji w kraju wynosi niecałe 10% (choć i tak systematycznie wzrasta).

Krytyczna ocena transformacji ma też swój niepokojący aspekt. Związany jest z nią bowiem dość niski poziom aprobaty dla demokracji jako systemu sprawowania rządów. Jedynie 25,5 proc. zbiorowości wybrało pogląd, że „demokracja ma przewagę nad wszelkimi innymi formami rządów”, natomiast 13,6% uznało, że „niekiedy rządy niedemokratyczne mogą być lepsze niż rządy demokratyczne”; dla 16,1% „nie ma znaczenia, czy rząd jest demokratyczny czy niedemokratyczny”, zaś 5,8% uważa, że „demokracja jest złą formą rządu” (s. 288). Można z tego wysnuć wnioski, że w Polsce istnieje potencjał do kontestacji obecnego układu społeczno-politycznego, przy czym ta kontestacja może, co niepokojące, przybierać formę poparcia dla jakiejś postaci autorytaryzmu. Oczywiście w chwili obecnej nie ma w naszym kraju formacji politycznej dysponującej realną siłą, która jednocześnie głosiłaby taki przekaz, jednak tendencje są tu na tyle wyraźne, że pozwalają się martwić na zapas.

© orangejon, flickr.com/photos/orangejon/449562058/



Powróćmy teraz do naszych wyjściowych danych, wskazujących, że 81% Polaków jest zadowolonych ze swojego życia. Jeśli skontrastujemy te deklaracje z liczbami, które przedstawiłem, rodzi się pytanie: czy można być człowiekiem szczęśliwym i zadowolonym z życia, jeśli ma się mniejsze lub większe problemy finansowe, problem z dostępem do podstawowych zdobyczy cywilizacyjnych, brakuje środków na utrzymanie dziecka oraz jeśli żyje się w kraju, którego transformację ustrojową ocenia się negatywnie? Polacy są dowodem na to, że można. Można być biednym i żyć w źle rządzonej Polsce – a jednocześnie promieniować szczęściem.

Wyjaśnienie tej zagadki kryje się w określeniu czynników mających wpływ na taki stan rzeczy. Dominujące aspekty zadowolenia z życia mają charakter ściśle indywidualno-rodzinny. Otóż niemal 85% Polaków jest zadowolonych z dzieci, 78% z małżeństwa, 72% ze stosunków w rodzinie, a 51% z życia seksualnego (s. 177). Większość naszych rodaków jest też zadowolona ze swojego miejsca zamieszkania – taką postawę wyraża 55% osób.

Drobiazgowa analiza przeprowadzona przez prof. Czapińskiego wykazuje ponadto, że czynniki wewnętrzne, czyli psychiczne, są o wiele bardziej istotne w determinowaniu poziomu dobrostanu niż czynniki zewnętrzne (s. 192).

Mamy zatem odpowiedź na naszą zagadkę. Okazuje się, że Polacy są zadowoleni z życia, mimo że raczej są i czują się biedni oraz mieszkają w biednym i źle rządzonej Polsce, a to z tego powodu, że mogą pochwalić się dobrą strukturą psychiczną oraz mają satysfakcjonujące relacje rodzinne. Oczywiście należy cieszyć się z tego, że żyjemy raczej w społeczeństwie ludzi zadowolonych niż w społeczeństwie frustratów, jednak z drugiej strony patrząc, ten dysonans pomiędzy osobistą satysfakcją a oceną warunków ekonomiczno-politycznych powinien niepokoić.

Wskazuje on bowiem na zjawisko, które można by nazwać „prywatyzacją szczęścia”. Ludzie w Polsce są zadowoleni, ale ich szczęście ma charakter ściśle prywatny i jest w dużej mierze niezależne od tego, jak się rzeczy mają w kraju, w którym mieszkają. Wskazuje to, że mamy do czynienia z odłączeniem



©© Nina J. G. flickr.com/photos/nicasaurusrex/4164876235/

się Polaków od szerszej społeczności. Dowodem tego odłączenia jest chociażby w dalszym ciągu bardzo niski poziom uczestnictwa Polaków w jakichkolwiek organizacjach społecznych: w *Polsce w 2013 r. członkami „jakichś organizacji, stowarzyszeń, partii, komitetów, rad, grup religijnych, związków lub kół” było 13,7 proc. badanych* (s. 289).

Ponad 70 proc. Polaków uważa również, że to, czy miniony rok był udany, zależy od nich samych. Z psychologicznego punktu widzenia taki „autodeterministyczny” światopogląd jest uważany zazwyczaj za korzystny – stanowi bowiem barierę dla fatalizmu wywołującego depresję. W sensie społecznym jest on jednak kolejnym dowodem na to, że Polacy jako naród wybrali opcję „prywatyzacji szczęścia”.

Ten fenomen zauważają także autorzy *Diagnozy*. Piszą tak: *Polacy opanowali nieźle sztukę gry z państwem i w związku z tym widzą coraz słabszy związek między tym, co robi państwo (władze), a tym, jak wygląda ich własne życie. Zaradność Polaków umożliwia im poprawę własnego bytu bez oglądania się na innych i niezależnie od stanu wspólnoty. Ilustracją pogłębiającego się rozvodu obywateli ze swoim państwem jest zestawienie oceny sytuacji w kraju z odsetkiem respondentów żyjących w gospodarstwach domowych, w których stałe dochody nie wystarczają na zaspokojenie bieżących potrzeb [...]. Mimo systematycznej poprawy indywidualnego bytu (niemal trzykrotny spadek ubogich gospodarstw od 1992 r.) pozostajemy niezadowoleni z sytuacji w kraju (konsekwentnie od początku transformacji jest to najniższy wskaźnik satysfakcji w zbiorze 16 różnych aspektów życia [...])* (s. 386).

Nasuwa się tu zatem fundamentalne pytanie – czy owa sytuacja „rozvodu” z własnym państwem i społeczeństwem, która być może stanowi najważniejszy wniosek z *Diagnozy*, jest rzeczywiście czymś, co uzasadnia triumfalistyczny ton medialnych podsumowań i prezentacji tego badania. Wydaje się raczej, że jest to poważny powód do niepokoju. Trudno bowiem spodziewać się, aby sytuacja naszego państwa uległa poprawie, jeśli życie rodaków i ogólny rozwój sytuacji w kraju będą w dalszym ciągu światami równoległymi, połączonymi ze sobą tylko przypadkowymi więzami. „Prywatyzacja szczęścia” prowadzi – jak się wydaje – do braku jakiegokolwiek zaangażowania obywatelskiego w los szerszej wspólnoty, czy to na szczeblu krajowym, czy lokalnym. W rezultacie sfera publiczna jest miejscem, w którym zwykły Polak jest po prostu nieobecny i decyzje są tam podejmowane obok niego.

Diagnoza Społeczna – parafrazując Stendhala – to zwierciadło przechadzające się po gościńcu. To odbija lazur nieba, to błoto przydrożnej kałuży. Pokazuje stan naszego społeczeństwa, jego jasne i ciemne strony. I trudno mieć do autorów tego opracowania pretensje, że pokazuje to, co pokazuje. Obraz medialny tego badania, który współtworzą jego autorzy, może i powinien jednak być przedmiotem krytyki. ✖

Przypis:

1. Wszystkie cytaty i przypisy odnoszą się do pełnego raportu „*Diagnozy Społecznej*”: J. Czapiński, *Diagnoza Społeczna 2013, Warunki i Jakość Życia Polaków - raport* [Special issue], *Contemporary Economics* 2013, 7, 13-15, DOI: 10.5709/ce.1897-9254.94.

dołóż swoją cegiełkę

Jeśli nasze pismo nadal ma się ukazywać,
potrzebujemy Waszego wsparcia.
Pomóc można bardzo łatwo –
wystarczy **wykupić prenumeratę.**

Większość Czytelników nadal kupuje „Nowego Obywatela” w salonach prasowych zamiast w prenumeracie. Ogromne marże dystrybutorów (ok. 50% ceny okładowej) czy narzucane przez nich terminy płatności są dla naszego pisma rosnącym problemem. **Dlatego ogłaszamy powszechną mobilizację, a naszym pierwszym wspólnym celem będzie**

100 nowych prenumeratorów do **15** lutego

Od powodzenia akcji będzie zależeć, czy domkniemy budżet wydawniczy na 2014 rok. Nabywając prenumeratę, a więc płacąc za gazetę z góry, pomagacie nam zachować płynność finansową, a także zyskujecie pewność, że Wasz wkład w całości zasila budżet pisma, a nie zyski dystrybutorów-gigantów. To najprostsze, co możecie zrobić – nie ponosząc żadnych kosztów, a nawet oszczędzając – by ułatwić nam utrzymanie poziomu pisma oraz kwartalnego cyklu wydawniczego, obecnie ponownie zagrożonego.

Więcej szczegółów na **stronie 143** oraz na
nowyobywatel.pl/akcja-prenumerata



Lokalni bezradni

KRZYSZTOF WOŁODŹKO

Referenda lokalne są w Polsce coraz powszechniej wykorzystywanym narzędziem próby nacisku społecznego na administrację publiczną. Z reguły są one jednak nieudane. Dlaczego?

Słabość obywatelskiego sprzeciwu

Zwolennicy uważają je za narzędzie demokratycznej, oddolnej zmiany, koniecznej w sytuacji, gdy nieudolna czy skorumpowana władza działa na szkodę lokalnych społeczności. Przeciwnicy chętnie podkreślają fakt, że referenda wiążą się z silną walką partyjną (inspirowaną nierzadko z poziomu centralnego), stanowią niepotrzebne obciążenie samorządowych budżetów oraz utrudniają merytoryczne sprawowanie władzy, szczególnie gdy zwoływane są pod koniec kadencji. Nietrudno jednak spostrzec, że w sytuacji powszechnego deficytu aktywności obywatelskiej referenda stanowią jeden z nielicznych czynników mobilizujących lokalne społeczności do prób oddziaływania na rzeczywistość. Ponadto przykład lokalnych referendów znakomicie pokazuje, jak w naszych realiach kształtują się relacje między zmianami ustrojowymi, wielką polityką, samoorganizacją społeczną i aktywnością obywatelską na szczeblu lokalnym.

Tylko w bieżącej kadencji samorządów (2010–2014) odbyło się do 27 października 2013 roku aż 136 referendów w sprawie odwołania organów samorządu terytorialnego. Zaledwie w 16 przypadkach referenda personalne przebiegły po myśli osób, które je zorganizowały i głosowały za odwołaniem lokalnych władz. W ponad 80 proc. przypadków frekwencja była za małą, by samo referendum mogło być ważne.

Tylko ta dysproporcja pokazuje, jak niewielkie są realne możliwości oddolnego i efektywnego „sprzeciwu obywatelskiego” wobec władzy. Instrumenty demokracji bezpośredniej nie tylko traktowane są nieufnie przez przedstawicieli elit władzy. Pozostają poza obszarem zainteresowania znacznej części „milczącego społeczeństwa”. Na przykład z badań Centrum Badania Opinii Społecznej w 2010 r. wynikało, że 66 proc. respondentów nie wiedziało, kto kandydował na stanowisko wójta, burmistrza czy prezydenta miasta.

Krótką historia referendum

Warto przyjrzeć się pokrótce historii ustawodawstwa referendalnego w III Rzeczypospolitej. Instytucja referendum lokalnego stanowi *novum* w dziejach naszego państwa. W II Rzeczypospolitej nie występowała procedura referendum państwowego i lokalnego. W PRL dopiero w maju 1987 r. Sejm uchwalił zmianę konstytucji, wedle której *sprawowanie władzy państwowej przez lud pracujący następować może także poprzez wyrażenie woli w drodze referendum*. Jednak, co zrozumiałe w tamtych realiach, ustawa nie dopuszczała przeprowadzenia referendum ogólnopolskiego ani lokalnego z inicjatywy obywateli/mieszkańców.

W III RP instytucjonalizacja referendum lokalnego wiązała się z długoletnim procesem zmian na gruncie konstytucyjnym i ustawowym. Przemiany

ustrojowe i społeczno-polityczne wiązały się choćby z przywróceniem roli samorządu terytorialnego jako faktycznego elementu sprawowania władzy. I tak ustawa z października 1991 r. przewidywała m.in. referendum w sprawie odwołania rady gminy, przeprowadzane na wniosek mieszkańców. Jednak najistotniejsze znaczenie miała uchwalona w 1997 r. Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej, która utrzymała dotychczasowe prawo społeczności gminnej do decydowania w drodze referendum m.in. o odwołaniu organu samorządu terytorialnego, pochodzącego z wyborów bezpośrednich.

Jesienią 2000 r. przyjęto natomiast ustawę o referendum lokalnym, która umożliwiała przeprowadzenie referendów również na terenie powiatów i województw. Dwa lata później, wraz z przyjęciem ustawy o bezpośrednim wyborze wójta, burmistrza i prezydenta miasta, przeprowadzono zmiany w ustawie referendalnej. Dały one możliwość odwołania rady i/lub wójta, burmistrza czy prezydenta miasta. Z kolei nowelizacja w ustawie o referendach z 2005 r. określiła, że referendum w sprawie odwołania organu jednostki samorządu terytorialnego pochodzącego z wyborów bezpośrednich jest ważne, gdy weźmie w nim udział nie mniej niż $\frac{3}{5}$ liczby biorących udział w wyborze odwoływanego organu. Jako przyczynę tej zmiany - będzie o tym jeszcze mowa - podawano argument, że *wysokie progi ważności referendum sprawiały, że liczba wiążących referendów była znikoma*¹.

Na problemy związane z wciąż obowiązującą ustawą wskazuje dr hab. Piotr Uziębło z Katedry Prawa Konstytucyjnego i Instytucji Politycznych Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Gdańskiego. W rozmowie ze mną stwierdził: *Obecna regulacja ma*



sporo mankamentów. Pomijając te, które wynikają choćby z treści Konstytucji, np. niemożność uchwalania aktów prawa miejscowego bezpośrednio przez mieszkańców, warto zwrócić uwagę na problem wysokiego progu podpisów, które są wymagane pod wnioskiem o przeprowadzenie referendum. O ile 10 proc. w niewielkich gminach stosunkowo łatwo zebrać, o tyle w największych miastach jest to już próg w zasadzie zamykający drogę inicjatywom powstałym ad hoc. Dlatego warto byłoby zastanowić się nad wprowadzeniem progów degresywnych, które malałyby procentowo wraz ze wzrostem liczby wyborców w jednostce samorządu terytorialnego.

Będzie gorzej?

Historia instytucji referendum lokalnego dzieje się na naszych oczach i nic nie wskazuje, żeby władza zamierzała ułatwić obywatelom efektywne korzystanie z takiego narzędzia. W Sejmie trwają prace nad przygotowaną przez zaplecze prezydenta Bronisława Komorowskiego ustawą o współdziałaniu w samorządzie terytorialnym na rzecz rozwoju lokalnego i regionalnego (stan na koniec listopada 2013 r.). Znalazł się w niej zapis, który może wpłynąć znacząco na przebieg referendum – aby referendum zostało uznane za ważne, jego frekwencja musi odpowiadać co najmniej takiej liczbie mieszkańców, która wcześniej wzięła udział w wyborach samorządowych. Propozycja zmiany spotkała się z oficjalną aprobatą Związku Miast Polskich, w którego władzach zasiadają głównie prezydenci i burmistrzowie miast. Warto przytoczyć argumenty Jerzego Regulskiego, doradcy prezydenta do spraw samorządu: *Stabilność władz lokalnych jest warunkiem efektywnego rozwoju, a w tym i podnoszenia warunków życia. Dane liczbowe wskazują, że ogromna większość referendum spotkała się z małym zainteresowaniem społeczności lokalnej. Można więc zaryzykować stwierdzenie, że były one zbędne²*. Inną opinię na ten temat ma dr Marcin Gerwin, politolog i działacz Sopotkiej Inicjatywy Rozwojowej: *Taka drobna z pozoru zmiana oznacza, że prezydenci miast czy radni mogą stać się w praktyce nieusuwalni. W poprzedniej kadencji na 81 referendum odwoławczych jedynie 14 było ważnych, gdyż w pozostałych nie udało się osiągnąć wymaganego progu frekwencji. Skoro tak wiele referendum odwoławczych było nieskutecznych, jaki sens ma podniesienie tego progu jeszcze bardziej?*³

Sens tej proponowanej zmiany – także w kontekście nieważnego referendum stołecznego w sprawie odwołania Hanny Gronkiewicz-Waltz – wydaje się oczywisty w świetle walk partyjno-politycznych. Utrudnia ona odsunięcie od lokalnej władzy zaplecza politycznego partii, z którą najmocniej jest związany Bronisław Komorowski. Tymczasem w 2005 r. to właśnie Platforma Obywatelska zdecydowanie popierała



© Inicjatywa Wolne Wadowice, <https://www.facebook.com/wolnewadowice/photos.stream>

w sejmie obniżenie progu wyborczego w referendum lokalnym. Wcześniej referenda lokalne były ważne w przypadku, gdy swój głos oddało 30 proc. wszystkich mieszkańców danej gminy/miejscowości. Poseł Waldy Dzikowski z PO mówił wówczas: *Referenda lokalne są nieskuteczne ze względu na próg. One wywołują różnego rodzaju frustracje, brak przekonania do skuteczności prawa. [...] Jeżeli się odbywa referendum, to wójt, burmistrz, prezydent nic nie robi w tym kierunku, aby namówić swoich zwolenników do tego, aby poszli do wyborów i zagłosowali za swoim liderem lokalnym, tylko w zasadzie robi wszystko, żeby nikt nie poszedł do tego referendum. Takie ustawienie proporcji [tj. obniżenie progu frekwencyjnego] wymusza to, że musi zabiegać także o poparcie swoich zwolenników, a nie tylko czekać w sposób bierny, że referendum się nie uda⁴*. Dodam, że dziś podobne argumenty przedstawiają zwolennicy obniżenia/zniesienia progu frekwencyjnego dla referendum lokalnego...

Warto zwrócić uwagę na jeszcze jeden motyw związany z potencjalnym wprowadzeniem tej ustawy. Otóż znosi ona kryterium frekwencji jako warunek



O ile 10% w niewielkich gminach stosunkowo łatwo zebrać, o tyle w największych miastach jest to już próg w zasadzie zamykający drogę inicjatywom powstałym *ad hoc*.

dla ważności referendum lokalnego dla wszystkich tego rodzaju inicjatyw poza tymi, które są organizowane w celu odsunięcia aktualnych władz samorządowych. Okazuje się zatem, że usunięcie „blokad frekwencyjnych” jest traktowane jako korzystny instrument stymulowania aktywności obywatelskiej..., o ile nie dotyczy tych kwestii, które wprost mogą przełożyć się na układ partyjny dominujący na poziomie samorządowym. Zniesienie progów dla referendum merytorycznych podważa także argument o zbędności referendum samorządowych ze względu na niską frekwencję. Każde natomiast zapytać o edukacyjno-obywatelski wymiar wszelkich inicjatyw referendalnych. Mówił o tym portalowi ngo.pl dr Gerwin: *Choć referenda lokalne w Polsce nie mają takiej tradycji jak w Szwajcarii, to mogą one zyskać na znaczeniu, jeżeli mieszkańcy zobaczą, że decyzje podejmowane przez nich w ten sposób są wprowadzane w życie*⁵.

Projekt prezydenckiej ustawy niejednoznacznie ocenia Piotr Uziębło. Zwraca uwagę na trzy kwestie: *Pierwsza dotyczy tzw. referendum odwoławcze- go. W tym przypadku propozycja musi być oceniona*

negatywnie, gdyż w praktyce powoduje niemożność odwoływania piastunów mandatów samorządowych. Dotychczasowy wymóg, zakładający próg frekwencji na poziomie 60 proc. uczestników wyborów, w których dany organ został wybrany, pokazał, że z jednej strony może dochodzić do odwoływania organów, ale z drugiej nie ma to masowego charakteru. Zresztą to właśnie to referendum cieszy się największą popularnością, więc jego zablokowanie będzie musiało mieć negatywny wpływ na ewentualne zmiany w poziomie partycypacji lokalnej. Druga kwestia to zniesienie progu frekwencji w odniesieniu do referendum problemowych, aczkolwiek jest to nieco pozorne działanie: organ wykonawczy uznaje, że kwestia, która ma być rozstrzygana, wiąże się z wydatkami budżetowymi, a to powoduje powiązanie referendum problemowego z samoopodatkowaniem, co niejako przywraca wymóg 30-procentowej frekwencji jako warunek jego wiążącego skutku. Po trzecie zaś pojawia się karencja, która powoduje, że wynik referendum jest wiążący przez dwa lata, nie dłużej jednak niż do końca kadencji organów samorządowych.

Twarde dane i (chybione) konkluzje

Przygotowując sobie grunt do ustawowego podniesienia progu referendalnego dla inicjatyw odwołujących władze samorządowe, Kancelaria Prezydenta opracowała raport o referendach lokalnych (datowany na 6 września 2013 r.)⁶. Dzięki dokumentowi mamy lepszy wgląd w ten fragment polskich realiów. I jakkolwiek dane w nim zawarte nie ujmują ponad dwudziestu późniejszych referendum, są miarodajne. Z raportu dowiadujemy się, że *w trakcie kadencji 2010-2014 władz samorządowych odbyło się 111 referendum lokalnych w sprawie odwołania organu jednostek samorządu terytorialnego przed upływem kadencji* - w tym 81 referendum dotyczących organów wykonawczych oraz 30 - organów stanowiących (podwójne). W sprawie odwołania wójta, burmistrza lub prezydenta referenda odbyły się w 55 gminach, w kwestii odwołania wóldarza i rady - w 26 gminach, a w 4 gminach dotyczyły odwołania rady.

Ważnych okazało się 16 inicjatyw referendalnych. W ich wyniku odwołano: **a)** 5 rad gminy (Żagań - woj. lubuskie, Nowinka - woj. podlaskie, Bytom - woj. śląskie, Piekoszów - woj. świętokrzyskie, Elbląg - woj. warmińsko-mazurskie); **b)** 3 wójtów gmin (Lewin Kłodzki - woj. dolnośląskie, Wiżajny - woj. podlaskie, Piekoszów - woj. świętokrzyskie); **c)** 6 burmistrzów miast (Żagań - woj. lubuskie, Raciąż - woj. mazowieckie, Wojkowice - woj. śląskie, Ostróda - woj. warmińsko-mazurskie, Kłodawa - woj. wielkopolskie, Nasielsk - woj. mazowieckie); **d)** 2 prezydentów miast (Bytom - woj. śląskie,

Elbląg - woj. warmińsko-mazurskie). Najwięcej referendów przeprowadzono w woj. śląskim - 18, a najmniej w kujawsko-pomorskim i podkarpackim - po 1. W sprawie odwołania organów gminy najniższą frekwencję zanotowano w sprawie odwołania wójta gminy Jeleśnia (woj. śląskie) - 3,39 proc., a najwyższa była w sprawie odwołania wójta gminy Lewin Kłodzki (woj. dolnośląskie) - 48,83%. Średnia frekwencja referendów lokalnych w sprawie odwołania władz samorządowych wyniosła 17,87 proc. W ponad 80 proc. przypadków frekwencja nie osiągnęła wymaganego progu, który wynosił od 20 do 40 proc. uprawnionych do głosowania, z czego wynika, że od 60 do 80 proc. mieszkańców zignorowało referendum.

W kwestii wniosków oraz badań przeprowadzonych w jego ramach raport sprawia wrażenie pisanego pod określoną tezę. Dość dobrze ukazuje to poniższy, z konieczności dłuższy cytat wraz z podsumowującym go wnioskiem autorów: *Na prośbę Kancelarii Prezydenta RP przeprowadzono w ramach projektu „Decydujmy Razem” sondę w dziesięciu gminach, w których odbędą się referenda w sprawie odwołania władz we wrześniu 2013. Pytania kierowano do odwoływanych wójtów i burmistrzów, przewodniczących rad oraz inicjatorów referendów. W ogromnej większości przypadków napotkano niechęć udzielania jakichkolwiek informacji na temat przyczyn wniosków o odwołanie władz. Nawet inicjatorzy referendów nie chcieli lub nie umieli odpowiedzieć konkretnie, jakie są powody niezadowolenia, używając jedynie ogólników. W jednym tylko przypadku stwierdzono powody konkretne, związane z zarzutami prokuratorskimi. Również nie umiano odpowiedzieć na pytanie, jakie podejmowano wysiłki, aby zażegnać konflikt bez uciekania się do referendum. Większość odpowiedzi sprowadzała się do stwierdzenia, że strona przeciwna jest arogancka i nie ma możliwości prowadzenia z nią jakichkolwiek rozmów. Nasuwa się więc wniosek, że powodem referendów są spory personalne, a nie rzeczywiste.*

Jest to wniosek dalece nietrafiony, gdyż sam raport przytacza przedstawiane przez organizatorów i zwolenników przyczyny poszczególnych inicjatyw lokalnych. Ponadto jeśli powyższa sonda przeprowadzona w dziesięciu gminach obejmuje zarówno władze, przeciw którym zorganizowano referenda, jak i ludzi, którzy podjęli o nie starania, to otwarte zostaje pytanie, w jakim stopniu samorządowym władarzom było na rękę nieudzielenie merytorycznej odpowiedzi o przesłanki prób ich odwołania albo wskazanie przyczyn personalnych czy politycznych/partyjnych. We wnioskach raportu brzmi dalekie echo czasów PRL, gdy każda aktywność na niwie publicznej niezgodna z racją władzy była dyskredytowana jako „polityczna”.

Równocześnie jedną z konkluzji dokumentu jest to, że koszty nieważnych referendów obciążyły budżety gmin w ostatniej kadencji na około 2,1 mln zł, a ważnych na około 700 tys. zł. Raport, choć nie wprost, sugeruje, że w pierwszym przypadku mamy do czynienia z marnotrawstwem środków publicznych. Ale jasno już do tego argumentu odwołuje się Regulski: *To są koszty istotne, szczególnie w obecnej sytuacji, gdy brakuje środków nawet na ważne zadania. Warszawskie referendum ma podobno kosztować milion złotych. Co można by innego za milion uzyskać, na przykład w szkołach czy żłobkach?*⁷ Mateusz Klinowski, radny z Wadowic, inicjator tamtejszego, nieudanego referendum odwoławczego, które odbyło się 27 października, mówi w rozmowie ze mną: *Demokracja kosztuje, a referenda są jej częścią. Poza tym gdyby władza podejmowała dialog z mieszkańcami, nie byłoby impulsów do organizowania referendów. Odwołanie niekompetentnych rządów może pomóc zaoszczędzić miliony (tak mogłoby być w przypadku Wadowic) - kosztem około 30 tys. złotych. Dodatkowo pieniądze z organizacji referendum zostają w gminie - większość wydatków to diety członków komisji, a więc zarobek mieszkańców. Lepiej, żeby burmistrz musiał rozdać ludziom pieniądze, niż żeby wyrzucił je w nietrafione inwestycje czy premie dla urzędników.*

Dlaczego ludzie chcą referendum?

Jakie cele stawiają sobie na ogół lokalne komitety referendalne wnioskujące o odwołanie władz? W październiku 2013 r. Polska Agencja Prasowa podała obszerną informację na temat najczęstszych przyczyn zwoływania lokalnych referendów personalnych. Pokazują one równocześnie największe bolączki dzisiejszej, nie tylko prowincjonalnej Polski. Wśród powodów odwołania aktualnych władz organizatorzy referendów często przedstawiają: likwidację placówek oświatowych (Bytom, Kłodawa, Radymno), złe gospodarowanie budżetem gminy (np. Ryto, Ostróda, Janowiec), nieudolną politykę inwestycyjną (Słupsk, Lewin Kłodzki, Nasielsk). Także wspomniany raport „prezydencki” podaje najczęściej występujące przyczyny sięgania po referendum w celu odwołania lokalnych władz. Obok wyżej wskazanych motywów wymieniane są również: brak współpracy między burmistrzem a radą miasta, nieudolna polityka kadrowa władz, nepotyzm, nadinterpretacja prawa, brak konsultacji społecznych, zbyt ścisła współpraca z władzami kościelnymi, skandale obyczajowe z udziałem władz samorządowych, „osobiste animozje”.

Uwarunkowania systemowe nakładają się bardzo często na czysto lokalne. W Brzeszczach, gdzie udane referendum odbyło się 6 października 2013 r., mieszkańcy stawiali burmistrz Teresie Jankowskiej zarzut



Władze miasta usilnie starały się storpedować inicjatywę. Najpierw próbowały zlekceważyć referendalny ferment, ale gdy poczuły realne zagrożenie, zorganizowały szeroko zakrojoną akcję ogłoszeniową i billboardową pod hasłem: „Nie idę na referendum”.

doprowadzenia do zapaści kulturalnej miasta. Z kolei przyczynami odwołania w referendum prezydenta Elbląga Grzegorza Nowaczyka były: podniesienie czynszów w mieszkaniach komunalnych, zamknięcie basenu miejskiego oraz doprowadzenie do komunikacyjnego paraliżu miasta.

Mimo wszystko można

Bytom jest jednym z nielicznych miejsc, gdzie obywatelska inicjatywa zakończyła się sukcesem. Tamtejsze referendum odbyło się 17 czerwca 2012 r. Jego celem było odsunięcie od władzy prezydenta miasta Piotra Koją oraz ówczesnej rady miasta. Za odwołaniem tego pierwszego było 28154 mieszkańców Bytomia, przeciwko – 771. W głosowaniu wzięło udział 28925 osób – aby okazało się ważne, do urn musiało pójść co najmniej 21835 osób. Z kolei za odwołaniem rady miejskiej opowiedziało się 28019 osób, przeciwko było 865. W tym przypadku oddano w sumie 28884 głosów, gdy ich liczba wymagana wynosiła 28638. Jak podała Państwowa Komisja Wyborcza, uprawnionych do głosowania było 134 672 mieszkańców Bytomia, a frekwencja wyniosła 21,76 proc.

Zbiorczy wniosek o odwołanie lokalnych władz złożono w kwietniu 2012 r. Pod listą dotyczącą odwołania prezydenta miasta zebrano ponad 20 tys. podpisów. Z kolei tę dotyczącą odwołania rady miejskiej podpisało ponad 18 tys. bytomian. O przyczynach zorganizowania akcji referendalnej opowiada „Nowemu Obywatelowi” Henryk Bonk, jeden z jej współorganizatorów: *Kroplą, która przelała czarę goryczy, była decyzja o likwidacji znanej i uznanej szkoły w naszym mieście, „Elektronika”. Towarzyszyły temu różnorodne formy protestu, prowadzone na poważną skalę. Wymienię choćby głośny strajk okupacyjny prowadzony przez uczniów szkoły. Początkowo był on wspierany przez rodziców i grono pedagogiczne, a następnie także przez znaczną część mieszkańców. Wydarzenie to poza lokalnymi mediami relacjonowały ogólnopolska prasa, telewizja i radio.*

Jednak prezydent Koj (projektodawca decyzji likwidacyjnych) oraz stojący za nim radni nie podjęli dyskusji z protestującymi. W trakcie spotkań z mediami oraz mieszkańcami miasta twardo podtrzymywali zamiar likwidacji szkoły. – *Działo się tak pomimo merytorycznej krytyki prowadzonej przez przeciwników*

tego pomysłu. Postawę władz uznawano za zarozumiałą i butną. A przecież już wcześniej krytykowano władzę za styl rządzenia daleko odbiegający od oczekiwania mieszkańców – opowiada Bonk. Czym wcześniej naraziły się ówczesne władze Bytomia jego mieszkańcom? Choćby tym, że nie bacząc na opinie, wprowadziły nowe, powszechnie krytykowane logo miasta. Narzucono je na przykład taksówkarzom, grożąc grzywnami za brak oznakowania pojazdów. Długo trwała także walka bytomian o zmiany w funkcjonowaniu strefy płatnego parkowania, choć okazało się, że część opłat jest pobierana bezprawnie. Nie zmieniono jednak tych praktyk, dopóki nie wymusiły tego interwencje nadzorcze wojewody. Ponadto bez konsultacji społecznych wprowadzono tzw. opłatę deszczową (rozliczenie za odprowadzanie wód opadowych i roztopowych). – *Wszelkie próby i projekty złagodzenia obciążeń finansowych tymi opłatami były bezdyskusyjnie odrzucane* – stwierdza mój rozmówca.

Pomysł na referendum lokalne wyszedł od grupy związanej z likwidowaną szkołą. Zwróciła się ona o pomoc do radnych opozycji oraz środowisk przeciwnych prezydentowi. Gdy okazało się, że „Elektronik” i tak zostanie zlikwidowany, punkty ciężkości przeniesiono na inne aspekty rządów prezydenta Koję i rady miasta, negatywnie oceniane przez bytomian. Co ostatecznie zdecydowało o sukcesie? – *Kluczem okazała się zdecydowana grupa ludzi oraz dobra organizacja. Docieraliśmy do mieszkańców poprzez wszelkie możliwe formy komunikacji: publikacje prasowe, akcje ulotkowe, spotkania, fora internetowe, dedykowaną stronę internetową, profile na portalach społecznościowych, własne pismo referendalne. Przygotowywaliśmy także relacje filmowe ze spotkań organizowanych w Bytomiu oraz z sesji rady miejskiej, gdy przedmiotem obrad były sprawy reorganizacji szkolnictwa. Reforma dotyczyła bowiem kilkunastu szkół, nie tylko „Elektronika”* – podkreśla Bonk.

Na tym nie koniec. Podpisy pod wnioskami referendalnymi zbierano w różnych lokalach i firmach w całym mieście. Ich lista adresowa była publikowana w prasie lokalnej i na stronach internetowych. Osoby prywatne brały listy w punktach kontaktowych lub pobierały je w Internecie, zbierały podpisy i dostarczały komitetowi referendalnemu. Prócz tego w centrum miasta, w okolicach targowisk i kościołów funkcjonowały stale stoliki, przy których można było złożyć podpis i zaopatrzyć się w ulotki oraz druki informacyjne. W lokalu wynajętym przez referendystów prawie nieustannie trwały dyżury, spotkania i konsultacje. – *To wszystko przekonało mieszkańców, że za referendum stoi grupa poważnych ludzi, a nie garstka pieniaczy, kombinatorów czy karierowiczów, jak próbowali przekonywać rządzący Bytomiem* – twierdzi Bonk.

Rzeczywiście, władze miasta usilnie starały się stordedować inicjatywę. Najpierw próbowały zlekceważyć referendalny ferment, ale gdy poczuły realne zagrożenie, zorganizowały szeroko zakrojoną akcję ogłoszeniową i billboardową pod hasłem: „Nie idę na referendum”. Jako argument przedstawiano choćby „zbędne koszty”, jakie niósł obywatelski protest i ewentualne nowe wybory (organizacja referendum kosztowała ostatecznie około 300 tys. zł). Pojawiły się także oskarżenia o ambicje polityczne inicjatorów akcji, próby zastraszania organizatorów. Na łamach lokalnej prasy prezydent Koj zwracał się do bytomian: „Wszystkich mieszkańców proszę, żeby nie brali udziału w referendum”. Bezsukcesnie.

Przeprowadzając ocenę obecnego systemu referendalnego i sukcesu bytomskiej inicjatywy, Henryk Bonk stwierdza: *Referendum to dobre i właściwe dla demokracji narzędzie weryfikacji decyzji wyborczych. Można wyobrazić sobie wiele jego modeli i żaden nie będzie doskonały. Trzeba po prostu przymierzyć się do aktualnie obowiązujących uwarunkowań formalnych. W Bytomiu zrobiliśmy to skutecznie. Włodarze miasta bardzo nam pomogli swoją niezwykle zarozumiałą postawą. Decydujące znaczenie miała jednak dobra organizacja grupy referendystów i kapitalne wykorzystanie wszystkich argumentów przemawiających na niekorzyść ówczesnej władzy. Przy tym sposób artykułowania naszych racji był profesjonalny.*

Władza przeciw mieszkańcom

Pod koniec czerwca 2012 r. w biurze Komisarza Wyborczego Delegatury Państwowej Komisji Wyborczej w Wałbrzychu złożono wniosek o przeprowadzenie referendum w sprawie odwołania władz Kłodzka. Usunięcia z urzędu tamtejszego burmistrza Bogusława Szpytmy i miejskich radnych domagało się 2827 mieszkańców – wymagana minimalna liczba podpisów pod wnioskiem w tej sprawie wynosiła 2295. Rządzącej ekipie zarzucano „nepotyzm, prywatę i arogancję”. Referendum (nieważne) odbyło się ostatecznie 21 października 2012 r. W głosowaniu wzięło udział niemal 4800 mieszkańców Kłodzka (frekwencja wyniosła 20,8 proc.). Za odwołaniem burmistrza głosowały 4553 osoby, przeciw – 190. W przypadku rady miasta za jej odwołaniem opowiedziało się 4575 osób, a przeciw było 170. Aby referendum było ważne, powinno wziąć w nim udział – w przypadku głosowania ws. odwołania burmistrza – 6338 osób, a w przypadku rady miasta – 6342 osoby. Uprawnionych do głosowania było 22 957 mieszkańców.

Włodarze Kłodzka bardzo szybko podjęli starania, aby zniechęcić mieszkańców zarówno do podpisywania się pod referendalnym wnioskiem, jak i do udziału w samym referendum. Najpierw przeprowadzono akcję „Chroń swój PESEL”. Jej promotorem był



urząd miasta, działający we współpracy z komendą powiatową policji i tamtejszą strażą miejską. Bardzo trudnym logistycznie zadaniem okazało się z kolei znalezienie na tablicy ogłoszeń Urzędu Miasta miejsca na informację o zamiarze przeprowadzenia referendum. A gdy już stosowny plakat zawisł, dzień w dzień zrywali go „nieznani sprawcy”. Później było już tylko gorzej: *Miasto wyznaczyło miejsca do bezpłatnego rozplakatowania informacji o referendum, ale wybrało te najmniej eksponowane* – mówi mi Zygmunt Jakubczyk, pełnomocnik Grupy Inicjatywnej Referendum Lokalnego, poseł na Sejm RP II kadencji z listy Unii Pracy. Następnie w ramach skrupulatnie przeprowadzanej kampanii na rzecz ładu i porządku... zrywano plakaty inicjatywy obywatelskiej przygotowującej przedsięwzięcie. Zgłoszone policji przypadki niszczenia plakatów nie znalazły epilogu w postaci postawienia zarzutu łamania ustawy o referendum lokalnym.

W tym samym czasie, gdy straż miejska prowadziła antyreferendalną akcję „na rzecz porządku”, w mieście rozlepiano plakaty przedstawiające w jasnym świetle urzędującą władzę. Wykorzystywano do tego zarówno miejsca publicznie dostępne, jak i te pozostające w użytku urzędu miasta. Już w trakcie ciszy wyborczej na kłódzkich telebimach wyemitowano spot informujący o ośmiu milionach nadwyżki w budżecie miasta. Odpowiednie organy nie dopatrzyły się w tym nadużycia. – *Czasem odnosiłem wrażenie, że*

nawet komitet wyborczy, w którego gestii było zadbanie o jak najlepszy przebieg referendum, jest przychylniejszy władzom miasta. Znamienne, że 21 października nie zdecydowano się na powołanie niestałych komisji obwodowych, choćby w szpitalach. Za to gdy trzeba wybierać władzę, wtedy komisje wyborcze idą do kryminału i do ciężko chorych – podkreśla pełnomocnik inicjatora referendum.

Jego zdaniem przebieg wydarzeń ma wymiar nie tylko lokalny. Przykład Kłodzka daje rozeznanie w tym, jak działają wzajemne grupy wsparcia w ramach istniejących, zblatowanych ze sobą struktur lokalnej władzy: *Mieliśmy przeciw sobie wszystkie publiczne instytucje, w dodatku z pieniędzy miasta sfinansowano między majem a październikiem 2012 r. kilka przedsięwzięć, które traktuję jako wymierzone w inicjatywę referendalną. My uzbieraliśmy własnymi siłami 5 tys. złotych, które posłużyły na wydrukowanie i rozlepienie plakatów. Dysproporcja jest wyraźna* – mówi Jakubczyk.

Jak zniechęcać ludzi

Prawie rok później odbyło się referendum w Wadowicach. Inicjatywa Wolne Wadowice, która doprowadziła do jego zorganizowania, zebrała pod wnioskiem o przeprowadzenie głosowania ponad 3,5 tys. podpisów. Celem było odwołanie rady miasta oraz rządzącej piątą kadencję burmistrz Ewy Filipiak. Uprawnionych do głosowania było ponad

30 tys. osób. Próg ważności wynosił 8100 mieszkańców. Jednak w referendum wzięło udział tylko 4200 obywateli Wadowic (14,05 proc.). **Co znamienne, za odwołaniem burmistrza głosowało 96,48 proc. głosujących, a za odwołaniem rady miasta - 97,03 proc.** Warto zwrócić uwagę, że bardzo często właśnie tak kształtują się wyniki referendum nieważnych ze względu na istniejący próg wyborczy. Jeśli zostanie on podwyższony, to mechanizmy formalne będą jeszcze bardziej chroniły lokalne władze przed oporem społecznym i skutecznie będą przekonywać o bezcelowości prób uruchomienia demokratycznych procedur.

Inicjatorem referendum był Mateusz Klinowski, lokalny polityk, wykładowca Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Jagiellońskiego. W rozmowie ze mną, zapytany o systemowe przyczyny „blokad referendalnych”, stwierdza: *Jest to przede wszystkim próg frekwencyjny, który skłania odwoływane organy do podejmowania działań zniechęcających do głosowania, z zastraszaniem i szantażowaniem pracowników gminnych włącznie. W Wadowicach posunięto się do niszczenia samochodów zwolenników głosowania, wybijania szyb, otwartych szantaży. Sprawy z 250 kk i innych paragrafów toczą się i toczyć się będą, ale ludzie zwyczajnie bali się głosować. Również składy komisji wyborczych są elementem odstrasającym przy istnieniu progu frekwencji - zasiadają tam urzędnicy i prezesi spółek miejskich desygnowanych przez burmistrza oraz dyrektorzy szkół. Żaden z pracowników tych instytucji nie pójdzie głosować w takiej sytuacji!*

Podobnie jak w przypadku Kłodzka, także w Wadowicach reprezentanci lokalnej władzy grali właśnie na zniechęcenie do udziału w referendum. I to w sposób nader ostentacyjny. W czerwcu, podczas niedzielnej akcji zbierania podpisów pod wnioskiem o referendum, urzędnicy magistratu, Anna Makuch i Stanisław Kotarba (rzecznik prasowy burmistrza), próbowali fotografować zbiorówkę i odczytać nazwiska wpisujących się osób. Pechowo dla siebie zostali nagrani kamerą podczas tych działań, a materiał zamieszczono w Internecie (http://www.youtube.com/watch?feature=player_embedded&v=WhFOXlYoc9k). Poza tym niszczone i kradzione banery inicjatorów referendum, zamalowywano plakaty z datą referendum. Na gorącym uczynku przyłapano jednego z radnych z ugrupowania wspierającego panią burmistrz. Niemal kompletnie to wszystko nie zainteresowało policji. Ale gdy zwolennicy referendum wywiesili plakaty informacyjne na tablicach i słupach ogłoszeniowych w centrum Wadowic, korygując w ten sposób „niedopatrzanie” władz miasta, pracownicy gminy bardzo szybko przystąpili do ich usuwania w asyście odpowiednich służb.

Osobnym problemem jest możliwość złamania tajności referendum. W Wadowicach rzecznik prasowy burmistrza stwierdzał, że zamierza z imienia i nazwiska poznać uczestników głosowania. W małych miasteczkach takie uwagi muszą brzmieć groźnie dla potencjalnych uczestników akcji skierowanych przeciw władzom. Tym bardziej że art. 60 ustawy o referendum lokalnym przewiduje zdeponowanie dokumentacji referendalnej u prezydenta, burmistrza lub wójta (*sic!*). Dodatkowo art. 55 ust. 2 ustawy o referendum lokalnym stwierdza, że głos nieoddany nie jest neutralny dla wyniku. Całościowo umożliwia to wgląd w informacje, kto brał udział w inicjatywie, co *de facto* narusza zasadę tajności głosowania powszechnego. Ponadto osoby organizujące nie mogły zgłaszać się do komisji referendalnych ani być mężami zaufania - za to mieli tam dostęp ludzie z najbliższego otoczenia pani burmistrz. Klinowski opisuje: *Tak stanowią regulacje. Burmistrz obsadza komisje zaufanymi ludźmi, w dodatku takimi, którzy są przełożonymi w pracy znacznych grup mieszkańców. My musimy robić otwarty nabór na członków komisji (co samo w sobie jest w porządku), bo sami nigdzie nie możemy zasiadać. Kto jeszcze miał utrudniony udział w referendum? Wadowicki działacz stwierdza na blogu: Dyrektorzy różnych gminnych jednostek (szkół i przedszkoli) oraz prezesi miejskich spółek. W części z nich pracownikom zapowiedziano, że udział w głosowaniu wiąże się z utratą pracy, w ten sposób z głosowania wyeliminowano kilka tysięcy osób - na tyle obliczam elektorat zatrudnionych i najbliższych rodzin⁸.*

Referendum w służbie demokracji

Bez ogródek na temat pożytków z wysokiego progu frekwencyjnego płynących dla partii politycznych wypowiedział się Regulski: *Przez absencję w referendach dotyczących odwołania władz można uzyskać pożądany wynik, bo ci, którzy są zadowoleni z aktualnych władz albo są niezainteresowani ich zmianą, w referendum po prostu nie uczestniczą. Dlatego we wszystkich dotychczasowych przypadkach przedstawiciele władz, które się bronią przed odwołaniem, wzywali do absencji. I o to nie można mieć do nich pretensji, bo logika postępowania wynika z istniejącego prawa. Tak było zawsze niezależnie od orientacji politycznej. Postępowali tak wójtowie, burmistrzowie i prezydenci, tak prawnicy, jak i lewicy. Wystarczy przypomnieć sobie wypowiedzi polityków w przeszłości. Dziś często ci sami ludzie mówią co innego. Oczywiście można wzywać do udziału w referendum i głosowaniu przeciw odwołaniu. Ale byłoby to bardzo ryzykowne. Takie postępowanie byłoby może zgodne z ideą partycypacji obywatelskiej, ale działaniem wbrew własnym interesom.*

Jego zdaniem można by np. rozważyć rezygnację z progów referendalnych, przy równoczesnym wzmocnieniu innych kryteriów, np. dotyczących liczby zebranych podpisów w sprawie organizacji referendum. Po pierwsze mogłoby to poskutkować eliminacją referendów z góry skazanych na niepowodzenie i uniknąć kosztów. Dodatkowo nie można byłoby wygrać referendum poprzez wzywanie do absencji - przeciwnie, należałoby wzywać do udziału w głosowaniu. W konkluzji pada stwierdzenie: *Byłoby to na pewno bardziej spójne z właściwymi zachowaniami obywatelskimi, ale wymagałoby dość głębokiej zmiany nie tylko ustaw, ale i filozofii dotyczącej referendów*⁹.

Dr hab. Piotr Uziębło uważa z kolei, że zniesienie progów referendalnych byłoby korzystne w perspektywie długoterminowej, gdyż przyczyniłoby się do wzrostu znaczenia mechanizmów partycypacyjnych: *Osoby, które nie głosują, nie będą brane pod uwagę przy wyborze określonych opcji. Z dużym prawdopodobieństwem można powiedzieć, że ci mieszkańcy, którzy będą chcieli mieć wpływ na sprawy lokalne, widząc konsekwencje swojej absencji, z pewnością zastanowią się nad głosowaniem podczas kolejnego referendum. Dlatego nie bałbym się ryzyka, że znacząca mniejszość będzie decydować o funkcjonowaniu jednostki samorządu terytorialnego. Zapytany, czy referenda lokalne mogą przysłużyć się rozwojowi aktywności obywatelskiej, odpowiada: To może być skuteczny instrument, o ile będzie stanowił regularnie wykorzystywane narzędzie partycypacyjne. Aby mówić o rozwiązaniach systemowych, trzeba byłoby powiązać je z innymi mechanizmami, takimi jak: inicjatywa uchwałodawcza obywateli, wysłuchanie publiczne czy wiążący budżet partycypacyjny. Tylko wtedy będzie możliwe zbudowanie lokalnego społeczeństwa obywatelskiego, a to jest warunek sine qua non jego działania na szczeblu ogólnokrajowym.*

Przykłady Kłodzka i Wadowic pokazują, że obok „barier referendalnych” mamy do czynienia z bardzo trudną dla obywateli rzeczywistością Polski prowincjonalnej. W znacznym stopniu wyznacza ją poczucie bezkarności władzy oraz obojętność społeczna. W tle są jeszcze niekorzystne dla znacznej części społeczeństwa czynniki społeczno-gospodarcze. W naszych realiach nawzajem warunkują się niski kapitał kulturowy i ekonomiczny oraz niskie standardy polityczne i obywatelskie. Mogą się one do tego kumulować - zamierzone podwyższenie przez prezydenta Komorowskiego progu referendalnego, dyktowane rzekomą troską o jakość lokalnej demokracji i samorządowe budżety, świetnie współgra z działaniami tysięcy lokalnych urzędników, przyzwyczajonych do paternalistycznych wzorców sprawowania władzy w coraz bardziej klasowo

urządzonym społeczeństwie. Z drugiej jednak strony przykład Bytomia wskazuje, że nawet w obrębie obecnie funkcjonującego systemu obywatele mogą odnieść sukces, choć trudno ukryć, że dopiero ogromny nakład pracy i kilka wyrazistych symboli protestu (likwidacja szanowanej szkoły) pozwoliły referendum przekroczyć o stosunkowo niewiele barierę gwarantującą sukces.

To właśnie te sposoby nieformalnej - a przez to bardzo trudnej do zdiagnozowania jako bezprawie domagające się sądu - działalności mogą być przyczyną obojętności na sprawy publiczne. - *Apatia społeczna jest problemem, ale dopóki istnieje próg frekwencyjny, będzie ona wspierana na różne sposoby przez miejscowe władze. Jeżeli chcemy aktywizacji społecznej, ten próg trzeba znieść - wówczas burmistrz będzie pierwszą osobą, która będzie nawoływała do głosowania, a pracownicy urzędów i spółek pierwszymi przy urnach. A tam... każdy już jest wolny i może zagłosować według własnego zdania* - mówi Mateusz Klinowski.

Obecna sytuacja zdecydowanie utrudnia budowanie demokracji innej niż iluzoryczna. I w tym sensie po dwudziestu latach III Rzeczypospolitej wciąż jesteśmy gdzieś na początku drogi ku społeczeństwu podmiotowemu i samorządowemu oraz państwu transparentnemu, wiarygodnemu i rzetelnie wypełniającemu swoje zobowiązania. Niestety, im więcej ludzie, którzy nami rządzą, mówią o trosce o dobro demokracji i życia obywatelskiego, tym coraz częściej są powody do obaw, czy nie jesteśmy manipulowani. Casus referendum lokalnych jest tutaj dobitny. Ich rosnąca popularność świadczy, że aktywność obywateli wzrasta, poszerzając tym samym nasz skromny kapitał społeczny. Ale realia przeprowadzania referendów, ich frekwencja oraz wyniki ukazują, że państwo wciąż jest dla Polaków bardzo trudnym przeciwnikiem. ✖

Przypisy:

1. http://www.referendumlokalne.pl/historia_ustawodawstwa_referendalnego.html (stan na 04.11.2013).
2. <http://www.frdl.org.pl/index.php/komentarz/items/jerzy-regulski-referenda-lokalne.html> (stan na 13.08.2013).
3. <http://wiadomosci.ngo.pl/wiadomosci/867572.html> (stan na 25.04.2013).
4. <http://gibala.natemat.pl/71551,frekwencyjna-amnezja-platformy> (stan na 04.11.2013).
5. <http://wiadomosci.ngo.pl/wiadomosci/867572.html> (stan na 25.04.2013).
6. http://slimak.onet.pl/m/nb/biznes/redakcja/20130925/referenda_lokalne_raport_kprp.pdf - stan na 04.11.2013).
7. <http://www.frdl.org.pl/index.php/komentarz/items/jerzy-regulski-referenda-lokalne.html> (stan na 13.08.2013).
8. <http://mateuszklinowski.pl/2013/11/04/na-referendum-precz/> (stan na 04.11.2013).
9. <http://www.frdl.org.pl/index.php/komentarz/items/jerzy-regulski-referenda-lokalne.html> (stan na 13.08.2013).

Co nierówno, to niezdrowo

MICHAŁ SOBCZYK

Mówi się, że wobec choroby wszyscy jesteśmy równi. Niestety, w tej kwestii bardziej prawdziwe jest powiedzenie, że biednemu zawsze wiatr w oczy.

Zawszad słyszymy napomnienia, że zachowując się w określony sposób - np. unikając aktywności fizycznej - znacząco zwiększamy ryzyko problemów zdrowotnych. Bombarduje się nas także informacjami o nowych odkryciach w zakresie dziedziczenia chorób. Można by pomyśleć, że stan naszego zdrowia jest wypadkową szczęścia w genetycznej ruletce oraz osobistych wyborów. Tymczasem istotne znaczenie mają także różnorodne czynniki, których źródłem są nierówności społeczne. Oznacza to, że wszelkie działania na rzecz egalitaryzmu przynoszą owoce także w sferze zdrowia publicznego - i na odwrót.

„Śmieciówki” gorsze niż papierosy?

- Dwie osoby mogą posiadać podatność genetyczną na jakąś chorobę lub mieć kontakt z wywołującym ją wirusem czy bakterią, ale to nie znaczy, że obie zachorują. Przeważnie musi do tego zaistnieć pewna kombinacja czynników, w tym również te o charakterze społecznym - wyjaśnia prof. dr hab. Antonina Ostrowska, kierownik Zespołu Badania Warunków Życia i Społecznych Podstaw Zdrowia Instytutu Filozofii i Socjologii PAN. Na stan naszego zdrowia silnie rzutują m.in. poziom zamożności, warunki mieszkaniowe i wykonywany zawód. - *Sytuacja na rynku zatrudnienia sprawia, że zwłaszcza ludzie z niższym wykształceniem podejmują prace ryzykowne dla zdrowia oraz silnie obciążone stresem. Te osoby wiedzą, że prowadzą*

„niezdrowy styl życia”, ale uwarunkowania ekonomiczne nie pozwalają im na jego modyfikację - przekonuje Rafał Halik z Centrum Monitorowania i Analiz Stanu Zdrowia Ludności Narodowego Instytutu Zdrowia w Państwowym Zakładzie Higieny. Silnie oddziałuje także niepewność jutra, charakterystyczna dla niższych szczebli społecznej drabiny. Tym bardziej że - jak dodaje Halik - w ich przypadku większemu stresowi w życiu codziennym towarzyszą z reguły mniejsze umiejętności radzenia sobie z nim.

Również zachowania związane z dietą, aktywnością fizyczną czy używkami jedynie do pewnego stopnia zależą od indywidualnych świadomych decyzji. - *Poszczególne grupy społeczne są bardzo zróżnicowane pod względem wiedzy o zdrowiu i praktycznych umiejętności dbania o nie. Ma to wpływ nie tylko na takie kwestie, jak palenie papierosów, chodzenie na spacer, ale i na wiele innych zachowań, np. związanych z rozpoznawaniem i prawidłowym reagowaniem na pierwsze objawy choroby* - wyjaśnia prof. Ostrowska. Natomiast Rafał Halik podkreśla, że *realny zakres swobody w praktykowaniu zdrowego stylu życia ograniczają m.in. poziom zamożności i miejsce zamieszkania. - Mieszkańca terenów popegeerowskich trudno nakłonić do regularnych odwiedzin w fitness klubie także dlatego, że w jego sytuacji jest to prawie niemożliwe. Nie dość, że musiałby wyłożyć 100 zł na karnet, to jeszcze dojeżdżać do Koszalina.*



- *To złuda, że twoje zdrowie jest w twoich rękach - ono jest przede wszystkim w rękach polityków. Jeżeli dopuszczają do zbytowego rozwarstwienia społecznego, to przedstawiciele wszystkich klas są bardziej chorzy* - podsumowuje filozof medycyny dr hab. Kazimierz Szewczyk, kierownik Zakładu Bioetyki Uniwersytetu Medycznego w Łodzi.

Wyższe szkoły zdrowia

Choć badaczom brakuje na razie „twardych” dowodów, wiele wskazuje na to, że wpływ otoczenia społecznego jest tak silny, że uwidacznia się również na poziomie regionalnym. Jedną z hipotez tłumaczących dobre wyniki zdrowotne dawnej Galicji, przy bardzo kiepskiej kondycji mieszkańców Ziemi Odzyskanych, jest wyższy poziom integracji społeczności

lokalnych, zapewniających swoim członkom wsparcie w sytuacjach kryzysowych. Większa oczekiwana długość życia w woj. podkarpackim niż w lubuskim to tylko jeden z dowodów na to, że w omawianej sferze geografia nierówności wykracza poza stereotypowy podział na „Polskę A” i „Polskę B”. - *Najgorszą kondycję zdrowotną mają miasteczka do 5 tys. mieszkańców oraz Łódź* - informuje Halik.

Z kolei statystyczne różnice w stanie zdrowia w zależności od odebranej edukacji - będącej nadal dość czułym wskaźnikiem statusu - obrazują się czynników powiązanych z miejscem jednostki w strukturze społecznej. - *Dane epidemiologiczne ujawniają bardzo wyraźny związek pomiędzy zdrowiem a wykształceniem, silniejszy niż w krajach Zachodu. W Polsce mężczyźni z wykształceniem podstawowym w wieku*

Wybrane wskaźniki stanu zdrowia a wykształcenie, dane w %

Wykształcenie	Samoocena stanu zdrowia jako złego lub bardzo złego	Niepełnosprawność wg kategorii Narodowego Spisu Powszechnego	Choroby przewlekłe (autodiagnoza)	Otyłość według wskaźnika BMI
Wyższe	2,2	7,5	40,0	10,4
Średnie	6,6	12,2	48,8	14,4
Zasadnicze zawodowe	10,1	16,8	46,2	19,7
Podstawowe	26,2	27,4	54	22,4

Źródło: GUS (2009).

30 lat ma przed sobą ok. 38 lat życia, natomiast z wykształceniem wyższym - 50 lat - podaje R. Halik, który jako źródło wymownych statystyk poleca dostępny w Internecie raport pt. „Sytuacja zdrowotna ludności Polski i jej uwarunkowania” (w Sieci można znaleźć także opracowanie „Społeczne nierówności w zdrowiu w Polsce” Europejskiego Biura Regionalnego Światowej Organizacji Zdrowia). Przekonuje również, że to nie przypadek, iż Finowie, którzy na początku lat 70. byli jednym z bardziej schorowanych narodów Europy, obecnie szczytą się zarówno innowacyjną gospodarką i przodującym w świecie systemem oświaty, jak i trwale polepszającymi się wskaźnikami zdrowotnymi: *Inwestycje w edukację i naukę miały na celu między innymi poprawę stanu zdrowia obywateli*. Istotne znaczenie miał także rozwój instytucji państwa opiekuńczego, np. wzmocnienie podstawowej opieki zdrowotnej w celu lepszej kontroli czynników ryzyka chorób układu krążenia.

Również prof. Ostrowska potwierdza, że wpływ czynników społecznych na zdrowie jest bardzo wyraźny. - *Wiele badań wskazuje na to, że schorzenia przewlekłe występują częściej w dolnych warstwach społecznych, a ponadto ich koncentracja jest w nich większa, tj. częściej się zdarza, że ktoś ma nie jedną chorobę, a dwie czy pięć* - mówi.

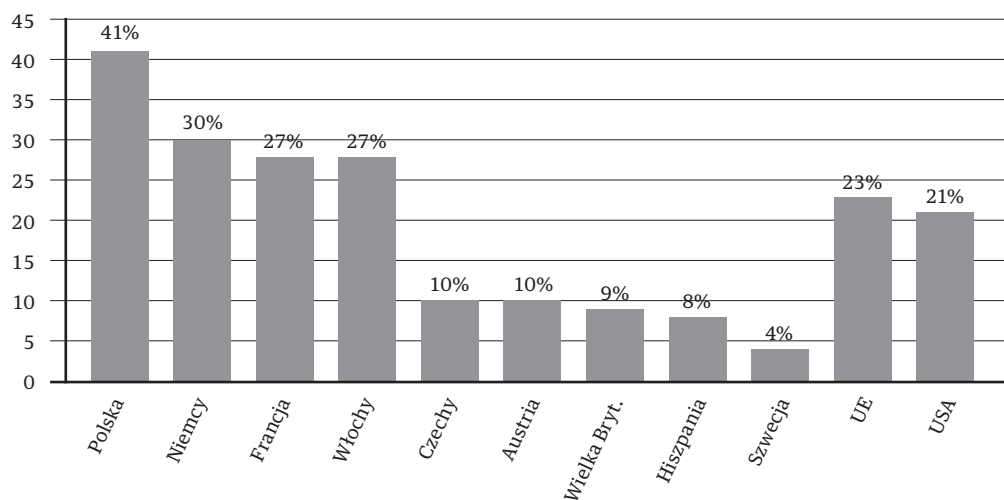
Chorzy z braku kapitału

Nierówności społeczne w oczywisty sposób znajdują odzwierciedlenie także w obszarze korzystania ze służby zdrowia. Grozi to efektem błędnego koła: większym potrzebom zdrowotnym towarzyszą

mnijшие możliwości np. wypełniania zaleceń lekarza. Z danych firmy badawczej IMS Health wynika, że w 2013 r. poziom współpłacenia pacjentów za leki refundowane sprzedawane na recepty z częściową i pełną odpłatnością przekroczył w Polsce 40%. Według standardów Światowej Organizacji Zdrowia jest to równoznaczne z poważnym ograniczeniem dostępu gorzej sytuowanych osób do właściwego leczenia. - *Przykładowo: szacuje się, że 25% gospodarstw domowych z co najmniej jedną osobą bezrobotną nie wykupuje wszystkich przepisanych lekarstw, bo ich na to nie stać* - podaje dr Marek Balicki, lekarz i były minister zdrowia, zaangażowany w liczne kampanie na rzecz egalitarnego lecznictwa. Podkreśla, że *wykluczenie materialne przekłada się na wykluczenie w kwestii możliwości dbania o zdrowie we wszystkich sferach o niskim udziale środków publicznych: W przypadku stomatologii stanowią one mniej niż 20%, co w praktyce oznacza, że państwo przestało ją finansować. Tymczasem badania GUS-owskie budżetów gospodarstw domowych pokazują, że ponad połowa Polaków nie przeznacza ani złotówki na inne wydatki zdrowotne niż leki. Te osoby prawdopodobnie w ogóle nie chodzą do dentysty*.

Nierówności ujawniają się także w przypadku długiego czasu oczekiwania na rozpoczęcie terapii czy wizytę u specjalisty. Pacjenci z klas średnich i wyższych - poza opcją skorzystania z prywatnej służby zdrowia - mogą również próbować zapewnić sobie pierwszeństwo w oparciu o posiadany kapitał społeczny, tj. bogatszą sieć kontaktów. - *Nieformalne relacje często powodują, że osoby stojące wyżej*

Czy w ciągu ostatniego roku odłożyłeś/aś leczenie lub zrezygnowałeś/aś z leczenia siebie albo członka twojego gospodarstwa domowego ze względu na trudności finansowe? (wykres prezentuje odsetki odpowiedzi twierdzących)



Źródło: Europe Assistance Health Barometer: Healthcare in Europe and in the USA, 2012.

w hierarchii społecznej uzyskują szybciej dostęp np. do świadczeń szpitalnych. Potrafimy to sobie załatwić, korzystając z różnych „dojść”, co jest niemożliwe np. w Skandynawii – ubolewa Balicki. Rafał Halik podaje inny przykład znaczenia poziomu kapitału społecznego: *Zaufanie i zainteresowanie ze strony otoczenia, np. życzliwych nam sąsiadów, może odgrywać istotną rolę w utrzymaniu zdrowia. I na odwrót: u osób deklarujących słabe wsparcie społeczne, zmarginalizowanych, problemy zdrowotne się pogłębiają.*

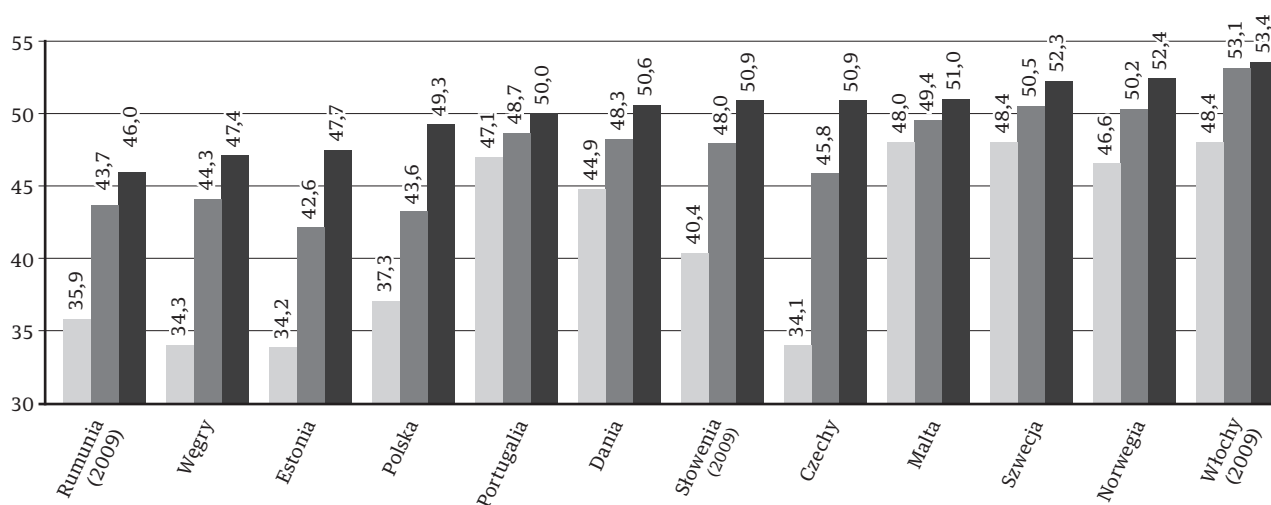
Antonina Ostrowska akcentuje znaczenie trzeciego rodzaju kapitału, mianowicie kulturowego. Kompetencje związane z wyższym wykształceniem czy statusem również umożliwiają pełniejsze korzystanie z możliwości oferowanych przez publiczną służbę zdrowia. – *Badania pokazują na przykład, że komunikacja między lekarzem i pacjentem jest najbardziej efektywna, kiedy ten drugi też pochodzi z klasy średniej, co od razu tworzy odpowiednią atmosferę. Pacjentom uznanym za równych sobie medycy przekazują więcej informacji, wychodząc z założenia, że „prosty człowiek i tak by tego nie zrozumiał”.* Terminologia medyczna rzeczywiście może stanowić barierę w komunikacji, dlatego „równe traktowanie” nie załatwia sprawy – tym bardziej że gorzej wykształconym osobom często brakuje śmiałości, by przyznać się do niewiedzy. – *Wielu lekarzy wydaje się nie rozumieć, że ich zadaniem jest wyjaśnienie w odpowiednio przystępny sposób, co dzieje się w organizmie pacjenta.*

Osoby o niższej pozycji mają także mniejszą świadomość swoich praw oraz mniejsze umiejętności dbania o nie. Prof. Ostrowska stawia wręcz tezę, że

punktem odniesienia dla całej praktyki lekarskiej są kompetencje, sposoby zachowania i wartości charakterystyczne dla klasy średniej. Dr n. praw. Dorota Karkowska, ekspert Instytutu Praw Pacjenta i Edukacji Zdrowotnej oraz prezes i założyciel Fundacji Ius Medicinae, potwierdza, że dobre wykształcenie oraz „obyć” zwiększają realny dostęp do świadczeń zdrowotnych, gdyż dają większą pewność w poruszaniu się po systemie. – *Procedura postępowania z pacjentem, od rejestracji przez diagnostykę, leczenie i pielęgnację aż po rehabilitację, jest bardzo złożona, dlatego często gubi się on już przy drzwiach. Choć każda placówka posiada regulamin organizacyjny, znam tylko jeden szpital, w Poznaniu, który zastosował w praktyce mechanizmy prowadzenia pacjenta przez cały ten proces – mówi.*

Podkreśla ona, że przewodnikiem chorego po systemie powinien być lekarz rodzinny, pokazujący mu możliwości łatwego skorzystania z pomocy specjalistów, współuczestniczący w sprawowanej przez nich opiece itd. – *Wszystko to w zasadzie wkomponowane jest w zadania lekarzy, zapisane w ministerialnych rozporządzeniach. Problem w tym, że lekarze ich nie znają, a pacjenci nie mają pojęcia o ich istnieniu, natomiast Fundusz jest nierychliwy w egzekwowaniu zasad dostępności. Dodatkowo utrudnienia w dostępie do opieki stwarzają niektórzy lekarze, którzy niechętnie przyjmują pacjentów zaniedbanych, z uwagi na „brud i nieprzyjemny zapach”.* Dr Karkowska dodaje jednocześnie, że czasami również zbyt dobre wykształcenie i świadomość własnych praw („roszczeniowość”) bywa powodem gorszego traktowania przez służbę zdrowia.

Przeciętne dalsze trwanie życia mężczyzn w wieku 30 lat według poziomu wykształcenia w Polsce i wybranych krajach europejskich, 2010 r. lub ostatni dostępny (dane Eurostat)



Do lekarza? Wykluczone!

Wyjątkowo jaskrawy przykład nierówności stanowi fakt, że mimo konstytucyjnych gwarancji równego dostępu do opieki zdrowotnej finansowanej ze środków publicznych całe grupy społeczne są go pozbawione lub jest on dla nich warunkowy.

Rząd Jerzego Buzka uzależnił prawo do leczenia od posiadania statusu ubezpieczonego. Oznacza to, że osoby, które z konieczności pracują „na czarno” lub w oparciu o umowę o dzieło, a nie są objęte ubezpieczeniem np. jako członkowie rodziny płatnika składek, w ogóle nie mogą korzystać z publicznego lecznictwa. Tymczasem mowa o grupach, w których powszechna jest praca w szkodliwych warunkach, na co nakłada się brak urlopów wypoczynkowych i zdrowotnych. Nawet osobom po 65. roku życia, o ile nie nabyły prawa do renty lub emerytury, status ubezpieczonego nie przysługuje „z automatu”, jak ma to miejsce nawet w Stanach Zjednoczonych. Dzieje się tak mimo konstytucyjnego zapisu mówiącego, że państwo jest zobowiązane do zapewnienia szczególnej opieki zdrowotnej dzieciom, kobietom ciężarnym, osobom niepełnosprawnym i osobom w podeszłym wieku (dla reszty wymienionych grup dostęp do leczenia jest bezwarunkowy). Warto w tym miejscu przypomnieć, że nawet ubezpieczeni seniorzy są dyskryminowani w porównaniu z innymi kategoriami pacjentów. Jak podaje Towarzystwo Geriatryczne Unii Europejskiej (EUGMS), w Polsce na 100 tys. mieszkańców przypada... 0,2 geriatry. W Czechach i na Słowacji, czyli w krajach o poziomie zamożności podobnym do naszego, wysokość wspomnianego wskaźnika wynosi 3,1, a w Szwecji – 7.

Obywatelskie prawa zdrowotne zagrożone są także w przypadku m.in. klientów pomocy społecznej oraz bezrobotnych, włączanych do systemu poprzez opłacanie za nich składek przez instytucje socjalne i zatrudnieniowe, a także bezdomnych, mających możliwość uzyskania czasowego prawa do świadczeń zdrowotnych, finansowanych z budżetu państwa. Istniejące procedury w praktyce ograniczają bowiem dostęp tych grup do służby zdrowia (w odniesieniu do bezdomnych opisaliśmy ten problem w „Nowym Obywatelu” nr 58). Co więcej, **odciągają** służby społeczne od zadań, do których zostały powołane, oraz pochłaniają ogromne kwoty – podobnie zresztą jak elektroniczny system weryfikacji uprawnień świadczeniobiorców, sławetny ewuś. Jeśli dodać do tego prawidłowość, że niezaspokojenie potrzeb zdrowotnych osoby zagrożonej wykluczeniem generuje w przyszłości znacznie większe koszty dla społeczeństwa, postulat wprowadzenia uniwersalnego prawa do opieki jawi się nie tylko jako egalitarny, ale i racjonalny.

– Dzisiaj jeśli ktoś nie osiąga dochodów podlegających oskładkowaniu, może nie płacić PIT-u, ale żeby mieć dostęp do leczenia, musi się ubezpieczyć dobrowolnie, a w tym przypadku minimalna składka wynosi 300 zł miesięcznie. To jest rażąca niesprawiedliwość. Powinno się objąć ubezpieczeniem zdrowotnym wszystkich obywateli Polski mieszkających na terenie kraju. Ci, którzy nie mają dochodów, po prostu nie będą płacić składek – przekonuje dr Balicki. Niestety, jak dotąd idea autentycznie powszechnego dostępu do lecznictwa nie została podjęta przez żadną liczącą się siłę polityczną, a plany obecnego rządu idą w przeciwnym kierunku, np. powracają pomysły ułatwień w wykreślaniu z rejestru bezrobotnych. Realizacji nie może się doczekać nawet postulat objęcia składką na ubezpieczenie zdrowotne umów o dzieło, co pozwoliłoby ograniczyć liczbę osób wykluczonych z uczestnictwa w systemie.

Specyficzne rodzaje dyskryminacji dotyczą osoby nieaktywne zawodowo z przyczyn obiektywnych, np. ze względu na sprawowanie stałej opieki nad niepełnosprawnym dzieckiem lub niesamodzielnym rodzicem. Nawet jeśli mają prawo do leczenia – a część opiekunów osób dorosłych jest z niego wyłączona – w praktyce często nie mogą z niego korzystać. *– Ze zwykłym wyjściem do lekarza jest ogromny problem, ponieważ nie zawsze ma kto zostać z Agatą – opowiada Elżbieta Karasińska, samotnie wychowująca córkę cierpiącą m.in. na czterokończynowe dziecięce porażenie mózgowe oraz padaczkę. Trzydniowy pobyt w szpitalu w celu wykonania chociaż najpilniejszych badań był możliwy jedynie dzięki terapeutom dziewczynki, którzy zaoferowali naprzemienne dyżury. W podobnych wypadkach żadna instytucja publiczna nie zapewnia bowiem profesjonalnej opieki domowej nad osobą o specjalnych potrzebach – można ją co najwyżej oddać do domu pomocy społecznej. W tej sytuacji o jakimkolwiek urlopie, a bez niego nie sposób zachować zdrowie, pani Elżbieta nawet nie marzy, podobnie jak o lekach na swoje dolegliwości. Na przeżycie i zaspokojenie wszystkich potrzeb zdrowotnych Agaty i swoich otrzymuje od państwa łącznie... 973 zł, do czego dochodzi 500 zł z Funduszu Alimentacyjnego. – Wykupujemy jedynie recepty na leki konieczne do podtrzymania życia Agi. Nie ma mowy np. o odżywkach, niezbędnych przy podawaniu leków tak wyniszczających organizm, czy o środkach przeciwbólowych.*

Wymowny jest także przypadek pana Henryka, opiekującego się dwojgiem niepełnosprawnych, żoną i dzieckiem. Zrezygnował on nie tylko z własnego leczenia, ale i z rehabilitacji bliskich. Wsparcie socjalne przypadające na jego rodzinę jest tak małe, że nie stać go na dowożenie syna do specjalistycznego



ośrodka. Tak wygląda w Polsce *szczególna opieka* przysługująca dzieciom i niepełnosprawnym.

Uzdrowić system

Systemowa odpowiedź na opisane problemy poza wprowadzeniem bezwarunkowego prawa do ubezpieczenia medycznego oraz mechanizmów wsparcia dla grup o specyficznych potrzebach (np. tzw. opieki wytnieniowej, umożliwiającej odpoczynek i leczenie opiekunów osób niepełnosprawnych) powinna się rozpocząć od wzmocnienia podstawowej opieki zdrowotnej. Obecnie duży odsetek pacjentów omija ten etap, trafiając – często w zaawansowanym stadium choroby – od razu do specjalistów lub szpitala.

Nie tylko generuje to zwiększone koszty, ale i nie daje pożądanych efektów z punktu widzenia zdrowia publicznego. Rafał Halik przekonuje, że znalezienie dla POZ-u właściwego miejsca w sieci społecznej i świadomości wspólnot lokalnych jest jednym z kluczowych wyzwań dla polityki zdrowotnej, zresztą nie tylko u nas. – *Bardzo wielu Polaków nawet nie zna swojego lekarza pierwszego kontaktu, a przecież POZ powinien być „frontową” instytucją, aktywnie zaangażowaną społecznie. Przykładowo pielęgniarki środowiskowe powinny wiedzieć, który pacjent wrócił niedawno ze szpitala i może wymagać opieki. Mówi*

się o testach genetycznych, ale lekarz POZ-u stosując zwykły wywiad na temat historii rodzinnej, jest w stanie stwierdzić, którzy z jego pacjentów mają większe predyspozycje do chorób nowotworowych. Następnie powinno się regularnie przypominać im o badaniach i odpowiednio wspierać, co mogłoby przynieść szczególnie dobre efekty w przypadku osób słabiej wykształconych. W podobnym kierunku idą zalecenia prof. Ostrowskiej: *Teraz prawie każdy ma telefon komórkowy. Co by szkodziło, żeby od czasu do czasu do kogoś zadzwonić i zapytać o stan zdrowia czy zaprosić na badania profilaktyczne? Ogromną rolę mogą tutaj odegrać także pracownicy socjalni.*

Warto wspomnieć, że Narodowy Fundusz Zdrowia pracuje nad pilotażowym programem usprawnienia POZ-u i wzmocnienia jego powiązań społecznych, m.in. dzięki współdziałaniu z urzędami zatrudnienia oraz parafiami. Ma on być realizowany w jednym z powiatów, a wypracowany model posłuży jako wzór dla samorządów w całej Polsce.

Konieczne są także zmiany w zakresie promocji zdrowia. Prof. Ostrowska narzeka na małą skuteczność akcji propagujących prawidłowe zachowania zdrowotne: rozsądne korzystanie z używek czy poddawanie się regularnym badaniom. Wiedza medyczna nie dociera bowiem do osób, które, mówiąc

kolokwialnie, „psują statystyki zdrowotne”. – *Do kobiet w wieku ryzyka wysła się zaproszenia na badanie umożliwiające wykrycie wczesnych stadiów raka szyjki macicy. Osoby zagrożone wykluczeniem społecznym często tych listów nie czytają lub nie są one dla nich zrozumiałe, a nawet jeśli, to nie skutkują one poddaniem się badaniom profilaktycznym. W efekcie trafiają do lekarza dopiero, gdy pojawią się zaawansowane dolegliwości, a nowotwór jest trudny w leczeniu. Jedyne, na co one może by zareagowały, to gdyby pielęgniarka środowiskowa przyszła do domu, prostym językiem wytłumaczyła, dlaczego profilaktyka ginekologiczna jest ważna, i jeszcze pomogła umówić się na konkretny termin.*

Rafał Halik podkreśla, że wszystkie działania w obszarze prewencji chorób należy kierować do jak najwęższych grup, dostosowując do nich treść przekazu, a często także jego formę. – *W woj. kujawsko-pomorskim wpadli na pomysł festiwalu muzyki romskiej, którego uczestników nakłania się do prostych, ale bardzo istotnych badań, np. pomiaru ciśnienia tętniczego. Mimo iż Romowie z racji uwarunkowań kulturowych mają dużą awersję do medycyny, chętnie korzystają z tej oferty.* Halik podkreśla, że impreza ma charakter cykliczny, co dodatkowo wyróżnia ją na tle innych kampanii prozdrowotnych. Edukacja zdrowotna ma bowiem w naszym kraju głównie charakter akcyjny, co w wypadku chorób przewlekłych nie ma żadnego sensu – działania w tej dziedzinie muszą być systematyczne i możliwie zróżnicowane. – *Nie wystarczy pokazać zagrożenia i właściwe sposoby postępowania, trzeba nieustannie budować świadomość, przypominać, mobilizować. A u nas nagle pojawiają się jakieś ulotki albo artykuły w gazetach, po czym wszystko wraca do normy* – potwierdza prof. Ostrowska. Odrzuca jednocześnie ideę obowiązkowych badań jako narzędzia wyrównywania różnic zdrowotnych: *Obligatoryjność wzbudza opór społeczny, dlatego ta metoda nie będzie w pełni skuteczna.*

Warto natomiast pomyśleć o rozwoju medycyny pracy, dbając jednocześnie, aby dodatkowe informacje uzyskiwane podczas badań okresowych nie mogły być wykorzystywane przeciwko pracownikom. Istotna jest również nowa formuła medycyny szkolnej, której zakres został w III RP bardzo zredukowany. Antonina Ostrowska apeluje jednak, by nie przeceniać znaczenia wcześniejszych rozwiązań w tym zakresie dla diagnostyki, profilaktyki i opieki dzieci z tzw. środowisk defaworyzowanych. – *Za moich czasów działalność szkolnych gabinetów lekarskich ograniczała się do ważenia, mierzenia i sprawdzania, czy uczniowie mają czysty kołnierzyk i paznokcie. Na pewno jednak warto wprowadzić jakiś model stałej obecności lekarzy w życiu szkół, także w formie wsparcia dla nauczycieli w prowadzeniu edukacji zdrowotnej.*

Wypada jednocześnie dodać, że spotyka się również opinie, według których przy sprawnym, całościowym modelu POZ-u medycyna szkolna jedynie dublowałaby jej zadania.

Menedżerze, dorzuć na leki

Marek Balicki akcentuje konieczność reform, które wyjdą naprzeciw ekonomicznym barierom dostępu do ochrony zdrowia. Wśród pożądanych działań wymienienia m.in. ograniczenie poziomu współpłacenia za leki, który jest w Polsce jednym z najwyższych w Europie. Rozwiązaniem umożliwiającym mniej zasobnym pacjentom korzystanie z właściwego leczenia – względnie chroniącym ich przed popadnięciem w długi – mogłoby być wprowadzenie tzw. karty wysokich kosztów. Mowa o znanym z krajów nordyckich rocznym limicie wydatków na ratowanie zdrowia, które pacjent może opłacić z prywatnej kieszeni – po osiągnięciu tego progu ewentualne dalsze potrzeby zdrowotne są już zaspokajane na koszt państwa. Dr Balicki podkreśla jednocześnie, że możliwości polskiego państwa wprowadzenia tych i innych egalitarnych rozwiązań będą zależeć od zwiększenia nakładów na ochronę zdrowia, które w relacji do PKB należą do najskromniejszych wśród krajów OECD.

Dlatego konieczna jest reforma systemu ubezpieczeń. Obecnie pracownicy, emeryci i renciści płacą składki zdrowotne w wysokości 9% od tzw. podstawy wymiaru, zaś osoby prowadzące indywidualną działalność gospodarczą zaledwie 261,73 zł, niezależnie od uzyskiwanych dochodów. – ***Samozatrudnieni nie dość że płacą podatek liniowy i w ten sposób w mniejszym stopniu partycypują w puli środków, która wpływa do budżetu państwa z podatku od dochodów osobistych, to jeszcze płacą zaniżone składki zdrowotne. Oczywiście nie mówię tutaj o osobach zmuszanych do rejestrowania działalności gospodarczej, takich jak sprzątaczkę czy pielęgniarkę, ale np. o dobrze zarabiających menedżerach. Sytuacja, w której w pewnym sensie składają się na nich emeryci, jest nie do zaakceptowania*** – mówi dr Balicki. Jego zdaniem przedsiębiorcy, podobnie jak osoby utrzymujące się z rolnictwa, powinni płacić składkę według normalnych zasad, tj. określony procent od faktycznie uzyskiwanych dochodów.

Były minister zdrowia dodaje, że wprowadzeniu równych zasad powinno towarzyszyć podwyższenie składki zdrowotnej, co spowodowałoby wzrost udziału osób o wyższych dochodach w finansowaniu budżetu NFZ. – *Przy przeciętnej emeryturze wynoszącej 1900–2000 zł zwiększenie składki o jeden punkt procentowy oznaczać będzie dla seniora dodatkowy wydatek rzędu 20 zł, zaś dla osoby zarabiającej 10 tys. zł byłoby to 100 zł. Emeryt zyskałby jednak więcej niż 20 zł, np. mniej płacąc za leki. Najczęściej bowiem ci,*

którzy odprowadzają najwyższe składki, w mniejszym stopniu korzystają z opieki zdrowotnej – tym bardziej że często leczą się prywatnie.

Drugi z nieodzownych kroków to odejście publicznego systemu ochrony zdrowia od zasady maksymalizacji wyniku finansowego. Marek Balicki uważa, że sprawia ona, iż niewystarczający budżet NFZ-u jest marnotrawiony: państwo przepłaca za wiele usług zdrowotnych. Na inny problem zwraca uwagę ekonomista, prof. dr hab. Włodzimierz Cezary Włodarczyk z Instytutu Zdrowia Publicznego Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego, w opracowaniu „Uwagi o niektórych problemach polskiego systemu zdrowotnego. Kwestia ubóstwa i wykluczenia”: *Nacisk na efektywność ekonomiczną, uwypuklenie sprawy równowagi finansowej i unikania długów, utrudnia troskę o misję szpitala. Ten – jak wskazuje nazwa – tradycyjnie był traktowany i postrzegany jako azyl dla osób będących w trudnej sytuacji. W Polsce funkcjonuje pojęcie „pacjenta socjalnego”, często osoby starszej, bezradnej, chorej. Wobec presji na efektywność pacjenci tacy, wywodzący się spośród ubogich i wykluczonych, będą traktowani jako obciążenie prowadzące do kłopotów.* Marek Balicki dodaje: *Moim zdaniem konieczne jest wprowadzenie zasady non profit, czyli ci, którzy chcą otrzymywać od państwa pieniądze na świadczenie usług zdrowotnych, muszą przyjąć formułę przedsiębiorstwa działającego nie dla zysku.*

Zdrowotne jest polityczne

Różnorodność czynników, które wpływają na stan zdrowia, sprawia, że lecnictwo nie jest jedynym, a może nawet i nie najważniejszym polem walki o zmniejszanie nierówności w tym zakresie. Nawet najlepsza służba zdrowia w dużej mierze zaledwie łagodzi skutki szkodliwych procesów w innych sferach życia społecznego.

Fundamentem zdrowego społeczeństwa są zdrowe stosunki pracy. Tymczasem mamy obecnie do czynienia z szeregiem zjawisk, które oddalają nas od tego ideału. Dla większości osób podwyższenie wieku emerytalnego oznaczać będzie konieczność pracy w sytuacji raptownie pogarszającego się zdrowia. Rozlewanie się pozakodeksowych form zatrudnienia sprawia, że udziałem milionów Polaków stają się niestabilność pracy i życia oraz brak prawa do odpoczynku. W dalszej perspektywie – także do świadczeń emerytalnych o wysokości umożliwiającej zaspokojenie podstawowych potrzeb, w tym zdrowotnych (dodatkowym efektem są problemy finansowe NFZ-u). Nadużywaniu „umów śmieciowych”, tj. stosowaniu ich w odniesieniu do prac o charakterze ciągłym i na rzecz jednego pracodawcy, towarzyszy bierność instytucji publicznych, zarówno ustawodawczych, jak i kontrolnych. Poważne zastrzeżenia zgłaszane są



także m.in. pod adresem służb zobowiązanych do egzekwowania przepisów ochrony środowiska, których nieskuteczność oznacza nieraz poważne skutki zdrowotne dla całych społeczności.

Długofalowe konsekwencje może mieć również niedostateczna dostępność opieki przedszkolnej, posiadającej duże znaczenie dla wychwytywania i łagodzenia deficytów zdrowotnych dzieci. Przedszkola są też niezwykle istotne dla kształtowania prawidłowych nawyków. – *Już wtedy należy to robić, gdyż jest to czas, kiedy mamy największe możliwości oddziaływania na psychikę i wyrabiania pewnych automatycznych odruchów* – wyjaśnia Halik. Powołuje się na bardzo dobre efekty stosunkowo prostego programu, który był realizowany na Węgrzech: *Przedszkolanki przeprowadzały trening czynności psychomotorycznych i okazało się, że dzieci – również te pochodzące z rodzin upośledzonych społecznie – przechodząc na dalsze szczeble edukacji, miały o wiele lepsze oceny niż te, które nie przeszły takiego treningu.* Docieranie do dzieci ze wszystkich grup społecznych i odpowiednie kształtowanie ich postaw ma ogromne znaczenie dla zdrowia publicznego.

Wyrabianie prawidłowych nawyków stanowi także dodatkowy argument za tym, aby posiłki w stołówkach szkolnych były przygotowywane przez dietetyków: *Jedząc odpowiednio zbilansowane potrawy, uczniowie nie tylko lepiej by się rozwijali, ale także*

przyzwyczajali do pewnych grup produktów i w późniejszym życiu dostosowywali swój jadłospis do nawyków wyrobionych w szkole. Zamiast tego w wielu gminach ma miejsce likwidacja stołówek i rozpisywanie przetargów, w których jedynym kryterium wyboru dostawcy posiłków jest cena.

Zdaniem Kazimierza Szewczyka edukacja powinna być główną areną walki z nierównościami, podczas gdy wzrost nakładów na opiekę zdrowotną będzie miał w najlepszym wypadku umiarkowane znaczenie dla poprawy stanu zdrowia przeciętnego obywatela. – *Doświadczenia XX wieku pokazują, że jakość życia zależy przede wszystkim od rozwoju społecznego, nie od rozwoju medycyny. Tymczasem w Polsce mamy obecnie niż demograficzny, a klasy dalej są przepełnione. Będziemy mieli coraz głupsze, a więc i coraz bardziej chore społeczeństwo – ostrzega. Prof. Ostrowska woli patrzeć na problem z odwrotnej perspektywy: pozytywne zmiany w polskim szkolnictwie, np. rozwój oświaty zdrowotnej, mogą istotnie poprawić kondycję kilku pokoleń jednocześnie. – Teoretycznie to rodzice powinni uczyć dzieci, jak dbać o zdrowie, jednak tam, gdzie rodzina nie daje sobie z tym rady, musi wkroczyć jakiś inny czynnik, najlepiej właśnie szkoła. Treści zdrowotne mogą być*

wówczas przenoszone poprzez dzieci do domu rodzinnego – ocenia.

Światowa Organizacja Zdrowia forsuje zasadę „zdrowia we wszystkich politykach”, opartą na przekonaniu, że każda polityka publiczna ma wpływ na zdrowie lub styl życia obywateli. W związku z tym państwo i samorządy powinny realizować przyjęte cele zdrowotne także za pośrednictwem polityki transportowej, rolnej, przestrzennej, mieszkaniowej czy edukacyjnej, uwzględniając owe priorytety już na etapie planowania strategicznego. Innymi słowy polityka zdrowotna powinna być w istocie wypadkową pozostałych polityk. Zgodnie z tym sposobem myślenia zadaniem polityki transportowej jest nie tylko zapewnienie sprawnego przewozu towarów i przemieszczania się ludzi, ale także ograniczenie liczby chorób powiązanych z emisją spalin, zaś inwestycje w mieszkalnictwo komunalne i socjalne są jednym z narzędzi walki z wykluczeniem zdrowotnym, i tak dalej. Niestety Polska jest nadal „sektorowa”: każda instytucja pilnuje swojej działki i nie wychyla poza nią nosa.

– *Państwo powinno tak koordynować wszystkie podejmowane przez siebie działania, aby pozytywnie wpływały na nasze zdrowie, w tym także kształtowały*



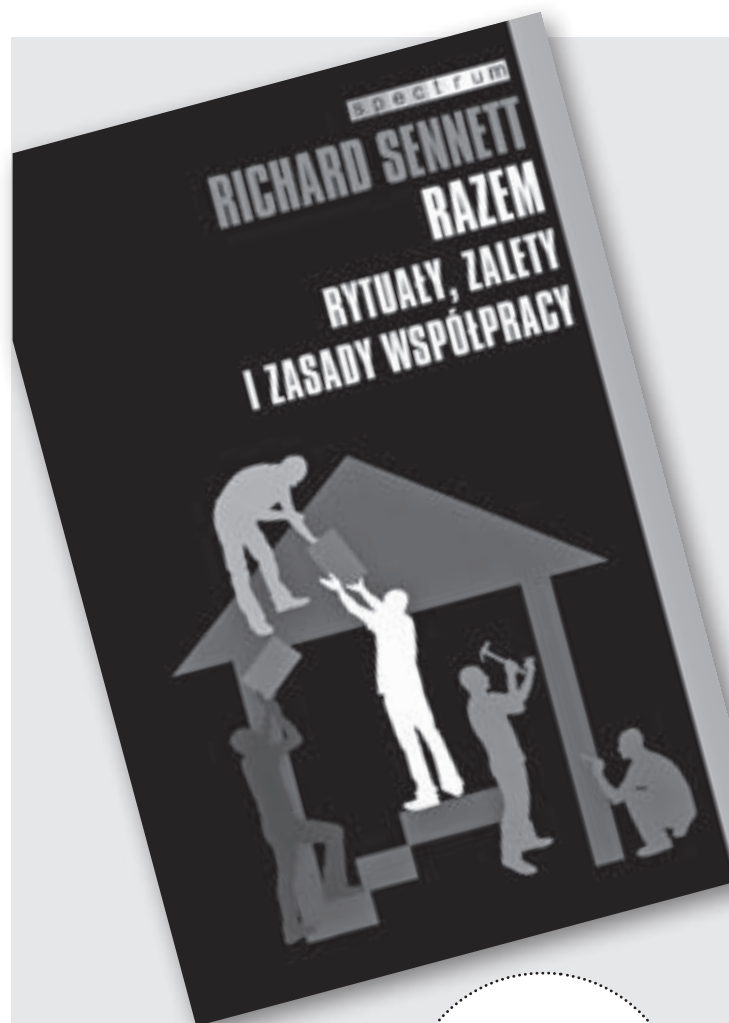
postawy prozdrowotne. Ludzie bardzo często zaczynają prowadzić zdrowszy styl życia mimowolnie, dostosowując się do efektów polityk publicznych – przykładem może być wprowadzanie w miastach ograniczeń dla ruchu samochodowego przy jednoczesnej budowie ścieżek rowerowych – komentuje Rafał Halik.

Samo się nie wyleczy

Pierwszym i najważniejszym krokiem do ograniczenia nierówności w sferze zdrowia będzie właśnie zrozumienie przez decydentów wagi tego zagadnienia, tak jak miało to miejsce w wielu innych krajach. – Rząd nie prowadzi systematycznych badań nierówności w zdrowiu, w tym nierówności w dostępie do świadczeń opieki zdrowotnej w zależności m.in. od kategorii społeczno-ekonomicznej – zwraca uwagę Marek Balicki. Prof. Antonina Ostrowska odnotowuje ponadto, że socjologowie i ekonomiści zdrowia rzadko są zapraszani do gremiów decydujących o polityce zdrowotnej. – Lekarze są postrzegani jako jedyni eksperci od spraw zdrowia. Chociaż czasami podczas dyskusji chętnie przyznają, że w podejściu socjologicznym „coś jest”, to jednak gdy przychodzi do konstruowania narodowych programów, rekomendacje socjologów nie są uwzględniane.

Być może jednak coś się powoli zmienia. – W badaniach stanu zdrowia ludności Polski, którymi GUS obejmuje ponad 20 tys. gospodarstw domowych, zbiera się dane na temat poziomu wykształcenia respondentów, co jest rzadkością w statystykach publicznych. Istnieją więc bazy danych, które dokumentują zróżnicowanie pewnych elementów stanu zdrowia w zależności od pozycji społecznej. Aczkolwiek badaczka zaraz dodaje, że nie widziała, aby ktoś te dane szczegółowo analizował z takiej perspektywy lub aby się specjalnie przejął ich wymową.

Nakreślone zagadnienia stanowią jedynie niewielki wycinek problematyki szeroko rozumianych nierówności w sferze zdrowia. Godne osobnego artykułu są choćby mechanizmy podziału środków pomiędzy poszczególne gałęzie medycyny oraz ustalania wartości tzw. koszyka świadczeń gwarantowanych. Istotny problem stanowi dyskryminacja pacjentów „funduszowych” w stosunku do „prywatnych”, mająca często miejsce w publicznych placówkach leczniczych. Na uwagę zasługują przyczyny różnic zdrowotnych między płciami, szczególnie dużych w naszym kraju. Na tych ani na żadnych innych odciśnięciach istotna poprawa nie nastąpi samoczynnie, np. wraz ze wzrostem budżetu NFZ czy rozwojem medycyny. Dobrze ujął to prof. Szewczyk: *Chcemy mieć pigułkę na wszystko zamiast zmieniać społeczeństwo. Nie ma tak prosto.* ✕



KSIĄŻKA POD
PATRONATEM
„NOWEGO
OBYWATELA”
POLECAMY!

Richard Sennett

Razem. Rytuały, zalety i zasady współpracy

Książka o współpracy: w internecie i na ulicy, w szkołach, w pracy, w lokalnych instytucjach politycznych; o ewolucji rytuałów współpracy od średniowiecza po teraźniejszość; o naturze kooperacji, o tym, dlaczego została nadwątlona i w jaki sposób można ją ponownie wzmocnić.

Wydawnictwo Muza
Seria Spectrum

Książka jest dostępna w sklepie wydawcy:
<http://muza.com.pl/>

O własne białko

KONRAD MALEC

Choć media często informują o sukcesach eksportu polskich produktów żywnościowych, jesteśmy coraz bardziej zależni od zakupu płodów rolnych za granicą. Szczególnym przypadkiem jest białko paszowe. Jakie mamy szanse na obronę?

Polska ma długie i bogate tradycje rolnicze. Swego czasu byliśmy spichlerzem Europy. Mimo że po II wojnie światowej ostatecznie utraciliśmy żyzne pola Ukrainy, nadal mieliśmy nadwyżki żywności. – *Docierała ona zarówno na Zachód, jak i żywiła „demoludy” aż po Władywostok* – mówi Jan Krzysztof Ardanowski, poseł PiS, prowadzący własne gospodarstwo. Nasz kraj posiada 16 mln ha gruntów rolnych. – *To dużo jak na warunki europejskie* – komentuje Ardanowski. – *Jednak pozycja polskiego rolnictwa nie odpowiada naszym aspiracjom i potencjałowi. Nasze możliwości są sztucznie ograniczane przez zachęty do zmniejszania produkcji i odłogowania ziemi, uzasadniane względami ochrony środowiska* – dodaje. Poseł uważa, że należy przestrzegać norm środowiskowych, ale można to pogodzić z pełniejszym wykorzystaniem potencjału rolniczego.

Po transformacji ustrojowej doszło do szybkiej wyprzedaży sektorów przetwórstwa i produkcji żywności. – *Naśladujemy drogę, którą przeszedł Zachód – odcinamy się od rolniczego charakteru naszego kraju i nie korzystamy z posiadanych zasobów* – uważa dr Piotr Stankiewicz z Instytutu Socjologii

© UnitedSoybeanBoard, flickr.com/photos/unitedsoybean/10059074033/





Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. Tymczasem niemal na całym świecie żywność staje się produktem strategicznym. - *Dlatego wiele państw, np. Szwajcaria czy Japonia, dba o to, aby mieć żywność własnej produkcji, nawet jeśli jest ona droższa niż ta z zagranicy. Tymczasem my kiedyś dostarczaliśmy szynkę do Ameryki czy bekon do Anglii, a dziś sprowadzamy większość wieprzowiny na wyżywienie własnego narodu!* - oburza się Ardanowski. Prof. Wojciech Józwiak z Instytutu Ekonomiki Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej (IERiGŻ) dodaje: *Co roku ubywa nam ponad ćwierć miliona świń. Kiedyś mieliśmy ponad 20 mln tuczników, obecnie mamy kilkanaście mln.*

Ten ubytek wynika z upadku małych gospodarstw, a także z zaniku w nich produkcji zwierzęcej, spowodowanego długim cyklem hodowli (od 9 do kilkunastu miesięcy) i dużym zużyciem pasz. W nowoczesnym chowie świnia rośnie pół roku, a to przekłada się na wysoki udział kosztów paszy i pracy w ostatecznej cenie. Na Zachodzie od maciory pozyskuje się 15-18 prosiąt w miocie, u nas takie wyniki osiągają tylko największe fermy. Prawdopodobnie Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi (MRiRW) zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji - w latach 2014-2020 zamierza przeznaczyć istotną pulę środków na wsparcie tego sektora.

Na potrzeby chowu zwierząt, zwłaszcza w przypadku drobiu i świń, do Polski sprowadza się dużą ilość pasz. Co roku trafia do nas m.in. ok. 2 mln ton poekstrakcyjnej śruty sojowej, czyli resztek po produkcji oleju. Stanowią one pełnowartościowy składnik pasz, o bardzo wysokiej zawartości białka. Do całej UE tego rodzaju śruty przybywa rocznie 30 mln ton. Na świecie produkuje się jej 180 mln. Drugą najpowszechniej stosowaną na świecie śrutą poekstrakcyjną jest śruta rzepakowa. W Polsce

stosujemy też poekstrakcyjną śrutę słonecznikową, ale ona w ostatnich latach zdrożała, więc jej sprzedaż prawdopodobnie zmaleje.

Prawie 80% zapotrzebowania na białko paszowe w Polsce zaspokaja import. Wartość sprowadzonych do Polski pasz w 2012 r. wynosiła prawie 6 mld zł. W chowie przemysłowym białko stanowi ok. 20% pokarmu zwierząt. Całkowite zapotrzebowanie na pasze w 2012 roku wyniosło 4,2 mln ton i w ciągu najbliższych lat zapewne będzie rosło. - *Możliwości krajowe zwiększenia potencjału w zakresie produkcji białka paszowego są ograniczone* - uważa Wiesław Dzwonkowski z IERiGŻ, badacz rynku pasz i ziemniaków. Importujemy głównie z USA, Brazylii i Argentyny. - *Amerykanie uzależnili świat od genetycznie modyfikowanej soi, której u siebie prawie nie stosują - we własnym kraju używają poekstrakcyjnej śruty zbożowej, pochodzącej z produkcji alkoholu wytwarzanego z przeznaczeniem na paliwo* - twierdzi poseł Ardanowski. Ustawa o paszach nakłada obowiązek rozwijania przez Polskę krajowej produkcji białka i wprowadza zakaz stosowania pasz z organizmów genetycznie modyfikowanych (GMO). Pod wpływem nacisków hodowców termin wprowadzenia zakazu importu takich pasz, stanowiącego 90-95% całego przywozu, jest przesuwany w czasie za sprawą poczynań PSL. Niemal całość importu śruty sojowej odbywa się za pośrednictwem firm zagranicznych: amerykańskich - Cargill, ADM i Bunge oraz francuskiej Louis Dreyfus, niemieckiej Cefetry i holenderskiej De Heus Koudijs Hima. Cargill i Louis Dreyfus sprowadzają 60% ogółu używanej w Polsce śruty sojowej, a pierwsza z wymienionych firm wraz z De Heus Koudijs Hima kontrolują ponad 30% całego krajowego rynku pasz.

Sprzedaliśmy też znaczną część mieszalni pasz, z których wiele trafiło w ręce importerów śrut

paszowych. – To znaczy, że począwszy od produkcji aż do tego, co otrzymuje konsument, jesteśmy zależni od ich postanowień. Decyzyjność Polski w tej sytuacji jest znikoma. Można to porównać do wpływu OPEC na ceny ropy – wyjaśnia dr Joanna Szalacha-Jarmużek z Wyższej Szkoły Bankowej w Toruniu, badająca globalizację gospodarczą. Firmy te nie chcą kupować polskich komponentów, wolą sprowadzać je z USA. Gdy 5 września 2013 r. w Głubczycach spotkali się krajowi producenci soi, wymieniali się doświadczeniami i debatowali, aż wreszcie podsumowali całość wnioskiem, że trudno im sprzedać swój produkt.

Iowa liczba indywidualnych hodowców świń spadła z 60 do 10 tys., choć pogłowie tuczników nie uległo zmianie. W całych Stanach Zjednoczonych w tym samym czasie bankrutowało rocznie 30 tys. hodowców, którzy dali się wciągnąć w taki układ.

Rolników z rynku eliminuje również skala produkcji. – *Na jednym świniaku można zarobić „na czysto” ok. 50 zł – jeżeli ktoś sprzedaje tylko 10 sztuk, to ma 500 zł, a gdy ktoś zbywa 1000 sztuk, to jego zysk wynosi 50 tys. zł. To są kwoty nieporównywalne, a mali producenci nie mogą w oparciu o nie konkurować z dużymi* – wyjaśnia prof. Józwiak. Jeśli doliczymy

Jeżeli zamiast importowanej soi nasi producenci mieliby umowy na dostawę białka paszowego ze źródeł krajowych, profity wędrowałyby do polskich rolników, a nasz kraj zyskałby na niezależności.



Nierówne siły

Rolnikom i niewielkim przetwórciom trudno konkurować z międzynarodowymi potentatami. – *Duże firmy mają swoje strategie współpracy, swoich dostawców i podwykonawców, a to prowadzi do eliminacji mniejszych, lokalnych firm* – wyjaśnia dr Szalacha-Jarmużek. Wdrażane są też inne rozwiązania, znane z zachodniej półkuli. Dwie firmy zawiązały współpracę z hodowcami z Podlasia. Cargill dostarcza paszę dla rolników, którzy nie mają prawa używać pokarmu własnej produkcji. Świnie „na wyłączność” dostarcza im natomiast Danish Crown, właściciel zakładów w Sokołowie. Taki model uzależniania rolników przez wielkie firmy doprowadził do bankructwa wielu farmerów w USA, np. w ciągu 20 lat w stanie

większy koszt tradycyjnego chowu, problem ulega pogłębieniu. Prof. Jan Mikołajczak z Uniwersytetu Techniczno-Przyrodniczego w Bydgoszczy mówi wprost: **Jeżeli zamiast importowanej soi nasi producenci mieliby umowy na dostawę białka paszowego ze źródeł krajowych, profity wędrowałyby do polskich rolników, a nasz kraj zyskałby na niezależności.**

W genetycznym Matriksie

Abstrahując od ewentualnej szkodliwości masowej produkcji roślin modyfikowanych genetycznie dla środowiska oraz możliwego negatywnego wpływu na zdrowie ludzi i zwierząt, wielkim zagrożeniem jest uzależnienie krajowych rolników od 3-5 międzynarodowych firm, do których należą opatentowane

geny. Rolnik przestaje być właścicielem swoich zbiorów, musi je w całości sprzedać przedsiębiorstwu, z którym podpisał kontrakt, a pozostawienie jakichkolwiek nasion na własne potrzeby grozi dotkliwymi karami. Osoby decydujące się na współpracę z producentami GMO są zobligowane także do używania ich „firmowych” środków ochrony roślin, co prowadzi do uzależniania od danej korporacji i maksymalizacji jej zysku kosztem gospodarza. Przykłady z USA i Argentyny pokazują, co grozi polskim rolnikom. W Ameryce takie praktyki doprowadziły do bankructwa wielu farmerów, inni ucierpieli przez zanieczyszczenie ge-

i właściwie zmonopolizowały międzynarodowy handel tą rośliną – wyjaśnia Ardanowski. – *Zwolennicy GMO posługują się argumentem wolności wyboru, lecz gdy 95% śrutu sojowej pochodzi z roślin zmodyfikowanych, to wybór staje się fikcyjny* – uważa dr Stankiewicz.

Prof. Józwiak ostrzega jednak: *Śruta niemodyfikowana jest droga. Jeśli będziemy taką kupować, wówczas tempo zaniku hodowli świń przyspieszy, a mniejsza produkcja oznacza spadek zatrudnienia w rolnictwie, czyli kilkanaście tysięcy miejsc pracy mniej, głównie na wsi.* Ale i ta kwestia nie jest oczywista. Producenci mięsa rozpętali kampanię przeciw wprowadzaniu



© UnitedSoybeanBoard, flickr.com/photos/unitedsoybean/9621005755/

netyczne ich tradycyjnych upraw. W 2011 r. w USA tylko przeciw Monsanto aż 270 tys. rolników złożyło pozwy sądowe. Jednocześnie korporacja oskarża farmerów o kradzież dobra intelektualnego, jakim są fragmenty zmodyfikowanego materiału genetycznego, który przez wiatr lub owady zapylające przedostał się do upraw konwencjonalnych.

Tymczasem istnieją inne możliwości niż GMO.
- *W Ameryce Południowej spółdzielnie rolnicze produkują soję niemodyfikowaną. Ukraińcy proponowali, że dostarczą nam taką soję, której uprawiają stosunkowo dużo. Rosjanie w obwodzie kaliningradzkim mają wielki terminal do jej przeładunku i przetwórstwa. Jednak firmy, które importują soję, często są jednocześnie producentami odmian modyfikowanych genetycznie*

zakazu stosowania soi modyfikowanej genetycznie jako paszy, argumentując, że spowoduje to wzrost cen mięsa. Ten ton podchwyciły media, np. 5 września 2012 r. tygodnik „Polityka” wyśmiał argumenty za ograniczeniem importu, a sam artykuł wyglądał jak skrypt podrzucony przez importerów.

Te same media nie informowały jednak, że Argentyna ograniczyła eksport soi o ok. 20%, uznając, iż przyda się ona na rodzimym rynku. Podobnie nie informują, że w 2012 r. w USA, Ameryce Południowej i Rosji susza ograniczyła zbiory o ok. 20%, zaś tylko 1/3 zbiorów to soja w pełni wartościowa. Nie dowiemy się też, że Chiny kupują 65 mln ton soi rocznie, a liczba ta wzrasta z każdym rokiem, tymczasem areał upraw tej rośliny nie może rosnąć w nieskończoność.

To wszystko spowodowało dwuipółkrotny wzrost ceny śruty sojowej w Polsce. W efekcie koszty produkcji i ceny sklepowe mięsa poszybowały w górę mimo niewprowadzenia zakazu stosowania pasz modyfikowanych genetycznie.

W strączkach nadzieja

Czy wszystko już stracone? – *Oplacalność upraw soi w Europie zmieniła się na plus* – zauważa dr hab. Jerzy Nawracała z Katedry Genetyki i Hodowli Roślin Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu. Tym bardziej że od dawna znane są odmiany mogące dawać plony w polskich warunkach. – *Pierwszą z nich wyhodowaliśmy w 1991 r.* – mówi dr hab. Nawracała.

Dr hab. Tadeusz Praczyk z Instytutu Ochrony Roślin – Państwowego Instytutu Badawczego w Poznaniu uważa, że **możemy zmniejszyć uzależnienie od importowanego białka i do tego trzeba dążyć** – ale całkowita samodzielność nie jest możliwa. Prof. Jerzy Książak z Instytutu Uprawy Nawożenia i Gleboznawstwa w Puławach dodaje: *Europa nie jest w stanie zaspokoić swoich potrzeb, u nas nie ma odpowiednich warunków do uprawy soi na taką skalę.* Zaś prof. Józwik zauważa: *Jesteśmy natomiast w stanie wyżywić zwierzęta hodowlane paszami węglowodanowymi [mieszaną ziemniaków i śrutę zbożowej, stosowaną w tradycyjnym rolnictwie – przyp. K.M.], ale występuje u nas niedostatek białka, szczególnie w żywieniu drobiu, świń i warchlaków.* Dr hab. Nawracała wylicza: *Aby zastąpić import soi, musielibyśmy obsiać co najmniej 1 mln hektarów tą rośliną.*

Według prof. Mikołajczaka nasze możliwości są inne: *Rzepak, z którego możemy tłoczyć olej na biopaliwa, a śruta stanowi pełnowartościowy dodatek do pasz. Łubin, prastara polska roślina, która udaje się na słabych ziemiach, a jako roślina strączkowa wzbogaca glebę. Przy czym należy ją poddać ekstrakcji celem wypłukania glikozydów. Odgoryczonym łubinem możemy karmić zwierzęta, zaś ekstrakt wykorzystać np. jako ekologiczny środek ochrony roślin. Kolejną rośliną, również oleistą, jest słonecznik. Moglibyśmy też uprawiać soję w Polsce.* Ponadto profesor zwraca uwagę na inne rośliny, które obecnie rzadko uprawia się jako paszowe. Wśród nich wymienia topinambur (słonecznik bulwiasty), sorgo, sylfię przerośniętą, a także stare odmiany zbóż, np. orkisz, płaskurka czy żyto stuletnie.

Tę opinię krytykuje Wiesław Dzwonkowski: *W żywieniu drobiu mięsnego śruta rzepakowa może stanowić do 5% składu, w przypadku niosek niewiele więcej, podobnie u prosiąt.* Wcześniej w żywieniu zwierząt nie stosowano roślin wysokobiałkowych. Świnie karmiono mieszaną ziemniaków i zbóż, natomiast drób żywiono przede wszystkim zbożem. Gdyby na świecie nadal stosowano tę metodę, rzeczywiście moglibyśmy być samowystarczalni. Zmiany pasz i ras mają

jednak swoje następstwa. Mięso „przemysłowe” ma mniej tłuszczu. Znamcy kulinarni twierdzą, że walory smakowe nikną w nim. Pasze białkowe przyspieszają wzrost masy mięśniowej, natomiast tłuszczu w ograniczonym stopniu. Dlatego nawet zwolennicy tradycyjnych metod i ograniczania importu przyznają, że w hodowli przemysłowej soja jest niezbędna i niełatwo będzie znaleźć alternatywę.

W 2006 r. Wielkopolska Izba Rolnicza pod kierownictwem prof. Wojciecha Świącieckiego z Instytutu Genetyki Roślin PAN opublikowała opracowanie „Białko w paszy – krajowe rośliny strączkowe czy importowana śruta sojowa?”. Według niego groch zawiera 22% białka, bobik 34%, łubin 36–44%, a poekstrakcyjna śruta rzepakowa 35%. Ziarno soi zawiera ok. 45% białka. – *Plon białka z jednego hektara zawsze będzie najwyższy w przypadku soi. Ten gatunek jest fenomenem, żaden inny nie jest w stanie mu dorównać* – wyjaśnia prof. Książak. Opracowanie wskazuje, że **zapotrzebowanie na białko dla trzody chlewnej może w całości zostać zaspokojone przez groch ze śrutą rzepakową.** Gorzej przedstawia się sytuacja drobiu, który wymaga w swojej diecie większego udziału białka – soja może tylko częściowo zostać zastąpiona bobikiem i łubinem, jednak wówczas jej import mógłby spaść do zaledwie 0,24 mln ton rocznie! Badacze twierdzą, że cena krajowego białka może być nieco niższa od importowanego. Opracowanie to powstało przed skokiem cen śruty sojowej, zatem obecne realia są jeszcze bardziej korzystne dla rozwoju produkcji białka paszowego w kraju.

Dla wdrożenia tych planów konieczne jest zwiększenie areału upraw roślin strączkowych. W okresie powstania wspomnianego raportu wynosił on w Polsce ok. 100 tys. ha, tymczasem powierzchnia uprawy tylko łubinu i grochu musiałaby wynieść po 250 tys. ha. – *To wykonalne, takie ilości uprawialiśmy za nieboszczki komuny. W takim wypadku wykorzystując również śrutę rzepakową moglibyśmy zaspokoić 25% naszego zapotrzebowania, co razem z paszami zbożowymi dałoby 50% zapotrzebowania* – uważa prof. Andrzej Rutkowski z Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu, prowadzący badania nad rodzimym białkiem paszowym. Możliwe będzie to jedynie wówczas, gdy rolnicy uzyskają dochody porównywalne do tych z obecnych upraw, czyli z pszenicy na ziemiach dobrych oraz żyta na słabszych. Nie jesteśmy bynajmniej prekursorami. Dostrzegając korzyści z pozostawienia pieniędzy w kraju, wiele państw UE, m.in. Niemcy, Austria czy Chorwacja, prowadzi badania nad własnymi źródłami białka paszowego.

Wskazania raportu zostały częściowo wdrożone. – *W 2010 r. wprowadzono dotacje do upraw strączkowych* – informuje Dariusz Mamiński z Biura Prasowego MRiRW. W latach 2012–13 przeznaczono na ten



© UnitedSoybeanBoard, flickr.com/photos/unitedsoybean/10059842724/

cel 30 mln euro, z których skorzystało ponad 120 tys. gospodarzy - w 2013 r. otrzymywali 720 zł dopłaty do każdego hektara takich upraw. Wsparcie to będzie utrzymane w 2014 r., jednak przyszłość pozostaje nieznana, gdyż w ministerstwie trwają prace analityczne dotyczące płatności w kolejnych latach. Niestety uprawy strączkowe przeznaczone na białko ujmowane są wspólnie z motylkowymi drobnonasiennymi. Prawdopodobnie dopłaty nie wpłynęły istotnie na wzrost produkcji roślin przeznaczonych na pasze. Powierzchnia obu tych rodzajów upraw w 2010 r. wynosiła ok. 204 tys. ha, zaś w 2013 r. 213 tys. - *Z tych upraw pochodzi jedynie 400 tys. ton nasion, używanych głównie we własnych gospodarstwach. Z uwagi na ich rozdrobnienie duże firmy, produkujące po 300 tys. ton pasz, nie są zainteresowane zakupem małych ilości towaru* - twierdzi Dzwonkowski. Winę za to ponosi system dopłat. - *Rolnik dostaje dopłatę, nawet jeśli wysiewa na zielony nawóz. To dobrze, ale proponuję, by za sam siew było 50% dopłaty, a za zbiór nasion drugie 50%* - sugeruje prof. Rutkowski.

Lepiej wygląda realizacja badań zalecanych w raporcie. - *Badania nad produkcją roślin paszowych prowadzone są w ramach wieloletniego programu „Ulepszanie krajowych źródeł białka roślinnego, ich produkcji, systemu obrotu i wykorzystania w paszach”, finansowanego z budżetu ministerstwa. Podjęte prace zmierzają do doskonalenia roślin uprawnych w zakresie zwiększenia i stabilizacji plonów oraz poprawy jakości nasion. Celem głównym jest stworzenie warunków dla zmniejszenia importu białka paszowego o ok. 50% w wyniku zwiększenia wartości biologicznej i użytkowej białka roślinnego pochodzącego z rodzimych surowców* - wyjaśnia Mamiński. Prof. Książak ocenia, że osiągnięcie poziomu zaspokojenia 50% potrzeb za pomocą białka rodzimego znajduje się w naszym zasięgu.

Soja made in Poland

Jednocześnie prowadzone są badania dotyczące możliwości uprawy soi w Polsce. W poznańskim Instytucie Ochrony Roślin realizowany jest projekt pt. „Unowocześnienie technologii uprawy konwencjonalnych odmian soi w warunkach Polski”. Zdaniem prof. Książaka soja jest trudna do uprawy w naszym kraju, ponieważ jest rośliną ciepłolubną, wymaga późnego siewu, a jej cykl wegetacji wynosi ponad 100 dni. Badania dotyczą odmian krajowych, np. Augusta i Aldana, a także ukraińskich - Annushka i Mavka, oraz kilku innych i ewentualnego wprowadzenia nowych. - *Celem tych badań są poszukiwania nakierowane na rośliny, które będą dawały wyższy plon oraz wyżej osadzały strąk na łodydze, co ułatwi zbiór oraz ograniczy straty, a ponadto będą miały krótszy okres wegetacji* - informuje prof. Książak.

Dr hab. Nawracała nie kryje zadowolenia: *W 2012 r. w Polsce soję obsiano 2 tys. ha, gdy w 2010 r. było to zaledwie 300 ha. Szacunki na 2013 r. wskazują na 4-5 tys. ha.* Wśród zasiewów dominuje Annushka. Krajowych odmian jest niewiele, ponieważ do niedawna nie było na nie zapotrzebowania. Z okresu prosperity skorzystały firmy ukraińskie, oferując swoje nasiona. W kolejnych latach powinna jednak wzrosnąć ilość polskich odmian na polach.

Uprawy soi próbuje Alfons Suchy, rolnik z Opolszczyzny, który eksperymentalnie siał ją już w latach 90. Co roku stara się obsiać 2 ha. - *Z jednego ha osiągam plon w granicach 3 ton. Spróbowałem też posiać soję jako poplon po jęczmieniu ozimym, na 5 ha, i nawet wówczas zebrałem 2 tony z ha.* Średnie plonowanie tej rośliny wyniosło w 2012 r. w skali świata 2,7 t/ha. - *W Polsce udaje się uzyskać 2,5-3 t/ha, a w warunkach badawczych, przy sprzyjającej pogodzie, nawet 4 t/ha.* To przyzwoite wyniki - ocenia Nawracała. Przy cenie 1,5-1,7 tys. złotych za tonę, jaką soja osiągała w 2013 r., daje to dobre perspektywy dochodów dla rolników.

Soja ma większy potencjał niż groch, łubin i bobik. Jest odporna na choroby i szkodniki, co ogranicza ilość niezbędnych zabiegów agrotechnicznych. Jedynym problemem, z jakim styka się pan Suchy, są chwasty: *Nie ma w Polsce żadnego środka do ochrony upraw soi, więc muszę pielęgnać ręcznie.* Potwierdza to dr hab. Nawracała: *Przy niewielkich arealach firmy*

chemiczne nie były zainteresowane wprowadzeniem na nasz rynek takiego specyfiku. Jest jednak nadzieja, gdyż związki producentów rolnych mogą wystąpić o rejestrację stosownego środka. Rozmowy na ten temat już się odbyły i dobrze rokują na przyszłość. Alfons Suchy polemizuje z tezą o niekorzystnych warunkach temperaturowych: *Kiedy wchodziła do uprawy kukurydza, była wrzawa, że to roślina nie na nasz klimat. Sukces w uprawie soi najlepiej świadczy o tym, że się da - można ją zbierać nawet w październiku.* Podobne procesy rozpoczynają się w całej UE. Niedawno zawiązało się Naddunajskie Stowarzyszenie Sojowe, skupiające liczne podmioty, w tym rządy, z 20 państw, a mające na celu promowanie uprawy, badań i rozwiązań dotyczących soi niemodyfikowanej genetycznie w krajach naddunajskich i Europy Środkowej.

- *Można odnieść wrażenie, że Polska nie dba o zaspokojenie podstawowego zapotrzebowania na żywność z własnego rolnictwa, co dałoby obszarom wiejskim impuls do rozwoju - uważa Ardanowski.* Działania na rzecz bezpieczeństwa żywnościowego wywołują skojarzenia z ideą samowystarczalności gospodarczej. - *W zglobalizowanym świecie wydaje się to mrzonką. Nie oznacza to jednak, że nie należy starać się o zabezpieczenie podstawowych źródeł żywności - uważa dr Stankiewicz.* ✖

Współpraca Michał Juszcak

REKLAMA



dr Andrzej Zybała Państwo i społeczeństwo w działaniu

Na Zachodzie nauka o polityce publicznej jest znana od ponad pół wieku, ale w Polsce dopiero rozpoczyna się jej rozwój. Książka dr. Andrzeja Zybały jest pionierską w skali naszego kraju próbą pokazania, w jaki sposób demokratyczne państwo może skutecznie organizować rozwiązywanie problemów takich jak starzenie się społeczeństwa, bieda czy bezrobocie.

Wydawnictwo Difin

Książka jest dostępna w sklepie wydawcy:

<http://ksiegarnia.difin.pl/>

Autor jest członkiem Rady Honorowej „Nowego Obywatela”.

Jak Zabłocki na prywatyzacji

BARTOSZ OSZCZEPALSKI

Historia Kieleckich Kopalni Surowców Mineralnych przeczy liberalnym mitom o optymalnej strukturze własnościowej. Jeszcze kilka lat temu wielkie, państwowe przedsiębiorstwo przynosiło duże zyski. Dzisiaj, po prywatyzacji, walczy o przetrwanie. Niestety za błędy urzędników Ministerstwa Skarbu Państwa do tej pory płacić muszą pracownicy, którzy od początku byli przeciwni sprzedaży zakładu.

Kieleckie Kopalnie Surowców Mineralnych to firma produkująca i wydobywająca kruszywa. Ma bardzo długą i zacną tradycję - aż od 1874 r. daje pracę kolejnym pokoleniom. Jest też niekwestionowanym liderem przemysłu wydobywczo-górniczego w woj. świętokrzyskim i jedną z wiodących firm w tej branży w Polsce. Związkowcy twierdzą, że w latach 2008-2009 mieliśmy do czynienia ze złotym okresem dla KKSM, które wtedy przynosiły spore zyski. Ministerstwo Skarbu Państwa zdecydowało się jednak na prywatyzację spółki. Przedstawiciele zakładowych związków zawodowych zwracają uwagę, że jeszcze w 2010 r., gdy w KKSM rozpoczynała się procedura prywatyzacyjna, sytuacja finansowa spółki była bardzo dobra. - W 2010 r. firma przy przychodach 84,1 mln zł zarobiła na czysto 7,3 mln. Poza tym spółka miała duży kapitał własny (32,5 mln zł), sporo gotówki (6,4 mln zł) i zaledwie ponad 0,5 mln zł kredytów i pożyczek - informuje

Jacek Michalski, przewodniczący komisji zakładowej NSZZ „Solidarność” w KKSM.

Po wykupieniu przez spółkę Dolnośląskie Surowce Skalne (DSS) kieleckie przedsiębiorstwo zaczęło jednak popadać w coraz większe długi. Do marca 2012 r. liczba niezapłaconych faktur przekroczyła siedemset, a dług z tego tytułu osiągnął kwotę 78,8 mln zł. Obecnie dług wynosi 153 mln 515 tys. zł. - Była to jedna z najgorzej przeprowadzonych prywatyzacji w woj. świętokrzyskim. Firma istniała 139 lat, nie zniszczyły jej zabory, wojny, PRL, a jakoś nie może przetrwać w polskim kapitalizmie - komentuje Stanisław Puchała z zakładowej „Solidarności”.

To nie mogło się udać

Dlaczego doszło do zadłużenia tak świetnie prosperującej firmy? W 2010 r. działacze związkowi z „Solidarności” i Związku Zawodowego „Budowlani”

w trakcie spotkania z przedstawicielami Ministerstwa Skarbu Państwa ostrzegali, że przejęcie zakładu przez DSS może zakończyć się katastrofą. – *Proces prywatyzacyjny KKSM rozpoczął się w 2010 r. Inwestorzy zgłaszali się na przełomie 2009 i 2010 r. W 2010 r. w ministerstwie poinformowano nas, że został wybrany inwestor – Dolnośląskie Surowce Skalne, który ma przejąć 85% akcji. Jak się później okazało, nie były to DSS, lecz spółka-córka DSS, zarejestrowana na potrzeby prywatyzacji KKSM, z kapitałem o wysokości zaledwie 5 tys. zł. Wielokrotnie podnosiliśmy argumenty, że jest to niewiarygodna firma i że istnieje ryzyko wrogiego przejęcia, które może doprowadzić do likwidacji KKSM. Zwracaliśmy również uwagę, że spółka przynosi wymierne zyski dla skarbu państwa i jest przysłowiową kurą znoszącą złote jajka. Ponadto jest doskonale wyposażona pod względem technicznym i ma rozwiniętą sieć zbytu. Staliśmy na stanowisku, że rząd polski powinien zostawić w spokoju spółkę dostarczającą duże kruszywa, która daje zatrudnienie wielu pracownikom i kontrahentom. Nikt nas jednak nie słuchał* – opowiada Jacek Michalski.

Związkowcy mieli twarde argumenty na obronę swoich tez. 30 lipca 2010 r. Jacek Michalski otrzymał pismo z kancelarii prawnej „Izabella Żyglicka i Wspólnicy” z Katowic. Prawnicy działając z upoważnienia spółki Sandvik Mining and Construction, poinformowali Michalskiego o tym, że domniemany nabywca akcji kopalni – Dolnośląskie Surowce Skalne – ma zobowiązania finansowe wobec firmy, opiewające na kwotę prawie 4 mln zł. W piśmie została również zawarta informacja o wszczęciu postępowania windykacyjnego i sądowego z tytułu zadłużenia oraz o wpisie DSS do Krajowego Rejestru Długów. **To wszystko nie robiło jednak wrażenia na urzędnikach Ministerstwa Skarbu Państwa.**

Związkowcy nie dość że nie mogli liczyć na zrozumienie ze strony pracowników ministerstwa, to jeszcze spotkali się z aktami arogancji z ich strony. – *Urzędnicy biura projektów prywatyzacyjnych Ministerstwa Skarbu odpowiedzieli nam, że tak się dzieje wszędzie i że na potrzeby prywatyzacji w całej Polsce powołuje się tego typu spółki. Dodali także, iż „gdyby wszyscy postępowali tak jak my, to nie byłoby żadnej prywatyzacji w Polsce i panowie Kulczyk oraz Sołtowski nigdy by nic nie kupili”.* Dyrektor w biurze przekształceń własnościowych powiedział, że nikt nie kupuje teraz zakładów za własne pieniądze, lecz wszyscy robią to za kredyty – mówi z żalem mój rozmówca.

Również niektórzy przedstawiciele prasy lokalnej zignorowali niepokojące sygnały i stanęli po stronie urzędników ministerstwa oraz Dolnośląskich Surowców Skalnych. W jednym z artykułów z września

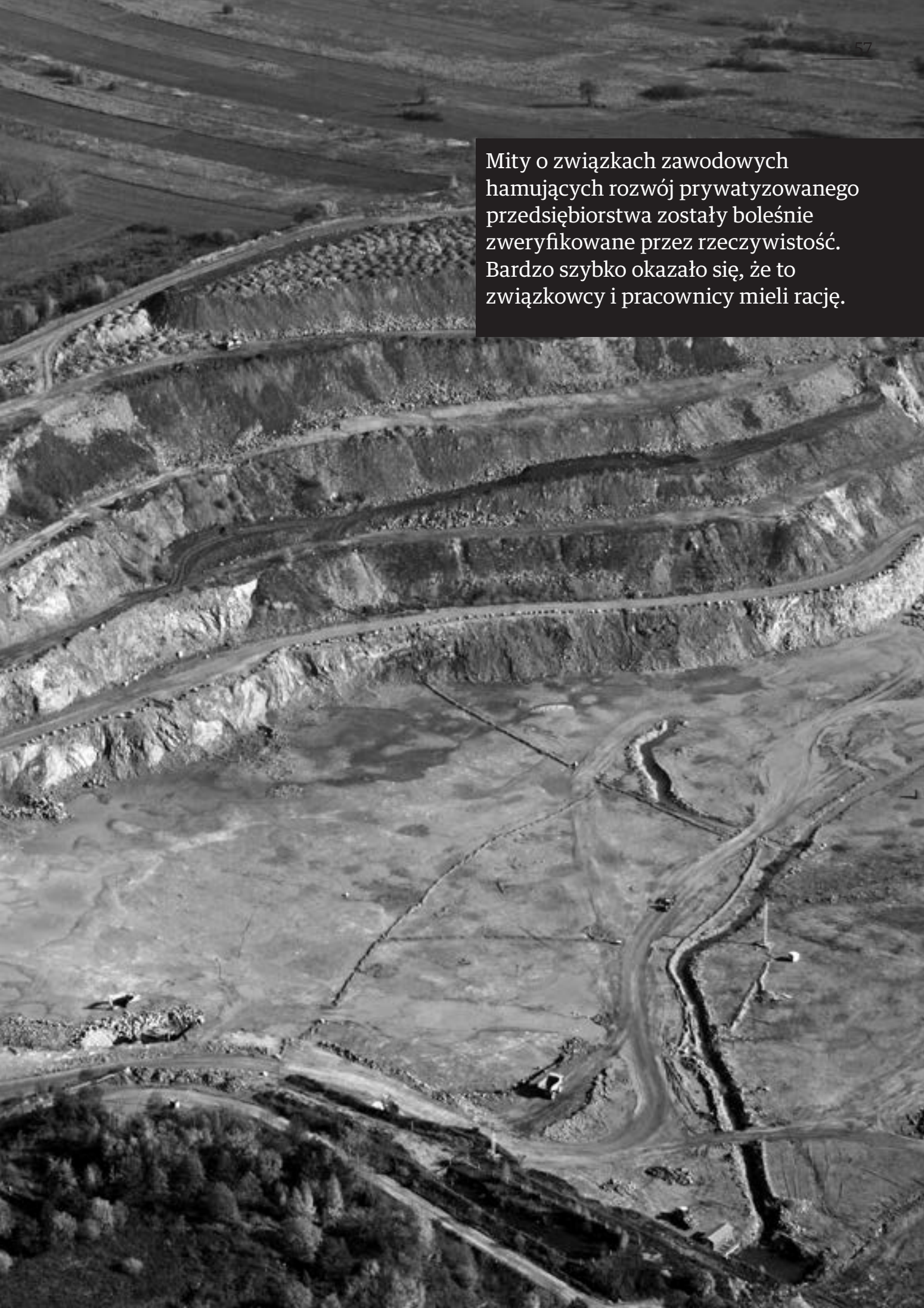
2010 r. w dużym regionalnym dzienniku „Echo Dnia” dziennikarz alarmował, że „Solidarność” nie chce nowego inwestora. Podważał też argumenty związkowców o tym, że firma DSS, startująca do przetargu z kapitałem 5 tys. zł, jest niewiarygodna. Stwierdził on, że banki, które przyznały kredyt DSS, tym samym potwierdziły wiarygodność spółki.

Stracili pracownicy

Mity o związkach zawodowych hamujących rozwój prywatyzowanego przedsiębiorstwa zostały boleśnie zweryfikowane przez rzeczywistość. Bardzo szybko okazało się, że to związkowcy i pracownicy mieli rację. Jednak to właśnie pracownicy, a nie urzędnicy Ministerstwa Skarbu Państwa czy dziennikarze odczuli na własnej skórze skutki sprzedaży przedsiębiorstwa.

W 2011 r. już prywatne KKSM przestały wywiązywać się z obowiązków płacowych wobec personelu. Jeszcze w 2010 r. związki zawodowe wynegocjowały pakiet prywatyzacyjny, którego część założeń pozostała jedynie na papierze. Tak w październiku 2011 r. na łamach „Echa Dnia” o sytuacji w firmie wypowiadał się Stanisław Puchała, przewodniczący komisji zakładowej Związku Zawodowego „Budowlani”: *Od kąd inwestor przejął KKSM, firma jest niewypłacalna. Według założeń tego pakietu każdy pracownik miał dostać 8 tys. zł jednorazowej premii prywatyzacyjnej. Tak się jednak nie stało. Jako związek zawodowy próbowaliśmy rozmawiać w tej sprawie z Janem Łuczakiem, prezesem DSS. Chcieliśmy dojść do jakiegoś kompromisu. Skończyło się na tym, że obiecano nam do 12 września 2011 r. wypłacenie 30% premii prywatyzacyjnej, a do końca miesiąca 70% całej kwoty. Obietnic niestety nie dotrzymano.*

To jednak nie wszystkie problemy pracowników w tym okresie. – *Pakiet prywatyzacyjny zakładał również, że nasze średnie zarobki w ciągu pięciu lat będą rosły stopniowo o 30%. Początkowo wzrost miał wynosić 7%. Te ustalenia również nie zostały zrealizowane. Firma ma także zaległości w wypłacaniu pensji w tym miesiącu. Do końca maja pracownikom miały być też wypłacone środki z funduszu świadczeń socjalnych, jednak do tej pory pieniędzy nie ma. Dodatkowo firma jest teraz w takiej zapaści, że nowy właściciel nie odprowadza składek do ZUS, chociaż pobiera je z naszej pensji. To już jest niedopuszczalne. Jesteśmy bardzo zaniepokojeni sytuacją finansową firmy* – dodawał wtedy Puchała. Ówczesny prezes Dolnośląskich Surowców Skalnych, Jan Łuczak, napisał wówczas w oświadczeniu do mediów, że nie rozumie zamieszania wokół tej sprawy, a wszystkie zaległości zostaną stopniowo uregulowane.



Mity o związkach zawodowych hamujących rozwój prywatyzowanego przedsiębiorstwa zostały boleśnie zweryfikowane przez rzeczywistość. Bardzo szybko okazało się, że to związkowcy i pracownicy mieli rację.

Napiętą sytuację pomiędzy zarządem a związkami zawodowymi dodatkowo skomplikowała niespodziewana śmierć prezesa Łuczaka. W końcu związki zdecydowały się wejść w spór zbiorowy z pracodawcą. Związki rozważały również wejście na drogę sądową. Jednak w listopadzie 2011 r. wydawało się, że doszło do przełomu. Związkowcy porozumieli się z zarządem KKSM. Podpisano nawet protokół z rokowań, w którym zanotowano, że wszystkie zaległości będą uregulowane w najbliższym czasie, a premię prywatyzacyjną pracownicy dostaną jeszcze w 2011 r. Ponadto pracodawca wreszcie opłacił zaległe składki ZUS-owskie. Przedstawiciele związków zawodowych mieli nadzieję, że do końca 2011 r. sytuacja się unormuje.

Tak się jednak nie stało. Choć związki godziły się na przesuwanie terminów zapłaty, to pracownicy dostali tylko część zaległych pieniędzy. Przy okazji narastała frustracja zatrudnionych, którym nie podobano się ciągle odwlekanie terminów oraz to, że pertraktacje prowadzone przez związki nie przynosiły efektów. *- Niestety sytuacja nie została do końca rozwiązana. Pracownicy do tej pory nie otrzymali obiecanej premii prywatyzacyjnej i są zbywani kolejnymi terminami. Chodzą słuchy, że dopiero od przyszłego roku wspomniana premia ma być wypłacana w ratach i doliczana do wynagrodzeń. Nie powinno tak być. To są pieniądze pracowników, które wypracowywali latami - mówił w grudniu 2011 r. z wyraźną irytacją jeden z zatrudnionych. W rozmowie ze mną wyrażał on również niepokój z powodu opóźnień w budowie jednego z odcinków autostrady A2. Według niego opóźnione pensje były efektem tego, że DSS nie płacił podwykonawcom, co w przyszłości może przyczynić się do pogorszenia sytuacji załogi w zakładzie.*

Obawy te dzielili również inni pracownicy. Coraz częściej pojawiały się opinie, że problemy są spowodowane prywatyzacją. *- Przez wszystkie lata działalności KKSM przechodziły przez różne okresy, ale problemy finansowe nigdy nie odbijały się na pracownikach i nie musieli się oni martwić o przyszłość. To że-
nujące, że tak dobrze prosperujące przedsiębiorstwo jak KKSM zostało sprzedane pierwszej lepszej firmie -* przekonywał mój rozmówca. Atmosfera w zakładzie stawała się coraz bardziej napięta. Stanisław Puchała z „Budowlanych” próbował wtedy uspokajać nastroje i zwracał uwagę, że oprócz podwyżek pracownicy dostali środki z funduszu świadczeń socjalnych i pracowniczego programu emerytalnego. Z kolei biuro prasowe Dolnośląskich Surowców Skalnych zapewniało, że dotrzymany zostanie termin (maj 2012) ukończenia prac na odcinku autostrady, a tym samym nie będzie z tego tytułu żadnych kar. Jednocześnie sprawa była coraz częściej nagłaśniana przez lokalne media, a pracownicy z innych zakładów

w woj. świętokrzyskim deklarowali wsparcie dla załogi KKSM.

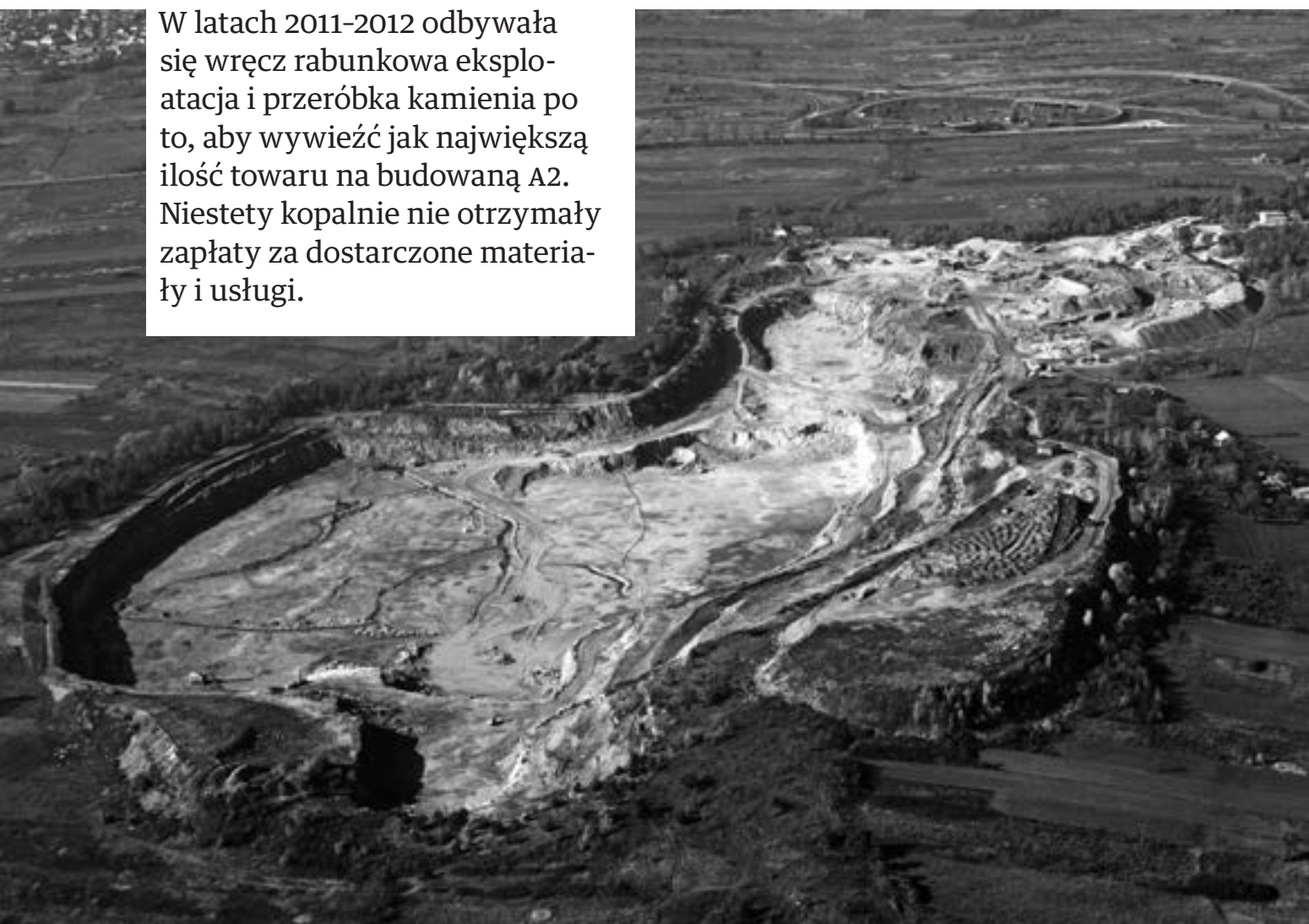
Niestety rok 2012 nie przyniósł żadnej poprawy. Podobnie jak w 2011 roku, przez kilka miesięcy nie wypłacano pieniędzy z pracowniczego programu emerytalnego. Ponownie pojawiły się problemy z otrzymaniem ekwiwalentu z funduszu świadczeń socjalnych. Również w 2013 roku sytuacja pracowników daleka jest od ideału. Obiecanej premii prywatyzacyjnej pracownicy nie dostali do tej pory. Czekają na nią już od dwóch lat, choć zarząd DSS wielokrotnie obiecywał, że wypłacenie jest tylko kwestią czasu. Dodatkowo zarząd próbował wymusić na związkach zawodowych zrzeczenie się premii, ale te nie zgodziły się. *- Zobowiązania wynikające z pakietu socjalnego w dalszym ciągu nie zostały zrealizowane. Nie mamy również zapewnianych rzeczy związanych z bezpieczeństwem i higieną pracy - odzieży ochronnej, środków czystości itp. Co prawda od czerwca firma stara się nadrobić zaległości w tym zakresie, ale pozostawia to wiele do życzenia. Tylko niektóre świadczenia zostały uregulowane - premia barbórkowa za 2012 r. została teraz wypłacona. Z drugiej strony nadal nie otrzymaliśmy „barbórki” za bieżący rok, choć powinniśmy ją mieć już w lipcu. Na szczęście możemy chociaż liczyć na regularne i terminowe wypłacanie pensji, z czym wcześniej był problem - informuje Jacek Michalski.*

Sprywatyzowali i zadłużyli

O to, co działo się z finansami spółki, że w tak krótkim czasie pogorszyła się jej sytuacja, zapytałem Jacek Michalskiego z zakładowej „Solidarności”, który od kilku lat skrupulatnie zbiera i upublicznia informacje dotyczące kondycji przedsiębiorstwa. *- Inwestor po prywatyzacji przejął zyski KKSM w wysokości 9 mln zł, ale od samego początku spółka była zadłużana. W dniu 27 czerwca 2011 r., czyli niespełna dwa miesiące po prywatyzacji, Dolnośląskie Surowce Skalne dokonały zastawu na akcjach KKSM na rzecz obligatariuszy obligacji serii F - tłumaczy pan Jacek. Na skutek tej oraz późniejszych operacji doszło do zastawu akcji na kwotę 208 mln zł. Ponadto od 29 czerwca 2011 r. aż do stycznia 2012 r. Kieleckie Kopalnie Surowców Mineralnych były systematycznie zadłużane na wiele milionów złotych poprzez zaciąganie kolejnych kredytów, a także ich poręczanie.*

To jednak nie wszystko. Lista przewinień, które doprowadziły do problemów finansowych kopalni, jest bardzo długa. *- W 2011 r. zadłużenie zwiększało się także z powodu nieuzasadnionych zakupów węzłów betoniariskich, nieprzydatnych do wydobyć i przerobów kamienia. Poza tym leasingowano samochody technologiczne marki Volvo, które, co ciekawe, od chwili zakupu do dnia dzisiejszego pracują nie w okolicach Kielc,*

W latach 2011-2012 odbywała się wręcz rabunkowa eksploatacja i przeróbka kamienia po to, aby wywieźć jak największą ilość towaru na budowaną A2. Niestety kopalnie nie otrzymały zapłaty za dostarczone materiały i usługi.



a w kopalni w Piławie, należącej do DSS. Również w Piławie do tej pory pracują mobilne zakłady do kruszenia kamienia nabyte na KKSM w 2011 r., i to bez zawartych umów o ich wynajmie. Kupiono również 37 samochodów osobowych wartych od 50 do 350 tys. zł. Były one użytkowane przez pracowników Dolnośląskich Surowców Skalnych. Ich zakup nie był więc przydatny dla KKSM. Ponadto KKSM dzierżawił 50 samochodów ciężarowych marki MAN, co zmusiło firmę do zatrudnienia dodatkowych pracowników, wygenerowało duże koszty eksploatacji i w konsekwencji spowodowało powstanie licznych wierzytelności, liczonych obecnie w setkach tysięcy złotych. Oczywiście znaczna część leasingowego sprzętu została przejęta przez komorników - wymienia Jacek Michalski.

Dług KKSM powstał również na skutek realizacji - w roli podwykonawcy - kontraktu na dostarczanie kruszyw potrzebnych do budowy autostrady A2 przed EURO 2012. - **W latach 2011-2012 odbywała się wręcz rabunkowa eksploatacja i przeróbka kamienia**

po to, aby wywieźć jak największą ilość towaru na budowaną A2. Niestety kopalnie nie otrzymały zapłaty za dostarczone materiały i usługi od wykonawcy, czyli Dolnośląskich Surowców Skalnych. W związku z tym KKSM zaczęły znajdować się w coraz trudniejszej kondycji finansowej, choć premier Donald Tusk oraz minister infrastruktury Sławomir Nowak zapewniali, że DSS nie upadnie, a autostrada zostanie ukończona. Kopalnie zwróciły się do Generalnej Dyrekcji Dróg Krajowych i Autostrad w Warszawie z prośbą o wypłatę należności w kwocie ok. 62 mln zł, przysługującą od DSS, na podstawie umowy na dostawę kruszywa. Tych pieniędzy jednak do tej pory spółce nie zwrócono - twierdzi Michalski. - Naszym zdaniem w latach 2011-2012 zaczęto w ekspresowym tempie budować wyrób „autostradopodobny”, aby zdążyć przed EURO 2012. W ten sposób doprowadzono do zadłużenia i upadłości wielu firm, w tym również KKSM - kwitują związkowcy.

W kwietniu 2012 r. Sąd Gospodarczy w Warszawie zadecydował o likwidacji spółki Dolnośląskie

Surowce Skalne. Wniosek został złożony przez zarząd, który decyzję tłumaczył właśnie zaangażowaniem się w budowę A2. W dniu 29 czerwca 2012 r. sąd zmienił opcję prowadzenia postępowania upadłościowego na obejmujące możliwość zawarcia układu. – *Sąd upadłościowy przychylił się do stanowiska Spółki, że w drodze układu wierzyciele zostaną zaspokojeni w wyższym stopniu niż po przeprowadzeniu postępowania upadłościowego obejmującego likwidację majątku Spółki* – czytamy w oświadczeniu zarządu.

Kłopoty DSS musiały rzutować na sytuację KKSM. W 2012 r. sąd rejonowy rozpatrywał wniosek o ogłoszenie upadłości kieleckich kopalni. Podobnie jak w przypadku DSS, w grę wchodziły dwa rozwiązania – likwidacja spółki lub postępowanie układowe. Pomimo zastrzeżeń nadzorca sądowego, w maju 2012 r. zdecydowano się na wariant korzystniejszy zarówno dla firmy, jak i pracowników – czyli postępowanie układowe. W 2013 r. sąd rejonowy rozpatrywał zmianę trybu upadłościowego z układowego na likwidacyjny, ale podtrzymano wcześniejszy werdykt.

Dzięki temu firma została uratowana. Ogłoszenie upadłości poprzez likwidację doprowadziłoby do zaprzestania produkcji oraz sprzedaży całego majątku, a także – co oczywiste – zwolnienia pracowników. Trudno się więc dziwić, że ci przyjęli decyzję sądu z entuzjazmem. Również prezes KKSM, Maksymilian Kostrzewa, pełniący tę funkcję od marca 2013 r., nie krył zadowolenia. Pomimo uratowania przed likwidacją sytuacja nadal jest bardzo trudna i wciąż trwa walka o kontrahentów oraz o stały napływ gotówki, aby na bieżąco spłacać długi i utrzymywać względną stabilność finansową kieleckich kopalni.

Obecnie zaległe zobowiązania Dolnośląskich Surowców Skalnych wobec KKSM wynoszą ponad 230 mln zł, z czego zarząd DSS uznaje tylko 140 mln. Po ogłoszeniu upadłości do sądu zgłosiły się 282 podmioty twierdzące, że są wierzycielami spółki. Ostatecznie sąd ustalił, iż lista wierzycieli składa się z 220 podmiotów. Związkowcy biją na alarm i uważają, że jeśli Ministerstwo Skarbu Państwa nie udzieli pomocy finansowej spółce lub nie unieważni prywatyzacji, to może dojść do całkowitego upadku KKSM, a wielu pracowników straci źródło utrzymania. W lutym 2013 r. wystosowali w tej sprawie pismo do Ministerstwa Skarbu Państwa. Większym optymizmem wykazuje się prezes Kostrzewa, który w wypowiedziach dla lokalnej prasy po korzystnej decyzji sądu podkreślał, że firma wychodzi z dołka finansowego i powoli zaczyna gromadzić pieniądze na spłatę długów. Czas pokaże, czy uda się sprostać temu wyzwaniu.

Mają wsparcie

Warto podkreślić, że związki zawodowe w zakładzie nie są osamotnione i mogą liczyć na pomoc zarówno



kolegów ze świętokrzyskiej „Solidarności” i Związku Zawodowego „Budowlani”, jak i krajowych central tych organizacji. W kwietniu 2012 r. pod siedzibą Kieleckich Kopalni Surowców Mineralnych w Kielcach odbył się protest związkowców, którzy głośno wyrazili swój sprzeciw wobec doprowadzenia zakładu do upadłości. Pracownicy, którzy w tym czasie nie dostawali terminowo wynagrodzeń, żalili się, że *nie mają co włożyć do garnka i za co utrzymywać swoich rodzin*. Na pikiecie widoczne były transparenty z takimi hasłami jak *Chcemy pracować, nie głodować*. Wspólnie z pracownikami KKSM demonstrowali związkowcy z całego województwa. Na pikiecie

obecni byli przewodniczący świętokrzyskiej „Solidarności” Waldemar Bartosz, przewodnicząca Związku Zawodowego „Budowlani” Anna Bujnowska oraz szef „Solidarności” Piotr Duda. Przywódca związku obiecał pracownikom, że „Solidarność” zrobi wszystko, żeby ta patologiczna sytuacja się skończyła.

Na konkretne działania nie trzeba było długo czekać. Tuż po proteście zarząd „Solidarności” w woj. świętokrzyskim upoważnił przewodniczącego Waldemara Bartosza do złożenia zawiadomienia do prokuratury o możliwości popełnienia przestępstwa związanego z ewentualnymi nieprawidłowościami przy prywatyzacji firmy oraz z niewłaściwymi decyzjami inwestycyjnymi podejmowanymi przez zarząd spółki, które mogły doprowadzić do złej kondycji finansowej kieleckich kopalni. Sprawę wszczęła Prokuratura Kielce-Wschód. Obecnie toczy się ona w Prokuraturze Okręgowej w Kielcach. – *Nie zostały naruszone procedury przy samym przetargu, albowiem wybrano firmę, która zaproponowała najwyższą cenę. Badamy jednak, czy sytuacja ekonomiczna Dolnośląskich Surowców Skalnych pozwałała im na przejście firmy. W tym celu planujemy powołać biegłych ekspertów – ekonomistów. Sprawa jest naprawdę dużego kalibru, bo dotyczy m.in. urzędników Ministerstwa Skarbu Państwa* – powiedział w sierpniu w rozmowie ze mną prokurator Leszek Garbacz. W tej sprawie z kielecką prokuraturą współpracuje również Centralne Biuro Śledcze. W związku z prowadzonym postępowaniem w lipcu 2012 r. funkcjonariusze CBŚ zjawili się w siedzibie KKSM i zabezpieczyli dowody istotne dla merytorycznego rozstrzygnięcia sprawy. CBŚ przesłuchiwało już kilku pracowników kopalni.

Do pracowników i związkowców rękę wyciągnęli również politycy z woj. świętokrzyskiego. Ponieważ ratunkiem dla KKSM może okazać się odzyskanie pieniędzy z Generalnej Dyrekcji Dróg i Autostrad za produkcję kruszywa potrzebnego do budowy autostrady A2, 20 marca 2013 r. na zaproszenie posłów Prawa i Sprawiedliwości związkowcy pojechali na posiedzenie Sejmowej Komisji Skarbu, gdzie mieli okazję zwrócić się o pomoc dla spółki. Posłowie PiS wnieśli również pod obrady Sejmu projekt ustawy o bezpośrednich dopłatach dla podwykonawców A2. Debata nad projektem odbyła się 18 i 19 kwietnia, ale niestety głosami posłów Platformy Obywatelskiej i PSL-u został on odrzucony. Obecnie obowiązująca tzw. specustawa drogowa zakłada pomoc tylko dla małych i średnich firm (zatrudniających do 250 osób) biorących udział w budowie autostrady. Projekt miał to zmienić. – *Bulwersuje nas to, że posłowie z tych partii, którzy również reprezentują region świętokrzyski, głosowali za odrzuceniem projektu*

ustawy – ocenia Jacek Michalski. Jednak nie tylko posłowie PiS-u walczą w Sejmie o KKSM. – *Od początku bardzo pomagał nam poseł Jan Cedzyński z Ruchu Palikota. Włożył on sporo serca w naszą sprawę. Cedzyński pisał trzy razy petycję do Ministerstwa Skarbu. Później interweniował nawet u premiera. Ponadto zarówno Cedzyński, jak i przedstawiciele PiS-u uczestniczą w spotkaniach z nami. Ostatnie odbyło się w czerwcu 2013 r. Natomiast konsekwentnie ignorują nas politycy dwóch partii rządzących* – mówi Stanisław Puchała. Przedsiębiorstwu starają się pomóc również politycy Solidarnej Polski. Jeszcze przed wakacjami eurodeputowani Zbigniew Ziobro, Tadeusz Cymański i Jacek Włosowicz wystąpili do Komisji Europejskiej z wnioskiem o finansowe wsparcie dla KKSM i zwalnianych pracowników. Europosłowie jako jedno z możliwych źródeł wsparcia wskazali m.in. Europejski Fundusz Dostosowania do Globalizacji. Swoją decyzję Komisja ogłosi niebawem.

Demagodzy nie odpuszczają

Choć sytuacja Kieleckich Kopalni Surowców Mineralnych nieco się ustabilizowała, to przez najbliższe miesiące i lata firma będzie musiała walczyć o przetrwanie. Jeśli nawet spółka nie upadnie, to już teraz wiadomo, że trudno jej będzie wyjść z dołka finansowego na tyle, żeby powrócić do tak dobrej sytuacji finansowej, w jakiej znajdowała się przed prywatyzacją. Być może niektórzy pracownicy stracą pracę, a ci, którzy zostaną, będą musieli się ponownie borykać z zaległościami finansowymi. Jeszcze kilka lat temu mało kto spodziewał się, że dojdzie do takiej sytuacji.

Jednak to nie pracownicy i związkowcy napisali ten czarny scenariusz. Pomimo istniejącej w środowiskach liberalnych opinii o związkach zawodowych działających na szkodę przedsiębiorstw i niemających wiedzy o podstawach ekonomii to właśnie przedstawiciele zakładowej „Solidarności” i „Budowlanych” oraz pracownicy zachowali rozsądek, przestrzegając przed szkodliwą prywatyzacją spółki. Ich racjonalne podejście nie miało jednak znaczenia, gdyż znów zwyciężyć musiała neoliberalna demagogia propagowana przez rząd i ponoć niezależnych ekspertów. Wedle niej każda państwowa firma musi zostać oddana w prywatne ręce, nawet jeśli świetnie prosperuje, a intencje i kondycja finansowa potencjalnego inwestora budzą wiele zastrzeżeń.

W ten sposób zniszczono w Polsce mnóstwo zakładów i pozbawiono pracy wiele osób. Kieleckie przedsiębiorstwo uniknęło całkowitej likwidacji, ale walka, którą toczą związki zawodowe, personel oraz wszyscy mniej lub bardziej wpływowi przyjaciele KKSM, jest ciężka i nierówna. Przecież przeciwnik od samego początku stosował ciosy poniżej pasa. ✖

Państwa narodowe jako podmioty globalizacji

DR JOANNA SZALACHA-JARMUŻEK

Dyskurs globalizacyjny często podejmuje problem pozycji państwa narodowego we współczesnym świecie. Literatura dotycząca roli państwa w dobie globalizacji w wielu przypadkach skłania się do postawienia tezy o wycofaniu państwa (*retreat of the state*), jego osłabieniu i niemocy w świetle szybko zmieniających się konfiguracji wpływów transnarodowych podmiotów. Jeśli przyjąć koncepcję podmiotowości organizacyjnej, to należy uznać, że państwa narodowe mogą być uznane za podmioty globalne. Pytanie brzmi - czy wszystkie państwa?

W odpowiedzi na pytanie o podmiotowość globalną państw, zaproponowana poniżej typologia państw narodowych została stworzona właśnie z myślą o różnicach w zakresie posiadanej podmiotowości organizacyjnej. Typologię tę tworzą trzy typy państw: państwa-katalizatory, państwa przechwycone i państwa upadłe. Punktem odniesienia dla poniższej propozycji były oczywiście funkcjonujące w dyskursie politologiczno-socjologicznym typologie państw, a wśród nich w szczególności następujące koncepcje:

1. „Miękkie państwo” - jak powiedział w wywiadzie Jerzy Hausner: *Miękkie państwo to takie, które z jednej strony ma niewielką zdolność wypełniania swoich niezbywalnych funkcji, jak np. egzekucji prawa czy realizowania wielkich projektów infrastrukturalnych. Z drugiej strony przejawia skłonność do przejmowania zadań, które przynależą obywatelom. Takie państwo szuka klientów, a unika obywateli.*

2. „Silne państwo” - Francis Fukuyama definiuje takie państwo jako organizm nie tylko zdolny do realizacji zadań typowych dla państwa narodowego (edukacja, rządy prawa itp.), ale przede wszystkim zdolny do narzucania reguł, zasad uznanych przez siebie za pożądane i do wdrażania własnych polityk (Fukuyama rozróżnia między „możliwościami” państwa a jego „siłą” - *scope and strength*).
3. Państwa Centrum, Półperyferii i Peryferii - koncepcja I. Wallersteina pokazująca zależności między poziomami rozwoju krajów w różnych częściach świata oraz strukturalne ograniczenia rozwoju krajów słabiej rozwiniętych gospodarczo i cywilizacyjnie.
4. Państwo sieciowe - w koncepcji M. Castellsa etap rozwoju państwa narodowego, który oznacza akceptację konieczności współzależności suwerena (państwa) od zewnętrznych struktur i sieci aktorów. Państwo sieciowe buduje swoją pozycję poprzez płynne przechodzenie między różnymi



„węzłami władzy” i płynną realizację swoich interesów w zależności od poziomu suwerenności, na jaki pozwalają sieci, w których uczestniczy.

Państwa-katalizatory

Państwa-katalizatory (*catalytic states*) to termin ukształtowany przez Michaela Lindę, który przywołuję za książką Lindy Weiss „The myth of the powerless state. Governing the economy in a global era” (1998). Są to, jak pisze sama Weiss, państwa: *...starające się osiągnąć swoje cele, polegając mniej na własnych zasobach, a więcej na osiągnięciu dominującej pozycji w koalicjach z innymi państwami, transnarodowymi instytucjami lub grupami prywatnego sektora.*

Kategoria państw-katalizatorów uwzględnia podmiotowe działania podejmowane przez niektóre państwa, działania budujące ich pozycję międzynarodową. Państwa-katalizatory przyjmują aktywną postawę wobec procesów zmiany i podejmują działania zmierzające do umocnienia ich wpływu na te procesy. Jak pisze Michael Lind: *Państwo katalizator stara się odgrywać kluczową rolę w ukierunkowaniu konkretnej strategii koalicyjnej i osiągnięciu przez nią sukcesu, państwo to pozostaje jednak raczej niezależne od innych uczestników koalicji, bez względu na to, czy są nimi inne rządy, firmy czy nawet [...] społeczeństwo.*

Państwa-katalizatory to według Weiss kraje, które z zadowalającym dla siebie skutkiem stanowią elementy systemu UE, ASEAN czy NAFTA. Przykładami są Niemcy, Francja, Japonia, USA, Wielka Brytania, Australia, a więc państwa, które potrafią wykorzystać uczestnictwo w organizacji międzynarodowej dla uzyskania potrzebnych zasobów, bez zbytnej utraty samostawności. Takie „katalizatory” posiadają

między innymi zdolność do delegowania na forum organizacji międzynarodowych problemów, których same by nie rozwiązały. Angażują wówczas innych w działania, gdy jest to dla nich korzystne. Koalicje inicjowane przez państwa-katalizatory to zatem bardziej lub mniej trwałe sojusze z innymi państwami i prywatnymi podmiotami. Zawierane są na czas realizacji określonego zadania. Koalicje te nie muszą mieć charakteru prawnej, spisanej umowy. Mogą opierać się na przykład na nieformalnym porozumieniu przywódców.

Do grupy państw-katalizatorów należą wysoko uprzemysłowione kraje, głównie członkowie OECD, chociaż nie wszyscy, np. chociaż Polska jest w OECD, nadal nie ma moim zdaniem statusu państwa-katalizatora. Zauważamy jednak, że w ciągu ostatnich 10 lat do grupy tej „awansowały” na pewno dwa państwa – Chiny i Indie. Dziś niezwykle skutecznie wykorzystują one narzędzia ekonomiczne i polityczne do realizacji własnej podmiotowości.

Chińska Republika Ludowa jest dziś obok USA i Francji największym partnerem handlowym kontynentu afrykańskiego. Tylko pomiędzy rokiem 2002 a 2003 handel chińsko-afrykański podwoił się i osiągnął wartość 18,5 mld dolarów. W roku 2005 wartość obrotów handlowych między tymi regionami wzrosła zaś aż do 32 mld dolarów. Chiny importują dziś afrykańską ropę i minerały. Tworzą tam również swoje zakłady produkcyjne. Przy czym nie interweniują w polityczne sprawy wewnętrzne, dostarczając jednocześnie kompleksowego wsparcia gospodarczego. Przykładowo Angoli, która eksportuje 25% swojej ropy do Chin, Pekin zaoferował wart 2 mld dolarów pakiet pożyczek i pomocy w rozbudowie infrastruktury drogowej, szkół, szpitali.

Chiny budując swoją pozycję na kontynencie afrykańskim, korzystają z takich narzędzi wpływu, jak szerokie koalicje z afrykańskim biznesem, ale również wykorzystują instrumentarium organizacji międzynarodowych, angażując prawie 1500 swoich żołnierzy w operacje pokojowe ONZ w Afryce czy anulując 10 mld dolarów afrykańskich długów wobec Chin.

W Afryce Chiny odgrywają dziś kluczową rolę, określając na nowo pozycję tego kontynentu w globalnym systemie produkcji (np. w Afryce produkuje się część tekstyliów chińskich, obchodząc w ten sposób kontyngenty europejskie na ten typ chińskich towarów). Jako państwo-katalizator Chiny budują szeroki wachlarz stowarzyszonych organizacji (np. African Human Resources Development Fund), które wspomagają realizację interesów państwa chińskiego. Dzięki ważnej pozycji w Radzie Bezpieczeństwa ONZ budują zaś w Afryce swój pozytywny obraz i społeczny kapitał, wprowadzając

nowe standardy współpracy z lokalnymi władzami, odmienne od np. kolonizatorskich tendencji Francji i francuskich korporacji.

Scharakteryzowany tu typ państwa narodowego posiada wszelkie umiejętności właściwe dla globalnego podmiotu. Państwa-katalizatory skutecznie identyfikują potrzebne im zasoby (surowce, obszary wpływu jako symboliczny „surowiec” – przykładem są działania amerykańskie i rosyjskie w walce o sferę wpływów wokół Morza Kaspijskiego), konwertując je (np. Indie wykorzystują jako ekonomiczny zasób swoją mniejszość etniczną zamieszkującą wybrzeże Kenii), wyznaczają nowe trendy w technologiach (jak Japonia, która przez większą część lat 80. i 90. XX wieku dawała impulsy do rozwoju nowych technologii).

Między innymi właśnie ze względu na takie procesy Antoni Z. Kamiński i Bartłomiej Kamiński, opisując problem korupcji w skali globalnej, piszą, że tezy o wycofaniu państwa są zbyt daleko posunięte. Przychylają się raczej do tezy przeciwnej i przytaczają myśl Martina Wolfa, że: *...globalizacja następuje nie za sprawą losu, lecz wyboru lub wielkiej liczby wyborów dokonanych przez państwa narodowe. Może ona [globalizacja - J.S.] pogłębiać się tylko o tyle, o ile zezwolą na to rządy narodowe.*

Warto zwrócić tu uwagę, że kraje wykazujące cechy fukuyamowskiego silnego państwa, zachowują się w sposób właściwy dla krajów Centrum (w świetle koncepcji Wallersteina), to znaczy budują takie struktury w gospodarce, które czynią z nich beneficjentów, przerzucając jednocześnie koszty do krajów półperyferii i peryferii. W ten sposób powstają między tymi sferami struktury zależności, które bardzo trudno pokonać (czego przykładem w ostatnich dziesięcioleciach stały się oczywiście Chiny i Indie).

Państwa przechwycone

Drugim typem państw są tzw. państwa przechwycone (*captive state*). Jeden z raportów Banku Światowego z roku 2000 podaje: *Wszystkie formy zawłaszczenia państwa skierowane są na uzyskanie od państwa renty dla małej grupy jednostek, co potencjalnie może spowodować ogromne straty dla społeczeństwa jako całości.*

Jak piszą Antoni i Bartłomiej Kamińscy, zjawisko przechwycenia państwa (*state capture*) polega na zawłaszczaniu sfery publicznej, często z zastosowaniem praktyk korupcyjnych, co prowadzi do zniekształcania reguł funkcjonowania państwa w sposób korzystny dla grupy przechwytywającej. Efektem takich praktyk jest właśnie przechwycone państwo, a więc podmiot działający, realizujący określone potrzeby obywateli (w przeciwieństwie do państwa upadłego, o którym poniżej), ale w swoim rdzeniu

Tylko pomiędzy rokiem 2002 a 2003 handel chińsko-afrykański podwoił się. W roku 2005 wartość obrotów handlowych między tymi regionami wzrosła aż do 32 mld dolarów. Chiny importują dziś afrykańską ropę i minerały. Zakładają tam również swoje zakłady produkcyjne. Przy czym nie interweniują w polityczne sprawy wewnętrzne, dostarczając jednocześnie kompleksowego wsparcia gospodarczego.



©stttijn, flickr.com/photos/stttijn/5552019097/

pracujący głównie na rzecz nieformalnych grup, które decydują o wprowadzaniu korzystnych dla siebie reguł życia politycznego i gospodarczego.

Grupami, które mogą prowadzić do przechwycecia państwa bywają pozapaństwowi aktorzy (PPA), zwłaszcza, gdy ich interesy grupowe są odmienne od określonych interesów państwowych. PPA zmierzając do realizacji swoich interesów mogą wykorzystać struktury administracyjne, polityczne czy ekonomiczne słabszych państw. Janine Wedel opisując zjawisko przechwycecia państwa, wskazuje na proces „wplatania” nieformalnych sieci powiązań w legalny system państwowy. Nieformalne grupy interesów – próbując stać się niewidzialne w ten sposób dla reszty społeczeństwa – „podłączają się” pod legalne instytucje, co pomaga im osiągać założone cele.

W państwie przechwyconym spłot legalnego i nielegalnego realizuje się zatem na korzyść tego ostatniego. Podmiotami decyzyjnymi stają się zaś nieformalne kliki, które formułują zasady działania

w państwie w sposób korzystny dla siebie, drenując zasoby publiczne i wykorzystując je do własnych celów. Zjawisko konfliktu interesów staje się w takim wypadku tolerowanym mechanizmem, który nie skłania żadnych aktorów do podjęcia działań zabezpieczających przed takimi konfliktami.

Proces przechwytywania państwa dokonuje się poprzez stworzenie specyficznego połączenia prywatnych dążeń z publicznymi zasobami. Zjawisko to przedstawił m.in. Krzysztof Jasiński, analizując spłoty biznesu i polityki w Polsce po 1989 roku. Jasiński między innymi pokazał typy strategii działania środowisk gospodarczych, prezentując, jak „naturalnym” elementem tych strategii stały się nieformalne powiązania biznesu ze światem polityki. W wyniku powstania sieci takich powiązań publiczne zasoby (np. firmy z udziałem Skarbu Państwa, państwowe kontrakty) mogą być przechwycone przez nieformalne grupy interesów powstałe w danym państwie. Grupy te wykorzystują znajomość lokalnych realiów

oraz swoje ukryte zasoby, często w postaci starych klientelistycznych sieci. W ten sposób uzyskują wpływ na gospodarkę i politykę, który można określić mianem swoistej „kolonizacji” państwa.

Przechwycenie publicznych zasobów w gospodarce może dokonać się przez legalny lobbing, sponsoring partii czy porozumienia handlowe osiągnięte przez nieformalne sieci biznesowo-polityczne. Jak pokazuje George Monbiot, lokalni politycy i instytucjonalni nomadzi mogą na drodze prawie zupełnie legalnych metod działania przechwycić publiczne zasoby. Kluczowym aspektem procesów przechwytywania państwa jest powstanie systemu gospodarczo-politycznego, który charakteryzuje się:

1. niższym niż w państwach-katalizatorach rozwojem gospodarczym;
2. ograniczoną suwerennością na polu artykulacji decyzji o kierunkach rozwoju;
3. ograniczonym zakresem realizacji społecznych potrzeb;
4. zmniejszającym się zakresem oddziaływania sektora publicznego na rzecz zwiększenia roli prywatnego sektora.

Państwa przechwyczone nie uzyskują globalnej podmiotowości, ponieważ w wyniku wykorzystania ich struktur przez nieformalne grupy, zdolność tych państw do tworzenia impulsów strategicznych, a więc umiejętności tworzenia dla siebie m.in. sprzyjającego środowiska działania, jest prawie żadna. Poziom uczestnictwa państw przechwyczonych w ponadnarodowych relacjach również jest niski i wiąże się zazwyczaj z udziałem w koalicjach inicjowanych przez państwa-katalizatory. Państwa przechwyczone nadal są jednak uczestnikami procesów międzynarodowych i są rozpoznawane przez organizacje międzynarodowe jako stabilni partnerzy. Przykładami takich państw są m.in. Polska, Meksyk, Bułgaria, Kazachstan, Argentyna, a więc kraje, które ciągle zmagają się z niedokończonym kapitalizmem² objawiającym się niepełnym zmodernizowaniem otoczenia instytucjonalnego gospodarki, a także instytucjami regulacyjnymi przejętymi przez grupy interesów (zjawisko *regulatory capture* opisane przez George’a J. Stieglera – zob. Afeltowicz 2010³), a mimo tego są częścią organizacji regionalnych (UE, NAFTA, Mercosur) i sprawnie realizują podstawowe zadania państwa narodowego.

Kraje te zatem, używając terminologii Fukuyamy, mają liczne możliwości (*scope*), ale brakuje im ciągle siły (*strength*) do wprowadzania własnych polityk lub do bycia liderem na arenie regionalnej czy międzynarodowej⁴. Wykazują również cechy właściwe dla opisanego przez Hausnera i Marody „miękkiego państwa”.



©©© wyjęte z: flickr.com/photos/wyllepoon/488389053/

Meksyk jako kraj członkowski NAFTA i bezpośredni sąsiad Stanów Zjednoczonych od lat zmagają się z problemem przechwycenia państwa. Wysoki poziom korupcji w sektorze publicznym doprowadził do tego, że sferze administracji utrwaliły się niedobre praktyki – np. proces podejmowania decyzji rzadko bywa dokumentowany w całej rozciągłości. Niejasne procesy wyłaniania publicznych kontrahentów przebiegają w Meksyku często przy minimalnej dokumentacji, co utrudnia dotarcie do prawdziwych decydentów. Gospodarcze i polityczne elity Meksyku stanowią środowisko zintegrowane kulturowo, które podobnie jak to dzieje się w wielu innych latynoamerykańskich krajach, nie podejmuje prób zniwelowania społecznych dystansów w swoich relacjach z resztą społeczeństwa. Nieformalne grupy interesów funkcjonują we wszystkich sektorach, powodując, że wiele publicznych zadań nie jest realizowanych w stopniu społecznie oczekiwanym (m.in. w edukacji i usługach komunalnych).

Charakterystyczne dla większości przechwyczonych państw jest zastępowanie publicznych monopolu prywatnymi monopolami. W Meksyku, podobnie jak w Polsce, największa sieć telekomunikacyjna



została sprywatyzowana, ale nie zmieniło to jej monopolistycznej pozycji.

Meksykańską politykę wewnętrzną charakteryzuje tendencja do utrzymywania enklaw ustabilizowanej władzy, takich jak media, policja czy sądownictwo, w których zmiany zachodzą bardzo powoli, a efektywność działania nie jest istotnym czynnikiem.

Meksyk jako przechwycone państwo nie jest lide-rem zmian ani w swoim regionie, ani w skali międzynarodowej. Niski poziom zaufania społecznego, wysoki wskaźnik korupcji nie sprzyjają zaś rozwojowi społecznemu, innowacjom technologicznym czy organizacyjnym. Na szerszą skalę czynniki te blokują też możliwości Meksyku w zakresie pełnego wykorzystania szans płynących z członkostwa w NAFTA.

Państwa upadłe

Trzeci typ państw to tzw. państwa upadłe (*collapsed, failed states*). W ich przypadku należy mówić raczej o fragmentarycznych (szczątkowych) strukturach politycznych, które często nie wypełniają najważniejszych funkcji przynależnych państwu. Państwo upadłe bywa państwem jedynie z nazwy. Jego obywatele⁵ nie mogą liczyć na żadne wsparcie ze

strony instytucji publicznych (takim państwem jest np. Sudan, którego agendy rządowe w zasadzie nie realizują obecnie prawie żadnej systemowej polityki). W takich krajach interesy obywateli i ich społeczne potrzeby nie są w realizowane poprzez politykę instytucji państwowych.

Zjawiskiem pokazującym zakres niemożności prowadzenia polityki jest w przypadku Somalii problem zagranicznych okrętów, które swobodnie wpływają na wody terytorialne tego kraju, by wylać do morza toksyczne odpady będące efektem eksploatacji statku. Czasem te toksyczne „odrzuty” przybierają nawet postać całych wraków okrętów porzuconych na wodach terytorialnych Somalii. Jak dotąd agendy somalijskie nie potrafiły zająć się tym poważnym z punktu widzenia prawa międzynarodowego i zasad ekologii procederem⁶.

Innym przejawem upadku somalijskiego państwa jest zjawisko piractwa, które zwłaszcza w ostatnich kilku latach rozwinęło się na skalę trudną do ignorowania. Coraz zuchwalsze porwania okrętów przepływających u wybrzeży Somalii stały się swoistą branżą lokalnej gospodarki. Szacuje się, że w roku 2008 ugrupowania somalijskich piratów otrzymały ogółem 150 milionów dolarów okupu za porwane statki⁷. A zarobione w ten sposób środki podlegają procesowi prania brudnych pieniędzy za pomocą inwestycji na rynku nieruchomości w sąsiedniej Kenii – jak się uważa, to właśnie inwestorzy-piraci spowodowali wzrost cen na tamtejszym rynku⁸.

Według „Indeksu Upadłych Państw”, przedstawionego przez portal Foreign Policy, pierwszą dziesiątkę takich krajów tworzą w kolejności od pierwszego miejsca: Sudan, Irak, Somalia, Zimbabwe, Czad, Wybrzeże Kości Słoniowej, Kongo, Afganistan, Gwinea, Haiti. Jak piszą twórcy tego zestawienia, upadek państwa charakteryzuje dwanaście wskaźników – m.in. korupcja, przestępczość, niezdolność do poboru podatków, przymusowe przesiedlenia obywateli, kryzys gospodarczy, wysoki poziom nierówności społecznych, brak realizacji zadań publicznych, zniszczenie środowiska, ale również odpływ wykształconych obywateli (tzw. drenaż mózgów). Na to nakładają się zewnętrzna interwencja (zbrojna lub gospodarcza) i łamanie praw człowieka. Kluczowym czynnikiem jest fakt, iż na terytorium upadłego państwa administracja publiczna nie panuje już nad podległym oficjalnie obszarem geograficznym (granice są płynnie przekraczane i niekontrolowane), rozwijają się władze klanowe, zorganizowane działania siłowe podejmowane są także przez grupy o charakterze niepaństwowym, prywatnym.

Upadłe państwa stanowią zagrożenie nie tylko dla swoich obywateli. Europejska Strategia Bezpieczeństwa określa sytuację „upadku państwa” jako jedno

z ważniejszych zagrożeń współczesności, wskazując w szczególności na potencjalne zagrożenia płynące z tego procesu dla UE. Upadek państwa prowadzi bowiem do rozkładu sektora bezpieczeństwa w danym kraju, co sprzyja pojawieniu się w nim – a następnie wzmocnieniu – grup przestępczych i terrorystycznych, które później infiltrują państwa rozwinięte. Słabe państwa stanowią zatem duże obciążenie dla globalnego systemu organizacji międzynarodowych. Państwa te wymagają nieustannego monitorowania i pomocy. Ich znaczenie wzrasta jednak, gdy na ich obszarze znajdują się cenne surowce. Wówczas państwa-katalizatory mogą podjąć próby stworzenia stabilnych enklaw, wspomagających eksploatację określonych surowców.

Państwo jako podmiot globalizacji?

Wśród przedstawionych typów współczesnych państw narodowych można wyróżnić rodzaj organizmu państwowego, który może być podmiotem globalnym. Jest to państwo-katalizator. W przeciwieństwie do państw przechwyconych czy upadłych, działa ono według formuły pozwalającej im na korzystanie z procesów globalizacji w sposób dla siebie dogodny⁹, wykazując cechy „silnego państwa” (w kategoriach Fukuyamy). Kraje te potrafią wykorzystać posiadane zasoby (np. technologie powstające w firmach z udziałem skarbu państwa) do zdobywania dalszych dóbr. Aktywnie działają na forach organizacji międzynarodowych i przede wszystkim systemowo podchodzą do problemu wykorzystywania swojej międzynarodowej obecności (działają ponadnarodowo)¹⁰. Gdy dziś mówimy o świecie wielobiegunowym i o braku jednego mocarstwa globalnego, być może kategoria państwa-katalizatora może odgrywać zastępczą rolę względem tradycyjnego „imperium”.

Podobnie jednak jak w przypadku organizacji międzynarodowych, państwa-katalizatory funkcjonują na polach działania pozapaństwowych aktorów. Przecinające się drogi korporacji transnarodowych i dyplomacji państwowej, zatrudnianie firm PR przez administracje państwowe – takie między innymi procesy skłaniają do namysłu nad tym, czyje interesy reprezentuje państwo. W sytuacji, gdy przedsiębiorcy tworzą sieci dystrybucyjne uwzględniające kraj pochodzenia kooperantów, gdy międzynarodowe banki komercyjne faworyzują wnioski kredytowe

wielkich korporacji ze swoich rodzimych krajów, oddziaływania PPA i państw mieszają się.

Na podstawie powyższej charakterystyki można wymienić trzy typy globalnych aktorów – PPA, państw-katalizatorów i organizacji międzynarodowych. Relacje między nimi nie są jednak symetryczne i szala przechyla się często na stronę zdominowaną przez interesy PPA. To właśnie PPA znajdują się bowiem w centrum globalnych koalicji i to środowisko PPA jest ośrodkiem generowania impulsów strategicznych, które w dalszej kolejności mogą być nawet korzystne dla państw. ✖

Powyższy tekst to rozdział niedawno wydanej książki Autorki pt. „Instrumentarium globalnego panowania. O podmiotowych aspektach globalizacji”. W przedrukowanym fragmencie pominięto wstęp, liczne odnośniki o charakterze bibliograficznym oraz niewielkie wzmianki nawiązujące do innych fragmentów tej rozprawy. Książkę można nabyć w sprzedaży wysyłkowej u wydawcy: <http://sklep.zysk.com.pl>.

Przypisy:

1. Wśród innych ciekawych typologii państw, które jednak nie stały się dla mnie punktem odniesienia, jest koncepcja U. Becka państw etnicznych, liberalnych i transnarodowych.
2. Jak określiła to Jadwiga Staniszkis w książce *Postkomunizm* (2001).
3. Łukasz Afeltowicz jako przykład działania *regulatory capture*, a jednocześnie *state capture*, pokazuje polski przypadek afery związanej z tzw. Trójkątem Buczacza, w wyniku której wąska grupa interesów przywłaszczyła sobie (używając funkcji urzędniczych) mienie publiczne.
4. W przypadku Polski widać to po zakończeniu okresu prezydentury w UE, która nie przełożyła się na zmianę pozycji negocjacyjnej Polski w sprawach strefy euro.
5. Wydaje się zresztą, że w przypadku *collapsed states* trudno nawet mówić o „obywatelach”, bo w obliczu braku polityki państwowej poczucie obywatelstwa nie ma szans się wykształcić. Trzeba by więc chyba raczej mówić o „osobach zamieszkujących teren danego państwa”.
6. Źródło: http://www.newscientist.com/article/mg13518390_400-toxic-waste-adds-to-somalias-woes-.html (dostęp: kwiecień 2010).
7. Źródło: www.afryka.org/?showNewsPlus=3415 (dostęp: styczeń 2010).
8. Źródło: www.afryka.org/?showNewsPlus=4832 (dostęp: styczeń 2010).
9. Jak pokazuje w książce *Gry o przyszłe światy* Lech Zacher (2006), najsilniejsze mocarstwa podejmują liczne działania zmierzające w kierunku przewidzenia przyszłych trendów gospodarczych i politycznych.
10. Tak na przykład działali szwedzcy dyplomaci, gdy przy każdej okazji zachwalali w Polsce samoloty wielozadaniowe Gripeny.

GOSPODARKA SPOŁECZNA

Nr 11 (16)
MMXIII

DODATEK EKONOMICZNY DO KWARTALNIKA „NOWY OBYWATEL”

W WYDANIU

**70 Wieczny kryzys
mieszkaniowy**

ROZMOWA
Z DR IRENĄ HERBST

**78 Wspólne dobro tanio
sprzedam**

BARTOSZ OSZCZEPALSKI

**86 Społeczna gospodarka
rynkowa - wzloty
i powroty**

KRZYSZTOF MROCZKOWSKI

**94 Socjalizm
w amerykańskim stylu**

GAR ALPEROVITZ

**100 Nowa alternatywa:
związki
ze spółdzielniami**

JOHN CLAY

Wieczny kryzys mieszkaniowy

z dr Ireną Herbst
rozmawia Krzysztof Wołodźko

- **Zacznijmy od naszkicowania ogólnego obrazu. Jaka jest sytuacja na rynku mieszkaniowym w III RP? Jakie są jego cechy szczególne i jakie mankamenty?**

- **Irena Herbst:** W Polsce brakuje świadomości realizowanej polityki sterowania rynkiem aby osiągnąć pożądane cele. Owszem, występują regulacje, jak na całym świecie, ale nie są one nakierowane na stymulację określonych, pożądanych przez państwo działań podmiotów rynkowych. W efekcie tego cele zapisane w polityce mieszkaniowej państwa nie są spełniane, a z pewnością nie służą poprawie potrzeb mieszkaniowych w Polsce. Co gorsza, wydajemy naprawdę dużo pieniędzy na stymulację zachowań, które utrwalają nierównowagę na rynku mieszkaniowym.

W początkach transformacji trudno w ogóle było mówić o typowym rynku mieszkaniowym. Mieliśmy bardzo wysoki poziom niezaspokojonych potrzeb tego typu - jeden z największych w Europie niedoborów mieszkań w stosunku do ilości gospodarstw domowych. Co więcej, nie istniała własność mieszkań, wysokość czynszu ustalano w ministerstwie budownictwa - jednakową dla wszystkich miast i gmin w Polsce. Na tym polegał centralny tryb zarządzania. To nie mogło działać i nie działało.

Bardzo często mówi się, że przed 1989 rokiem budowano więcej mieszkań niż teraz. To nie do końca jest prawdą, ponieważ dane statystyczne w tamtym okresie były często fałszowane. Jako o mieszkaniach oddanych do użytku mówiono o takich, które nie były jeszcze gotowe. W rzeczywistości nigdy nie budowaliśmy tych często przywoływanych 250 tys. mieszkań rocznie.

- **W jednym z wywiadów mówiła Pani, że obecnie buduje się podobną ilość mieszkań co w schyłkowym okresie Polski Ludowej.**

- Buduje się trochę mniej niż w końcówce PRL. Wynika to z wielu względów, m.in. z tego, że nie stawia się mieszkań w systemie wielkopłytowym, w którym powieliło się „komórki do wynajęcia”, skupione w jednym miejscu. Jednak w stosunku do początku lat 90. budujemy dziś tyle samo, może trochę więcej. Właściwie nic się nie zmieniło przez te dwadzieścia kilka lat. Kryzys mieszkaniowy trwa w Polsce od wielu dekad. I co więcej, ma on charakter strukturalny, nie koniunkturalny.

To wszystko powinno dać do myślenia obecnym decydom w zakresie praktyki mieszkaniowej w Polsce. Instrumenty, którymi się posługują, mają



© Maciek Lulko, flickr.com/photos/lulek/10418218723/

charakter oddziaływania interwencyjnego, związanego z cyklem koniunkturalnym, ale nie prowadzą do rozwiązania problemu. Mniej więcej od 2008 r. stosujemy wyłącznie wsparcie dla mieszkań nabywanych na własność, tym samym pogłębiając nierównowagę istniejącą na rynku. Mimo że od czasu urynkwienia gospodarki i uracjonalnienia przesłanek decyzji mieszkaniowej minęło ponad 20 lat, Polska nadal jest w absolutnym ogonie krajów europejskich, jeśli idzie o ilość budowanych mieszkań, ich zagęszczenie, wyposażenie w media, stan techniczny. W niektórych kategoriach za nami są jeszcze Bułgaria i Rumunia, ale w kilku innych zajmujemy kompromitujące ostatnie miejsce.

- Co jest istotą tego strukturalnego problemu?

- W połowie lat 90. została opracowana polityka mieszkaniowa, która formułowała cele i narzędzia ich realizacji. Najważniejszym założeniem było odejście od uspołeczniania ekonomii na rzecz podniesienia jej finansowej racjonalności. To było słuszne. Jednak mieszkanie jest dobrem specyficznym, zaspakaja ogromną ilość potrzeb człowieka, od biologicznych przez kulturowe po zawodowe. Jest równocześnie dobrem wyjątkowo drogim, kosztuje wielokrotność

rocznych dochodów przeciętnej rodziny. W związku z tym nie ma takiego kraju, w którym wszystkie mieszkania byłyby własnościowe. Naszym zadaniem jako państwa demokratycznego, które zakłada solidarność i równość w dostępie do dóbr i usług, jest przede wszystkim konieczność zapewnienia ludziom pomocy i dachu nad głową, w drugiej kolejności wsparcie w dochodzeniu do własności mieszkania.

W każdym kraju, bogatym czy biednym, istnieje znaczna grupa ludzi, których nie stać na zakup własnego mieszkania. W Polsce struktura własności jest patologiczna: mamy 20 proc. mieszkań na wynajem, a 80 proc. prywatnych. To oznacza, że potrzebne są ogromne przedsięwzięcia ze strony państwa w zwiększaniu dostępu do dachu nad głową, bo w przeciwnym razie, w dłuższej perspektywie, ludzie będą lądować na dworcach. Od lat 2004-2005 znaczne środki przeznacza się na budowę noclegowni i innych tego typu ośrodków, które przestają być jedynie miejscem tymczasowego zamieszkania. Jeżeli nie zmienimy tej polityki, prędzej czy później nastąpi bunt społeczny. Bo co oznacza tylko 20 proc. mieszkań na wynajem? Przede wszystkim to, że opóźnimy wszelkie możliwe procesy dostosowawcze na rynku pracy, hamujemy możliwość wewnętrznej

migracji za pracę. Pośrednio zwiększamy w ten sposób wydatki na pomoc publiczną i petryfikujemy różnice między poszczególnymi regionami kraju. To powoduje także, iż łatwiej jest emigrować za pracę do Anglii, Irlandii czy Niemiec, niż próbować odnaleźć się tutaj, wyjeżdżając np. do innego regionu. Tam dostępna jest nie tylko praca, ale i mieszkania.

- Model rynku mieszkaniowego à la III RP od początku obarczony był tak poważną wadą systemową?

- Byłam jedną z autorek programu przemian w tej dziedzinie. Razem z Andrzejem Bratkowskim przygotowałam w 1992 r. - na prośbę Jacka Kuronia - memoriał mieszkaniowy. Propozycje rozwiązań wzorowaliśmy na tych stosowanych na Zachodzie, mieliśmy wsparcie z Francji, Holandii i Wielkiej Brytanii. Trwało to dobrych kilka lat. W tamtym czasie zajmowałam się naukowo ekonomią mieszkalnictwa, rozwojem miast.

Sformułowana w połowie lat 90. polityka mieszkaniowa wprowadzała nie tylko elementy, które są właściwe dla gospodarki rynkowej, poczynając od restytucji prawa własności, poprzez czynsze, uwzględniające koszty eksploatacji, a kończąc na kredytowaniu opartym o zastaw hipoteczny. Formułując politykę mieszkaniową, przyjęliśmy następujące założenie: uruchamiamy kilka programów wsparcia - skierowanych do grup o różnym stopniu zamożności, zaczynając od sektora budowy mieszkań na wynajem o umiarkowanych czynszach. Miały one z biegiem czasu zastąpić sektor mieszkań komunalnych. Jestem zresztą ich zdecydowaną przeciwniczką. Uważam, że gmina nie powinna zarządzać mieszkaniami, nawet

jeśli jest ich właścicielem. Z prostej przyczyny: urzędnik robi to gorzej.

Wprowadziliśmy na rynek nowy rodzaj inwestora, instytucję znaną dziś jako Towarzystwa Budownictwa Społecznego (TBS), nawiązującą w nazwie do przedwojennych inicjatyw spółdzielczości mieszkaniowej. Są to spółki prawa handlowego, które muszą kierować się rachunkiem ekonomicznym. Bardzo nam zależało, żeby nie były to jednostki budżetowe aparatu gminnego, urzędniczego.

Przy opracowaniu reformy mieszkaniowej otrzymaliśmy dużą pomoc merytoryczną z Francji i Anglii, a reformy czynszów - ze Stanów Zjednoczonych. Ta ostatnia sprowadzała się do uniezależnienia kwestii racjonalności ekonomicznej, określającej niezbędną wysokość czynszu, od kwestii tego, ile powinien płacić lokator. Ustawa, która to regulowała, nazywała się: „O wynajmie lokali i dodatkach mieszkaniowych”. Za rządów premiera Buzka została ona przerobiona na ustawę o ochronie lokatorów...

- To źle?

- Poprzednia ustawa mówiła, że czynsz powinien być ekonomiczny. Powinien pozwalać na pokrycie kosztów eksploatacji, akumulację środków na remont kapitalny. Stan techniczny mieszkań w Polsce jest fatalny, w okresie PRL nie zbierano praktycznie żadnych środków na ten cel. Dlatego kamienice w Polsce wciąż wyglądają tak, jak wyglądają. Ustawa mówiła też, że przez dziesięć lat czynsz nie powinien przekraczać 3 proc. wartości odtworzenia, a następnie powinien zostać uwolniony. W nowej ustawie czynszów nie uwolniono.



© RedKoala1, flickr.com/photos/redkoala1/5441309093/

Wysokość czynszu to obecnie zazwyczaj około 1 proc., a powinna kształtować się na poziomie około 5 proc. wartości odtworzenia. Gminy jednak nie mają środków na zwiększenie dodatków mieszkaniowych, a właśnie druga część tej ustawy mówiła, że gmina/ państwo powinny zapewniać dodatek mieszkaniowy ludziom, których nie stać na płacenie uwolnionego czynszu. Początkowo udało nam się wywalczyć, że 50 proc. tego dodatku płaciła gmina, a resztę dopłacało państwo. Później państwo z tego zrezygnowało i gminy również chciały się wycofać. Gdyby gminy podniosły czynsze, musiałyby dopłacać więcej. Jednak dopłacać nie chcą/nie mogą, zatem bezpieczniej jest nie podnosić czynszu. Jest to racjonalne politycznie i społecznie, ale nie ekonomicznie. Gdyby został zachowany pierwotny model, mielibyśmy dzisiaj o wiele lepszą sytuację. Ustawa o ochronie lokatorów w dzisiejszej formie jest nieefektywna. Trzeba ją zmienić. Jednak musi być także wyraźnie powiedziane, że państwo ma obowiązek utrzymywania pewnych standardów na szczeblu krajowym i lokalnym. Te cywilizacyjne normy polegają na tym, że trzeba odtwarzać kapitał mieszkaniowy, bo inaczej nasze wnuki będą mieszkali w slumsach. Jednak potrzebne są także pieniądze na dodatki mieszkaniowe.

Do 2008 r. realizowano projekt budowy mieszkań na wynajem. Zostało zbudowanych 100 tys. mieszkań. W 2009 r. zlikwidowano ostatecznie Krajowy Fundusz Mieszkaniowy. KFM zlokalizowany w Banku Gospodarstwa Krajowego udzielał kredytów preferencyjnych na budowę mieszkań na wynajem o umiarkowanych czynszach; wysokość czynszów nie mogła być wyższa niż 4 proc. wartości odtworzenia. Na ten cel przez kilkanaście lat wydatkowano z budżetu państwa 4 mld złotych. Ponadto Bank Gospodarstwa Krajowego pożyczył na ten cel 2 mld za granicą.

Kredyty TBS-owskie są znakomicie spłacane, mamy poniżej 2 proc. nieregularnej spłaty. Spłaty kredytów zasilają BGK. Kwota spłat pozwoliłaby w zupełności na budowę dalszych mieszkań na wynajem o umiarkowanych czynszach, bez konieczności sięgania po środki z budżetu państwa. Na tym zresztą polega przewaga instrumentów dłużnych nad dotacjami – udzielone wsparcie finansowe jest zwracane i może nadal służyć celom publicznym. Niestety, program został zamknięty. Kredyt preferencyjny, instrument, który zastosowaliśmy ponad 20 lat temu, dziś jest powszechnie zalecany w Unii Europejskiej jako alternatywa dla dotacji.

W przyjętej w latach 90. polityce mieszkaniowej zawarty był także moduł wspierania dochodzenia do własności mieszkania. Przewidziano znaczne ulgi podatkowe dla ludzi, którzy budowali mieszkania z myślą o ich wynajmowaniu. Po kilku latach od ich



HE RB ST

Dr Irena Herbst - ekonomistka; obszar jej zainteresowań obejmuje finanse publiczne, PPP, mieszkalnictwo, gospodarowanie nieruchomościami, ekonomię społeczną, wykorzystywanie funduszy europejskich. Związana przez wiele lat z sektorem publicznym; pracowała jako podsekretarz stanu w ministerstwie gospodarki w latach 2002-2005 (odpowiedzialna za rozwój regionalny i inżynierię finansową dla celów absorpcji środków unijnych), wiceprezes zarządu Banku Gospodarstwa Krajowego w latach 1996-2002 (nadzorująca działania Krajowego Funduszu Mieszkaniowego oraz innych programów rządowych), podsekretarz stanu w ministerstwie gospodarki przestrzennej i budownictwa w latach 1992-1996 (odpowiedzialna za reformę finansowania budownictwa). Autorka rządowych programów finansowania mieszkalnictwa (1992-2002) i wspierania przedsiębiorczości: „Kapitał dla przedsiębiorczych” (2002) oraz ustaw: „O niektórych formach wspierania budownictwa mieszkaniowego” (1995), o „Funduszu Rozwoju Inwestycji Komunalnych” (2003), o „Funduszu Poręczeń Unijnych” (2004) oraz o „Krajowym Funduszu Kapitałowym i Partnerstwie publiczno-prywatnym” (2005). Autorka kilkudziesięciu publikacji poświęconych budownictwu mieszkaniowemu, partnerstwu publiczno-prywatnemu, finansowaniu podmiotów ekonomii społecznej.

wprowadzenia zostały zniesione, z wielką szkodą dla sprawy. Główny, populistyczny argument za likwidacją brzmiał: „to była tylko opcja dla bogatych”. Jednak mieszkania budują/kupują tylko tacy, których dochody są wyższe od średniej krajowej... Przecież tak naprawdę potrzebujemy i wsparcia dla budownictwa na własność, i dla mieszkań na wynajem.

- Z jaką sytuacją mamy do czynienia obecnie?

- Polityka mieszkaniowa nie jest realizowana, likwiduje się sukcesywnie program po programie. Od 2008 r. zastąpiono projekt mieszkań na wynajem programem „Rodzina na swoim”, nakierowanym na kupno mieszkania. W dodatku kredyt preferencyjny zastąpiono dotacją, więc nic już nie wraca do puli środków,

które można by wykorzystać na budowę kolejnych mieszkań. Program objął ponad 200 tys. mieszkań, ale połowa przeznaczonych na nie środków to kredyty na rynek wtórny. Uelastycznienie rynku wtórnego jest potrzebne, ale trzeba pamiętać, że wsparcie finansowe zakupów na nim nie uruchamia na szerszą skalę procesów gospodarczych - inwestycje w nowe budownictwo zastępowane są remontami mieszkań, nawet nie budynków. Wsparcie jest zatem mniej efektywne.

Co więcej, wybór instrumentu wsparcia - dotacji (finansowanie przez 8 lat części płaconych odsetek z tytułu zaciągniętego kredytu) jest mocno kontrowersyjny. Po pierwsze te środki nigdy już do systemu wsparcia nie wrócą. Po drugie nikogo nie interesuje, co nastąpi po upływie tych 8 lat. Przecież może być tak, że niemożność spłaty kredytu zmusi poszczególne osoby do sprzedaży tych mieszkań z dużą stratą itd. Jednak istotniejsze jest to, że przeznaczono na ten cel 7 mld złotych. Jest to zatem program prawie 2 razy droższy niż program TBS-ów.

- Kto na tym zarabia?

- Teoretycznie podstawowym beneficjentem powinna być rodzina, która kupuje mieszkanie. Jednak wszystkie badania pokazują, że $\frac{2}{3}$ kwoty przeznaczonej na wsparcie trafia do banków jako marże, które natychmiast wzrosły, a także na marże - czyli zysk - deweloperów.

- Dlaczego?

- Podstawową słabością polskiego rynku mieszkaniowego nie jest sztywny popyt, lecz sztywna podaż. Mamy dobrze funkcjonujący rynek dłużnego finansowania mieszkaniowego. Jeśli przy sztywnej podaży wspieramy finansowo popyt, to automatycznie rosną ceny.

Kończąc ten wątek: około miesiąc temu w prasie, radiu i telewizji pojawiły się informacje, że BGK uruchamia wreszcie program budowy mieszkań na wynajem. Ma powstać zamknięty fundusz inwestycyjny, w ramach którego za 5 mld złotych zostanie wybudowane 20 tys. mieszkań. I znowu jest to w takim razie projekt wielokrotnie droższy niż poprzednio funkcjonujący. Na budowę 100 tys. mieszkań TBS-owskich wydatkowano ok. 6 mld zł. Wyraźnie ktoś ma za dużo pieniędzy albo za mało wiedzy.

- Rozumiem, że od lat brakuje myślenia?

- Nie istnieje żaden poważny ośrodek strategiczny, nie ma celowej, długoterminowej polityki w tym zakresie. Wszelkie ustawy i kształt tego, co się nazywa „programami mieszkaniowymi”, to efekt tego, co udało się wytargować z kolejnymi ministrami finansów. Ta niekompetencja jest bardzo kosztowna społecznie,



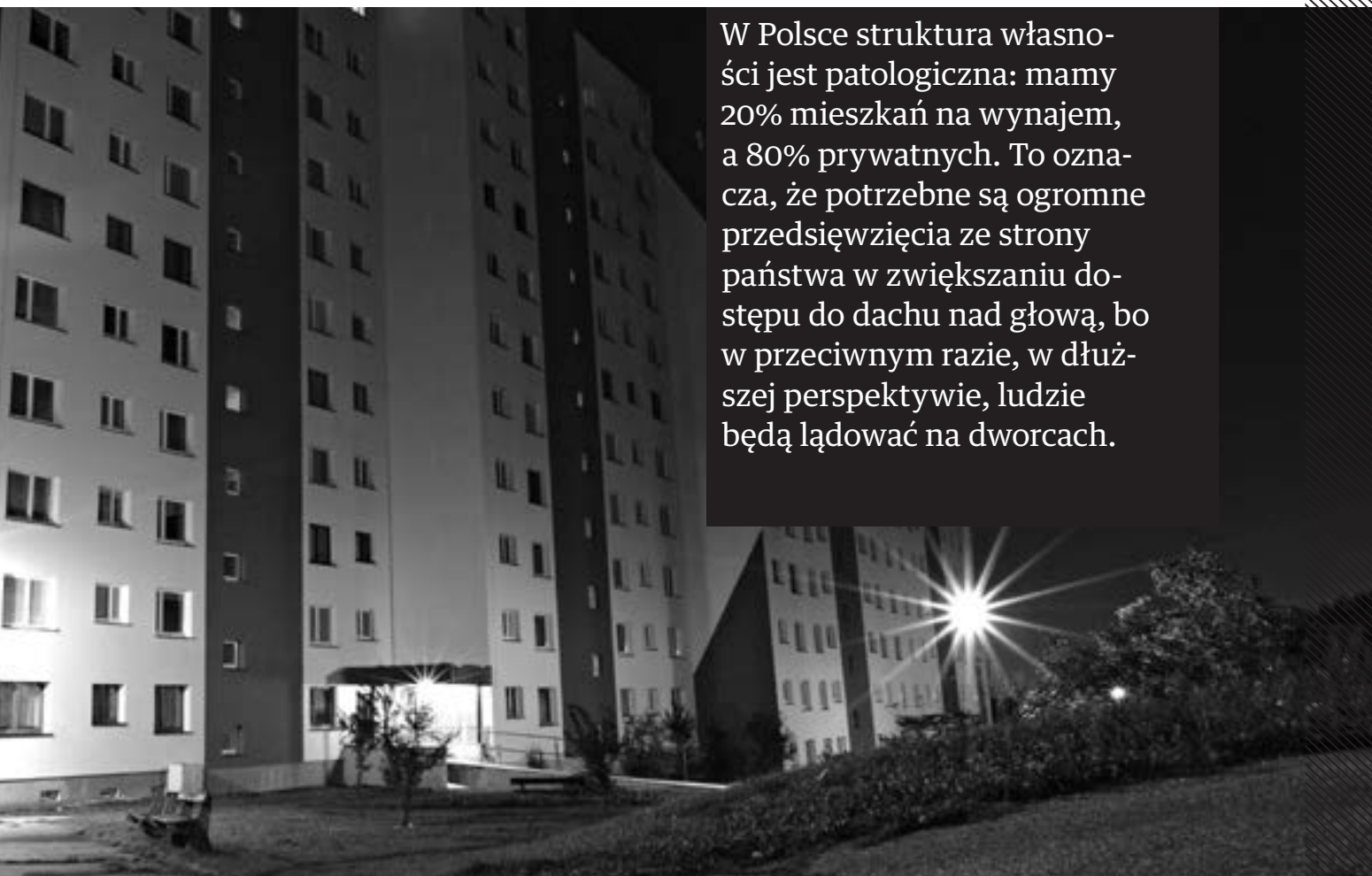
© olo81, flickr.com/photos/159232970@N00/8016423543/

nie pozostaje bez wpływu także na spowolnienie gospodarcze. Tracimy setki tysięcy czy miliony ludzi, którzy wyjeżdżają tam, gdzie mają szanse na pracę, ale i szanse na mieszkanie.

Tracimy także spore kwoty przeznaczane na programy budownictwa, takie jak „Rodzina na swoim” czy „Mieszkanie dla młodych”, które niewiele pomagają w rozwiązaniu problemów mieszkaniowych. Jednak popełniono szereg innych błędów, o których nikt już w ogóle nie ma pojęcia...

- O czym mowa?

- W ciągu ponad dwudziestu lat istnienia III RP wydano ponad 20 mld na mieszkalnictwo. To nie tak dużo. Z tej kwoty 62 proc. wydatkowano na dwa cele. Po pierwsze - na refundację premii gwarancyjnych książeczek mieszkaniowych założonych przed 1990 r. i wykup odsetek od kredytów zaciągniętych przez spółdzielnie mieszkaniowe. I nie jest tak, że te pieniądze wydano zaraz na początku lat 90. czy na początku XXI w. Tylko w zeszłym, 2012 roku, na refundację książeczek przeznaczono 590 mln. W bieżącym roku już „tylko” 450 mln zł. Wzięto się to stąd, że rozszerzone zostało prawo do tej premii. Oczywiście



W Polsce struktura własności jest patologiczna: mamy 20% mieszkań na wynajem, a 80% prywatnych. To oznacza, że potrzebne są ogromne przedsięwzięcia ze strony państwa w zwiększaniu dostępu do dachu nad głową, bo w przeciwnym razie, w dłuższej perspektywie, ludzie będą lądować na dworcach.

środki z książeczek należało refundować, były to jedyne pieniądze, jakie wielu ludzi zgromadziło przez lata PRL i nie straciło choćby w wyniku hiperinflacji z 1989 r. Jednak ten proces powinien już dawno zostać definitywnie zamknięty, a zamiast tego wciąż „dopisywano ludzi”, rozszerzano tytuły. W tej chwili można książeczki scedować nawet na dalekiego kuzyna. Co więcej, można otrzymywać te środki nawet na wpłatę do wspólnoty mieszkaniowej na fundusz remontowy. Tymczasem największa roczna wpłata z budżetu państwa, którą wydatkowano na KFM w ciągu piętnastu lat działania, to było 450 mln.

Drugi cel, na który ciągle przekazywane są pieniądze w ramach tych 62 proc. wszystkich wydatków na wspieranie mieszkalnictwa, to wykup odsetek od kredytów spółdzielni mieszkaniowych sprzed 1989 r. Groza! Mechanizm, który wprowadzono w latach wysokiej inflacji, nadal funkcjonuje.

- Dlaczego właściwie zmieniono kształt rozpoczętej na początku III RP polityki mieszkaniowej?

- Są dwie odpowiedzi. Pierwsza brzmi: zwyciężyła optyka ministerstwa finansów, skupionego na celach krótkookresowych. Druga odpowiedź - to brak

kompetencji decydentów odpowiedzialnych za politykę mieszkaniową. Ułatwiało to zresztą sprawę ministerstwu finansów - fachowcy umieliby bronić niezbędnych priorytetów i zapewne wytargowaliby więcej.

- Klasie politycznej nie przedstawia się to wszystko, o czym Pani tutaj mówi, jako problem?

- Polska klasa polityczna jest wciąż bardzo niedojrzała. Myśli przede wszystkim słupkami sondażowymi, od wyborów do wyborów. Znacznie łatwiej jest też obiecywać ludziom w ramach kolejnych projektów mieszkania własnościowe: to jest lepiej widziane przez elektorat. Mieszkania na wynajem wydają się czymś egzotycznym.

- Nieustannie wmawia się nam przecież, że prywatne jest zawsze lepsze...

- Tak się nie da myśleć o efektywnej polityce mieszkaniowej. To głupota. Zawsze na tym polu wchodziłam w konflikt z politykami. Byłam przekonywana, że płaconie czynszu to unieszczęśliwianie ludzi, którzy przy niewiele większym wysiłku mogą te kwoty przeznaczyć na spłatę kredytu mieszkaniowego. Mówiłam:

proszę państwa, wielu Polaków nie było, nie jest i nie będzie stać na własne mieszkanie, bo nigdy w życiu nie osiągną takiego poziomu zarobków, który zapewni im wiarygodność kredytową.

- Własny dach nad głową jest jednak marzeniem wielu ludzi...

- Postawiłabym kwestię inaczej: posiadanie własnego mieszkania nie jest niezwykłym prawem do szczęścia. W krajach Zachodu znaczna część osób, które żyją w mieszkaniach na wynajem, to ludzie całkiem zamożni. Zobaczmy, jak to wygląda w społeczeństwach dużo bogatszych niż nasze. W Szwajcarii i Japonii ponad 65 proc. to mieszkania na wynajem. W Danii to 55 proc. W Niemczech - 60 proc. W Holandii, Francji, Finlandii, Szwecji - 50 proc. W USA to ponad 40 proc. W Wielkiej Brytanii - 40 proc. W Polsce, przypominam, jest to jedynie 20 proc.

To jest pochodna m.in. stylu życia i kultury poszczególnych społeczeństw. To także kwestia niedojrzałości ekonomicznej Polaków.

- Ile właściwie potrzebowalibyśmy dziś w Polsce mieszkań na wynajem?

- Przez następne dziesięć lat powinniśmy budować między 30 a 35 proc. mieszkań na wynajem w stosunku do własnościowych. W tej chwili budujemy niecałe 5 proc., albo i mniej.

- I kto je powinien budować?

- Za zaspakajanie potrzeb mieszkaniowych odpowiedzialne są gminy. Powinny to robić nie poprzez system mieszkań komunalnych, gdyż i tak mają już problem z zadłużeniem, ale przez partnerstwo publiczno-prywatne. Równolegle powinien powstać program rządowy, który wspierałby kredyty dla podmiotów prywatnych budujących mieszkania na wynajem, w tym i TBS-y. Pieniądze, które spływają ze spłaty kredytów zaciągniętych w KFM, powinny być przeznaczone na ponowne uruchomienie kredytu preferencyjnego na ten cel. Można też skorzystać z instrumentów fiskalnych - ulg mieszkaniowych zachęcających osoby fizyczne i deweloperów do budowy mieszkań na wynajem. W tym przypadku przydatna byłaby ulga podatkowa. Tak robi się w Niemczech, stosuje się duże ulgi podatkowe dla budujących lokale na wynajem o umiarkowanym czynszu.

- Czy możemy rozpisać „mapę niedoborów mieszkaniowych” w odniesieniu dla poszczególnych regionów, aglomeracji miejskich, dla prowincji, dla Warszawy?

- Poziom niedobór jest wszędzie podobny. To się wiąże jeszcze z historycznym punktem wyjścia

naszej rozmowy. W PRL mieszkania budowano tam, gdzie planowano przemysł. Najbardziej ucierpiała na tym małe miasta. Tam, gdzie brakowało dużych inwestycji, tam nie było też mieszkań, odpowiedniej infrastruktury publicznej, komunikacyjnej - te sprawy się na siebie nakładały. Proszę sobie przypomnieć, jak bardzo opóźniona była choćby kwestia budowy kanalizacji czy sieci telefonicznej na polskiej wsi.

Dziś trudno wskazać takie specyficzne miejsce na mapie Polski, o którym można by powiedzieć, że właśnie tam jest największy niedobór mieszkań. Przede wszystkim dlatego, że dziś reguluje to rynek. W miejscach, gdzie jest gorzej, ceny mieszkań są o wiele niższe. Proszę sobie porównać ceny mieszkań w Łodzi i w Warszawie, w Sosnowcu i w Szczecinie.

Zaryzykowałabym tezę, że poziom niedoboru mieszkań w poszczególnych regionach jest w zasadzie odbiciem tego, co zastaliśmy na przełomie roku 1989 i 1990. Wynika to także z tego, że choćby tutaj, w Warszawie, buduje się dziś relatywnie dużo, ale przecież znacznie zwiększyła się migracja zarobkowa do stolicy z całej Polski.

- Z pewnością zna Pani hasło: „mieszkanie prawem, nie towarem”. Z kontekstu naszej rozmowy wynika, że sprawa nie jest tak oczywista...

- Mieszkanie jest i prawem należnym, i towarem. I zadaniem państwa sprawiedliwego i obywatelskiego jest wprowadzenie takiego instrumentarium, które pozwoliłoby osiągać te dwa cele. To ważne, aby budowa mieszkań była efektywna, racjonalna ekonomicznie, aby element rynkowy odgrywał swoją, istotną dla całości gospodarki rolę. Według mnie nic nie stoi na przeszkodzie, by przy dobrze prowadzonej polityce respektować prawo do dachu nad głową (niekoniecznie do własności mieszkania).

- Wróćmy jeszcze do sloganu: „prywatne jest zawsze lepsze”. W Anglii w czasach rządów Margaret Thatcher wprowadzono na masową skalę prywatyzację tamtejszych mieszkań komunalnych. Część analityków ocenia, że w efekcie właściciele bez środków na remonty doprowadzili do błyskawicznej dekapitalizacji domów, co z kolei sprzyjało dalszej segregacji mieszkańców i powstawaniu gett ludzi ubogich.

- Te mieszkania były odpowiednikiem naszych TBS-ów. Znaczną ich część sprywatyzowano za rządów Thatcher. Banki dostawały zwolnienia podatkowe, jeśli na ich zakup dawały kredyt o obniżonej stopie oprocentowania. Po dziesięciu latach okazało się, że te mieszkania trzeba na nowo rekomunalizować, bo stan budynków stawał się fatalny.

Według mnie każda polityka mieszkaniowa, która nie uwzględnia realnych możliwości rekapitalizacji budynków, to programowy wandalizm. I dotyczy to

także rodzimych projektów, takich jak „Rodzina na swoim” czy „Mieszkanie dla młodych”, gdyż oferują one możliwość nabycia mieszkań na własność ludziom, którzy później będą mieli ogromny problem z ich utrzymaniem na odpowiednim poziomie.

Przy okazji: w Finlandii w latach 90. uruchomiono wielki program remontów mieszkań, skierowany do małych i większych właścicieli budynków. To znakomicie zmniejszyło poziom bezrobocia. W Polsce nic się nie robi w tej materii, a stan wielu budynków mieszkalnych osiągnął tak wysoki stopień dekapitalizacji, że nie nadają się do użytku. Tak naprawdę trzeba by je wyburzyć. Dotyczy to około miliona lokali mieszkalnych, czyli równowartości siedmioletniej produkcji mieszkań w Polsce.

- Widzi Pani szansę na odrodzenie spółdzielczości mieszkaniowej? Czy nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki?

- Myślę, że to jeszcze nie jest ten moment. Spółdzielczość została skompromitowana przez swoją formę

istnienia w czasach PRL, w gospodarce nakazowo-rozdziałowej. Nie uważam jednak, że spółdzielczość należy zlikwidować, co postulują znaczna część krzykaczy-polityków. Spółdzielczość to forma wspólnego działania, podejmowanego nie dla zysków, ale dla minimalizowania kosztów. Tym się to różni od spółki. Nie należy likwidować tego narzędzia, bo jest użyteczne. Dzisiejsza spółdzielczość mieszkaniowa niestety wciąż bywa patologiczna. Nadal nie mamy podziału wielkich molochów spółdzielczych, a przynajmniej brakuje wypracowanych sensownych form zarządzania nimi. Niezależnie od wszystkich obecnych problemów z pewnością ważną kwestią byłby powrót do przedwojennego modelu spółdzielni mieszkaniowych, w którym zrzeszali się głównie właściciele mieszkań. Sądzę, że to jest łatwiejsze do odtworzenia.

- Dziękuję za rozmowę. ✕

Warszawa, 13 września 2013 r.



Wspólne dobro tanio sprzedam

BARTOSZ OSZCZEPALSKI

W Polsce mimo protestów społecznych władze samorządowe decydują się na oddawanie miejskich spółek komunalnych w ręce prywatnych firm. Wbrew temu, co mówią zwolennicy prywatyzacji, bywa ona niekorzystna zarówno dla pracowników, jak i dla samych odbiorców usług komunalnych. Przyjrzyjmy się kulisom prywatyzacji kilku miejskich przedsiębiorstw tego rodzaju.

Zaczęło się w Gdańsku

Temat prywatyzacji usług komunalnych nie jest w Polsce nowy. Pierwszy przypadek miał miejsce w 1992 r. Wtedy to francuska firma Saur International przejęła większość akcji w sprywatyzowanej spółce Okręgowe Przedsiębiorstwo Wodociągów i Kanalizacji w Gdańsku. Saur zawarł z miastem trzydziestoletni kontrakt na eksploatację wodociągów i tym samym na rynku pojawił się nowy podmiot – Saur Neptun Gdańsk. Był to pierwszy przykład partnerstwa publiczno-prywatnego w dziedzinie usług komunalnych w tej części Europy.

Sprzeciw wobec tej prywatyzacji połączył wiele środowisk politycznych. W Komitecie protestacyjnym znaleźli się przedstawiciele związków zawodowych, Federacja Anarchistyczna – sekcja Trójmiasto, Wrzeszczański Komitet Obywatelski, Kupcy Dominikańscy, kupcy z Targu Siennego oraz wielu niezrzeszonych gdańszczan. W tych wydarzeniach uczestniczył aktywista i społecznik Janusz Waluszko, związany ze środowiskiem anarchistów. – *Podjęliśmy szereg działań mających na celu zablokowanie prywatyzacji gdańskich wodociągów. Organizowaliśmy liczne demonstracje, wydawaliśmy również pismo „Ulica”, w którym nagłaśnialiśmy tę sprawę. Dzięki zaangażowaniu kupców nakład tej gazety liczył kilkanaście tysięcy egzemplarzy. Dodatkowo zbieraliśmy*

wśród mieszkańców Gdańska podpisy o zorganizowanie referendum w sprawie odwołania prezydenta. Wtedy udało nam się zebrać ponad 30 tys. podpisów, ale część unieważniono, bo „Solidarność” ze Stoczni Gdańskiej dostała podpisy od osób spoza Gdańska. Na demonstracjach pojawiały się radykalne hasła, takie jak „Uwolnić Polskę od Wałęsy, a Gdańsk od Jamroża” – opowiada Waluszko. Prezydent Gdańska Franciszek Jamroz w 2004 r. został skazany prawomocnym wyrokiem za przyjęcie łapówki. Na początku lat 90. to właśnie on dążył do sprywatyzowania gdańskich wodociągów. Wskutek wielu wydarzeń, m.in. protestów w sprawie prywatyzacji, w 1994 r. przegrał w wyborach z kretelem i musiał oddać władzę.

Jakie były zatem argumenty strony społecznej? – Uważaliśmy, że jeśli dojdzie do przejęcia spółki przez Saur, to prywatny zysk inwestora okaże się ważniejszy od dobra przedsiębiorstwa i odbiorców usług. Przewidywaliśmy podwyżki opłat, zwracaliśmy uwagę na brak konsultacji z mieszkańcami – wyjaśnia Waluszko. Prywatyzacja niestety doszła do skutku, a obawy protestujących w dużej mierze się sprawdziły. – Prywatny inwestor dokonał radykalnych podwyżek opłat za wodę. Z tego powodu wielu ludzi zamontowało liczniki na wodę, aby oszczędzać. Przyczyniło się to do spadku dochodów przedsiębiorstwa. To z kolei skłoniło Saur do kolejnej podwyżki opłat, która nastąpiła na skutek



© SylwiaPresleyArt, flickr.com/photos/sylwiapresleyart/3452821995/

żądań inwestora skierowanych do miasta. Ponadto prywatny inwestor, nie bacząc na dobro mieszkańców, do wody dobrej, pochodzącej z ujęć podziemnych, dołączył gorszą - z ujęcia powierzchniowego w Straszynie. To znacznie pogorszyło jej jakość - dodaje.

Skutki tej prywatyzacji są odczuwalne do dzisiaj. W listopadzie 2013 r. lokalna prasa informowała o tym, że Saur Neptun Gdańsk wysłał do prezydenta Abramowicza propozycje nowych taryf opłat za wodę i odprowadzanie ścieków w 2014 r. Choć sprawa dotyczy wszystkich gdańszczan, nie będzie omawiana na sesji Rady Miasta. Wiceprezydent Gdańska Maciej Lisicki w wywiadzie dla „Panoramy” powiedział, że żaden mieszkaniec ani polityk nie ma prawa ingerować w taryfy opłat za wodę. Lisicki twierdził, że wniosek taryfowy jest dokumentem prywatnym. Saur Neptun Gdańsk przedstawił prezydentowi propozycję do negocjacji. Firma powołuje się na tajemnicę negocjacji, choć Saur jest monopolistą na rynku i przy braku konkurencji nie jest to konieczne. Sytuacji, w której tego typu rozmowy odbywają się w tajemnicy przed mieszkańcami, nie akceptuje gdańskie SLD i w związku z tym domaga się ujawnienia poufnych informacji. - *Chcemy wiedzieć, czy podczas negocjacji cen wody weryfikowana jest zasadność nader wysokich wynagrodzeń członków zarządu SNG oraz Rady Nadzorczej i jakie przepływy finansowe są dokonywane pomiędzy SNG*

a Saur Polska i Saur International, byśmy byli pewni, że zarządowi miasta nie są obce zasady transparentności, otwartości i demokracji - uzasadniał swoje stanowisko na łamach „Gazety Gdańskiej” Marek Formela, przewodniczący gdańskiego SLD.

O udostępnienie informacji dotyczących propozycji cenowych wystąpiła również redakcja wspomnianego dziennika. Niestety miasto po raz kolejny odpowiedziało, że dokument jest prywatny i nie może zostać upubliczniony. Dziennikarze zapewniono jedynie, że SNG do wniosku o zatwierdzenie taryf dołączyło szczegółową kalkulację cen i opłat oraz aktualny plan, które będą weryfikowane przez prezydenta pod kątem zgodności z prawem. **Urząd Miasta poinformował, że taryfy staną się informacją publiczną dopiero w momencie przekazania przez prezydenta Gdańska Radzie Miasta uchwały w sprawie zatwierdzenia tejsze taryfy. Jednym słowem - obywatele dowiedzą się o wszystkim po fakcie.**

O tym, jaki stosunek mają władze Gdańska do obywateli, przekonał się jeden z gdańszczan, który na portalu społecznościowym wdał się w ostrą wymianę zdań z prezydentem Adamowiczem. Mieszkaniec wyraził zdziwienie, że Rada Miasta nie będzie brała udziału w negocjacjach dotyczących taryf i opłat za wodę. Prezydent stwierdził, że ceny muszą być konsultowane z radnymi, a jego adversarz manipuluje

opinią publiczną. Wtedy właśnie gdańszczanin przywołał słowa Macieja Krupy, szefa klubu radnych PO, który powiedział, że Rada Miasta nie ma wpływu na wysokość cen wody. Następnie mieszkaniec wprost zapytał prezydenta, jak wysokie będą opłaty, lecz otrzymał jedynie wymijającą i dość uszczypliwą odpowiedź, że *zostanie to podane publicznie dopiero, gdy przyjdzie na to czas, a odpowiednia procedura zawarta jest w ustawie, z którą on powinien się zapoznać*. Tymczasem Rada może odrzucić taryfy tylko wówczas, gdy są one niezgodne z przepisami, a nie gdy zachodzi podejrzenie, że są zbyt wysokie. Reguluje to ustawa o zbiorowym zaopatrzeniu w wodę i zbiorowym odprowadzaniu ścieków. Jej nowelizacja z 2010 r. *de facto* powoduje, że Rada nie ma wpływu na wysokość stawek.

Do opisanego zamieszania mogłoby nie dojść, gdyby gdańskie wodociągi pozostały spółką miejską. Wtedy ceny zależałyby wyłącznie od miasta, a nie od prywatnego inwestora, w którego interesie leży dyktowanie jak najwyższych opłat. Obecnie gdańszczanie nie wiedzą, na jakiej podstawie planuje się kolejne podwyżki. Wiadomo natomiast, że należąca do francuskiego inwestora Saur Neptun Gdańsk w 2012 r. wypracowała zysk w wysokości 25 mln zł. Ponad 9-milionowa dywidenda trafiła do francuskiej Saur International. Francuzi robią więc w Polsce dobry biznes, ale kosztem mieszkańców, którzy muszą za to płacić w cenie wody.

Prywatyzacja kontra rozsądek

W Polsce na szeroką skalę przeprowadza się prywatyzację miejskich spółek zajmujących się energetyką ciepłą. Dotychczas w 39 największych miastach Polski sprywatyzowano aż 19 tego typu przedsiębiorstw. Jedną z najszerzej komentowanych i najbardziej nagłośnionych w mediach prywatyzacji odbyła się w Warszawie. W 2011 r. rządząca miastem Platforma Obywatelska zdecydowała się na sprzedaż Stołecznego Przedsiębiorstwa Energetyki Ciepłej w ręce prywatnej firmy Dalkia.

O tym, że zrobiono to wbrew woli społeczeństwa, odrzucając wszelkie racjonalne argumenty, przekonuje Piotr Ciompa, były radny Warszawy oraz członek Rady Honorowej „Nowego Obywatela”, który próbował zablokować prywatyzację SPEC-u. - *Nie było żadnych argumentów za tą prywatyzacją, nawet z punktu widzenia neoliberalistów. SPEC był w dobrej kondycji finansowej, więc nie było potrzeby ratowania go przed upadłością. W skali Unii Europejskiej była to jedna z najnowocześniejszych firm zajmujących się dostarczaniem energii ciepłej. Ponadto SPEC był jedyną spółką w Europie wdrażającą technologię inteligentnej sieci ciepłowniczej, więc odpadał argument o prywatyzacji podyktowanej chęcią modernizacji przedsiębiorstwa.*

Jeszcze przed prywatyzacją odnotowywano stabilny zysk i prowadzono inwestycje. Działo się tak pomimo pobierania najniższych ze wszystkich miast w Polsce opłat za ciepło. Dodatkowo wskaźnik awaryjności na jeden kilometr był bardzo niski, a zatrudnienie mieściło się w średniej dla branży, w której blisko połowa przedsiębiorstw tego typu w dużych miastach jest już prywatna. A przecież według liberałów podstawowym wskaźnikiem efektywności przedsiębiorstwa jest liczba zatrudnionych – argumentuje Ciompa. I dodaje: Uczciwi liberałowie powinni być przeciwko prywatyzacji SPEC-u, bo ten obecnie jest klasycznym monopolistą na rynku, a według doktryny liberalnej prywatna własność dobrze funkcjonuje tylko wtedy, gdy może konkurować z innymi podmiotami.

Mój rozmówca razem z warszawską strukturą PiS-u, związkami zawodowymi oraz lokalnymi stowarzyszeniami zbierał podpisy za przeprowadzeniem referendum w tej sprawie. Niestety Rada Miasta, kontrolowana przez Platformę Obywatelską, odrzuciła wnioski. - *Rada odrzuciła 151 tys. podpisów pod wnioskiem o referendum, tłumacząc to tym, że liczba podpisów po odrzuceniu tych nieważnych spadła poniżej wymaganych 134 tys. Sąd Administracyjny przyznał rację Radzie Miasta, ale należy zauważyć, że narzucono dość wyśrubowane kryteria decydujące o tym, czy podpis jest ważny. Rada Miasta twierdziła na przykład, że podpis musi być czytelny, choć ustawa tego nie wymaga. PO użyło również innych sposobów, żeby nie dopuścić do referendum. Stwierdzono, że pytanie: „Czy jesteś za sprzedażą SPEC?” wprowadza mieszkańców w błąd, ponieważ zdaniem radnych to nie była sprzedaż SPEC, lecz sprzedaż... akcji SPEC – odsłania kulisy tamtych wydarzeń Piotr Ciompa.*

Przed prywatyzacją jej przeciwnicy sugerowali, że po przejęciu SPEC-u opłaty za ciepło mogą się znacznie zwiększyć. Na nieszczęście dla mieszkańców stolicy okazało się, że mieli rację. Ciompa uważa, że podwyżka opłat jest bulwersująca właśnie ze względu na duże zyski firmy, które były wcześniej osiągane przez SPEC, przy jednoczesnych najniższych cenach za ciepło wśród większych miast w Polsce. Dalkia w pierwszym roku po prywatyzacji wystąpiła do Urzędu Regulacji Energetyki z wnioskiem o podwyżkę ciepła o 14 proc., ale dostała zgodę na 7 proc. - *Stało się tak, choć Hanna Gronkiewicz-Waltz obiecywała, że podwyżek nie będzie, a jeśli już, to niewielkie – przypomina Ciompa. Prezydent stolicy na sesji Rady przedstawiała wyliczenia, z których wynikało, że w spółkach komunalnych ceny ciepła rosły szybciej niż w sprywatyzowanych. Jednak według Ciompy doszło tutaj do poważnej manipulacji. – W wyliczeniu nie uwzględniono przykładu Gdańska, gdzie prywatny dostawca dyktuje najwyższe ceny, a także Krakowa, w którym spółka komunalna*



dostarczała najtańsze obok warszawskiego SPEC-u ciepło w Polsce. Po uwzględnieniu cen z tych miast wynik byłby odwrotny. Dodatkowo prezydent chwaliła Dalkię (firmę, która przejęła warszawski SPEC) za umiarkowane podwyżki ciepła w Poznaniu. Nie powiedziała jednak, że Dalkia miała tam ok. 40% udziału w rynku, więc porównanie z warszawskim monopolistą jest manipulacją – mówi Ciompa.

Wysokie opłaty za ciepło to nie jedyny problem, który pojawił się po zmianie właściciela warszawskiej spółki. Obecnie w SPEC-u trwają redukcje zatrudnienia w ramach programu dobrowolnych odejść. Pracownicy korzystają z niego, bo gwarantuje im odszkodowania w wysokości 114 tys. zł. Szacuje się, że w ramach tego programu z pracy odejdzie około 350 osób. Niestety do prywatyzacji spółki swoją „cegielekę” dołożyły również związki zawodowe. Mój rozmówca negatywnie ocenia ich rolę: *Korzystając z tego, że mieszkańcy Warszawy masowo podpisywali wnioski PiS-u o referendum ws. prywatyzacji, związki wynegocjowały pakiet socjalny i zostawiły mieszkańców samych sobie. Po prostu zachowały się jak typowa korporacja nastawiona na maksymalizację swojego zysku kosztem dobra wspólnego. Przedstawiciele związków nie poinformowali również innych podmiotów o tym, że wycofują się z kampanii. W trakcie sesji Rady Miasta Hanna Gronkiewicz-Waltz ku zaskoczeniu przeciwników prywatyzacji, którzy bronili pracowników, odczytała warunki zgody na prywatyzację – oburza się mój rozmówca.*

Dalkia dominuje

Francuski prywatny koncern Dalkia przejął usługi związane z ciepłem nie tylko w stolicy. W 2004 r. Dalkia nabyła 85 proc. akcji Zespołu Elektrociepłowni Poznańskich. Rok później podpisała umowę prywatyzacyjną Zespołu Elektrociepłowni w Łodzi, stając się przy okazji monopolistą w mieście. Decyzji ministerstwa skarbu państwa nie chciały jednak zaakceptować władze miejskie na czele z ówczesnym prezydentem Łodzi Jerzym Kropiwnickim. **Przedstawiciele władz miasta twierdzili, że sprzedanie spółki zagranicznemu inwestorowi doprowadzi do podwyżki cen i tym samym uderzy w mieszkańców. Urzędnicy powoływali się na profesjonalne analizy zlecone specjalistycznej firmie. – Prywatny inwestor nie ma szans na pozyskanie środków unijnych, na rozbudowę i modernizację sieci, a jednocześnie nie zrezygnuje z rozwoju przedsiębiorstwa. Dlatego właśnie będzie on angażować kapitał, który, co naturalne, zechce odzyskać. I sięgnie do portfeli łódzian, maksymalnie podwyższając opłaty. Firma nastawiona na zysk i mająca taki monopol nie zechce walczyć o odbiorcę ceną** – mówił w 2005 r. na łamach „Dziennika Łódzkiego” wiceprezydent Łodzi Włodzimierz Tomaszewski.

Jeszcze przed prywatyzacją Jerzy Kropiwnicki przekonywał ówczesnego ministra skarbu Jacka Sochę, żeby ten nie sprzedawał łódzkiego przedsiębiorstwa w całości, lecz dokonał jego podziału na dwie spółki. Jedna z nich miałaby produkować ciepło, a druga zajmować się dystrybucją. Zdaniem

Kropiwnickiego to właśnie akcje tej drugiej spółki ministerstwo powinno oddać nieodpłatnie gminie. W jego ocenie chroniłoby to mieszkańców przed nieuzasadnionymi podwyżkami cen. Niestety zarówno interwencje u ministra skarbu, jak i u premiera Marka Belki nie przyniosły skutku. Ten ostatni twierdził, że nie ma groźby wzrostu opłat za ciepło, bo zadba o to Urząd Regulacji Energetyki. Po nieudanych pertraktacjach z ministerstwem i premierem władze miasta wsparli łódzcy parlamentarzyści, którzy z pomocą profesora Michała Kuleszy złożyli poselski projekt ustawy dotyczący prywatyzacji przedsiębiorstw ciepłowniczych – jednoosobowych spółek skarbu państwa. Projekt zakładał wydzielanie przed sprzedaż przedsiębiorstw sieci ciepłej i przekazywanie ich pod opiekę samorządów.

Wiosną 2004 r. władze Łodzi zdecydowały się na powołanie Komitetu Inicjatywy Ustawodawczej, którego celem było zebranie 100 tys. podpisów pod obywatelskim projektem ustawy. Projekt ten miał uchronić miasto przed umocnieniem się monopolu ciepłego po prywatyzacji elektrociepłowni. – *Łódź jest jedynym dużym miastem w Polsce, w którym w rękach jednego podmiotu znajduje się zarówno produkcja, jak i dystrybucja ciepła. Efektem wejścia w życie ustawy będzie normalizacja sytuacji – mówił wówczas Kropiwnicki.* W Komitecie Inicjatywy Ustawodawczej znaleźli się przedstawiciele pięciu spółdzielni mieszkaniowych, pięciu administracji gminnych i pięciu wspólnot mieszkaniowych oraz radni ze wszystkich opcji politycznych. Zabrakło jednak niewielkiej liczby podpisów i do pomysłu wrócono w listopadzie tego samego roku. Tym razem ubierano wymaganą ilość podpisów i w lutym 2005 r. projekt trafił do marszałka sejmu. Niestety projekt utknął w podkomisji i tym samym starania miasta zostały zniweczone. W grudniu 2005 r. ministerstwo podpisało umowę prywatyzacyjną, na mocy której Dalkia otrzymała 85 proc. akcji ZEC.

Podobnie jak w przypadku prywatyzacji SPEC-u w Warszawie, różnie można oceniać rolę zakładowych związków zawodowych, które zgodziły się na prywatyzację w formie zaproponowanej przez ministerstwo – w zamian za 6- i 9-letnie gwarancje zatrudnienia, premie prywatyzacyjne oraz pakiety akcji. W rozmowie z dziennikarką „Dziennika Łódzkiego” przewodniczący komisji zakładowej Jan Pióro powiedział, że cieszy się z porozumienia zawartego z Dalkią i nie ma żadnych podstaw do obaw. Jednak teraz, z perspektywy czasu, Bogdan Osiński, wiceprzewodniczący „Solidarności” w regionie łódzkim, inaczej ocenia tamte wydarzenia. – *Już wtedy ministerstwo starało się „kupować” pracowników, oferując niektórym z nich premie i wysokie odprawy w przypadku odejścia. Wielu się skusiło i tym samym pracowników udało*

W tych miastach, w których dokonano prywatyzacji miejskich spółek komunalnych, dochodziło do podwyżek cen.



© Kamil Porembinski, flickr.com/photos/paszczak000/10932348723/

się podzielić – mówi. Osiński przyznaje także, iż prywatyzacja miała wiele negatywnych następstw. – Na skutek całkowitej monopolizacji rynku doszło do dużych podwyżek cen ciepła i prądu. Miały miejsca również liczne zwolnienia pracowników. Wielu z tych, którzy pracują tam do tej pory, i tak będzie musiało odejść, bo w 2014 r. skończy im się zagwarantowany okres ochronny. Uważam, że pozbywanie się wpływu państwa i samorządu na ciepło i prąd jest niedopuszczalne z punktu widzenia interesów obywateli – wyjaśnia. Niewątpliwie podwyżki opłat od wielu lat są znaczące. Według danych podawanych przez „Express Ilustrowany” tylko w listopadzie 2011 r. ciepło zdrożało o 6,81 proc., a w listopadzie 2012 r. o kolejne 8,73 proc. Wielu mieszkańców Łodzi na forach internetowych wyraża niezadowolenie z tego powodu.

W Poznaniu w 2004 r. ministerstwo skarbu państwa sprzedało konsorcjum Dalkii i Poznańskiej Energetyki Ciepłej 85 proc. akcji Zespołu Elektrociepłowni Poznańskich. Warto nadmienić, że Dalkia już od 2002 r. była właścicielem Poznańskiej Energetyki Ciepłej, która zajmowała się dystrybucją i była w posiadaniu miejskiej sieci ciepłej w Poznaniu. W wyniku nabycia akcji Zespołu Elektrociepłowni Poznańskich grupa Dalkia, obecna w Poznaniu od 2002 r., będzie oferowała poznanianom w pełni zespólny proces wytwarzania i dostaw ciepła – tak brzmiał



komunikat Dalkii wystosowany do mieszkańców w 2004 r.

Umowa sprzedaży została podpisana rok wcześniej, ale kulisy tej prywatyzacji po dzień dzisiejszy wzbudzają spore kontrowersje. Powodem jest to, że inwestor nie porozumiał się wtedy ze związkami zawodowymi, które były sceptyczne wobec prywatyzacji. Związkowcy twierdzili, że inwestor jest niewiarygodny, a proponowany przez niego pakiet inwestycyjny jest niewystarczający i zahamuje rozwój przedsiębiorstwa. Nie doszło również do porozumienia w sprawie pakietu socjalnego. Wątpliwości w tej sprawie zgłosili do Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego i Najwyższej Izby Kontroli. Choć Dalkia początkowo zapewniała o gotowości współpracy ze związkami, to ostatecznie umowa została zawarta bez konkretnych ustaleń ze stroną społeczną. - *Pomimo wielkich chęci nie byliśmy w stanie nic więcej zrobić. Miasto oraz inwestor nie liczyli się z naszymi apelami* - powiedział mi jeden ze związkowców, który pamięta tamte wydarzenia. Niestety związkowcy nie chcieli ze mną o tej sprawie rozmawiać, tłumacząc się rygorystycznymi wytycznymi ze strony firmy.

Oczywiście odnotowano również negatywne skutki dla załogi. Przed prywatyzacją w zakładzie pracowało 560 osób, obecnie zatrudnionych jest tylko 250. Na te dane powoływali się związkowcy,

którzy sprzeciwiali się prywatyzacji SPEC-u w Warszawie. Chcieli w ten sposób zasugerować, że sytuacja z Poznania może się powtórzyć w stolicy. Co prawda ceny ciepła w Poznaniu nie wzrosły tak bardzo jak w innych miastach, w których nastąpiła prywatyzacja, ale jest to spowodowane tym, że udział Dalkii na poznańskim rynku wynosi jedynie 40 proc., a w Warszawie już około 80 proc.

Białystok się broni

W 2012 r. prezydent Białegostoku Tadeusz Truskolaski ogłosił, że zamierza sprzedać udziały w Miejskim Przedsiębiorstwie Energetyki Ciepłej. Była to decyzja dość nagła i zaskakująca dla mieszkańców. Na początku listopada 2012 r. Rada Miasta, zdominowana przez Platformę Obywatelską, podjęła uchwałę o upoważnieniu prezydenta do zbycia udziałów w MPEC-u. Z tą decyzją nie zgadzała się opozycja. Przeciwko prywatyzacji protestowała również zakładowa „Solidarność”, radni Sojuszu Lewicy Demokratycznej, Solidarnej Polski oraz przedstawiciele spółdzielni mieszkaniowych i lokalnych stowarzyszeń. Radni PiS-u, SLD i SP głosowali przeciwko uchwale o zbyciu udziałów.

Należy zwrócić uwagę na to, że zarówno radni opozycji, jak i związkowcy wzięli przykład z doświadczeń innych i przypominali, że w tych miastach, w których dokonano prywatyzacji miejskich spółek komunalnych, dochodziło do podwyżek cen. Pojawiały się też inne argumenty, bardzo podobne do tych, których używał Piotr Ciompa przy okazji prywatyzacji warszawskiej spółki. - *Nie było żadnego racjonalnego uzasadnienia dla takiej decyzji władz. MPEC jeszcze w 2012 r. miał 17 mln zł zysku, a także mógł poszczycić się wielomilionowymi inwestycjami. Ponadto po prywatyzacji możemy się spodziewać redukcji zatrudnienia o połowę. Tymczasem prezydent wyrażał niezrozumiałe dla nas opinie. Twierdził na przykład, że pieniądze z prywatyzacji potrzebne są miastu jako wkład własny do inwestycji* - mówi Rafał Rudnicki, radny Prawa i Sprawiedliwości. Ponadto PiS oskarżał Truskolaskiego o brak transparentności. - *Prezydent w pierwszej połowie roku zlecił wycenę MPEC-u, ale została ona utajniona. Bezskutecznie domagaliśmy się odtajnienia dokumentu. Odwołaliśmy się do Samorządowego Kolegium Odwoławczego i czekamy na decyzję* - wyjaśnia Rudnicki.

Po poparciu decyzji prezydenta przez Radę Miasta, PiS razem z sojusznikami przystąpił do kontryfensywy. - *W styczniu 2013 r. rozpoczęliśmy akcję zbierania podpisów pod wnioskiem o przeprowadzenie referendum w związku z planem sprzedaży MPEC-u. Jeszcze w 2012 r. organizowaliśmy spotkania z mieszkańcami w tej sprawie i powołaliśmy komitet obywatelski* - mówi Rudnicki. 26 maja 2013 r. odbyło się

referendum, w którym udział wzięło 26 proc. uprawnionych do głosowania. Aby referendum zostało uznane za ważne, konieczna była 30-procentowa frekwencja. Warto jednak nadmienić, że aż 96 proc. głosujących opowiedziało się przeciwko prywatyzacji. Ostatnią próbę zablokowania tej inicjatywy PiS podjął 26 października. – *Przygotowaliśmy uchwałę, która cofała upoważnienie prezydenta do sprzedaży udziałów MPEC-u. Niestety uchwała nie została przyjęta* – wyjaśnia Rudnicki. Mój rozmówca uważa, że obecnie są małe szanse na to, aby wygrać walkę z władzami miasta. – *Aktualnie nie widzę dla nas pola manewru. Prezydent będzie chciał zbyć udziały dopiero po wyborach, aby nie drażnić mieszkańców* – przewiduje. Istnieje więc duże prawdopodobieństwo, że Białystok już niedługo będzie kolejnym miastem, które pozbędzie się wpływu na gospodarkę ciepłą.

Sprzeciw ma sens

Historie protestów przeciwko sprzedaży komunalnych spółek miejskich w Polsce pokazują, że niełatwo zablokować prywatyzację wobec dużej determinacji władz. Nie oznacza to jednak, że tego typu działania są skazane na porażkę. Doskonałym tego przykładem jest Łódź, gdzie co prawda sprywatyzowano ciepło, ale udało się obronić miejskie wodociągi. W 2011 r. ich przejęciem zainteresowany był francuski koncern Saur, któremu udało się to zrobić wcześniej w Gdańsku. Wtedy właśnie cena za metr sześcienny wody i ścieków w Gdańsku była o ponad 3 zł wyższa niż w Łodzi. Zakupem Zakładu Wodociągów i Kanalizacji w Łodzi zainteresowana była również zagraniczna spółka Veolia.

Pogłoski o prywatyzacji uaktywniły działające w Łodzi związki zawodowe, które nie zamierzały czekać i zdecydowały się na zorganizowanie protestu. Związkowcy zebrali prawie 47 tys. podpisów pod obywatelskim projektem uchwały przeciwko prywatyzacji miejskiej spółki. Zostały one złożone do Rady Miasta. W oficjalnym oświadczeniu wyjaśniającym powody protestu związkowcy napisali, że obecnie ZWiK jest bardzo nowoczesnym przedsiębiorstwem, które dostarcza mieszkańcom wodę dobrej jakości i to w cenie jednej z najniższych kraju. Zwrócili również uwagę, że spółka znajduje się w bardzo dobrej kondycji finansowej, a w 2010 r. wypracowała 5 mln zł zysku. Według nich w tej sytuacji prywatyzacja mija się z celem, gdyż pogorszyłaby sytuację odbiorców, bo prywatny inwestor mógłby dążyć jedynie do maksymalizacji zysku, co odbiłoby się zarówno na jakości wody, jak i na jej cenach. – *Prywatyzacja ZWiK to tylko jednorazowy zastrzyk gotówki dla budżetu miasta mający na celu rozwiązanie bieżących problemów finansowych; prywatyzacja to spore koszty transakcyjne – wydatki przedprywatyzacyjne*



© Zarchiwum Urzędu Gminy Czerwonak

oraz przede wszystkim koszty pakietu socjalnego; prywatyzacja ZWiK to ograniczenie wpływu Miasta na koszty usług komunalnych; prywatyzacja ZWiK to bierna polityka taryfowa – przy przedsiębiorstwie publicznym polityka taryfowa samorządu jest bardziej elastyczna i prospołeczna; prywatyzacja ZWiK to ograniczenie wpływu na jakość usług oraz bezpieczeństwo dostaw wody i odprowadzania ścieków komunalnych – czytamy w oświadczeniu.

Po tym jak związki zawodowe nagłośniły sprawę, na sesjach Rady Miasta wielokrotnie poruszano temat prywatyzacji wodociągów. Poza tym między innymi plany prywatyzacji ZWiK były powodem rozpoczęcia zbiórki podpisów pod wnioskiem o referendum w sprawie odwołania prezydenta miasta Hanny Zdanowskiej. Pani prezydent w marcu 2012 r. wycofała się z planów prywatyzacji miejskiej spółki.

Wszystko na sprzedaż?

Można inaczej. W 2013 r. Berlin odkupił od firmy Veolia, za 590 mln euro wcześniej sprzedane udziały w spółce wodociągowej. Za powrotem wodociągów w ręce publiczne opowiedziało się w referendum ponad 600 tys. mieszkańców Berlina. Niemieccy działacze społeczni twierdzą, że jest to pierwszy krok ku lepszemu zarządzaniu usługami komunalnymi,

nastawionymi nie tylko na zysk, ale również na dobro publiczne.

Również w Polsce mamy inicjatywy godne naśladowania. W gminie Czerwonak w województwie wielkopolskim wójt Mariusz Poznański postanowił utworzyć gminną spółkę wodociągową. - *Gminne Przedsiębiorstwo Wodociągowe powstaje po to, aby stanowić konkurencję i przeciwwagę dla dyktatu spółki Aquanet obsługującej miasto Poznań i częściowo gminy ościenne* - twierdzi wójt. Aquanet do tej pory zapewniał wodę w Koziegłowach i części miejscowości Czerwonak. Z kolei prywatna firma Meliopoz świadczy usługi w pozostałej części gminy Czerwonak. Zamysłem władz Czerwonaka jest w pierwszej kolejności utworzenie spółki wodociągowej, która będzie dostarczać wodę i przeprowadzać inwestycje na terenach obecnie będących w gestii Meliopozu. W tym celu niezbędny będzie wykup oraz dzierżawa części sieci należącej do prywatnej firmy. Trwają w tej sprawie negocjacje pomiędzy gminą a Meliopozem. Jednocześnie pięć gmin (w tym Czerwonak) współtworzy Związek Międzygminny „Puszcza Zielonka”, który obecnie buduje kanalizację o wartości ponad 300 mln zł. Ma być ona obsługiwana przez Aquanet, ale w przyszłości związek chce przejąć od nich kanalizację poprzez zakładanie swoich spółek.

Wójt tłumaczy, dlaczego gminie tak bardzo zależy na przejęciu obsługi kanalizacji i wodociągów. - *Chcemy mieć większy niż dotychczas wpływ na taryfę cen*

dyktowaną przez Aquanet i miasto Poznań. Poza tym nowa spółka środki z odpisów amortyzacyjnych będzie mogła przeznaczać na liczne inwestycje, a to jest szczególnie istotne z punktu widzenia rozwoju obszarów wiejskich. Warto pamiętać, że prywatna firma nie ma prawa do odpisów z amortyzacji od majątku dzierżawionego od gminy. Obecnie Gminne Przedsiębiorstwo Wodociągowe jest na etapie rejestracji i ma ruszyć od 1 stycznia 2014 r. Jeśli ten eksperyment zda egzamin, być może inne gminy wezmą przykład z Czerwonaka.

Od dwudziestu lat państwo i samorządy konsekwentnie pozbywają się odpowiedzialności za podstawowe usługi komunalne, oddając je w ręce prywatnych koncernów, głównie zagranicznych. Ma to konkretne następstwa w postaci wzrostu - zwykle znacznego - opłat za ogrzewanie czy wodę, likwidacji miejsc pracy czy nieracjonalnej polityki usługowej inwestorów, których koszty muszą ponieść zwykli obywatele. Co więcej, prywatyzacja komunalnych spółek miejskich bardzo często nie ma uzasadnienia nawet z punktu widzenia argumentacji liberałów, gdyż te przedsiębiorstwa są przeważnie w dobrej kondycji finansowej i niejednokrotnie nie wykazują się przerostem zatrudnienia. Niestety gdy w grę wchodzi interes wielkich graczy, dobrze uzasadnione racje i argumenty przestają mieć jakiegokolwiek znaczenie, a manipulacje faktami i danymi są na porządku dziennym. Najwyższy czas przerwać to błędne koło. ✂

REKLAMA

ZIELONE WIADOMOŚCI

• ekologia • społeczeństwo • demokracja •

facebook.com/zielone.wiadomosci
www.zielonewiadomosci.pl
redakcja@zielonewiadomosci.pl

„ZIELONE WIADOMOŚCI”
to gazeta i strona www
o prawach człowieka, spra-
wiedliwości społecznej,
zrównoważonym rozwoju
i oddolnej demokracji.

„ZIELONE WIADOMOŚCI”
ukazują się dzięki nieod-
płatnej pracy redakcji oraz
darowiznom osób, którym
bliskie są nasze idee.

Spółeczna gospodarka rynkowa – wzloty i powroty

KRZYSZTOF MROCZKOWSKI

Kryzys finansowo-gospodarczy ostatniej dekady kuwidoczniał wiele społecznych, ekonomicznych i politycznych aspektów, które wskazują na niewydolność obecnego systemu. Zmniejszenie roli państw w obliczu doktryny liberalizacji i globalizacji, „zwiżanie” przemysłu i pogłębiające się rozwarstwienie społeczne degenerują narodowe systemy polityczne, przesuwając wektor od demokracji w stronę plutokracji. Z nostalgią wspominana jest złota era powojennego kapitalizmu. W jej trakcie wypracowano efektywne, choć nieco różniące się modele rozwoju społecznego, które pod względem wskaźników wzrostu gospodarczego, poziomu bezrobocia czy nierówności społecznych wydają się dla nas niedoścignionym wzorem. W przeciwieństwie do arbitralnego neoliberalnego wzorca, zwanego konsensusem waszyngtońskim, ówczesne ścieżki rozwoju wielu państw były kulturowo i funkcjonalnie dopasowane do potrzeb poszczególnych społeczeństw. Jednym z ciekawych przykładów „narodowej drogi do dobrobytu” są Niemcy.

To właśnie z Niemiec pochodzi określenie „społeczna gospodarka rynkowa” (Soziale Marktwirtschaft), oznaczająca regulowany kapitalizm o dużym zakresie wolności gospodarczej, podporządkowany jednak prymatowi dobra wspólnego. Studiowanie przypadku właśnie niemieckiej złotej ery ma z naszej perspektywy szczególną wartość. Po pierwsze dlatego, że to właśnie na Niemcy i architekta tamtejszego

sukcesu gospodarczego Ludwiga Erharda powoływano się w naszym kraju okresu transformacji jako na wzór dobrych przemian. Niestety za nominalnym pojęciem „społecznej gospodarki rynkowej”, użytym w Konstytucji RP z 1997 r. na oficjalne określenie ustroju gospodarczego Polski, nie szło zrozumienie tego terminu, poza domyślnym życzeniem „żeby było jak na Zachodzie”.

Drugi powód jest szczególnie doniosły. Model niemiecki ze wszystkich powojennych systemów społeczno-gospodarczych wydaje się najbardziej umiejętnie wykorzystywać dobrodziejstwa wolnej przedsiębiorczości. W dzisiejszej turbokapitalistycznej rzeczywistości jest więc najbliższy wyobrażeniom, jak mógłby wyglądać „kapitalizm po poprawkach”. Wreszcie po trzecie – studiowanie polityk Niemiec (i Francji) złotego wieku i ich neoliberalnej mutacji, która nadal zachowuje w swym genotypie dawne modele instytucjonalne i ideologiczne, pozwoli nam zrozumieć mechanizmy osiągania i utrzymywania przez te kraje wysokiej pozycji w relacjach międzynarodowych. Ich kształt i niemal instynktowne „dbanie o własne interesy”, w istocie będące efektem utrzymania kultury i metatradycji poprzednich modeli gospodarczych, mogą wiele nauczyć także Polskę.



Krajobraz społeczeństw i systemów gospodarczych w roku 2014 jest daleki od tego, który mieliśmy cztery dekady temu. Zatem analiza społecznej gospodarki rynkowej musi być krytycznie poddana testowi wydolności dzisiejszych warunków. Nie wszystkie wyzwania przyszłości można będzie rozwiązać poprzez bardziej prospołeczne regulacje, zmianę polityk fiskalnych czy poskromienie wpływów wielkich grup interesu. Niektóre procesy, np. globalizacja handlu, tak bardzo posunęły współzależności państw i podmiotów, że są w swej istocie nie do cofnięcia, jak wskazuje prof. Grzegorz W. Kołodko. Do tego dochodzą inne tak bardzo doniosłe procesy społeczne, m.in. w sferze demografii i ról społecznych, że badacze polityki społecznej, jak Gøsta Esping-Andersen, wyrażają wątpliwości co do możliwości utrzymania lub powrotu do maksimum zdobytych społecznych z okresu zwycięskiego pochodzenia modelu państwa dobrobytu. Tym większym zadaniem wydaje się dziś wydobyć esencję społecznej gospodarki rynkowej i stworzenie teoretycznych podstaw pod budowę przyszłego prorozwojowego, zrównoważonego modelu społecznego i gospodarczego postępu. Punkt wyjścia dla rozważań powinna stanowić refleksja nad tym, czym była niemiecka społeczna gospodarka rynkowa (i jej bliskie odpowiedniki) oraz co stało u podstaw jej atrofii.

Społecznie i kapitalistycznie: niemiecka harmonia interesów

Ludwig Erhard, wieloletni minister gospodarki Republiki Federalnej Niemiec i przez krótki okres kanclerz tego kraju, jest postacią, którą trudno byłoby przypisać do któregośkolwiek z obecnych nurtów ideowo-politycznych. Chadek, **gorący przeciwnik gospodarki centralnie planowanej**, był jednocześnie **niezwykle daleki od dogmatycznego uwielbienia dla wolnego rynku**. Jego wiara w dobroczynny potencjał modelu kapitalistycznego przysparza mu po dziś dzień wielu zwolenników po stronie radykalnego leseferyzmu, zaś jego pragmatyczna metoda rządzenia i osadzenie gospodarki w kontekście społecznym zdobywają mu uznanie krytyków neoliberalizmu.

Idea społecznej gospodarki rynkowej Ludwiga Erharda pod pewnymi względami przypomina dzisiejsze założenia konsensusu waszyngtońskiego. Inspirowany niemiecką szkołą ordoliberalizmu („uporządkowanego” liberalizmu) Erhard sporo miejsca poświęcił takim kwestiom jak stabilność cen, konieczność łagodnego reżimu fiskalnego czy wyższość wolnego wyboru nad przeregulowaną lub planową gospodarką. Oto co Erhard mówił na temat znaczenia stabilności pieniądza dla gospodarki oraz, co brzmi znajomo, zagranicy: *Nie miałem wątpliwości, iż frywolna polityka ekspansji [pieniężnej] - przyp. K.M.]*

nie tylko zagroziłaby stabilności waluty, ale także naszemu bilansowi płatniczemu na długi czas. Stalibyśmy się nieuczciwi na początku drogi, której celem było bycie uczciwym partnerem w globalnym handlu. Ale to tylko jedna strona medalu. Ordoliberalizm łączył bowiem wiarę w silne państwo z przekonaniem o kluczowej roli konkurencji. Jednak społeczna gospodarka rynkowa nie jest prostą aplikacją ordoliberalizmu - jej dodatkowy komponent stanowi bowiem odpowiedzialność społeczna, inspirowana katolicką nauką społeczną.

Początki idei społecznej gospodarki rynkowej są nieoczywiste, krystalizując się dopiero po drugiej wojnie światowej. Już w roku 1913 ekonomista Werner Sombart, przedstawiciel „szkoły historycznej”, używa pojęcia „społeczny kapitalizm”, mając na myśli regulowaną wersję kapitalizmu, z miejscem dla związków zawodowych, z godnymi zarobkami i standardami pracy. Ważną postacią dla Erharda był jego nauczyciel ekonomii, Franz Oppenheimer, autor pojęcia „liberalny socjalizm”, rozumianego jako socjalizm osiągnięty metodami liberalnymi (kapitalistycznymi). Wreszcie, chociaż nie tożsamy, wykształcony po wojnie nurt ordoliberalny ma wiele wspólnego ze społeczną gospodarką rynkową. Jako manifest idei ordoliberalizmu można traktować poniższy fragment z pierwszego numeru pisma „Ordo”: *Wszystko, czego pragniemy, to stworzenie ekonomicznego i społecznego porządku, który w równym stopniu gwarantuje aktywność gospodarczą i godne warunki życia. Nawołujemy do konkurencji, ponieważ może być użyta do osiągnięcia tego celu - w istocie cel nie może być osiągnięty bez niej. Jest to środek, a nie cel sam w sobie.*

Tworząca się niemiecka społeczna gospodarka rynkowa kładła jednak nieco większy nacisk na kwestie społeczne, niż wskazywałaby na to teoria „regulowanego” liberalizmu nurtu ordo. Niemiecki ekonomista Alfred Müller-Armack przedstawił bodaj najdokładniejszy opis społecznej gospodarki rynkowej. Wierzył, iż system oparty na konkurencji tworzy bogactwo znacznie lepiej niż systemy niekapitalistyczne. Inaczej wprowadził akcenty, będąc przekonany, że rezultaty procesu gospodarowania wymagają co do zasady korekt czy też „kompensacji”. Erhard podkreślał: *Polityki gospodarcze i społeczne łączą siły. W połowie XX wieku zamożność gospodarki jest ściśle związana z losami kraju, a odwrotnie, każdy kraj lub rząd natychmiast odczuwa brak polityki gospodarczej.*

Ludwig Erhard rozpoczął swoje działania od uwolnienia cen w 1948 r. Jednocześnie, bojąc się inflacji, sprzeciwiał się nadmiernej akcji monetarnej. Represjonowany dotychczas popyt wkrótce, szczególnie od nadejścia koniunktury związanej z wojną koreańską,

zaczął korzystać ze stabilnych ekonomicznych podstaw rozwoju. Nie były one jednak dogmatycznie wolnorynkowe. Wielka część tego sukcesu jest w istocie sukcesem instytucjonalnym, opartym na miękkim przywództwie. Regulacje i prawa zabraniające nagłych podwyżek cen są tego najlepszym przykładem. Jak podkreślał Erhard, niezwykle istotne było znalezienie społecznego kompromisu, gdzie dobro wspólne nie ustępowało egoistycznym przesłankom. Zgodnie z tym myśleniem nie tylko zachęcano związki zawodowe do umiaru w wysuwaniu żądań płacowych, lecz równie twardo wywierano presję na pracodawców, wskazując, że podwyżki cen w celu uzyskania nadzwyczajnych zysków przez przedsiębiorców, będą traktowane jako czyn aspołeczny. Prawo przeciwko zawyżaniu cen z 7 października 1948 r. było bezpośrednim aktem interwencji. Państwo musi chronić żywotny długofalowy interes obywateli przed sprzecznymi krótkowzrocznymi żądaniami indywidualnych grup interesu czy jednostek. Dlatego właśnie społeczna gospodarka rynkowa jest, jak podkreśla np. János Kornai, systemem kapitalistycznym, ale jednocześnie zawiera wiele elementów łagodzących. System układów zbiorowych i współodpowiedzialność przedstawicieli rad pracowniczych za zarządzanie niemieckimi przedsiębiorstwami są tego najlepszym przykładem. Tak zorganizowane stosunki przemysłowe pozwalały połączyć interes społeczny z koniecznością ekonomicznego rozwoju, walnie się do niego przyczyniając nie tylko dzięki koordynowanemu z potrzebami przedsiębiorstwa wzrostowi płac, lecz również za pomocą aktywnego wpływu pracowników na procesy racjonalizacji i wzrostu efektywności produkcji. To jeden z powodów, dla którego niemiecka gospodarka w swym złotym okresie była zdolna do szybkiego podnoszenia produktywności i skutecznego konkurowania na rynkach międzynarodowych.

Społeczny model interwencji gospodarczej

Erhard podkreślał, jak bardzo, szczególnie w pierwszych latach odbudowy, gospodarka potrzebowała opiekuńczej roli rządu: *Oferowaliśmy stale nowe impulsy dla inwestycji, zaś dodatkowy wysiłek był nagrodzony, gdyż płatności za nadgodziny pozostały wolne od podatku. Radość ze swobodnej pracy, niedawno przywrócona, teraz dawała o wiele lepsze płace, które w końcu odzyskały siłę nabywczą, a człowiek był w stanie żyć godnie. Efekty tych zmian są wyraźnie widoczne w statystykach godzin przepracowanych w tygodniu przez robotników przemysłowych. Ponownie odkryta radość z pracy doprowadziła do dłuższego średniego czasu pracy, który to trend dopiero niedawno nieco zmalał. Wydajność przemysłowa, która wzrosła o ponad 60% od 1949 r., obecnie umożliwia skrócenie czasu pracy.*

Niemcy również dopuszczały oraz z powodzeniem stosowały bardziej bezpośrednie formy interwencji. Rozpędzający się potencjał przemysłowy potrzebował w krótkim okresie wiele surowców potrzebnych do produkcji dóbr przetworzonych. To spowodowało, że pod koniec lat 40. Niemcy nabiły się sporego deficytu handlowego. Erhard wiedział, że jest to sytuacja przejściowa i już wkrótce dobre niemieckie produkty będą zyskiwać pozycję w światowym handlu. Nie pozostawił jednak problemu niewidzialnej ręce rynku: *W tej sytuacji Minister Gospodarki [pisał o sobie Erhard - przyp. K.M.] nie mógł po prostu stać bezczynnie. Jego diagnozą sytuacji było: wewnętrzna gospodarka jest hamowana, istniejące obiekty produkcyjne nie są w pełni wykorzystywane. Ale wskaźnik produkcji przemysłowej wzrósł z 75,2 w grudniu 1948 r. do 96,1 w grudniu 1949 (1936 = 100). W związku z bezrobociem wydawało się możliwe, że wewnętrzna sytuacja gospodarcza może korzystać z obfitej polityki kredytowej, wspomaganiej przez inne środki ekspansji.*

Oprócz pomocy kredytowej przedsiębiorstwom wytwórczym ważnym elementem, powiedzielibyśmy, „keynesowskiej” stymulacji w wykonaniu Erharda był program państwowych inwestycji. Tani kredyt i polityka państwa działały w tandemie: *Presja masowego bezrobocia wymusiła dalsze wzmocnienie ekspansywnej polityki gospodarczej w okresie zimowym. Została udzielona pomoc finansowa dla stworzenia programów robót publicznych, a także dla robót budowlanych. W ramach tej specjalnej akcji udostępniono 3,4 mld marek. Kredyty krótkoterminowe, które na koniec 1948 r. wyniosły 4,7 mld, wzrosły w 1949 r. o dalsze 5,1 mld, w pierwszym półroczu 1950 ponownie wzrosły o 2,3 mld. Objętość średnio- i długoterminowych kredytów od banków, w tym Banku Odbudowy, osiągnęła sumę 2,6 mld, w pierwszym półroczu 1950 r. wzrosła o kolejne 2 mld.*

Polityka kredytowa i inwestycyjna jest jednym z najważniejszych instrumentów polityki gospodarczej, jeżeli tylko państwo zdecyduje się na aktywne wsparcie gospodarki. Niemcy, poprzez swój bank Kreditanstalt für Wiederaufbau, taką politykę prowadziły, ale jeszcze wyraźniej widać tę rolę w przypadku złotej ery Francji. Jak wskazuje Ben Clift, francuski model aktywnej polityki gospodarczej uznawał rolę państwa jako strażnika dostępu do strategicznego kapitału. Jak dalej wyjaśnia Clift: *Klasyczny model francuski dirigiste zawierał w swej istocie instytucjonalny przydział kredytu państwa francuskiego i różnych parapublicznych instytucji finansowych. Pozwoliło to francuskim organom kierować procesem dostarczania strumieni kapitału i zasobów gospodarczych wzdłuż wybranej ścieżki rozwoju gospodarczego kraju.*



W obu przypadkach, niemieckim i francuskim, państwo zachowywało wpływ na wynik procesów gospodarczych, wskazując, że zysk nie jest jedyną podstawą działalności przedsiębiorstw. Podczas gdy model niemiecki bazował na regułach konstytucyjnych, model francuski oparty był przede wszystkim na nieformalnym rozumieniu roli państwa, wykluczającym klasyczne liberalne postulaty całkowitej równości w gospodarce. Dlatego też nie przejmując się rynkowymi dogmatami, francuskie elity nawet dziś mają mniej skrupułów wobec podejmowania stronnich decyzji wpływających na gospodarkę, struktury instytucji rynkowych i procesy na warunkach korzystnych dla francuskich graczy na rynkach międzynarodowych.

Efektem niemieckiej i francuskiej polityki gospodarczej był bezprecedensowy długotrwały wzrost gospodarczy tych państw oraz wciąż malejące nierówności społeczne. Ponad pięcioprocentowe tempo wzrostu przy stopie bezrobocia często mniejszej niż jeden procent! Gdy w październiku 1966 roku Ludwig Erhard zrezygnował z kierowania niemiecką nawą państwową, jednym z powodów jego decyzji było nadzwyczajnie wysokie bezrobocie, niespotykane w tamtej dekadzie. Sięgało ono niemal... trzech procent.

Zarówno we Francji, jak i w Niemczech osiągnięcia złotej ery są już w dużej mierze przeszłością, jednak pewne szczególne rysy kapitalizmu ze społeczną twarzą zostały zachowane.

W opalach

Trudno jednoznacznie wskazać początek odwrotu od społecznej gospodarki rynkowej. Warto jednak poruszyć kilka aspektów, które mogą być pożyteczne przy analizie warunków przyszłych prospołecznych przekształceń na świecie, w tym również w naszym kraju.

Po pierwsze - badając proces przekształceń państw o prospołecznych i zrównoważonych systemach gospodarczych, warto odróżnić okoliczności tych zmian. Z jednej strony są te endogeniczne, będące niemal nieuchronnym skutkiem określonego globalnego porządku gospodarczego, determinowanego przez stadium rozwoju światowych gospodarek i społeczeństw. Z drugiej z kolei mowa o czynnikach „nie-nieuchronnych”, będących wynikiem decyzji i świadomego wpływania przez różne podmioty na kształt instytucjonalny stosunków społecznych i międzynarodowych. Pytanie więc brzmi: co stać się musiało, a co natomiast było wynikiem presji zwolenników zmiany modelu państwa?

Po drugie - na bazie powyższych rozróżnień przydatne jest zadanie pytania o właściwe, użyteczne modele dostosowania państw do realiów globalnego porządku neoliberalnego, a zatem „dobrych praktyk” państw dbających w dzisiejszej dobie o interes społeczny. Te dwie perspektywy mogą przyczynić się do odpowiedniego ujęcia esencji „kapitalizmu przyjaznego społecznie”, w którym np. nie zawsze muszą się zawierać wszystkie postulaty państwa socjalnego. To zaś może dać pewne wskazówki co do

pożądanego modelu społecznej gospodarki rynkowej w XXI wieku.

Postępujący zanik idei wspólnotowej w kształtowaniu polityk państw przypisywany jest wielu procesom. Najczęściej w roli winowajcy występuje tzw. konsensus waszyngtoński, idea będąca w dużej mierze spełnieniem postulatów wielkiego biznesu w zakresie polityki gospodarczej państw. Konsensus waszyngtoński skłania kraje do jak największej liberalizacji oraz deregulacji rynku i przepisów, a także do jak najmniejszego zakresu oddziaływania państwa i jak najdalej posuniętej globalizacji handlu. Ideologiczne podstawy tego neoliberalnego porządku uznawały za szkodliwą obecność państwa, poza jego rolę jako gwaranta umów (*enforcing contracts*). W praktyce nawet ta liberalna idea cierpi na nierespektowanie przez wielki biznes wobec coraz bardziej zaburzonej równowagi sił nacisku, gdzie zorientowane na zysk i dysponujące ogromnymi środkami megaprzedsiębiorstwa stają się hegemonem w relacjach nie tylko z pracownikami czy organizacjami konsumenckimi, lecz także z organami państwa. W tych warunkach nawet rola regulacyjna, w tym nakładanie kar za łamanie przepisów, może powoli obumierać.

Krytycy neoliberalizmu słusznie wskazują, że jedną z jego ofiar stał się przemysł, którego kosztem zaczął rosnąć rynek usług finansowych. Ten stan rzeczy z pewnością wpłynął na bardziej plutokratyczne, nierówne rozmieszczenie dochodów z pracy, jak też i na spowolnienie wzrostu dochodu globalnego. Warto w tym miejscu zwrócić uwagę na ten ostatni aspekt. Dość jednoznacznie sugeruje on, że system neoliberalny jest nieoptymalny z punktu widzenia długotrwałego rozwoju gospodarczego, maskując księgowymi operacjami zatrzymanie postępu cywilizacyjnego, którego jednym ze wskaźników jest poziom produkcji przemysłowej.

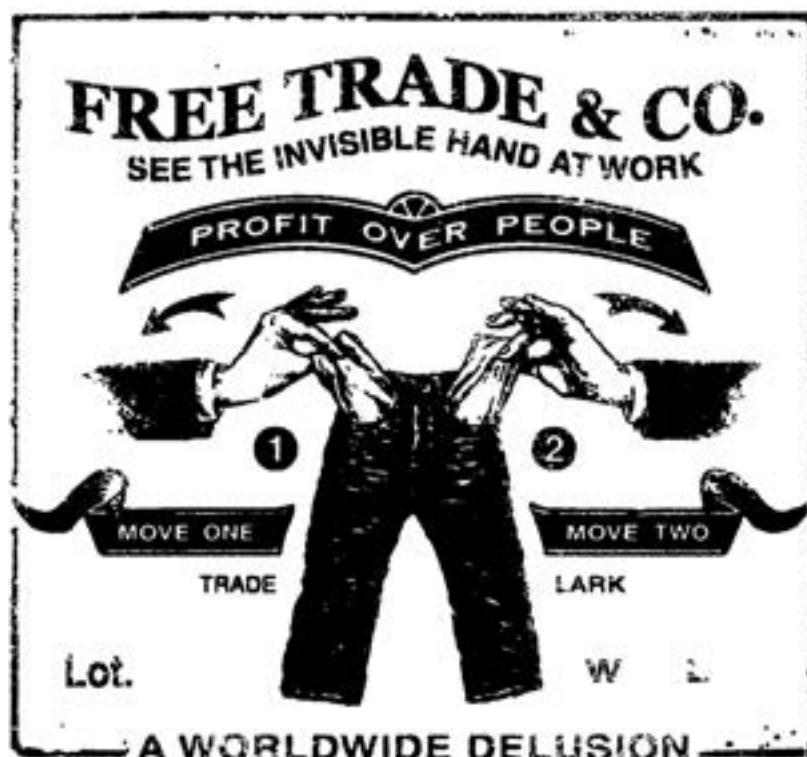
Czy neoliberalizm był nieuchronny? Z całą pewnością nie. Kolejne kamienie milowe na drodze do neoliberalnego porządku zazwyczaj nie były jednoznacznie zdeterminowane koniecznością historyczną, lecz stanowiły efekt decyzji określonych podmiotów. Tak właśnie stało się z liberalizacją rynku usług finansowych czy też ze zgodą państw podczas międzynarodowych rund rokowań GATT na stopniowe obniżanie taryf celnych, skutkujące coraz pełniejszą globalizacją.

Nawet powyższy przykład ma jednak także drugą stronę medalu. Mimo iż tak dalece posunięta globalizacja nie była historycznie zdeterminowana, to kierunek zmian był również katalizowany przez procesy wpływające z natury systemu. Chociaż tak rozwinięta globalizacja handlu – z prawie nieistotnymi barierami protekcyjnymi i hegemonią biznesu

nad poszczególnymi państwami, zredukowanymi do roli kandydatów na miejsce robienia intratnych interesów przez wielki biznes – nie była konieczna, to część aspektów systemu jednoznacznie sugerowała coraz większą tendencję do globalizowania się gospodarek niezależnie od interwencji stronnicych aktorów przyspieszających lub spowalniających ten proces. Światowy poziom rozwoju od lat 60. ubiegłego wieku, a więc u progu kolejnych rund rokowań obniżających poziom ceł, wykazywał się tendencjami naturalnie globalizującymi. Rosnąca produktywność i efekty skali w połączeniu z coraz sprawniejszą logistyką i systemami transportu skutkowały organiczną skłonnością przedsiębiorstw do wzrostu i szukania zysków także poza granicami macierzystego kraju. Poprawa sprawności organizacji procesów sprawiała, że międzynarodowy handel, napędzany korzyściami z różnic w produktach i cenach, był naturalnie skłonny do wzrostu.

Doskonale widać te zmiany na przykładzie rewolucji teleinformatycznej, której efekt – znaczące obniżenie kosztów komunikacji – całkowicie odmienił podejście do prowadzenia biznesu, wprowadzając outsourcing usług do miejsc odległych o tysiące kilometrów czy też umożliwiając koordynowanie działalności na różnych kontynentach w czasie rzeczywistym. Na skutek rewolucji w komunikacji i technologii do pewnego stopnia musiały zmienić się krajowe struktury zatrudnienia, a z pewnością zmieniły się kalkulacje kosztowe rosnących w siłę i umiędzynarodawiających się korporacji. Temu wszystkiemu towarzyszyła oczywiście wielka liczba procesów dodatkowych. Przykładowo rewolucja w komunikacji i środkach masowego przekazu wpływała na rynek reklamy i PR, umiędzynarodawiając marki, pozwalając na kształtowanie nowych potrzeb konsumenckich i nowych rynków, zwiększając zyski i jeszcze bardziej pozwalając na rozrost biznesu.

Dlatego nie przyzwalając na absolutyzowanie globalizacji, nie sposób nie zgodzić się z dwoma spostrzeżeniami. Po pierwsze – procesy okoglobalizacyjne oraz do pewnego stopnia sama globalizacja niosą ze sobą szanse na poprawę jakości życia ludzi. Jest to możliwe dzięki okazjom efektywnościowym tworzonemu przez globalizację. Choć dzisiejszy podział korzyści z globalizacji premiuje korporacje, to niewykluczona jest możliwość podziału bardziej społecznie użytecznego, tak przez swą premię za wydajność i potencjał zwiększenia globalnego bogactwa, jak i miękkie zarządzanie państw, eliminujące co bardziej pasożytnicze wersje globalizacji. Po drugie wreszcie – niezależnie od naukowej oceny korzyści i strat oraz potencjału społecznego globalizacji jest ona w dużej mierze faktem dokonany. Liczba globalnych powiązań i zależności jest tak wielka, iż



powrót do modeli gospodarek stricte narodowych jest niemożliwy. Oczywiście tendencje protekcyjnoistyczne nadal będą występowały, a nawet mogą się nasilać, jednak ten protekcyjnizm może się objawiać głównie poprzez „miękkie” rozwiązania (np. prawo własności intelektualnej) i nie zagrazi umiędzynarodowieniu gospodarek. Pozostaje pytanie o znaczenie i ewolucję instytucjonalną oraz oddziaływanie na ład międzynarodowy państw, które zachowały większy wpływ na sektor prywatny. Czy np. państwowo sterowane Chiny będą wymuszać ład mniej kontrolowany przez korporacje? Tego nie sposób przewidzieć, ale wiadomo, że globalizacja jest i z nami pozostanie.

Globalizacja to tylko jeden z endogenicznych czynników wpływających na żywy, społeczny proces gospodarczy i zmieniający postawy jego aktorów oraz jego kontekst. Wielu badaczy twierdzi, że wielki wpływ na zwijanie społecznych funkcji państwa mają kwestie np. zmian postaw życiowych. Stephan Leibfried i Herbert Obinger wskazują, że od lat 70. wielkich obciążeń dla Niemiec było więcej niż tylko globalizacja. Procesy demograficzne, wyróżniając szczególnie postępujące starzenie się społeczeństwa, a także zmiany w strukturze zatrudnienia, spowodowały wiele napięć w niemieckim systemie świadczeń społecznych, który od lat 80. zaczął być powoli ograniczany. Czy to oznaczało koniec społecznej gospodarki rynkowej? Leibfried i Obinger twierdzą, że niemiecki cud gospodarczy dał podstawy do

ciągłego wzrostu państwa dobrobytu. Do początku lat 70. Niemcy przeznaczały na wydatki społeczne najwięcej spośród ogółu krajów Zachodu. Jak podkreślają, państwo dobrobytu było postrzegane jako integralna część społecznej gospodarki rynkowej.

Pojawiają się również głosy, jakoby „czysta” społeczna gospodarka rynkowa skończyła się wraz ze wzmocnieniem państwa socjalnego i keynesizmu przez koalicję socjal-liberalną w drugiej połowie lat 60. Starzejące się społeczeństwo, jak wskazują Leibfried i Obinger, jako elektorat w swoim interesie oddziałuje na przesunięcia budżetu federalnego na pozycje bardziej wpływające na przyszłe pokolenia, takie jak edukacja czy badania i rozwój. Ta ostatnia pozycja zresztą i tak poddana była presji neoliberalizmu, wymuszającego wycofanie aktywności państwa. Napór żądań społecznych dodatkowo zaważył na podcięciu tych fundamentów produktywności. Ten proces w różnym natężeniu jest obserwowany w wielu państwach transatlantyckich, począwszy od spadku wydatków badawczo-rozwojowych pod koniec lat 60., przez presję kryzysu naftowego, po niepokoje związane z mniej stabilnym zatrudnieniem czy dość fałszywy mikś rozwiązań (lata 80.) większej liberalizacji i zarazem osładzania zmiany systemu hojnymi wydatkami socjalnymi. Symptomatyczne jest, że decyzje prywatyzacyjne we Francji w połowie lat 80. wśród głównych celów miały finansowanie wydatków socjalnych z tych przychodów.



W samych Niemczech dodatkowym obciążeniem były wydatki związane ze zjednoczeniem RFN i NRD. Ponadto struktury siatki bezpieczeństwa socjalnego, będące połączone z tradycyjnymi formami zatrudnienia oraz promujące rodziny, stały się słabo przystosowane do nowej rzeczywistości, m.in. wzrostu liczby rozwodów, rosnącej imigracji i nowych form zatrudnienia. Wydatki państwa dobrobytu zostały nieco przesunięte z edukacji i służb rodzinnych w stronę konsumpcji. W połączeniu z neoliberalnymi kleszczami wolniejszego wzrostu i ideologii dyscypliny budżetowej Niemcy pod rządami Schrödera ograniczyły hojność systemu, jednocześnie starając się zyskać konkurencyjność płacową. Neoliberalne reformy systemu zasiłków dla bezrobotnych i „uelastycznienie” warunków zatrudnienia są oznaką odwrótu od społecznej gospodarki rynkowej. Jaki jest ich efekt? Niemcy jako kraj korzystają ze strukturalnego uprzywilejowania, osiągając duże nadwyżki w eksporcie. Jednocześnie jednak, chociaż mówi się, że w Europie „wygrane” są Niemcy, to od 20 lat poziom życia przeciętnego Niemca pozostaje w stagnacji.

Jakie są w takim razie dobre wzory postępowania w obliczu neoliberalnej transformacji? To, co jest widoczne zarówno w przypadku francuskim, jak i niemieckim, to olbrzymie znaczenie dobrze zorganizowanej elity przemysłowej i państwowych tradycji aparatu administracyjnego. Już w XXI wieku państwa niemieckie i francuskie nie wahały się użyć instrumentów pomocy dla ratowania swojego przemysłu, także w tak bezpośredni sposób jak poprzez

skup samochodów używanych i dopłaty do zakupu nowych. Do legendy przejdzie również telefon Angeli Merkel do prezesa Deutsche Banku, nakazujący prywatnemu bankowi ratowanie prywatnego producenta aut - firmy Porsche. Porządek neoliberalny nie zerwał bowiem całkowicie ciągłości tradycji zarządzania państwem. Co więcej, już na starcie neoliberalnej gry dobrze kierowane instytucjonalnie państwa miały wielką przewagę nad krajami doktrynalnie trzymającymi się neoliberalnych zasad, takimi jak Polska. Jak wskazuje Ben Clift, we Francji era post-*dirigisme* uwidacznia potężne historyczne i ideowe dziedzictwo *dirigisme* (epoki kierowania) oraz trwały ciężar oczekiwań - ze strony francuskiego społeczeństwa oraz elit - wobec wyrazistego francuskiego interwencjonizmu państwowego. Francuskie zdolności państwa są nieco zmniejszone w jego nowej sytuacji i nie cieszy się ono już dawnym wpływem. Oznacza to, że jego chęć oddziaływania przekracza zasięg jego wpływu, ale mimo tego państwo utrzymuje ambicję ciągłego kształtowania francuskiego kapitalizmu.

Dziedzictwo *dirigisme* ukształtowało strukturę odporną na zagrożenia zewnętrzne. Na przykład w ramach francuskiego sektora bankowego historyczne ulgi podatkowe (wolne od podatku rachunki oszczędnościowe, które tylko wybrane instytucje mogły zaoferować) sprzyjały towarzystwom ubezpieczeń wzajemnych, oferując znaczną krajową „ochronę” francuskiego sektora bankowego. Gdy wielkie banki i towarzystwa ubezpieczeniowe kupiły mniejszych graczy, odniosły wówczas korzyści z tych chronionych rynków. To pomaga wyjaśnić bardzo wysoki stopień koncentracji kapitału, który utrudnia wykupienie bankowości francuskiej przez obcych. Dlatego właśnie kilka głównych banków francuskich kontroluje aż 90 procent tamtejszej bankowości.

Spółeczna gospodarka rynkowa dziś?

Spółeczna gospodarka rynkowa jeżeli będzie w przyszłości możliwa, musi być wymyślona na nowo. Michael Jacobs zwraca uwagę, że jej racja bytu i uzasadnienie muszą zostać w dzisiejszych czasach sformowane od nowa, gdyż w XXI wieku to nie socjalizm, a nieograniczony leseferyzm powinien się tłumaczyć ze swoich błędów. Zamiast więc wychodzić od kluczowej roli kapitalistycznej przedsiębiorczości i nakładać kilka poprawek co do roli dóbr publicznych (jak to było w dawnej społecznej gospodarce rynkowej) - proponuje on nową aksjologię, z równorzędnymi podsystemami, gdyż rozmaite instytucje działają w różnych strukturach wartości i motywacji, a w konsekwencji alokują zasoby w szczególne sposoby i generują różnego rodzaju efekty. Motyw zysku zawarty w prywatnych przedsiębiorstwach

jest siłą napędową w gospodarce rynkowej: rodzi w ogóle konkurencję, efektywność i innowacyjność. Ale nie kieruje żadnym z pozostałych czterech systemów produkcji. Jacobs przywołuje jako jeden z nich środowisko naturalne, poddane prawom termodynamiki. Dalej zauważa: *Gospodarka rodziny działa na podstawie motywacji miłości i obowiązku, które tworzą silne motywacje opieki i wzajemności. Gospodarki wspólnotowe działają w motywacjach przynależności, altruizmu, wzajemności i często statusu, opartych na idei wspólnego dobrobytu oraz lokalnych lub innych form zbiorowej tożsamości. Publiczna gospodarka ma jeszcze inne systemy motywacji i produkcji: pojęcie interesu publicznego, który chce wzbogacić zbiorowość i pogodzić interesy prywatne ze spełnieniem zbiorowych potrzeb i aspiracji społeczeństwa jako całości; etyki sprawiedliwości społecznej, która ma na celu sprawiedliwą dystrybucję towarów między równymi obywatelami; ideał profesjonalizmu, w którym osoby zaangażowane w służbie publicznej różnego rodzaju starają się przestrzegać norm instytucjonalnych, uosabiających umiejętności, bezstronność i mądry osąd.* Takie podejście Jacobs uważa za kluczowe, ponieważ wartość jest generowana nie tylko w gospodarce rynkowej, ale także w czterech innych systemach produkcji.

Nowy system nie może zatem za cenę jednego tylko wyznacznika - efektywności prywatnych przedsiębiorstw w wypracowywaniu zysku - zaniedbywać wszystkich innych aspektów. Ostatnie dekady pochodzą neoliberalizmu zaowocowały dalszą degradacją środowiska, atomizacją społeczeństwa, atrofią poczucia sprawiedliwości i wiary w państwo. Na końcu pasożytniczy podsystem wpadł w kłopoty poprzez globalny kryzys finansowy, podcinając społeczne fundamenty potrzebne do wyjścia z kryzysu, jak chociażby siłę nabywczą (coraz słabsza w zubożałych społeczeństwach).

Z neoliberalizmem nie trzeba się układać, ale nie wolno ignorować już zaistniałych procesów, np. globalizacji. To zaś wymagać będzie od państw pragmatycznej współpracy w ustalaniu nowych, bardziej prospołecznych zasad i standardów wymiany handlowej, ochrony środowiska, bezpieczeństwa i higieny pracy oraz innych. Kraje lepiej zarządzane niż Polska zawdzięczają swoją pozycję nie posłuszeństwu jednej czy drugiej ideologii, lecz pozostałościom państwowej etyki dbania o wspólne sprawy. Wyzwania przyszłości wydają się być ogromne, lecz w porównaniu ze zrujnowanym krajobrazem 1945 r. mamy naprawdę duże szanse, aby przeskoczyć sukces budowniczych złotej ery kapitalizmu. ✖

REKLAMA

Czy lewica to PZPR, UB, łagry, Stalin, „dzieła Marksa i Lenina”?
Czy socjalizm to ZSRR, Bierut, Gomułka i Moczar? • Czy „polska droga do socjalizmu” to cukier na kartki, cenzura i strzelanie do robotników?

Lewicowo.pl

POZNAJ INNĄ LEWICĘ!

Pierwszy i jedyny portal internetowy poświęcony tradycjom i dorobkowi polskiej lewicy demokratycznej, patriotycznej i niekomunistycznej. WWW.LEWICOWO.PL

• Abramowski • Daszyński • Limanowski • PPS • spółdzielczość • związki zawodowe • Moraczewski
• Mickiewicz • Brzozowski • Thugutt • Sempołowska • Żeromski • Krahelska • Hołówko • Ossowski • Zaremba
• Ciołkoszowie • Próchnik • Pragier • Zygielbojm • Barlicki • Perl • Niedziałkowski • Krzywicki... i wiele innych materiałów. Kilka razy w tygodniu nowe teksty, w tym unikatowe, nie wznawiane od kilkadziesiąt lat.

Socjalizm w amerykańskim stylu

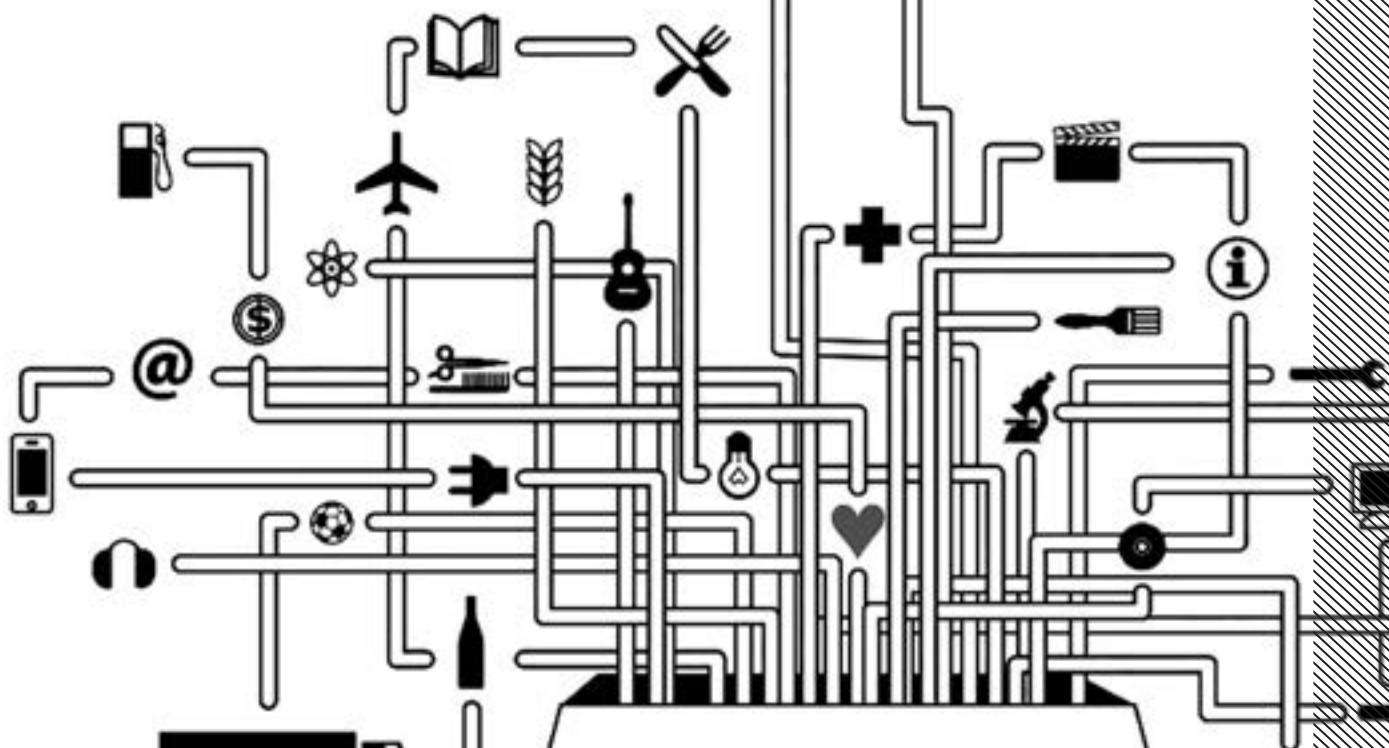
GAR ALPEROVITZ

Chciałbym powiedzieć o kolejnym oczywistym kroku na drodze do demokratyzacji otaczającego nas świata, czyli o tym, co należy robić, kiedy chcemy faktycznych zmian. Mam nadzieję, że zdajecie sobie sprawę, że socjalizm – prawdziwy socjalizm, a nie taki, który konserwatyści zarzucają Barackowi Obamie – jest w Stanach Zjednoczonych czymś równie powszechnym jak trawa. No może nie aż tak, jednak bardzo często możemy się z nim zetknąć.

Nie mówię tu o programach robót publicznych, które wielu osobom przychodzą na myśl, gdy mowa o socjalizmie w kontekście amerykańskim. Programy te oczywiście często pomagają ludziom w trudnej sytuacji i są przydatne z różnych innych powodów, lecz nie naruszają one fundamentu systemu i władzy politycznej, którą ten system daje podmiotom korporacyjnym. Chodzi mi natomiast o (efektywne) przedsiębiorstwa publiczne – niektóre utworzone dawno temu i wciąż funkcjonujące bardzo sprawnie, a także nowe, prężnie się rozwijające.

Nierzadko zapomina się – a wiele osób nawet o tym nie wie – że w całych Stanach Zjednoczonych działa ponad dwa tysiące publicznych zakładów energetycznych. Znaczna część z nich znajduje się w stanach południowych, uznawanych za konserwatywne. Zakłady komunalne i spółdzielnie zapewniają 25 proc. energii elektrycznej w całym kraju. Większość tych „socjalistycznych” przedsiębiorstw dostarcza konsumentom prąd po cenach niższych niż konkurencja, nie mówiąc już o tańszych i łatwiej

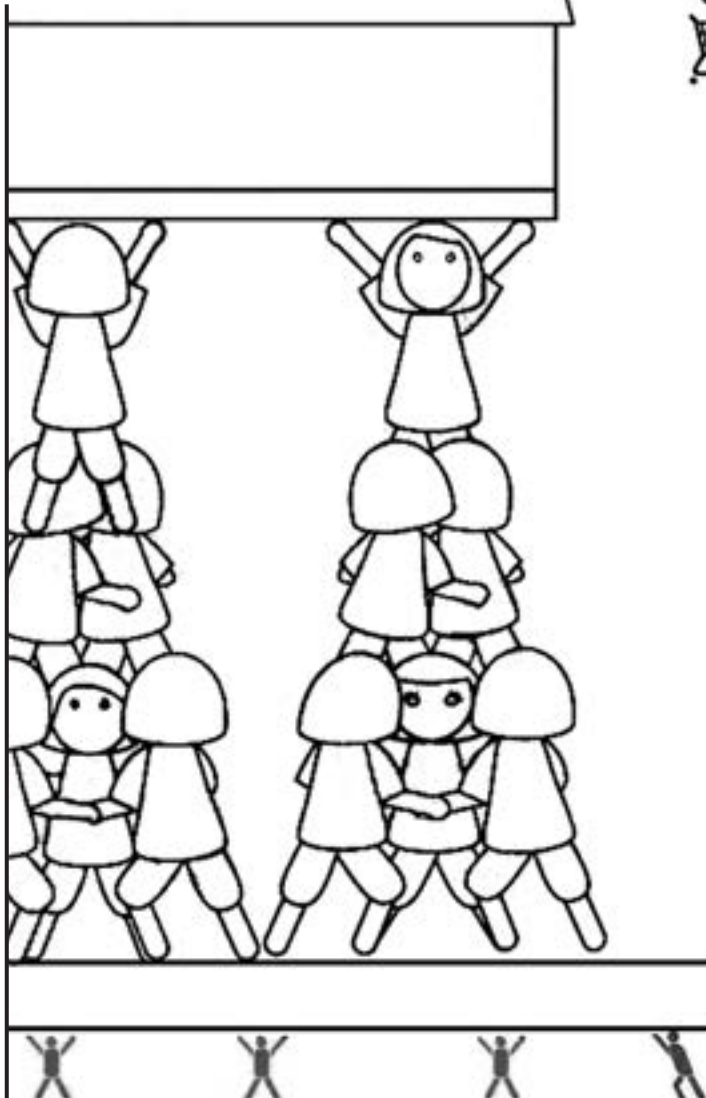
dostępnych szerokopasmowych łączach internetowych (w skali kraju klienci firm prywatnych płacą średnio o 14 proc. więcej). Skąd taka różnica? Zakłady użyteczności publicznej i spółdzielnie nie oferują wygórowanych pensji kierowniczych, te w sektorze prywatnym są powszechne. Wykonują tę samą pracę za znacznie mniej pieniędzy. Menedżerowie największych publicznych przedsiębiorstw energetycznych w 2011 r. zarobili średnio około 260 tys. USD. Średnie wynagrodzenie dla prezesów dużych spółek akcyjnych wyniosło 6 mln USD – to prawie dwadzieścia pięć razy więcej. Ponadto przedsiębiorstwa użyteczności publicznej i spółdzielnie nie muszą wypłacać dywidend akcjonariuszom. Przekazują za to część dochodów do kasy miasta lub hrabstwa, zasilając w ten sposób lokalne budżety i zmniejszając obciążenie podatników. Ostatnie badania wykazały, że średnio 5,2 proc. dochodów tych firm trafia do lokalnej kasy. Dla porównania opodatkowanie prywatnych firm użyteczności publicznej (ang. *private-investor-owned utilities*) wynosi średnio 3,9 proc.



W przypadku mniejszych samorządów wpływ z zakładów użyteczności publicznej są często zasadniczym składnikiem budżetów miejskich. W Ashland w stanie Oregon aż 30 proc. części budżetu przeznaczanej na usługi publiczne, takie jak policja, straż pożarna i utrzymanie ulic, pochodzi z dochodów tego typu zakładów, natomiast jedynie 16 proc. z podatków od nieruchomości. Podobnie sytuacja wygląda w Norwich w stanie Connecticut, gdzie ponad 10 proc. przychodów działającego od stu lat przedsiębiorstwa użyteczności publicznej trafia do kasy miejskiej – co stanowi ponad 5 proc. całego rocznego budżetu miasta.

Wiele tego typu zakładów odgrywa także istotną rolę w tworzeniu „zielonej gospodarki”. W Kalifornii Sacramento Municipal Utility District (SMUD) – jedno z dziesięciu największych przedsiębiorstw użyteczności publicznej w USA – pozyskuje ze źródeł odnawialnych aż 24 proc. sprzedawanej energii. W 2020 r. SMUD planuje zwiększenie tego udziału do 37 proc. Przedsiębiorstwo dąży również do redukcji emisji dwutlenku węgla, żeby w 2050 r. wynosiła ona 10 proc. tego, co w 1990 r.

Zakład Austin Energy w Teksasie jest kolejnym liderem w branży „zielonej energii”. Około 15 do 17 proc. oferowanej przez ten zakład energii pochodzi z odnawialnych źródeł – przede wszystkim z wiatru, a w dalszej kolejności z metanu wydzielającego się na wysypiskach odpadów. Przedsiębiorstwo planuje pozyskiwać w 2020 r. 30 do 35 procent energii ze źródeł odnawialnych. Zakład



podpisał również umowę na zakup energii od dużej elektrowni spalającej drewno we Wschodnim Teksasie i zamierza do 2020 r. zmniejszyć poziom emisji CO₂ o 20 proc. względem stanu z 2005 r.

Kolejne znaczące zjawisko z tego obszaru: miasta coraz częściej biorą udział w zagospodarowaniu terenów publicznych. Na przykład wtedy, gdy rozbudowa transportu zbiorowego prowadzi do znacznego wzrostu wartości gruntów i generuje inne korzyści, na czym w przeciwnym razie skorzystaliby prywatni deweloperzy.

Boston był jednym z pierwszych miast, które postawiły na taką strategię. W 1970 r. jego władze zawiązały spółkę typu *joint-venture* z przedsiębiorstwem Rouse Company w celu zagospodarowania XVIII-wiecznego Faneuil Hall Marketplace, kompleksu handlowego w śródmieściu o powierzchni ponad 2,4 ha, z 49 sklepami, 18 restauracjami i pubami, 25 punktami gastronomicznymi i 44 innymi stoiskami. Miasto pozostało właścicielem nieruchomości i wynegocjowało umowę najmu, zgodnie z którą przysługiwała mu część zysków kompleksu zamiast podatku od nieruchomości. W połowie lat 80. do kasy Bostonu wpływało z tego tytułu około 2,5 mln USD rocznie, a w 2008 r. kwota ta wzrosła do kilku mln. Jak wynika z przeprowadzonych analiz, strategia ta przyniosła dochody o 40 procent większe, niż gdyby zdecydowano się na podatek od nieruchomości.

Ciekawym przykładem takiego „socjalizmu” są sytuacje, gdy miasto zagospodarowuje i dzierżawi tereny wokół wejść do publicznych systemów transportu zbiorowego – metra, kolei. Wartość gruntów w tych miejscach znacząco wzrasta. Dawniej miasta oddawały te atrakcyjne lokalizacje deweloperom, a potem nakładały tak wysokie podatki, jak tylko było to możliwe. Teraz wiele miast pozostaje właścicielami takich terenów, przez co bezpośrednio korzysta z ich podwyższonej (wskutek inwestycji publicznych) wartości.

W Miami na Florydzie zakład transportu publicznego Miami-Dade Transit uczestniczy w wielu dużych projektach na zasadzie *joint-venture*. Przykładowo w skład stacji Dadeland South Station wchodzi budynek biurowy, luksusowy hotel i jednopiętrowe centrum handlowe. Stacja Dadeland North Station obejmuje prawie 35 tys. m². powierzchni handlowej, duży budynek mieszkalny oraz apartamentowiec. Łącznie oba kompleksy przynoszą hrabstwu Miami-Dade roczne dochody w wysokości 1,3 mln USD.

Szybka kolej miejska w San Francisco (San Francisco Bay Area Rapid Transit) uczestniczy obecnie w osiemnastu projektach związanych z transportem (i wielu innych na różnym etapie rozwoju). W stolicy Waszyngtoński Metropolitalny Zarząd Transportu utworzył ponad pięćdziesiąt spółek przynoszących

©©© arneheijenga, flickr.com/photos/stukjefotogebeuren/3084781883/



Przedsiębiorstwa użyteczności publicznej i spółdzielnie nie muszą wypłacać dywidend akcjonariuszom. Przekazują za to część dochodów do kasy miasta lub hrabstwa, zasilając w ten sposób lokalne budżety i zmniejszając obciążenie podatników.

zyski. Zarząd Transportu w Santa Clara Valley w Kalifornii postawił na wielofunkcyjność swoich niespełna dwustumetrowych przystanków. Z kolei projekt budowlany Almaden Lake Village nie tylko przynosi dochody miastu, ale też daje korzyści mieszkańcom – 20 proc. z 250 mieszkań jest oferowanych poniżej cen rynkowych dla rodzin o niskich zarobkach.

Wspomniałem na początku, że wiele przedsiębiorstw użyteczności publicznej oferuje obecnie usługi szerokopasmowego dostępu do Internetu. Jest to kolejna branża, w którą podmioty publiczne coraz częściej inwestują, zarówno za pośrednictwem przedsiębiorstw użyteczności publicznej, jak i za pomocą innych miejskich instytucji. Ponad 130 miast stworzyło ogólnomiejskie publiczne sieci internetowe, kolejne setki ośrodków mają sieci obejmujące część obszaru (łącznie szkoły, firmy i budynki rządowe), a wiele innych planuje ich budowę.

Znaczna liczba miast uznała dostęp do Internetu za priorytet i inwestuje w telekomunikację, w tym telewizję kablową, w szybki dostęp do Internetu,

©© Hossam el-Hamalawy, flickr.com/photos/elhamalawy/2555080434/



lokalne i zamiejscowe usługi telefoniczne, dzierżawę światłowodów i bezprzewodową transmisję danych. W 2007 r. ponad siedemset publicznych spółek energetycznych - ponad $\frac{1}{3}$ wszystkich - oferowało jakiś rodzaj zaawansowanych usług telekomunikacyjnych.

OptiNet, jedna ze spółek Bristol Virginia Utilities (BVU), miejskiego przedsiębiorstwa z Bristolu w stanie Wirginia, była pierwszym w kraju zakładem użyteczności publicznej oferującym szerokopasmową transmisję danych i głosu za pośrednictwem sieci światłowodowej. Na początku 2012 r. OptiNet osiągnęło 70-procentowy poziom penetracji rynku w granicach Bristolu. Obsługuje także 53 proc. wszystkich domów i firm w hrabstwach w okolicy, w których prowadzi działalności BVU. W latach 2010 i 2012 OptiNet zwiększyło prędkość połączeń internetowych bez podnoszenia cen i obecnie oferuje łącza szybsze niż wielu dużych operatorów kablowych.

W Chattanooga w Tennessee istnieje najszybsza miejska sieć światłowodowa w kraju (do 1 Gbps),

której ceny bywają od ośmiu do dziesięciu razy niższe niż w okolicznych miejscowościach, gdzie usługi dostarczają Comcast i AT&T. Z tego powodu wiele firm przeniosło swoje siedziby i miejsca pracy do Chattanooga. Miejska sieć internetowa miała również duży wpływ na decyzję koncernu Amazon, żeby rozbudować swoje centrum dystrybucyjne w Chattanooga.

Jeszcze kilka przykładów codziennego „socjalizmu”

Wiele miast buduje hotele, jest ich właścicielami i zarabia na tym. Komunalne hotele można znaleźć w takich miejscach jak Austin, Houston, Chicago, Omaha, Overland Park (w Kansas), Sacramento, Marietta (w Georgii), Oceanside (w Kalifornii), Myrtle Beach (w Karolinie Południowej), Denver, Phoenix, Vancouver, Washington (niedaleko Portland w stanie Oregon).

Podobne rozwiązania można spotkać również w miastach uznawanych powszechnie za liberalno-konserwatywne. W maju 2008 r. rada miasta Dallas,

na czele z burmistrzem Tomem Leppertem, poparła (11 radnych było za, 2 przeciw) budowę i prowadzenie miejskiego centrum konferencyjno-hotelowego. Nowelizacja prawa miejskiego, która pokrzyżowałaby te plany, została odrzucona w referendum i w listopadzie 2011 r. odbyło się uroczyste otwarcie centrum. Obiekt kosztował 500 milionów USD, ma powierzchnię 110 tys. metrów kwadratowych, liczy 23 piętra oraz 1001 pokoi.

Podobnie szpitale są niekiedy własnością miasta. Jak wynika z badań przeprowadzonych w 2010 r., około jedna piąta szpitali w Stanach Zjednoczonych stanowi własność publiczną. Ciekawy przykład stanowi centrum medyczne Denver Health. Jeszcze w 1992 r. było ono niewypłacalne (39 milionów dolarów długu), obecnie jest zaś konkurencyjnym przedsiębiorstwem, łączącym w sposób innowacyjny demokratyczną własność i bezpośrednią odpowiedzialność miasta. Jako instytucja quasi-państwowa, Denver Health posiada względną autonomię w podejmowaniu decyzji, ale podlega tak zwanemu Open Meeting Law, czyli ustawie o jawności posiedzeń kolegialnych organów władzy publicznej (pozwalającej na udział społeczeństwa w takich posiedzeniach), z kolei zarząd placówki jest powoływany przez burmistrza miasta.

Denver Health prowadzi bardzo wydajny system ośmiu przychodni podstawowej opieki zdrowotnej oraz trzynastu klinik szkolnych. Przedsiębiorstwo jest liderem w swojej branży i już od ponad dwóch dekad przynosi zyski, zatrudniając prawie 5600 osób z Denver i okolic. Obejmuje opieką medyczną ponad 1/3 mieszkańców miasta, w tym 37 proc. wszystkich dzieci w Denver. Około 65 proc. pacjentów należy do mniejszości etnicznych, a ponad 40 proc. jest nieubezpieczonych.

Kolejnym ciekawym przedsięwzięciem są ekologiczne instalacje przetwarzające metan w paliwo do produkcji energii elektrycznej, przynoszące w ten sposób zyski miastu. Metoda ta stosowana jest na przykład w Riverview w stanie Michigan, a także w różnych formach w siedmiuset innych miejscach.

Riverview nawiązało współpracę z Detroit Edison (lokalnym przedsiębiorstwem użyteczności publicznej) i prywatną spółką Landfill Energy Systems w celu budowy instalacji przetwarzania gazu z rozkładu śmieci w energię na miejskim wysypisku o powierzchni ponad 720 tys. m². Zakład przetwarza 120 tys. m³ gazu wysypiskowego dziennie, zaopatrując ponad 5 tys. gospodarstw domowych w energię elektryczną - i generując dochody w wysokości 150 tys. USD, przeznaczane na sfinansowanie niezbędnych usług publicznych.

Podobną działalność prowadzi zakład Point Loma Treatment Plant w Kalifornii, pozyskujący energię

ze ścieków z obszaru o powierzchni 1170 km² w pobliżu San Diego. Metan powstający podczas procesu oczyszczania wody pozwala wytwarzać energię elektryczną, która służy potem do zasilania pomp procesowych, oświetlenia i komputerów. Od 2000 r. San Diego oszczędzało w ten sposób rocznie około 3 mln USD na energii elektrycznej.

Nie mieliście o takich rzeczach pojęcia?

Większość ludzi nie wie nic na ten temat, a chylące się ku upadkowi media amerykańskie również o tym nie informują. Nasi „przeciwnicy” nie mają zaś żadnego interesu w tym, żebyście wiedzieli, jakie są alternatywy. W całym kraju mamy do czynienia z demokratyzacją własności na szeroką skalę albo nawet (jeśli wolicie to tak nazywać) z „socjalizmem” w amerykańskim stylu.

Jest to najlepszy powód, żeby na poważnie zacząć szukać podobnych przykładów. Istnieje dużo więcej precedensowych rozwiązań, z których można czerpać inspiracje. Wystarczy się rozejrzeć, rozpoznać je i dostosować do konkretnych okoliczności - za rozwiązaniami, które działają teraz i będą działać w przyszłości, a przede wszystkim z czasem przestaną być cząstkowymi eksperymentami i zaczną służyć całemu społeczeństwu.

Spojrzelśmy jedynie na czubek góry lodowej. Wiele ciekawych inicjatyw ma miejsce na poziomie stanowym.

Kalifornijski CalPERS (stanowy fundusz emerytalny, który istnieje od 80 lat) posiada aktywa o wartości 237 mld USD. Nawet mimo negatywnych skutków kryzysu finansowego i recesji wartość rynkowa portfela inwestycyjnego funduszu wzrosła w ciągu ostatnich dziesięciu lat o 52 proc. CalPERS jest nie tylko jednym z największych inwestorów w Kalifornii, ale przoduje w inwestycjach na cele publiczne zamiast przekazywać pieniądze emerytów na Wall Street oraz innym doradcom finansowym i firmom inwestycyjnym. Mówimy tu o pokaźnych kwotach. Od września 2012 r. stanowe inwestycje wyniosły łącznie 23,5 mld USD.

W Alabamie publiczny system emerytalny, Retirement Systems of Alabama (RSA), inwestuje w liczne sektory gospodarki, w wielu przypadkach pomagając w tworzeniu spółek pracowniczych. RSA inwestuje kapitał zarówno w przemysł lotniczy, jak i w rozwój turystyki, a także między innymi w Navistar International - przedsiębiorstwo, które pracowników zatrudnionych przy produkcji silników przeniosło do pracy w organizacjach społecznych zamiast ich zwalniać, gdy recesja spowodowała spadek produkcji.

Na Alasce fundusz Alaska Permanent Fund inwestuje zyski z ropy w imieniu obywateli stanu. Z przychodów wypłacane są roczne dywidendy, do których



©©© VADOT, flickr.com/photos/vadot/5389883205/

„prawo” ma każdy mieszkaniec stanu. W 2011 r., który był pod tym względem okresem niezbyt korzystnym, każdy obywatel Alaski otrzymał 1174 USD (prawie 6 tys. dla pary z trójką dzieci). W 2008 r. każdy mieszkaniec otrzymał 2069 dolarów (ponad 10 tys. dla pięcioosobowej rodziny).

Około ⅔ wszystkich stanów (38 proc.) aktywnie wspiera spółki pracownicze. Kilka bezpośrednio pomaga tak zwanemu akcjonariatowi pracowniczemu lub spółdzielniom pracy, czy to poprzez programy inwestycyjne (w Indianie), czy też edukację, pomoc techniczną oraz programy szkoleniowe. W dwóch stanach - Vermont i Ohio - ośrodki wspierania własności pracowniczej pozyskują fundusze publiczne, aby oferować spółkom pracowniczym i spółdzielniom pracy różne usługi.

Prawie połowa stanów - tj. 23 - w „kapitalistycznej” Ameryce inwestuje środki publiczne w obiecujące nowe firmy. Dla przykładu w Maryland fundusz Enterprise Investment Fund regularnie inwestuje w przedsiębiorstwa rozpoczynające działalność w zamian za udziały w nich i gwarancje, że będą funkcjonować na terenie stanu przez co najmniej pięć lat. Fundusz radzi sobie wyjątkowo dobrze. W latach 1994-2011 stan zarobił na tych inwestycjach 62,5 mln USD. Przykłady udanych przedsięwzięć to m.in. Plasmonix, spółka z sektora zaawansowanych technologii fluorescencyjnych i luminescencyjnych, oraz Advanced BioNutrition Corp., firma z siedzibą w Columbii pozyskująca kwasy tłuszczowe z alg, wykorzystywane w hodowli ryb oraz jako dodatek do karm dla zwierząt domowych.

Jeśli podejdziesz się poważnie do kwestii demokratyzacji własności, zauważy się wiele przykładów rozwiązań, którymi można się inspirować - a następnie je upowszechniać. Większość z nich przynosi zyski miastom i stanom, które bardzo tego potrzebują. Jest to korzystne również dla podatników, co z kolei może dać interesujące efekty polityczne w przyszłości.

To jeszcze nie koniec. Podam kolejny przykład, tym razem z bastionu konserwatyzmu spod znaku Adama Smitha - z Teksasu.

Fundusz Texas Permanent School Fund został założony ponad 150 lat temu z kapitałem o wysokości 2 mln USD ze stanowego funduszu ogólnego. W 1876 r. około połowę wszystkich gruntów (i związane z nimi prawa do złóż surowców mineralnych) pozostających własnością publiczną przekazano funduszowi, a w 1953 r. oddano także przybrzeżne obszary, po tym jak zrzekł się ich rząd federalny. Fundusz stanowy posiada obecnie (2011 r.) ponad 2,5 tys. km² gruntów oraz prawie 49 tys. km² terenów ze złożami surowców mineralnych i obszarów przybrzeżnych. Rokrocznie zyski z tego publicznego funduszu są przeznaczane na pokrycie kosztów edukacji w każdym hrabstwie w Teksasie - łącznie 2 mld USD w ciągu ostatnich dwóch lat. Fundusz stanowi również zabezpieczenie obligacji lokalnych okręgów szkolnych, zapewniając w ten sposób niższe oprocentowanie ich długu.

Jeśli Teksas potrafi realizować takie przedsięwzięcia, to podejrzewam, że i twój region mógłby spróbować różnorodnych rozwiązań (z niewielką pomocą przyjaciół). ✖

tłum. Mateusz Batelt

Powyższy tekst to 11 rozdział nowej książki Gara Alperovitza „What Then Must We Do?” (z ang. „Rzeczy konieczne”), 2013. Przedruk za zgodą wydawcy.

Nowa alternatywa: związki ze spółdzielniami

JOHN CLAY

W Stanach Zjednoczonych narasta nowa fala zainteresowania spółdzielczością, a ważnym źródłem takich inspiracji – co mogłoby wydawać się mało prawdopodobne – jest Międzynarodowy Związek Stowarzyszeń Pracowników Przemysłu Stalowego (United Steelworkers International Union, USW). Organizacja ta stanowi największy północnoamerykański związek zawodowy pracowników przemysłowych, zrzeszający 1,2 mln aktywnych i emerytowanych członków.

W 2009 r. USW nawiązał współpracę z grupą Mondragon z Hiszpanii i z Ośrodkiem Akcjonariatu Pracowniczego Stanu Ohio (Ohio Employee Ownership Center, OEOC) Uniwersytetu Stanowego w Kent. Chodziło o zapoczątkowanie dyskusji o wprowadzeniu w USA modelu własności pracowniczej, znanego z grupy Mondragon. W skład grupy Mondragon, założonej w 1956 r., wchodzi obecnie około 260 przedsiębiorstw z ponad 40 krajów (w tym wiele spółdzielni) o rocznych obrotach na poziomie 24 mld dolarów. OEOC wniósł do inicjatywy 25 lat doświadczenia instytucjonalnego w rozwoju przedsiębiorstw pracowniczych. Współpraca z USW została zapowiedziana w mediach krajowych w 2009 r., a w 2012 r. trzy organizacje opublikowały poradnik pt. „Stabilne miejsca pracy, stabilne społeczności: model spółdzielni związkowych” (Sustainable Jobs, Sustainable Communities: The Union Co-op Model).

Głównym celem każdej spółdzielni pracowniczej, formy organizacyjnej sięgającej korzeniami XVIII stulecia, jest zorganizowanie działalności w oparciu o zasady demokracji. Członkowie spółdzielni wspólnie pracują, prowadzą firmę i decydują – na zasadzie „jeden członek = jeden głos” – oraz mają

udział w zyskach. Grupa przez dziesięciolecia doskonała ten model w Europie, a wprowadzenie reguły negocjowania zbiorowego układu pracy pomiędzy spółdzielnią i komitetem działającego w niej związku zawodowego stało się nowym modelem mogącym wzmocnić demokrację i przynieść dodatkowe zasoby niezbędne dla utworzenia i podtrzymania spółdzielni.

Partnerska współpraca związków zawodowych ze spółdzielniami pracowniczymi odnotowywała w historii ruchu pracowniczego w USA wzloty i upadki. W latach 60. XIX wieku lider Narodowej Unii Pracy (National Labor Union), William Sylvis, śmiało zadeklarował: *Nadszedł czas, by odstąpić od systemu strajków i uczynić współpracę fundamentem naszej organizacji i głównym celem wszystkich naszych działań.* Rycerze Pracy (Knights of Labor) uznali tworzenie spółdzielni pracowniczych za swój priorytet w latach 70. tamtego stulecia, a lider związku, Terence Powderly, napisał: *Wierzę niewzruszenie, że współpraca zastąpi pewnego dnia system najmu.*

Dzisiejsi orędownicy spółdzielni związkowych promują to rozwiązanie jako lekarstwo na kilka problemów rynku pracy w USA na szczeblu mikro, czyli pojedynczej firmy: brak demokracji, nierówność płac



© US Department of Labor, flickr.com/photos/usdol/7091314711/

i niepewność zatrudnienia. Niektórzy liczą również na to, że rozwiązania ze szczebla mikro mogłyby pewnego dnia przekształcić ekonomię polityczną USA na poziomie makro. Przyczyniłoby się to wówczas do rozwiązania problemów takich jak rosnąca dysproporcja zamożności pomiędzy 1% najbogatszych i pozostałymi 99% populacji oraz wpływ tej nierównowagi na demokrację; zastój wynagrodzeń amerykańskich pracobiorców; niestabilność społeczna i zbyt niski wzrost liczby miejsc pracy w stosunku do likwidacji innych z powodu cięć wydatków na zatrudnienie i „eksportu” miejsc pracy.

Cele te są warte bliższej analizy, lecz najpierw odpowiedzmy na pytanie, czym jest inicjatywa spółdzielni związkowych.

Inicjatywa spółdzielni związkowych

Nowa inicjatywa nie jest scentralizowanym programem, do którego można po prostu dołączyć. Jest to porozumienie pomiędzy USW, grupą Mondragon i OEOC, służące rozwojowi i popularyzacji modelu wzmacniającego tradycyjną spółdzielnię pracowniczą poprzez wprowadzenie do niej nowego elementu: partnerskiej współpracy ze związkami zawodowymi.

Inicjatywa polega też w równym stopniu na działaniach pracobiorców, właścicieli firm, związków, organizacji non-profit i miejscowych społeczności zainteresowanych dyskusją o nowym modelu – między sobą, a także z USW, grupą Mondragon i OEOC – i tworzeniem nowych spółdzielni. *Reakcja na nasz pierwszy komunikat prasowy w 2009 r. była zadziwiająca. Przychodziło do nas mnóstwo ludzi, by dowiedzieć się więcej* – mówi Rob Witherell z USW.

Poradnik „Model spółdzielni związkowej” (dostępny na stronie www.usw.org/our_union/coops) przedstawia schemat grupy Mondragon i sposób, w jaki spółdzielnia związkowa może się dzięki niemu doskonalić. Wykłada wizję i zasady fundamentalne dla modelu, a ponadto opisuje mechanizmy zarządzania, własności, finansowania, wynagrodzeń i negocjowania umów zbiorowych. Zawiera nawet kilka krótkich analiz przypadków. Jest ona jedynie poradnikiem, a nie „instrukcją obsługi”, a wiele elementów *pracownicy-właściciele będą musieli określić samodzielnie*, jak wyjaśnia Chris Cooper z OEOC.

Inicjatywa na rzecz Spółdzielni Związkowych w Cincinnati (Cincinnati Union Cooperative Initiative, CUCI) i jej lokalni partnerzy wprowadzają już

nowy model w życie. „Nasz Plon” (Our Harvest), powstała w 2012 r. lokalna spółdzielnia produkująca, dystrybuująca i sprzedająca detalicznie żywność, której pracownicy należą do Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Spożywczego i Handlu (United Food and Commercial Workers Union), przygotowuje się do ekspansji. CUCI wspiera teraz proces tworzenia przez Radę Branży Budowlanej Miasta Cincinnati (Greater Cincinnati Building and Construction Trade Council) nowej spółdzielni związkowej mającej modernizować energetycznie starzejące się budynki handlowo-usługowe. Istnieje również plan włączenia spółdzielni Danobat (członka grupy Mondragon) do realizowanego przez USW w mieście Cincinnati projektu utworzenia spółdzielczego zakładu produkcji kolejowej. – *Obecnie realizowane są projekty w Cleveland, Cincinnati, Pittsburghu, Nowym Jorku, Seattle i Denver, a przez cały czas dochodzą nowe* – mówi Michael Peck z firmy Mondragon USA.

Niektóre spółdzielnie pracownicze powstały niezależnie od modelu spółdzielni związkowej, lecz przyczyniły się do opracowania nowego wzorca. Oto kilka ostatnich przykładów:

- ▶ Spółdzielnie „Evergreen” w Cleveland (stan Ohio) nie są spółdzielniami związkowymi, lecz dowodzą praktyczności modelu Mondragon w USA. Prowadzą aktualnie trzy przedsiębiorstwa pracownicze: Evergreen Energy Solutions (utworzone w 2008 r. – instalacja paneli słonecznych i usługi termoizolacyjne), Evergreen Cooperative Laundry (2009 r. – pralnia przemysłowa obsługująca klientów instytucjonalnych) i Green City Growers Cooperative (2013 r. – miejska farma organiczna).
- ▶ Spółdzielnia Cooperative Home Care Associates z Nowego Jorku powstała jako spółdzielnia pracownicza w 1986 r., przekształciła się stopniowo w spółdzielnię związkową. W 2003 r. zwróciła się do Międzynarodowego Związku Pracowników Usług (Service Employees International Union) o utworzenie miejscowego związku zawodowego pracowników-właścicieli, a w 2007 r. utworzyła radę pracowniczą – wprawdzie nie tożsamą z komitetem związkowym z modelu spółdzielni związkowej, lecz mogącą być uznaną za jego prekursora.

Więcej i lepiej

Według Amerykańskiej Federacji Spółdzielni Pracowniczych (US Federation of Worker Cooperatives, USFWC) spółdzielniami pracowniczymi jest niespełna 300 spośród 5,7 miliona firm działających w USA. Ujmując rzecz optymistycznie: istnieje wielkie pole do rozwoju.

Zwolennicy modelu spółdzielni związkowej twierdzą, że może on pomóc pracownikom-właścicielom wypełnić pewną lukę. Ich zdaniem skojarzenie nowo tworzonej spółdzielni ze związkiem zawodowym zapewnia szereg korzyści. Uzwiązkowieni pracownicy mają zazwyczaj dostęp do tańszych grupowych ubezpieczeń zdrowotnych i programów emerytalnych, co nowym spółdzielniom



Spółdzielnia pracownicza musi mieć to samo, co każda firma – dobry produkt, rentowny rynek, odpowiednią politykę cenową. Ale zazwyczaj robi to wszystko lepiej, ponieważ uczyniła ludzi właścicielami pracy, którą wykonują



umożliwia oferowanie świadczeń przyciągających pracowników o wysokich kwalifikacjach. Związek zawodowy jest też sojusznikiem miejscowej społeczności, mogącym pozyskać jej względy dla nowej spółdzielni, gdy potrzebuje ona finansowania lub innego wsparcia.

Choć może wydawać się to dziwne, pośrednie dowody wskazują, że utrzymanie spółdzielni pracowniczej nie jest trudniejsze niż firmy prywatnej. Przedsiębiorstwo demokratyczne może mieć nawet większe szanse przetrwania. – *Spółdzielnia pracownicza musi oferować to samo, co każda firma – dobry produkt, rentowny rynek, odpowiednią politykę cenową. Zazwyczaj jednak robi to wszystko lepiej, ponieważ uczyniła ludzi właścicielami pracy, którą wykonują* – mówi Michael Peck z Mondragon USA.

Istnieją przykłady spółdzielni pracowniczych, które funkcjonują już od dziesiątków lat. Należą do nich Rainbow Grocery (San Francisco, utworzona w połowie lat 70. ubiegłego wieku), Alvarado Street Bakery (Petaluma, Kalifornia, założona w połowie lat 80.), Equal Exchange (Boston, powstała na początku lat 80.) i Isthmus Manufacturing (Madison, Wisconsin, utworzona w 1980 r.). Trudno jednak o statystyczne wskaźniki przetrwania spółdzielni amerykańskich, pracowniczych czy innych. Amerykański Departament Handlu nie odróżnia kooperatyw od innych firm, więc jego obszerna statystyka nie rzuca światła na to zagadnienie. – *Wiemy od jakiegoś czasu o tej luce w danych* – mówi Anne Reynolds, zastępca dyrektora Centrum Badań Spółdzielczości (Center on Cooperatives) Uniwersytetu Wisconsin-Madison. Centrum przygotowuje pięcioletnie badanie perspektywiczne czasu funkcjonowania spółdzielni amerykańskich, także pracowniczych, w różnych sektorach gospodarki. Natomiast USFWC zaczęła w 2013 r. śledzić czas istnienia i liczbę pracowników-właścicieli każdej ze znanych amerykańskich spółdzielni pracowniczych. Na razie wystarczyć muszą dowody pośrednie, pochodzące z badań spółdzielni kanadyjskich oraz z badań amerykańskich spółek pracowniczych (w większości objętych programami akcjonariatu pracowniczego).

W przypadku Kanady okazuje się, że spółdzielnie mogą być narażone na mniejsze ryzyko niepowodzenia niż nowo tworzone firmy tradycyjne. Rodzaje spółdzielni – pracownicza, konsumencka lub producencka – nie są w danych wyróżnione, lecz istniejące informacje mogą być punktem wyjścia do ogólnego poznania szans na utrzymanie się spółdzielni na rynku. Badanie „Wskaźniki przetrwania spółdzielni w Kolumbii Brytyjskiej” (Coop Survival Rates in British Columbia), opublikowane w 2011 r. przez Kanadyjski Ośrodek Rewitalizacji Społecznej (Canadian Centre for Community Renewal), informuje, że pierwsze 5 lat przetrwało 66% spółdzielni w porównaniu z 38% tradycyjnych firm w Kolumbii Brytyjskiej i 43% wszystkich takich firm w całej Kanadzie. Podobnie z badania przeprowadzonego w 2008 r. przez Ministerstwo Rozwoju Gospodarczego, Innowacyjności

i Eksportu prowincji Quebec wynika, że na tym obszarze przez 10 lat utrzymało się na rynku 44% spółdzielni, podczas gdy firm tradycyjnych jedynie 20%.

Dla porównania - wskaźnik przetrwania 5 lat przez wszystkie przedsiębiorstwa amerykańskie z sektora prywatnego powstałe w 2007 r. wynosił 46%, a w przypadku przedsiębiorstw zarejestrowanych w 2002 r. - 34% (według danych Amerykańskiego Biura Statystyki Zatrudnienia). Oznacza to, że gdyby amerykańskie spółdzielnie osiągnęły niższy nawet o 20 punktów procentowych pięcioletni wskaźnik przetrwania i niższy o 10 punktów procentowych dziesięcioletni wskaźnik przetrwania niż spółdzielnie kanadyjskie, to i wtedy uzyskiwałyby wyniki typowe dla wszystkich firm amerykańskich.

W międzyczasie Steven Freeman z Uniwersytetu Pensylwanii dokonał przeglądu 30 lat badań i stwierdził, że *przedsiębiorstwa pracownicze są nie tylko bardziej zyskowne i wydajne, lecz również dłużej utrzymują się na rynku*. Artykuł dotyczy przedsiębiorstw amerykańskich prowadzących programy akcjonariatu pracowniczego, a nie spółdzielni pracowniczych, lecz istotnym wnioskiem ze wspomnianych badań jest korelacja pomiędzy własnością pracowników a dłuższym okresem funkcjonowania firmy. Tekst Freemana przywołuje m.in. analizy z 2007 r. informujące o 70-procentowym wskaźniku przetrwania przez 11 lat spółek pracowniczych w porównaniu z zaledwie 55% w przypadku podobnych firm o tradycyjnej strukturze własności.

Bez względu na to, czy spółdzielnia pracownicza ma większą szansę przetrwania niż firma tradycyjna, czy taką samą, dodatkowe zasoby i wsparcie wprowadzane przez model związkowy do nowo tworzonych spółdzielni powinny wzmocnić potencjał długoterminowego przetrwania, przyczyniając się do stopniowego wzrostu liczby spółdzielni pracowniczych w USA.

Cele na szczeblu mikro

Zwolennicy twierdzą, że model spółdzielni związkowej umożliwia tworzenie spółdzielni znacznie bardziej demokratycznych. Choć spółdzielnia pracownicza jest zarządzana demokratycznie z samej definicji (jeden pracownik = jeden głos), to jednak niektórzy argumentują, że demokracja to coś więcej niż sama możliwość głosowania na dorocznym zgromadzeniu. Zdaniem Chrisa Coopera z OEOC władza sprawowana przez pracowników-właścicieli pełniących role kierownicze może zyskać przewagę nad tą, która dostępna jest ogółowi pracowników-właścicieli, szczególnie w większych spółdzielniach. - *Demokratyczne uczestnictwo może słabnąć w miarę rozrostu spółdzielni* - mówi Cooper.

Problem ten podkreśla również Gar Alperovitz, wykładowca ekonomii politycznej Uniwersytetu Maryland: *Całe moje doświadczenie wskazuje na to, że bez wdrożenia szczególnych mechanizmów spółka pracownicza może się rozpaść lub stać się nieodróżnialna od zwykłego przedsiębiorstwa kapitalistycznego*.

Grupa Mondragon znalazła rozwiązanie tego problemu. Podobnie jak założyciele USA - autorzy systemu opartego nie tylko na głosowaniu, lecz również na trójpodziale władzy - zespół Mondragon odkrył, że utworzenie społecznej rady pracowników-właścicieli jako forum wypowiedzi ogółu pracowników może przywrócić równowagę pomiędzy pracownikami szeregowymi a osobami pełniącymi role kierownicze.

Model spółdzielni związkowej wychodzi od nowatorskiej koncepcji grupy Mondragon, a następnie dodatkowo zabezpiecza równowagę pomiędzy pracownikami a kierownictwem. Czyni to po pierwsze przez umożliwienie wszystkim szeregowym pracownikom przystąpienie do związku, a po drugie przekształcając czysto doradczą radę społeczną z modelu grupy Mondragon w komitet związkowy. Komitet ten jest uprawniony do negocjowania i egzekwowania zbiorowych umów zatrudnienia. Jak ujął to Alperovitz, zadaniem komitetu związkowego jest *dopilnowanie, by spółdzielnia dochowała wierności swej idei*.

Wprowadzenie do spółdzielni procesu negocjowania zbiorowego układu pracy jest tym ważniejsze, że nie wszyscy pracownicy spółdzielni muszą być jej członkami-właścicielami. - *Nowo zatrudnione osoby oczekują zazwyczaj od 6 miesięcy do 2 lat na przyjęcie w poczet członków* - mówi Melissa Hoover, dyrektor zarządu USFWC. W tym czasie pracownik uczy się m.in. teorii finansów i zarządzania. Ponadto pewna część pracowników całkowicie rezygnuje ze statusu członka. - *Niektórzy są zadowoleni z wynagrodzenia, natomiast nie chcą brać na siebie ryzyka czy uczestniczyć w zebraniach lub szkoleniach* - dodaje Hoover. Bez względu na przyczyny rezygnacji ze statusu właścicielskiego i małą liczbę takich przypadków - istnienie pracowników niebędących właścicielami jest faktem, natomiast negocjowanie zbiorowego układu pracy w modelu spółdzielni związkowej zapewnia głos wszystkim - nawet nie-właścicielom.

Podobnie jak ogół zwolenników spółdzielni pracowniczych, również orędownicy spółdzielni związkowych mają nadzieję, że wprowadzenie rozszerzonej demokracji w miejscu pracy doprowadzi do sprawiedliwszego wynagradzania i wyższego bezpieczeństwa zatrudnienia. W tradycyjnym przedsiębiorstwie kierownictwo sprawuje autorytarną władzę nad pracownikami i odpowiada tylko przed udziałowcami lub akcjonariuszami - inwestorami mogącymi przebywać w dowolnym kraju,



© 90.5 WESA, flickr.com/photos/essentialpublicradio/7256799890/

zainteresowanymi jednym: jak najwyższym zwrotem z inwestycji. Inwestorzy mogą wymuszać maksymalizację zysków kosztem cięć wynagrodzeń i zatrudnienia, nie odczuwając przy tym ciężaru konsekwencji tych działań.

Choć istnieją tradycyjne przedsiębiorstwa, w których pracownicy mają udziały, to jednak obowiązuje w nich nie demokratyczna zasada „jedna osoba = jeden głos”, lecz kapitalistyczna reguła głosowania udziałami. Wysoko opłacani dyrektorzy i zamożni inwestorzy zewnętrzni dysponujący większością udziałów są w takiej sytuacji zawsze górą. Prowadzi to do konsolidacji bogactwa i władzy w rękach niewielu. Nie dziwi więc, że – według raportu Instytutu Polityki Gospodarczej (Economic Policy Institute) z Waszyngtonu pt. „Wynagrodzenia członków zarządów i 1% najzamożniejszych” (CEO Pay and the Top 1 Percent) – członkowie zarządów tradycyjnych przedsiębiorstw amerykańskich zarabiali w 2011 r. aż 231 razy więcej od szeregowego pracownika.

W spółdzielni pracowniczej każdy pracownik dysponuje jednym głosem, wybierając członków zarządu i podejmując decyzje na walnym zgromadzeniu. Głosujący są zazwyczaj społecznie i emocjonalnie zainteresowani solidnością, powodzeniem i stabilnością swej firmy oraz ponoszą konsekwencje podejmowanych wspólnie decyzji. Natomiast w spółdzielni związkowej głos mają nawet pracownicy nie będący

właścicielami – za pośrednictwem przedstawicielstwa związkowego. Idealnym miejscem pracy jest to, w którym pracownicy korzystają z dobrodziejstw demokracji. Mogą głosować za zmniejszeniem nierówności wynagrodzeń w firmie, a w trudnych czasach za praktycznymi alternatywami dla zwolnień (np. za okresowym skróceniem czasu pracy), zapewniając sobie w ten sposób bezpieczeństwo zatrudnienia.

I choć role przełożonego i podwładnego nadal występują w spółdzielniach pracowniczych, szczególnie większych, to już sam fakt udziału we własności przeciwdziała rozwojowi silnej kultury nakazowej i pozostawia więcej miejsca na... Tak! Na współpracę.

Makrokorzyści

Niektórzy zwolennicy spółdzielni pracowniczych, a szczególnie związkowych, liczą, że rozwiązania ze szczebla mikro mogłyby pewnego dnia przekształcić ekonomię polityczną USA na poziomie makro. Uznając, że równowaga uprawnień decyzyjnych i bogactwa w gospodarce jest krytyczna dla utrzymania równowagi we władzy politycznej, niektórzy zwą tę nową jakość na szczeblu makro „demokracją gospodarczą”. Thad Williamson, wykładowca nauk politycznych Uniwersytetu Richmond, zdefiniował ten termin, stwierdzając, że *wymogiem uzyskania znaczącego zakresu samorządności niezależnie od warunków i instytucji kształtujących życie jest nie tylko*

zapewnienie demokratycznej kontroli nad instytucjami politycznymi, lecz również rozszerzenie norm demokratycznej samorządności na życie gospodarcze.

Po ustaleniu, że spółdzielnie przywracają demokrację na poziomie mikro, dzięki swojej strukturze zarządzania opartej na zasadzie „jeden pracownik = jeden głos”, zapytajmy, w jaki sposób miałyby przywrócić demokrację na poziomie makro. Jednym z mechanizmów jest po prostu przyzwyczajenie. Antropolog Mary Douglas zaobserwowała, że ludzie często myślą i działają na zasadzie analogii. Mogą oczywiście wynajdować nowe koncepcje i praktyki, lecz dla dobra efektywności i koordynacji zazwyczaj opierają działania na świecie zastanym, a nowe pomysły kształtują analogicznie do „starych”. **Jeśli więcej Amerykanów zacznie codziennie praktykować demokrację w spółdzielniach pracowniczych zamiast balansować na granicy demokracji i dyktatury w tradycyjnych, autorytarnych przedsiębiorstwach, to prawdopodobnie część z nich wytworzy przyzwyczajenia i umiejętności potrzebne do efektywnego udziału w demokracji społecznej i narodowej.** *Nie uczymy się czytać i pisać, jeździć lub pływać, dowiadując się, jak to się robi, lecz robiąc to* – napisał John Stuart Mill, cytowany w ostatniej książce Alperovitz, który dodał, że *zatem tylko uczestnicząc w powszechnym zarządzaniu o ograniczonej skali, możemy nauczyć się zarządzania w skali większej.* Tim Huet, współzałożyciel Spółdzielni Arizmendi, stwierdził w 2004 r.: **Nie można stwierdzić, że społeczeństwo jest naprawdę demokratyczne, jeśli jego dorośli członkowie przebywają przez większość czasu w niedemokratycznych miejscach pracy.**

Innym mechanizmem wzmocnienia demokracji za pomocą spółdzielni jest zmiana rozkładu władzy i wpływów w społeczeństwie, skutkująca bardziej zrównoważonymi finansowaniem wyborów i prowadzeniem polityki. Aktualnie 1% społeczeństwa posiada o wiele więcej bogactwa i wpływu na polityków niż pozostałe 99%. Do wzrostu nierównowagi zamożności i władzy doprowadziły m.in. dwie strategie maksymalizacji zysków prowadzone przez tradycyjne przedsiębiorstwa. Firmy zmniejszają zatrudnienie, z jednej strony zastępując ludzi maszynami lub zmuszając mniejszą liczbę pracowników do cięższej i bardziej wydajnej pracy, a z drugiej zlecając realizację zadań wykonawcom z krajów o niższych wynagrodzeniach. Im niższe pensje, tym mniejszy dochód ludzi pracy, a większy zysk dyrektorów i udziałowców.

Gospodarka amerykańska oparta na tych strategiach nie zdołała stworzyć wystarczającej liczby miejsc pracy. Według raportu EPI „Stan pracującej Ameryki” (The State of Working America) stosunek osób poszukujących zatrudnienia do liczby miejsc

pracy wzrósł od 1:1 w 2000 r. do 3:1 obecnie, po przejściowym skoku na poziom 7:1 w okresie apogeum kryzysu gospodarczego. Oprócz „odchudzania” przedsiębiorstw amerykański rynek drenuje z miejsc pracy wysoki kurs dolara. Praca i wyroby są w USA stosunkowo kosztowne, co podcina eksport i zachęca do importu. Wymiana handlowa z samymi tylko Chinami kosztowała Amerykę utratę ponad 2,7 miliona miejsc pracy w latach 2001-2011. – *Drogi dolar jest w większości wynikiem decyzji politycznych* – mówi Dean Baker, ekonomista i dyrektor Centrum Badań Gospodarczych i Politycznych (Center for Economic and Policy Research, CEPR) z Waszyngtonu – *a sytuacja ta jest korzystna dla potężnych korporacji finansowych, produkcyjnych i handlowych.*

Rynek, na którym liczba poszukujących pracy przewyższa liczbę wakatów z powodu redukcji zatrudnienia i eksportu miejsc pracy, jest rynkiem „nabywczy”, gdzie pracodawcy mogą wywierać presję na obniżki wynagrodzeń pracowników najemnych. Nie dziwi więc, że wynagrodzenia realne większości szeregowych pracowników nie zmieniły się tak naprawdę od lat 70. XX wieku mimo wzrostu wynagrodzeń na wyższych stanowiskach. Według raportu „Stan pracującej Ameryki” 1% gospodarstw domowych w USA przejmował w latach 1979-2007 większą część wzrostu dochodu niż uboższe 90% łącznie.

Zgodnie z danymi „Bieżącego przeglądu gospodarczego” (Survey of Current Business) z kwietnia 2011 r. zyski korporacji amerykańskich niemal podwoiły się w latach 1990-2000 (z 434 do 819 mld USD), a następnie podwoiły ponownie do roku 2010 (osiągając 1,6 biliona USD). Nierównowaga bogactwa i władzy zawiniona przez korporacje, które należą do udziałowców, wytrąca demokrację amerykańską z równowagi, ponieważ jedna grupa – udziałowcy dużych przedsiębiorstw – wywiera dominujący wpływ na sprawy publiczne. Według oceny Ośrodka na rzecz Reaktywnej Polityki (Center for Responsive Politics) korporacje w 2010 r. wydały na wsparcie polityków ponad miliard dolarów – 19 razy więcej niż związki zawodowe. Promowanie takiej formy własności jak spółdzielnia związkowa – zachęcającej do utrzymywania miejsc pracy i sprawiedliwego podziału zysku zamiast do cięcia zatrudnienia oraz koncentrowania zysków na wyższych stanowiskach i w rękach inwestorów – przyczyniłoby się do zrównoważenia poziomu zamożności, a wraz z tym wpływów politycznych.

Można się spodziewać że pracownicy-właściciele – każdy z jednym głosem w spółdzielni, a szczególnie ci objęci umowami zbiorowymi w spółdzielniach związkowych – doczekają się uczciwszych płac i większego bezpieczeństwa zatrudnienia niż pracownicy zwykłych przedsiębiorstw. **Pracownicy będący właścicielami nie są po prostu motywowani**

© Tesla314, flickr.com/photos/tesla314/2418376456/



© huhezi, flickr.com/photos/huhezi/3944478876/



do redukcji wynagrodzeń czy zatrudnienia, co ma miejsce w przypadku udziałowców przedsiębiorstw. A już na pewno nie są skłonni do zamykania zakładów i przenoszenia miejsc pracy do Azji lub Ameryki Łacińskiej z powodu tańszej siły roboczej i większego zysku. – *Spółdzielnie są silniej zakorzenione w miejscowej społeczności* – mówi Chris Cooper. – *Nie zamierzają eksportować własnych miejsc pracy.* Rob Witherell dodaje: *Postrzegamy spółdzielnie związkowe jako sposób na ustabilizowanie płac i świadczeń poprzez wyłączenie ich z konkurencji z niższej opłacanymi pracownikami z Chin.* W przypadku wzrostu udziału spółdzielni związkowych wśród pracodawców w USA skutki ich oddziaływania zostałyby wielokrotnie w całej gospodarce. Efektem ubocznym wzrostu wynagrodzeń w spółdzielniach mogłoby być nawet zwiększanie płac przez pozostałych pracodawców, konkurujących o pracowników.

Realnym problemem jest kwestia proporcji. Przyjmując, że wynagrodzenia w spółdzielniach pracowniczych są sprawiedliwsze, jaki odsetek pracowników najemnych w USA musiałby zostać zatrudniony w tych spółdzielniach, by miało to wymierny wpływ na nierówności płacowe w USA? Według Deana Bakera z CEPR gdyby w autentycznych spółdzielniach udało się zatrudnić 4-5% pracowników najemnych, wywarłoby to realny wpływ. Szczególnie wtedy, gdy działałoby one w sposób politycznie świadomy. Raport „Badanie wpływu spółdzielni na gospodarkę” (Research on the Economic Impact of Cooperatives), opublikowany przez Centrum Badań Spółdzielczości Uniwersytetu Wisconsin w 2009 r., wskazuje, że spółdzielnie amerykańskie utrzymują liczbę miejsc pracy odpowiadającą około 856 tysiącom pełnych etatów. Według „Bieżącej Statystyki Zatrudnienia” to 0,65% wszystkich pracowników w USA poza rolnictwem.

Zatem zatrudnienie w spółdzielniach powinno wzrosnąć nawet siedmiokrotnie, by zaczęło wywierać wymierny wpływ na nierówności płacowe.

Jaki udział w miejscach pracy w USA musiałyby mieć spółdzielnie pracownicze, żeby zahamować eksport miejsc pracy na tyle, że wymiernie przyczyniłoby się to do wzrostu liczby miejsc pracy netto? Baker sugeruje, że jeśli pracownicy spółdzielni nie będą działać w sferze polityki, to ich udział w całości zatrudnienia w USA musiałby być wyższy niż 4-5%, aby wymiernie wpłynąć na eksport miejsc pracy z USA. – *Musi to być naprawdę duży udział, by mógł wpłynąć na outsourcing, ponieważ eksport miejsc pracy jest skutkiem zachęt ekonomicznych, wynikających m.in. z polityki drogiego dolara* – wyjaśnia Baker. – *Nawet jeśli zgromadzimy wszystkich naszych pracowników przemysłu stalowego w spółdzielniach, lecz będzie dostępna za pół ceny stal z krajów rozwijających się, nikt nie będzie kupował stali od spółdzielni amerykańskich.*

Kwestia kultury

Ostatecznym czynnikiem decydującym o sile i losie spółdzielni pracowniczych na szczęblu zarówno mikro, jak i makro mogłaby być kultura.

Ludzie rozwijają kulturę wspólnych praktyk i przekonań w wyniku dążenia do zaspokojenia potrzeb społecznych, ekonomicznych i światopoglądowych. Wspólna kultura przyciąga, ponieważ współpraca jest łatwiejsza, jeśli różne osoby myślą i działają podobnie. Ta synchronizacja najczęściej nie zachodzi świadomie. To skutek ciągłego „poszturchiwania i popychania” przez otoczenie, skłaniającego do wybrania ścieżki najmniejszego oporu. Oczywiście, nasze praktyki nie zawsze są zgodne z naszymi przekonaniami, lecz jeśli już są zgodne, to doraźne

związki i relacje przekształcają się w trwałe i efektywne instytucje.

Na poziomie mikro zasada ta mówi nam, że bardzo ważne może być włożenie pewnego świadomego wysiłku w zrozumienie spółdzielni pracowniczych i przyswojenie sobie głęboko zakorzenionych wierzeń skłaniających ludzi do tworzenia spółdzielni. Jeśli kultura wewnętrzna jest silna, wtedy jej uczestnicy mają wolę, by powiedzieć „nie” – na przykład konwencjonalnym naciskom na zawyżanie płac dyrektorów jako technik rekrutacji lub zachętom do pozyskiwania kapitału od spekulantów z naruszeniem wartości spółdzielczych.

– *Poświęcenie czasu na wspólne zdobywanie wiedzy podczas zakładania nowej spółdzielni pracowniczej jest nieocenioną inwestycją* – mówi Kristen Barker. Ona i pozostali założyciele CUCI działali na zasadach tematycznego „klubu książki” przez około 2 lata, czytając o spółdzielniach pracowniczych, oglądając filmy dokumentalne i dyskutując. Choć Barker i jej współnicy zamierzali stworzyć organizację doradczą, niemniej ich metoda powinna być przykładem dla każdego zakładającego spółdzielnię. – *Należy upewnić się, że postępujemy słusznie – szczególnie wówczas, gdy projekt obejmuje nowe normy i tworzy nowy rodzaj instytucji społecznej* – odnotowuje Gar Alperovitz.

Członkowie spółdzielni pracowniczej mogą zbudować silną kulturę wewnętrzną, lecz pozostaną członkami innych grup społeczno-gospodarczych o potencjalnie odmiennych tendencjach kulturowych – na przykład o kulturze przedsiębiorstwa tradycyjnego. W epoce dominacji korporacji akcyjnych nie tylko w gospodarce, lecz również w kulturze

spółdzielnia pracownicza może odczuwać w relacjach z dostawcami, dystrybutorami czy inwestorami to „poszturchiwanie i popychanie” w kierunku antydemokratycznych postaw ze strony kultur większych i silniejszych. Opinie, że demokracja jest za mało wydajna; że dyscyplina jest najlepszym motywatorem dla tych z nizin, a pieniądź dla tych z góry; że szeregowym pracownikom nie można zaufać, a dyrektorom należy; że drogi dolar jest dla nas dobry i nie będzie kosztował utraty miejsc pracy – te opinie mogłyby zacząć przenikać do spółdzielni pracowniczych, rozważać ich odrębną polityczną świadomość i zdolność do jednoczenia się we wsparciu polityk demokratycznych w wymiarze gospodarczym.

Z powyższych rozważań wynika, że bardzo ważne dla orędowników spółdzielczości może być rozpoczęcie identyfikowania i rozwijania dużych społeczności polityczno-gospodarczych, których kultury zdecydowanie wspierają idee demokratyczne spółdzielni. Aby działać efektywnie, społeczności te muszą być dobrze zorganizowane politycznie, dzielić wspólne poczucie tożsamości i celów oraz utrzymywać znaczącą gospodarczą siłę. Związki zawodowe są jedną z takich społeczności, które – jak zauważa Witherell – *już dzielą wiele ideałów wspólnych ze spółdzielniami: poczucie sprawiedliwości i solidarności*. ✖

Tłum. Mateusz Batelt

Tekst pierwotnie ukazał się w lipcu 2013 r. na stronie internetowej autora pod adresem: <http://www.democraticpromise.org/commentary/union-coops2013-07.html>. Tytuł przedruku pochodzi od redakcji „Nowego Obywatela”. W tekście poczyniono skróty oraz zmieniono niektóre słódytyły.

REKLAMA

SKŁADAMY
„NOWEGO
OBYWATELA”



ADRES NASZEJ STRONY INTERNETOWEJ JEST TAKI, JAK NASZA NAZWA, A NUMER TELEFONU TO: 533 600 443

Socjaldemokratyczna polityka społeczna

RAFAŁ BAKALARCZYK



Zarówno socjaldemokracja, jak i polityka społeczna budzą liczne skojarzenia, często oparte na intuicjach. Nierzadko są one trafne, jak wówczas gdy myślimy o przeciwdziałaniu ubóstwu, wsparciu słabszych, zmniejszaniu nierówności. Jednak czasami realna treść tych pojęć wybiega poza powszechne wyobrażenia. Czy polityka społeczna to tylko pomoc ubogim? Czy rozbudowany system socjalny rozleniwia i dusi przedsiębiorczość? Czy programy skierowane tylko do najbardziej potrzebujących to najlepszy sposób, aby umożliwić im godne i pełnoprawne funkcjonowanie w społeczeństwie? Na te pytania intuicja może nie odpowiedzieć, dlatego warto udać się w podróż śladami różnych systemów polityki

społecznej, wśród których szczególnie interesujący, jeśli chodzi o skuteczne łączenie sprawiedliwości i efektywności, wydaje się ten zwany socjaldemokratycznym.

Nie „czy”, ale „jaka”

Polityka społeczna prowadzona przez państwo przy udziale innych podmiotów to obszar zagadnień, który stał się standardem w krajach zamożnych, a także w części krajów rozwijających się.

Różnice dotyczą raczej skali aktywności, sposobów interwencji, celów i osiąganych rezultatów, a nie tego, czy w ogóle taką politykę prowadzić. Tymczasem w Polsce wciąż stajemy przed koniecznością obrony

polityki społecznej jako takiej przed środowiskami, które najchętniej ograniczyłyby ją do absolutnego minimum, a jej obecne zadania powierzyły organizacjom charytatywnym, uzupełniającym dobrobyt wypracowywany w wyniku gry sił rynkowych. Podejmując debatę w imię obrony państwa socjalnego, z jednej strony robimy to, co konieczne, z drugiej jednak reprodukowujemy kształt debaty, który stawia nas w pozycji defensywnej. Warto w związku z tym przejść od pytania „czy” do próby odpowiedzi na pytanie „jaka” polityka społeczna. To przesunięcie pozwala nam zrobić krok do przodu w rozpoznaniu i projektowaniu rzeczywistości oraz może posłużyć w sporze o rację bytu państwa socjalnego. Pokazuje bowiem, że **polityka społeczna to nie postkomunistyczna skamielina, lecz złożony wachlarz narzędzi, którym na różne sposoby możemy kształtować rzeczywistość i osiągać wspólnotowe cele, nie tylko te o charakterze *stricte* socjalnym.**

Sztuka wyboru

W różnych krajach istnieją sprawdzone wzorce mierzenia się z wybranymi wyzwaniami społecznymi. Próby ich usystematyzowania sięgają lat 60., a szczególny rozwój tej dziedziny rozważań, tj. porównawczej polityki społecznej, wypada na koniec lat 80. Kamieniem milowym była książka „Three worlds of welfare capitalism” Gøsta Esping-Andersena (w Polsce przetłumaczona niezbyt szczęśliwie jako „Trzy światy kapitalistycznego państwa dobrobytu”). Wyróżnił on trzy główne warianty: socjaldemokratyczny, liberalny i konserwatywny. Typologia ta podlegała następnie modyfikacjom ze strony samego autora ze względu na kryteria podziału oraz nieadekwatność względem poszczególnych krajów i regionów, zwłaszcza tych spoza zachodniego kapitalizmu, będącego dla autora głównym punktem odniesienia. O politycznej przydatności tej klasyfikacji stanowi jej powiązanie z wybranymi doktrynami politycznymi, które do dziś mogą orientować działalność partii politycznych, także w tak nietypowym kraju jak Polska.

Sztuka wyboru według danego modelu polityki społecznej będzie zależała w dużej mierze od tego, jaka ideologia jest nam bliska – jaki system przekonań względem ładu społecznego uznajemy odnośnie do ładu społecznego. Jednak zbieżność modelu z naszymi wartościami nie musi być wyłącznym kryterium wyboru i oceny. Możemy, a nawet powinniśmy uwzględniać również kwestie związane ze skutecznością osiągnięcia pewnych zamierzeń, a także możliwości przyjęcia danych rozwiązań w zastanych warunkach. W opinii niżej podpisanego podejście socjaldemokratyczne jest zarówno najbliższe wartościom, które przyświecają środowisku „Nowego



© Bengt Nyman, flickr.com/photos/bnsd/3604124051/

Obywatela” i części jego czytelników, jak i najsukuteczniej może pozwolić osiągnąć cele – jak choćby efektywność ekonomiczną, stabilność demograficzną czy innowacyjność – które wykraczają poza dążenia organicznych socjaldemokratów, a mogą być atrakcyjne także dla osób o nieco innej orientacji ideowej.

Modele polityki społecznej różnią się na poziomie fundamentalnych wartości – odnośnie do tego, w jakim stopniu powinna być realizowana solidarność, komu i na jakich zasadach, jak dalece państwo powinno ingerować w stosunki społeczne, jaki poziom nierówności akceptujemy itp.

Model liberalny

- ▶ Państwo ingeruje w niewielkim stopniu, dopiero gdy w danym przypadku zawiodą inne źródła dobrobytu (np. rodzina i rynek),
- ▶ programy są selektywne, w założeniu adresowane do najbardziej potrzebujących (stosuje się różne kryteria selekcji, najczęściej jest to kryterium dochodowe),
- ▶ duża rola pomocy społecznej, a niewielki udział świadczeń o charakterze zaopatrzeniowym,



Świadczenia uniwersalne, zwłaszcza te realizowane w formie usług publicznych, sprzyjają integracji społecznej różnych grup.

- ▶ interwencja socjalna ma nieznacznie korygować i usprawniać mechanizmy rynkowe,
- ▶ duża rola lokalnych sieci wsparcia (rodzina, wspólnota sąsiedzka, grupy samopomocowe i religijne).

Model socjaldemokratyczny

Model socjaldemokratyczny różni się zasadniczo od konserwatywnego i liberalnego już na poziomie podstawowych założeń. W znacznie większym stopniu dopuszcza świadome i intencjonalne kształtowanie stosunków społecznych przy pomocy polityki publicznej, która ma uzupełniać czy korygować ich charakter, jaki wynika wprost z układu sił na rynku, w relacjach rodzinnych i władzy. Oto najważniejsze cechy tego modelu:

- ▶ wsparcie socjalne może prowadzić do stygmatyzacji jego adresatów, co w założeniu ma motywować do korzystania z niego tylko w skrajnych przypadkach i do jak najszybszego powrotu na rynek pracy,
- ▶ dążenie, by interwencja socjalna w niewielkim stopniu zaburzała mechanizmy rynkowe,
- ▶ brak intencji świadomego usuwania nierówności społeczno-ekonomicznych ze strony państwa, a co najwyżej wola nieznacznego ich złagodzenia,
- ▶ otwarcie na mechanizmy rynkowe w zabezpieczeniu społecznym (duża rola podmiotów prywatnych i społecznych).

Model konserwatywny

- ▶ Istotna rola rodziny w zaspokajaniu potrzeb jednostki i zapewnianiu jej bezpieczeństwa socjalnego,
- ▶ rozbudowany system państwowych ubezpieczeń społecznych, które chronią na wypadek zaistnienia ryzyk socjalnych,
- ▶ instytucje socjalne nakierowane na żywiciela rodziny, który ma zapewnić rodzinie byt,
- ▶ instytucje publiczne utrwalają tradycyjny podział ról w rodzinie,

- ▶ państwo odważnie ingeruje w stosunki rynkowe w celu zmniejszania nierówności i realizacji innych społecznych celów, czemu służą wysokie i silnie progresywne podatki,
- ▶ wysoki udział wydatków socjalnych w PKB i w budżecie (traktowanie polityki społecznej jako sfery wartej tego, by w nią inwestować),
- ▶ państwo odgrywa doniosłą rolę w zaspokajaniu potrzeb swoich obywateli i zapewnianiu im godziwych i bezpiecznych warunków życia,
- ▶ przeważają programy uniwersalne (zaopatrzeniowe), adresowane do wszystkich obywateli lub do szerokich grup, niezależne od testu dochodów, a oparte na diagnozie potrzeb lub innych kryteriach (np. wiek),
- ▶ duża rola powszechnych usług publicznych adresowanych do wszystkich obywateli/mieszkańców (kategoria obywatelstwa socjalnego),
- ▶ dążenie, aby pozycja na rynku pracy czy sytuacja rodzinna nie determinowały możliwości uczestniczenia w życiu społecznym i realizacji potrzeb (tzw. dekomodyfikacja),
- ▶ promowanie partnerskiego modelu rodziny i tworzenie możliwości łączenia ról rodzinnych i zawodowych,

- ▶ aktywna i wielowymiarowa polityka wsparcia, zwłaszcza grup zagrożonych wykluczeniem społecznym i zawodowym (niepełnosprawni, kobiety, imigranci itp.),
- ▶ istotne znaczenie dialogu społecznego w tworzeniu i realizowaniu polityki społeczno-gospodarczej, czemu towarzyszą wysoki poziom uzwiązkowienia i kooperacyjny charakter stosunków pracy.

Model ten, podobnie jak dwa pozostałe, praktycznie nie występuje nigdzie w czystej postaci, aczkolwiek najbliższa mu w okresie powojennym okazała się droga rozwoju w państwach skandynawskich, zwłaszcza w Szwecji. Partia Socjaldemokratyczna, niemal nieprzerwanie rządząca w tym kraju, wypracowała sposób funkcjonowania instytucji na tyle stabilny i cieszący się społecznym poparciem, że nawet gdy do władzy doszły ugrupowania konkurencyjne, podstawy systemu zostały zachowane. Jednocześnie od lat 90. system szwedzki podlega dynamicznej ewolucji. Niekiedy oddala go ona od założeń socjaldemokracji, np. wprowadza mechanizmy rynkowe do sektora usług publicznych (zwłaszcza edukacyjnych) lub segment kapitałowy do systemu emerytalnego. W innych sferach „socjaldemokratyczność” wzrasta, np. jeśli chodzi o powszechność dostępu do opieki przedszkolnej.

Siła uniwersalizmu, słabość selekcji

Jednymi z najbardziej charakterystycznych wyróżników socjaldemokratycznej polityki społecznej są: zasada uniwersalności oraz bliska jej zasada obywatelstwa socjalnego. Jednocześnie są to cechy niezbyt dobrze kojarzone na polskim gruncie, nie przypisuje się im odpowiedniej rangi lub wręcz wartościuje negatywnie jako socjalistyczne relikty. **Jeszcze do niedawna nawet w środowiskach lewicowych nie-rzadkie było przekonanie, że wsparcie powinno być adresowane do najbardziej potrzebujących, czyli najuboższych, a więc spełniających kryterium dochodowe. O ile rozumie się, że socjaldemokracja powinna walczyć z nadmierną rozpiętością dochodów, a szerzej – możliwości życiowych, o tyle formuła świadczeń uniwersalnych, adresowanych do dużych grup społecznych, czasem wręcz do całego społeczeństwa, budzi pewną nieufność. Dlaczego dzieci Kulczyka miałyby dostawać tyle samo co dzieci z byłych PGR-ów lub wielkomiejskich enklaw bieddy? Z pozoru wydaje się, że w niechęci do świadczeń uniwersalnych tkwi sens. Środków mamy przecież mało, a trzeba trafić do najbardziej potrzebujących, zaś korzystanie ze świadczeń przez osoby z klasy średniej czy wyższej to przecież marnotrawstwo ograniczonych zasobów. Czy na pewno?**

Zasada obywatelstwa socjalnego mówi o tym, że uprawnienia socjalne są uzależnione od samego statusu obywatela (a w zasadzie należałoby to rozszerzyć także na rezydentów), a nie od grubości portfela czy innych dodatkowych kryteriów, najczęściej powiązanych z przeszłym lub aktualnym statusem na rynku pracy czy sytuacją rodzinną. Świadczenia uniwersalne to przede wszystkim te o charakterze zaopatrzeniowym – finansowane z budżetu i kierowane do obywateli w zależności od potrzeb lub bardzo ogólnych kryteriów związanych z fazą życia – dzieciństwem czy podeszłym wiekiem.

Przyjrzyjmy się kilku argumentom dotyczącym słabości selektywnej polityki społecznej:

- ▶ ryzyko pominięcia części osób potrzebujących,
- ▶ ryzyko stygmatyzacji odbiorców wsparcia,
- ▶ koszty weryfikacji,
- ▶ rozbijanie wspólnoty i kapitału społecznego,
- ▶ ograniczona presja pro jakościowa.

Z ideowego punktu widzenia najważniejszy jest pierwszy argument. Uderza on w tak ważny dla socjaldemokracji cel, jakim jest zaspokojenie potrzeb, zwłaszcza osób najsłabszych, ale także pokazuje, że główna intencja stojąca za logiką selektywną nie sprawdza się w jej praktycznym zastosowaniu. **Jeśli uzależnimy wsparcie od sztywnego kryterium dochodowego, doprowadzimy do sytuacji, w której osoby nieznacznie je przekraczające zostaną pozbawione pomocy, choć ich sytuacja może nie pozwalać na realizację pewnych potrzeb.** Drastyczny przykład tego widzimy w Polsce, odkąd w wyniku zmiany ustawy o świadczeniach rodzinnych dla opiekunów niepełnosprawnych dorosłych starających się o świadczenie z tytułu rezygnacji z pracy wprowadzono kryterium dochodowe (i kilka innych). W efekcie około 80 tys. opiekunów straciło prawo do specjalnego zasiłku opiekuńczego, a przy okazji także ubezpieczenia zdrowotne i emerytalno-rentowe. Ludzie ci bardzo często żyją w nędzy – choć nieznacznie przekraczają dochodowy próg uprawniający do świadczeń rodzinnych, który na dodatek nie jest wysoki, to skala wydatków, jakie wiążą się z pielęgnacją, rehabilitacją i leczeniem osoby głęboko niepełnosprawnej, sprawia, że niemal nic nie zostaje na codzienne potrzeby.

Drugi argument związany ze stygmatyzacją również nasuwa nam obserwacja polskiej rzeczywistości społecznej. Mówi on o tym, że **gdy program jest adresowany tylko do wykluczonych, jego odbiorcy mogą doświadczyć ryzyka napiętnowania jako gorsi, niezaradni, bezproduktywni itp.** To ryzyko jest duże szczególnie w tych społeczeństwach, w których dyskurs publiczny i klimat społeczny są niekorzystne dla osób słabszych, a jednocześnie status



Gdy program jest adresowany tylko do wykluczonych, jego odbiorcy mogą doświadczyć ryzyka napiętnowania jako gorsi, niezaradni, bezproduktywni itp.

społeczno-ekonomiczny decyduje o pozycji symbolicznej. Do takich społeczeństw można zaliczyć potransformacyjną Polskę, zatem nad Wisłą ryzyko stygmatyzacji jest duże i trzeba mu przeciwdziałać. Niestety nie zawsze się to udaje, i to tam, gdzie wszelka stygmatyzacja jest szczególnie boleśnie odczuwana, czyli w rzeczywistości szkolnej, przy okazji programów dożywiania, które także są zależne od kryteriów dochodowych. Programom tym często towarzyszy napiętnowanie korzystających z nich dzieci (zwłaszcza jeśli na oczach reszty otrzymują skromniejszy posiłek niż pozostałe) lub obawa przed tym piętnem, prowadząca do niekorzystania ze wsparcia. Takie praktyki były opisane przez Najwyższą Izbę Kontroli. Wracamy więc do argumentu pierwszego – okazuje się, że ryzyko niedotarcia do potrzebujących dotyczy także tych, którzy spełniają formalne kryteria.

Oczywiście pewne instrumenty polityki społecznej mogą częściowo łagodzić oba te rodzaje ryzyka. Można ustalać próg dochodowy na wysokim poziomie albo otwierać furtkę podmiotom przyznającym lub wypłacającym świadczenia do odstąpienia od kryterium dochodowego, pozostawiając jednak ów próg jako ogólną zasadę. Można też szukać technik dotarcia z pomocą, tak aby proces ten był możliwie dyskretny i nienaznaczający adresatów. Jednocześnie stopień uciążliwości tego typu sytuacji pozostaje większy niż w przypadku podejścia uniwersalnego,

a wszystkie sposoby technicznego łagodzenia tegoż nie dają gwarancji skuteczności oraz są stosunkowo kosztowne.

Dochodzimy tu do kolejnego argumentu, tym razem natury ekonomicznej. Zwolennicy świadczeń selektywnych argumentują, że świadczenia powszechne to duży wydatek, a także marnotrawstwo środków. W tym rachunku często nie bierze się pod uwagę kosztów, jakie można oszczędzić dzięki osłabieniu mechanizmów weryfikacji „komu” i „na jakich zasadach” przysługuje świadczenie. Im bardziej restrykcyjne będą kryteria dostępu do poszczególnych typów pomocy, tym większe zasoby finansowe, kadrowe i czasowe będzie pochłaniała ich weryfikacja. Tymczasem można przekierować te siły na pracę socjalną i środowiskową z jednostkami, grupami czy społecznościami doświadczającymi trudności, co dawałoby szanse na ich przezwyciężenie oraz na społeczne i ekonomiczne korzyści w dłuższej perspektywie.

Badania porównawcze pokazują, że wysoce selektywny, oparty na weryfikacji system nie sprzyja zaufaniu społecznemu (a także względem państwa) i działa destrukcyjnie na kapitał społeczny, będący według współczesnej wiedzy niezwykle ważnym czynnikiem rozwoju. Świadczenia uniwersalne, zwłaszcza te realizowane w formie usług publicznych, sprzyjają natomiast integracji społecznej różnych grup. To włączenie dostępu do wsparcia innych

grup rodzi też większą presję na jakość. Gdy jedy-
nymi adresatami danych programów są grupy słabe,
niemające siły przebicia, wówczas nie wywiera się
presji na to, by ich jakość była na odpowiednim po-
ziomie.

W kierunku włączenia najsłabszych

Do idei uniwersalności należy podchodzić elastycz-
nie, a uznanie jej za wiodącą nie wyklucza stosowa-
nia instrumentów selektywnych, uzależniających
dostęp do pomocy, jej zakres czy ewentualny po-
ziom współpłatności od sytuacji materialnej. Ważna
jest pozycja w całej strukturze programów adreso-
wanych do wyszczególnionych grup w trudnej sy-
tuacji względem tych powszechnych, skierowanych
do ogółu lub całych grup wiekowych. O ile w mo-
delu liberalnym specjalne plany wsparcia dla ubo-
gich i wykluczonych będą stanowiły podstawę czy
wręcz istotę opiekuńczości państwa, o tyle w mo-
delu socjaldemokratycznym będą one koniecznym
uzupełnieniem publicznego systemu dobrobytu,
opierającego się na powszechnych świadczeniach.

Głównymi filarami tego systemu będą: z jednej
strony możliwie ogólnie dostępny system zabez-
pieczenia społecznego, obejmujący jak najszerzy
katalog ryzyk socjalnych, tak by osoba, która która
straci dochód w związku z niemożnością dalszego
wykonywania pracy, nie została bez środków, z dru-
giej zaś strony jest to system uniwersalnych usług
publicznych związanych ze zdrowiem, opieką, edu-
kacją i szkoleniami w różnych fazach życia jednostki.
Warto pamiętać, że cel stanowi pomoc w zaspokoje-
niu potrzeb nie tylko na najbardziej elementarnym
poziomie, lecz także w sferach, które umożliwiają
w miarę godziwą egzystencję i udział w życiu spo-
łecznym.

Z wizją socjaldemokratyczną (uniwersalną) nie
kłóci się istnienie instrumentów adresowanych do
wyselekcjonowanych grup, np. imigrantów, niepeł-
nosprawnych czy rodzin przeżywających material-
ne i wychowawcze trudności. Jednak trzeba w tym
przypadku przedstawić trzy zastrzeżenia:

- ▶ Programy te nie powinny się rozwijać zamiast pro-
gramów powszechnych, lecz obok nich, jako uzu-
pełnienie. Jednostki w szczególnie trudnej sytuacji
powinny móc korzystać ze świadczeń adresowa-
nych do wszystkich (takich jak usługi opiekuńcze,
edukacyjne, zdrowotne), a oprócz tego otrzymy-
wać dodatkowe wsparcie związane ze specyfiką
ich trudniejszej sytuacji.
- ▶ Programy kierowane do wyodrębnionych grup (np.
ze względu na niepełnosprawność) nie powinny być
obudowane zbyt wieloma dodatkowymi kryteriami
o charakterze dochodowo-ekonomicznym. Jeśli
mówimy o świadczeniach dla niepełnosprawnych



© Mike Legend, flickr.com/photos/mikelegend/6322787049/

i/lub ich opiekunów, nie powinny być one przy-
znawane tym niepełnosprawnym, którzy żyją
w biedzie, lecz wszystkim niepełnosprawnym
i opiekunom, gdyż przesłanką wsparcia winny być
potrzeby (np. rehabilitacyjne czy pielęgnacyjne)
i związane z nimi koszty oraz ograniczone możli-
wości osiągania dochodu, a nie stopień ubóstwa.
Poziom dochodu i pozycja rynkowa mogą być co
najwyżej brane pod uwagę przy określaniu zakresu
i poziomu wsparcia (tj. rodziny w trudniejszej sy-
tuacji mogłyby je otrzymywać na wyższym poziomie)
lub stopnia współpłatności za dany typ usług, gdy
nie są one w pełni refundowane, ale zasadniczo do-
stęp do nich powinien być związany z zaistnieniem
potrzeby.

- ▶ W podejściu socjaldemokratycznym nawet te pro-
gramy, które są adresowane do wyodrębnionych
grup ze względu na pewne defaworyzujące cechy,

powinny być kierowane w taki sposób, aby jak najbardziej integrować je z systemem społecznym. Chodzi o tworzenie wspólnoty i możliwości uczestnictwa w niej na równych prawach. Stąd też gdy państwo stworzy projekt pomocy dla danej grupy wykluczonej lub zagrożonej wykluczeniem, powinien on nie tyle zaspokajać potrzeby jej przedstawicieli poza głównym nurtem życia społecznego, co być ukierunkowany na włączenie ich do tego życia.

Różnice podatków, nie uprawnień

W myśl doktryny socjaldemokratycznej na programach powszechnych najślabi zyskują bardziej niż w krajach, gdzie programy wsparcia ogniskuje się tylko wokół wykluczonych. Dzieje się tak, gdyż uniwersalność integruje ich z resztą społeczeństwa i umożliwia korzystanie z szerszych praw obywatelskich. Korzyści pośrednie dotyczą też tych, którzy ponoszą największe obciążenia w związku z rozwojem publicznej polityki społecznej, czyli warstw dobrze uposażonych – otrzymują oni w zamian życie w bezpieczniejszym i bardziej stabilnym społeczeństwie.

W modelu socjaldemokratycznym dochodzi do różnicowania, ale w mniejszym stopniu na poziomie uprawnień, a bardziej na poziomie obciążeń związanych z finansowaniem i realizowaniem rozbudowanej polityki publicznej, w tym społecznej. Z usług tych korzystają, a przynajmniej w świetle dostępnych uprawnień mogą korzystać, wszyscy – i ubodzy, i zamożni, ale ci drudzy w znacznie większym stopniu dokładają się do publicznej kasy w formie podatków i składek. Równy dostęp do uniwersalnych świadczeń wysokiej jakości ma też stanowić argument przekonujący klasy średnią i wyższą do odprowadzenia wysokich podatków od własnych dochodów.

Wysoce progresywny system podatkowy jest niejako ekonomicznym fundamentem socjaldemokratycznej polityki społecznej, pozwalającym na realizację dwóch celów kluczowych z punktu widzenia tej optyki. Po pierwsze spłaszcza się dzięki temu strukturę społeczną. W wyniku zastosowania sprawnego i progresywnego systemu fiskalnego, w którym to bogatsi wpłacają proporcjonalnie więcej do publicznej kasy, ich realny dochód, którym rozporządzają, mniej wówczas odstaje od tego, jakim dysponują warstwy uboższe. Te z kolei nie dość, że oddają ze swoich indywidualnych budżetów mniej, to w dodatku są one zasilane w wyniku transferów socjalnych. Liczy się tu nie tylko pomoc w postaci pasywnych instrumentów wsparcia, jak zasiłki, ale także możliwość korzystania z publicznych programów ułatwiających powrót na rynek pracy, dzięki czemu stopa zatrudnienia jest wysoka (co pokazują przykłady krajów skandynawskich), a udział osób, które żyją wyłącznie z zasiłków, stosunkowo

niewielki. Po drugie te progresywne i wysokie (dla najbogatszych) podatki są warunkiem *sine qua non* realizowania socjaldemokratycznego modelu polityki społecznej, który ze względu na swoje ambitne cele potrzebuje wysokiego poziomu zasilania.

„Socjal” jako inwestycja

Co ważne jednak, fundusze na ten cel nie są postrzegane jako zwykły koszt, ale jako inwestycja, z której korzyść *per saldo* odnoszą wszyscy obywatele, nie tylko w momencie korzystania z poszczególnych świadczeń.

Za uznaniem hojnej polityki społecznej przemawia identyfikacja wielu korzyści płynących z jej prowadzenia oraz kosztów jej zaniechania. Prof. Tadeusz Kowalik mawiał: *Na głośne ostatnio w publicystyce politycznej pytanie, czy Polskę stać na państwo opiekuńcze, odpowiadam – Polski nie stać na rezygnację z państwa opiekuńczego*. W swych publikacjach przekonywał, iż polityka społeczna to nie tylko narzędzie redystrybucji, ale także sposób wzmocnienia i pobudzenia gospodarki, np. poprzez przywrócenie ludzi na rynek pracy czy zwiększenie ich kompetencji. Nie powinno się zatem myśleć o polityce społecznej w oderwaniu od ekonomii politycznej, lecz traktować rzecz całościowo.

Ekonomiczne korzyści z budowania systemu dobrobytu możemy podzielić na trzy zasadnicze grupy. Są to:

1. stymulowanie i stabilizowanie (także w dłuższej perspektywie) popytu wewnętrznego, napędzającego gospodarkę,
2. uniknięcie lub ograniczenie wielu kosztów naprawczych i alternatywnych, obciążających gospodarkę,
3. sprzyjanie innowacyjności i umacnianie kapitału ludzkiego i społecznego, będących również czynnikami wzrostu gospodarczego.

Zwiększając dochody ludności, zwiększa się popyt wewnętrzny. Ludzie niezbyt zamożni wydają pieniądze, by zaspokoić swoje potrzeby, nakręcając w ten sposób koniunkturę. To wzmocnienie popytu może dokonywać się na różne sposoby, nie tylko poprzez bezpośrednie transfery w formie zasiłków z tytułu takiego czy innego ryzyka socjalnego (np. bezrobocia, choroby, ubóstwa itp.). Pamiętajmy, że socjaldemokratyczne państwo dobrobytu to coś więcej niż tylko osłonowe państwo opiekuńcze dla najbardziej poszkodowanych. Wykorzystuje ono także czynne instrumenty w ramach np. aktywnej polityki rynku pracy i zwiększania zatrudnienia, zwłaszcza w obrębie sektora usług publicznych. Osoby, które dzięki tego typu działaniom uzyskują większy dochód z pracy, również stają się aktywnymi podmiotami

na rynku konsumenckim, wpływając na podaż. Dodatkowo w socjaldemokratycznym modelu zaleca się kształtowanie, zarówno poprzez twarde regulacje, jak i miękkie oddziaływanie, działań poza sektorem publicznym, aby poziom płac i ochrona zatrudnienia pozwalały ludziom utrzymać się z własnej aktywności. Państwo dobrobytu ma też potencjalne zasługi w stabilizowaniu cyklu życia jednostki. Dzięki powszechnemu systemowi zabezpieczenia społecznego z silnym rysem solidarności między- i wewnątrzgeneracyjnej udaje się racjonalnie rozłożyć środki pomiędzy fazami życia obywateli, w których są zdolni do uzyskiwania dochodu z własnej pracy, i te, w których ze względu np. na podeszły wiek są zdani na życie w pełni lub w dużej mierze finansowane ze świadczeń. W efekcie w sytuacji zaistnienia rozmaitych ryzyk socjalnych (od wypadku po starość) ludzie nie są wyrzucani poza rynek dóbr i usług.

Druga grupa argumentów wiąże się z unikaniem kosztów, jakie rodzą zaniechania socjalne. Jednym z największych osiągnięć państwa dobrobytu jest ograniczanie ubóstwa i wykluczenia (socjaldemokratyczne kraje skandynawskie wiodą w tym prym). Okazuje się, że to cywilizacyjne osiągnięcie ma swoje przełożenie ekonomiczne. Ubóstwo i wykluczenie skutkują bowiem rozmaitymi problemami społecznymi, takimi jak podatność na kryminalizację czy poważny uszczerbek na zdrowiu. Koszty tych zjawisk w tej czy innej formie i tak będzie musiało ponieść państwo i współobywatele. Prowadzona na socjaldemokratyczną modłę walka z takimi trudnościami powinna mieć - zachowując integracyjny azymut - wymiar prewencyjny, interwencyjny i reintegracyjny. Pomoc w tego typu sytuacjach nie powinna ograniczać się do doraźnego ratownictwa, a następnie pozostawienia odbiorcy samemu sobie (za taką formą pomocy zapewne opowiedziałaby się część zwolenników modelu liberalnego), lecz służyć trwałemu integrowaniu ze społeczeństwem i systemem gospodarczym. Socjaldemokratyczna perspektywa przywiązuje dużą wagę do zapobiegania ubóstwu i wykluczeniu, a jednymi ze środków do tego są tyle razy już przywoływane zaopatrzeniowe wsparcie finansowe i powszechne usługi publiczne.

Mówiąc o kosztach, należy pamiętać, że obok tych naprawczych **niezwalczane ubóstwo i wykluczenie rodzą nie mniej poważne koszty utraconych możliwości**, zwane też kosztami alternatywnymi. Osoby doświadczające wspomnianych trudności nie są w stanie zdobyć ani następnie zdyskontować swojego ogólnoludzkiego potencjału, w tym zawodowego. Długotrwałe wykluczenie i bieda mogą wręcz doprowadzić do zaprzepaszczenia zdobytych kompetencji i niewykorzystania możliwości, zmniejszając z czasem tzw. zatrudnialność. Osoby pozostające poza

rynkiem pracy, które mogłyby pracować (nie liczę tu osób niezdolnych do pracy ani tych, które rezygnują z niej ze względu na inne ważne społecznie role - jak choćby długoterminowa opieka nad bliskimi), to także straty dla budżetu w związku z niższymi wpływami podatkowymi i składkowymi. Na marginesie należy podkreślić, że **socjaldemokratyczne państwo dobrobytu nie musi dezaktywizować i zniechęcać ludzi do podejmowania pracy**. Wręcz przeciwnie, **doświadczenia skandynawskie pokazują, że w krajach tych poziom zatrudnienia jest wysoki**. Wydatki przeznaczane na przeciwdziałanie bezrobociu, poprzez m.in. aktywną politykę rynku pracy, są procentowo najwyższe właśnie w krajach nordyckich. Model socjaldemokratyczny zawiera także elementy wspierające wzrost poziomu zatrudnienia. Chodzi przede wszystkim o politykę rodzinną i opiekuńczą. Państwo wspierając ludzi w wychowywaniu potomstwa (np. gwarantując dostęp do żłobków i przedszkoli), a także tworząc zachęty do równomiernego rozkładu powinności opiekuńczych między oboje rodziców, sprzyja aktywizacji kobiet na rynku pracy i tym samym wyższemu poziomowi zatrudnienia.

Trzecia grupa ekonomicznych korzyści związanych z rozwojem państw dobrobytu w socjaldemokratycznej formule wiąże się z budowaniem przewag konkurencyjnych w gospodarce postindustrialnej. Zaliczają się do nich innowacyjność oraz kapitały ludzki i społeczny. Dlaczego innowacyjność? W Polsce przywykliśmy do wysłuchiwanie wywodów, jakoby państwo socjalne było kulą u nogi dla konkurencyjnej i nowoczesnej gospodarki. Badania porównawcze tego nie potwierdzają - wśród liderów innowacyjności i gospodarki opartej na wiedzy przodują właśnie kraje dysponujące stabilnymi instytucjami społecznego dobrobytu. Czym to wyjaśnić?

Oprócz wysokich nakładów na ten cel - są i inne powody. Po pierwsze szczelna siatka bezpieczeństwa socjalnego może wpływać pozytywnie na skłonność do podejmowania przedsięwzięć niestandardowych i obarczonych ryzykiem niepowodzenia, z których część może się okazać zaczynem innowacji. Gdy osoba mająca tego typu zamysły wie, że ewentualne fiasko nie pociągnie jej na dno drabiny społecznej, wówczas może wykazać większą skłonność do pójścia za swoją wizją. Ponadto ludzie nieżyjący w warunkach ciągłej niepewności o bezpieczeństwo swojego bytu mogą skupić się na tym, co rozwojowe, a nie tylko służące doraźnemu przetrwaniu. Dodatkowo socjaldemokratyczne państwo dobrobytu poprzez zorientowanie na indywidualne potrzeby i możliwości pozwala na akumulowanie najbardziej trwałego czynnika rozwoju i innowacyjności - czyli potencjału ludzi do rozwijania umiejętności kooperacji, inaczej mówiąc kapitału społecznego. Te dwa

elementy w danej perspektywie należy traktować łącznie, jako wzajemnie się warunkujące. W odróżnieniu od modelu liberalnego, w którym potencjał może się rozwijać u pewnej części obywateli (zwykle tych dobrze uposażonych lub wybitnych), o tyle w modelu socjaldemokratycznym takie możliwości próbuje się tworzyć wszystkim członkom społeczeństwa.

Powyższa argumentacja może w sporej mierze odnosić się do legitymizowania państwa socjalnego generalnie, jednak odnosi się ona zwłaszcza do modelu socjaldemokratycznego. Wynika to nie tylko z tego, że w tym przypadku polityka społeczna jest najintensywniejsza, ale także dlatego, że kształt instytucji i idee za nimi stojące pozwalają najskuteczniej ukierunkować działania publiczne na osiąganie celów takich jak spójność społeczna, niski poziom ubóstwa i wykluczenia oraz wysoki poziom bezpieczeństwa socjalnego.

Jak to działa?

Zasady podejścia socjaldemokratycznego można odnosić do systemu polityki społecznej w całości (lub kierunku jego przemian), ale można również zastanawiać się, na ile widoczne są one w politykach szczegółowych, np. zdrowia, edukacji, mieszkalnictwa itd. Warto jednak przed taką analizą zastrzec, że z socjaldemokratycznej perspektywy polityka społeczna stanowi organiczną jedność, system naczyń połączonych, między którymi przepływają impulsy kreujące dany porządek.

Na przykładzie polityki rodzinnej spróbujmy pokazać, na czym konkretnie opiera się doktryna socjaldemokratyczna w praktyce. Jest to o tyle wdzięczna dziedzina, że bardzo dobrze ilustruje, iż **przyjęcie socjaldemokratycznych rozwiązań pozwala na osiągnięcie celów wyróżniających nie tylko socjaldemokrację, a może nawet bardziej innych, np. konserwatywnych czy chadeckich ideologii, jak choćby korzystny współczynnik dzietności.**

Socjaldemokratycznej polityce rodzinnej przyswiecają następujące cele:

Dążenie do zrekompensowania części kosztów związanych z wychowaniem dziecka. Służą temu świadczenia pieniężne adresowane do rodzin z dziećmi, a także różne świadczenia kompensacyjne związane z czasowym lub trwałym wycofaniem się z rynku pracy ze względu na opiekę (np. podczas urlopów wychowawczych, rodzicielskich i związanych z opieką nad osobą zależną, o dość wysokiej stopie zastąpienia).

Wsparcie rodzin w trudnej sytuacji społeczno-ekonomicznej i życiowej jako element uzupełniający politykę adresowaną do wszystkich rodzin. Służyć temu powinny dodatkowe świadczenia pieniężne,

rzeczowe i usługowe, przyznawane elastycznie w zależności od indywidualnych potrzeb rodziny. Preferuje się odchodzenie od sztywnego kryterium dochodowego na rzecz wielowymiarowej i stale aktualizowanej diagnozy potrzeb połączonej z pracą z rodziną, która to wsparcie otrzymuje. Zakres i przebieg tej pracy powinien być współkształtowany przez samych adresatów pomocy.

Zapewnienie wszystkim dzieciom realizacji praw społecznych, niezależnie od statusu społecznego rodzin, z których pochodzą. Chodzi o prawo do zabezpieczenia społecznego oraz opieki i nauczania już na poziomie przedszkolnym. Służyć temu mogą powszechnie dostępne usługi opiekuńcze i edukacyjne.

Ułatwienie godzenia życia rodzinnego z zawodowym (*work-family balance*) i promowanie równości płci w sferach zawodowej i rodzinnej. Zapewnia się to poprzez usługi opiekuńcze nad małym dzieckiem; elastyczne, dostosowane do potrzeb pracownika kształtowanie czasu i miejsca pracy; politykę urlopów oraz zasiłków rodzicielskich i wychowawczych.

Umożliwienie świadomej prokreacji w warunkach bezpieczeństwa socjalnego. Najlepszym sposobem na zdrową strukturę demograficzną nie są bezpośrednie zachęty do rodzenia dzieci, ale zapewnienie potencjalnym rodzicom gwarancji, że ich potomstwo będzie wychowywane w dobrych warunkach. Celem socjaldemokracji jest zapobieganie prokreacji przypadkowej lub wręcz wymuszonej (niechciane ciąży) poprzez rzetelną edukację seksualną i dostęp do antykoncepcji.

Powszechnie dostępne usługi opiekuńcze nad dzieckiem (i innymi osobami zależnymi) umożliwiają godzenie obowiązków domowych z zawodowymi i tym samym wyrównują relacje płci, a także potencjalnie zwiększają dochód w rodzinie (gdy oboje rodzice pracują, przynajmniej w niepełnym wymiarze). Wszystko to w konsekwencji wpływa na większe szanse godnego życia rodzin, a dodatkowo wyrównuje szanse rozwojowe dzieci z różnych środowisk, zakładając, że instytucje pomocowe pełnią funkcje nie tylko opiekuńcze, ale również socjalizacyjno-edukacyjne. Usługi te mogą być świadczone przez podmioty różnych sektorów, lecz dominująca rola powinna należeć do sektora publicznego.

Państwo powinno też działać na rzecz wyprowadzania z tzw. szarej strefy usług związanych z opieką nad osobami zależnymi. Narzędziem może być np. opłacanie składek na zabezpieczenie społeczne za legalne zatrudnienie opiekunki. W kontekście opieki nad osobami niepełnosprawnymi dopuszczalne są także różne formy subsydiowania popytu na usługi opiekuńcze, również te świadczone przez podmioty pozapubliczne. Przykładem takiego rozwiązania może być bon opiekuńczy, czyli przyznawany przez

państwo czek będący promesą płatności za określony typ usług opiekuńczych u świadczeniodawców, którzy spełniają odpowiednie, egzekwowane przez państwo standardy.

Świadczenia materialne dla rodzin wychowujących dzieci, zwłaszcza rodzin o niższych dochodach lub o zwiększonych wydatkach, np. ze względu na niepełnosprawność dziecka. Możliwe są świadczenia uniwersalne w postaci transferu pieniężnego dla rodzin wychowujących dzieci (jako wyraz współudziału państwa w ponoszeniu tego kosztów) lub dobrze zaprojektowane ulgi podatkowe (dla uboższych powinny być dostępne podatek negatywny lub kwota wolna od podatku). Oprócz instrumentów uniwersalnych powinny być stosowane świadczenia uzupełniające w zależności od specyficznych potrzeb. Warunki ich przyznania, wielkość oraz forma nie powinny być uzależnione wyłącznie od przestrzegania restrykcyjnie kryterium dochodowego, lecz od wielowymiarowej diagnozy potrzeb.

Metody socjaldemokratycznej polityki adresowanej do rodzin w trudnej sytuacji życiowej nie opierają się wyłącznie na transferach pieniężnych, ale obejmują także wsparcie usługowe o charakterze reintegracyjnym, które pozwala uzupełnić deficyty i pokonać dysfunkcje. Instrumentem temu służącym może być praca z rodziną w wykonaniu pracownika socjalnego lub asystenta rodziny. W tym celu konieczne jest odpowiednie wykwalifikowanie i uposażenie kadr socjalnych. Wsparcie psychologiczne i poradnictwo powinny być powszechnie dostępne nie tylko dla rodzin najuboższych lub dysfunkcyjnych, ale wszystkich, które chcą z nich skorzystać.

Urlopy rodzicielskie, a nie tylko macierzyńskie. Prawo do urlopów z tytułu urodzenia i wychowania dziecka powinno być tak skonstruowane, by zachęcało do korzystania z nich przez oboje rodziców. Przydatne są szczególne bodźce motywujące ojców, np. w postaci kwot określających ilość czasu do wykorzystania przez mężczyznę lub dodatkowe dni w nagrodę za uczynienie wybór tej możliwości. Ważnym wyzwaniem dla socjaldemokratycznej polityki rodzinnej jest zapewnienie urlopu i zasiłku kobietom, które nie są zatrudnione na umowę o pracę, a więc nie są zabezpieczone z tytułu macierzyństwa.

Doświadczenia krajów zachodnich pokazują, że tam, gdzie respektuje się wymienione zasady, współczynniki dzietności są relatywnie wysokie przy jednocześnie wysokim poziomie aktywizacji zawodowej kobiet. W krajach tych występują również niski współczynnik ubóstwa rodzin z dziećmi i niewielkie różnice w warunkach ich życia, zarówno jeśli chodzi o sytuację materialną, jak i możliwość korzystania z praw społecznych. Przykładem jest Szwecja,

gdzie funkcjonują urlopy rodzicielskie, powszechne świadczenia pieniężne dla wszystkich rodzin z tytułu wychowania dziecka oraz uniwersalne usługi zdrowotne, opiekuńcze i edukacyjne, którymi objęte są wszystkie dzieci. Należy jednak pamiętać, że te osiągnięcia to nie tylko skutek wdrożenia instrumentów *stricte* rodzinnych, ale także odpowiedniej sytuacji mieszkaniowej i stosunków pracy.

Co z Polską?

Pozostajemy wciąż przed pytaniem, jak na tle opisanych systemów wygląda nasza rodzima rzeczywistość. Z racji tego, że socjaldemokratyczne podejście zakłada bardzo szerokie spojrzenie na politykę społeczną – nie tylko w obszarze polityki socjalnej i pomocy społecznej, ale także w obrębie takich dziedzin jak zdrowie czy mieszkalnictwo – niepodobna w tym miejscu dokonać spójnej, całościowej diagnozy. Można jednak pokusić się o dostrzeżenie ogólnych tendencji i właściwości w polskiej specyfice. Niemniej i to nie jest łatwe, gdyż polski model jeszcze nie okrzepł, a także podlegał istotnym zwrotom w związku z zewnętrznymi uwarunkowaniami takimi jak najpierw transformacja ustrojowa, a następnie europeizacja.

Można jednak powiedzieć, że wciąż daleko nam do socjaldemokratycznego wzorca. Udział wydatków socjalnych w PKB jest niski (ponad 10 punktów procentowych poniżej unijnej średniej), system podatkowy dość płaski, dialog społeczny niezbyt respektowany, polityka rodzinna mocno selektywna, brakuje zabezpieczenia społecznego licznych grup niekorzystających z tytułu ubezpieczenia społecznego w związku z pracą, duży i rosnący wkład podmiotów i mechanizmów rynkowych w dostarczaniu usług edukacyjnych, opiekuńczych i zdrowotnych, niewielki udział świadczeń o charakterze zaopatrzeniowym, niska stopa zastąpienia, jeśli chodzi o świadczenia z tytułu poszczególnych ryzyk społecznych itd. Niewątpliwie jeśli chodzi o efekty, daleko nam do osiągnięcia celów bliskich socjaldemokracji – mamy wysoki poziom ubóstwa i nierówności oraz niski zatrudnienia i aktywizacji kobiet. Jednocześnie oczekiwania społeczne w wielu obszarach zdają się iść w sukurs doktrynie socjaldemokratycznej. Dla przykładu w badaniach CBOS $\frac{2}{3}$ obywateli uważa, że polityka rodzinna powinna być świadczona wobec całego społeczeństwa, a nie tylko rodzin najuboższych czy tych w trudnej sytuacji (jeszcze parę lat temu struktura odpowiedzi była odwrotna). Wydaje się, że brak socjaldemokratycznych czy prospołecznych rozwiązań w polityce społecznej dał się społeczeństwu we znaki. Obywatele zaczynają powoli rozumieć lub odczuwać na własnej skórze, że polski podąża jałowym torem. ✖

Lewica wobec Śląska



ROMAN ADLER

Podstawową zasadą skutecznego działania jest zrozumienie mechanizmów, na które chce się poprzez to działanie wpływać. Bez trafnej teorii na temat zjawisk, z którymi pragniemy się zmierzyć, nie możemy podjąć skutecznych czynności w tym kierunku. To samo dotyczy problemu kreowania na Górnym Śląsku tzw. narodu śląskiego oraz próby promowania idei przekształcenia terytorialno-administracyjnego Polski przez jednego z ideologów tego mikronacjonalizmu, Jerzego Gorzelika i Ruch Autonomii Śląska.

Koncepcja ta zakłada regionalizację naszego kraju poprzez zmianę konstytucji i utworzenie autonomicznych województw/regionów, w tym – szczególnie – autonomicznego regionu śląskiego. Podejmowanej przez te kręgi walce politycznej przeciw unitarnemu państwu polskiemu w ramach Unii Europejskiej trzeba się zatem przeciwstawiać, czerpiąc z metodologii i teorii naukowej, która zjawiska społeczne i wykorzystujące je w działaniu środowiska polityczne przebadła wiele lat wcześniej, zanim urosły na Śląsku do rangi poważnego problemu.

W narracji narzuconej obecnie na Śląsku próbuje się udowodnić, że region ten jest kolonią wewnętrzną Polski, a Ślązacy – ludnością kolonialnie wykorzystywaną. Zwolennicy takiej koncepcji bezrefleksyjnie

pomijają fakt, że kolonizacja Śląska nastąpiła dużo wcześniej, za Fryderyka II – króla Prus, i bez żenady powtarzają tezy propagandy sukcesu uprawianej przez biurokrację i burżuazję tych, którzy pierwsi uczynili z pięknej, bogatej ziemi kolonię i eksploatowali śląski lud przez prawie dwieście lat.

O tym kolonialnym imperializmie trzeba przypominać w Unii Europejskiej, ogarniętej kryzysem nie tylko ekonomicznym, ale i tożsamościowym. Unii zdominowanej przez zjednoczone Niemcy, powiązane gospodarczo z Rosją. Unii, która zamiast być socjalną Europą ojczyzn, pod presją brukselskich eurokratów stała się neoliberalną Unią dla bogatych. Ci sami biurokraci wspierają dążenia mikronacjonalistów do przekształcenia europejskiej struktury



w unię regionów, przeciwstawiając ją Europie socjalnych ojczyzn. Widać to na przykładzie Katalonii w Hiszpanii czy separatyzmu Ligi Północnej we Włoszech.

W ten kontekst wpisuje się narracja mediów głównego nurtu dążąca do zohydzenia patriotyzmu, czyli miłości ojczyzny, a jednocześnie do umacniania nacjonalizmów regionalnych. Dzieje się to w interesie ponadnarodowych korporacji i giełdowych wielkich właścicieli kapitałów, dla których państwa obywatelskie, oparte na patriotyzmie, stały się ostatnią przeszkodą na drodze do narzucenia neokolonialnego wyzysku większości społeczeństw na świecie. W ich interesie leży istnienie unii mikronacjonalistycznych regionów, bo im mniejsze i słabsze gospodarczo państwo, tym łatwiej narzucić mu dyktat wielkich ponadnarodowych firm. Przykłady Grecji czy Cypru wydają się tutaj oczywiste. W interesie koncernów leży zwalczanie konceptu unii socjalnych ojczyzn, bo taka unia ograniczyłaby im możliwości wyzysku klas najsłabszych ekonomicznie i zmusiła biznes do dzielenia się z pracownikami znaczącą częścią zysków, obecnie bezproduktywnie marnotrawionych w spekulacyjnej i konsumpcyjnej degrengoladzie klas wyzyskujących i kolaborującego z nimi menedżmentu tak prywatnego, jak i państwowego.

Dla społeczeństwa polskiego, zepchniętego do roli taniej siły roboczej w Unii, taka narracja, zwłaszcza na Śląsku, jest szczególnie alarmująca, bo – jak trafnie pisał Zbigniew Zielenka w swoich rozważaniach

o historii i kulturze zatytułowanych „Śląsk: ogniwo tradycji” – **od podboju Śląska rozpoczyna się zabór ziem polskich.** Była to pierwsza etnicznie polska ziemia, którą opanowały Prusy. Należała co prawda dotychczas do Cesarstwa (niemieckiego), ale było to cesarstwo wielonarodowościowe, a ponadto znalazła się ona w rękach cesarstwa jako prowincja Korony Czeskiej. Tylko tę podstawę prawną posiadali Habsburgowie, dzierżąc Śląsk. Jego zabór przez Prusy stał się wstępem do rozbiorów Polski...

Sytuacja na Śląsku jest w dziejach nowożytnej Europy szczególnym przypadkiem niedorozwoju zależnego. W świetle obowiązującej terminologii terytorializmu, zależne to w gruncie rzeczy dawniejsze kolonie. Kształtowanie się nowoczesnych społeczeństw narodowych oraz społeczności pogranicza na terenie wschodniej Europy z wielką wnikliwością prześledził śp. prof. Józef Chlebowczyk w zapomnianym dzisiaj dziele pt. „O prawie do bytu małych i młodych narodów. Kwestia narodowa i procesy narodotwórcze we wschodniej Europie środkowej w dobie kapitalizmu, od schyłku XVIII do początków XX w.” (Warszawa-Kraków 1983). Istotnym kontekstem, w którym warto spróbować odczytać analizę i syntezę prof. Chlebowczyka, jest artykuł prezesa Pew Research Center, Alana Murraya, opublikowany w „The Wall Street Journal”, zatytułowany „Świat rewolucji klasy średniej”, przedrukowany 22 lipca 2013 r. w dodatku ekonomicznym do „Rzeczypospolitej”. Jego główna teza mówi, że *Dzisiejszy świat jest świadkiem trzeciej*

© Agnieszka Bernacka, flickr.com/photos/redkoala1/4804193883/



wielkiej rewolucji klasy średniej. Pierwszą, w XIX wieku, przyniosła rewolucja przemysłowa. Druga miała miejsce po II wojnie światowej; obie dokonywały się przede wszystkim w Stanach Zjednoczonych i Europie. Wygląda na to, że trzecia będzie największa i najszerzej zakrojona. Przez ostatnią dekadę dokonywała się w Chinach, ale szybko rozszerza się na resztę Azji, Amerykę Łacińską, a nawet Afrykę. Taka teza dość czytelnie wyraża oczekiwania ponadnarodowych środowisk wielkiej finansjery wobec tzw. arabskiej wiosny, tzw. buntów oburzonych oraz masowych protestów, które miały miejsce latem tego roku w Egipcie, Turcji i Brazylii.

Znaczące jest jednak to, że do krajów, w których owa „trzecia fala rewolucji klasy średniej” trwa, autor zalicza m.in. Chiny, Brazylię, Wenezuelę itd. Można więc przyjąć założenie, że również procesy tzw. spóźnionych mikronacjonalizmów – jak w Katalonii, Szkocji czy północnych Włoszech – mogą być uznane za pochodną tych procesów. Ich lokalnym odpryskiem na gruncie polskim są próby wykorzystania różnic kulturalnych i gwarowych do kreowania „spóźnionych narodów” i autonomizacji regionów zamieszkiwanych przez takie grupy społeczne (oprócz RAŚ-u są to Unia Wielkopolan czy stowarzyszenia kaszubskie).

Jak pisze Murray, *niektórzy eksperci przewidują, że w przeciągu dwóch dekad większość światowej populacji będzie można zdefiniować jako klasę średnią, jeśli chodzi o posiadane środki i ambicje – dotyczy to*

między innymi edukacji, telefonów komórkowych, samochodów i, co najważniejsze, zdolności koncentrowania się na czymś innym niż podstawowe potrzeby bytowe. W zakończeniu artykułu prezes Pew Research Center wyprowadza wniosek, że nowa globalna klasa średnia przekształci społeczeństwa, gospodarki i instytucje polityczne w sposób trudny do przewidzenia. W przeciwieństwie do powstawania klasy średniej w XIX wieku i po II wojnie światowej ta fala nie musi być zakorzeniona w zachodnich wartościach. W kontekście śląskim i innych regionów Polski warto się zastanowić, czy owe „przekształcenia”, promowane przez miejscową „nową klasę średnią”, nie są reakcyjną próbą cofnięcia zegara przemian do wieku XIX...

Dla zrozumienia współczesnych procesów neokolonialnego podporządkowania społeczeństw tej części Europy ponadnarodowym korporacjom ma to kluczowe znaczenie. Dla rozproszkowanej polskiej lewicy pracowniczej i środowisk patriotycznych – szczególnie, gdyż to właśnie brak sprawnej metodologii przy ocenie obecnie zachodzących procesów walki społeczno- i narodowowyzwoleńczej uniemożliwia wypracowanie spójnego programu, a co za tym idzie – rozwinięcie społecznie sprawnej organizacji zdolnej artykułować interesy większości społeczeństwa polskiego w warunkach neokolonialnej globalizacji.

Dlatego pozwalam sobie przypomnieć główne wątki tej – dla wielu nieznannej, dla innych zapomnianej – fundamentalnej pracy J. Chłebowczyka.

Jedynie w przypadku niektórych zagadnień pokuszę się o własne komentarze, aby podkreślić adekwatność tej publikacji względem analizy skutków niedorozwoju zależnego społeczeństwa polskiego w warunkach owej trzeciej fali rewolucji burżuazyjnych, przez ideologów neoliberalizmu określanych jako rewolucje nowej klasy średniej.

Punktem wyjścia tej analizy jest wyróżnienie przez J. Chlebowczyka wśród społeczności narodowych i grup językowo-etnicznych na obszarze wschodniej Europy środkowej „w przededniu rewolucji burżuazyjno-demokratycznych” następujących społeczeństw i społeczności:

- 1) *narody państwowe,*
- 2) *narody w pełni już ukształtowane jako narody polityczne o pełnej strukturze socjalnej, pozbawione jednakże własnych zinstytucjonalizowanych form bytu państwowo-narodowego,*
- 3) *grupy językowo-etniczne oraz narodowości, w większości plebejskie (o niepełnej strukturze socjalnej), dostające się dopiero w orbitę działania i oddziaływania zarówno poziomych [klasowych - przyp. R.A.], jak i pionowych (narodowych) procesów emancypacyjnych i integracyjnych. W grę wchodzi tu również zbiorowości w rodzaju polskiej etnicznie ludności Śląska, które na skutek wielowiekowej przynależności do obcych organizmów państwowych utraciły łączność ze swym pniem macierzystym, stanowiącym społeczność grupy drugiej bądź pierwszej (np. powstałe w wyniku osadnictwa enklawy niemieckie w krajach Korony Św. Stefana),*

4) *różne społeczności żyjące z reguły w diasporze, odznaczające się często wyraźną odrębnością kulturowo-cywilizacyjną, rasową. Szczególne miejsce w tym względzie zajmuje ludność żydowska występująca w zmasowanej postaci w zachodnich guberniach Rosji [dawne ziemie Wielkiego Księstwa Litewskiego oraz wschodnich kresów I Rzeczypospolitej - przyp. R.A.].*

Warto w tym miejscu zauważyć, że autor definiował tzw. narody państwowe w europejskich warunkach jako *te społeczności narodowe, które na progu rozwoju kapitalistycznych stosunków produkcji miały całkowicie ukształtowaną strukturę socjalną. Dzięki temu narody te nieprzerwanie utrzymywały w ciągu minionych stuleci swą świadomość narodową, kultywowały swą tradycję historyczną, co prawda w granicach zakreślonych przez aktualny układ sił klasowych. W warunkach monarchii habsburskiej XIX w. w grę wchodziły tu takie społeczności narodowe jak Niemcy austriaccy, Madziarzy, Włosi, Polacy, Chorwaci* [podobne problemy występowały nie tylko tam, lecz również w monarchiach Hohenzollernów i Romanów - przyp. R.A.].

Inne społeczności narodowe oraz grupy językowo-etniczne określane jako narody (trafniej będzie

„społeczności”) [...] posiadały charakter wyraźnie plebejski. Były to zbiorowości, które pod względem socjalnym składały się prawie wyłącznie z warstw niższych, głównie chłopstwa, a w nielicznych środowiskach miejskich - drobnomieszczaństwa. Z uwagi na wspólną pierwotnie więź językowo-etniczną rodzime klasy posiadające, wraz ze związaną z nimi warstwą oświeconą, uległy w ciągu minionych stuleci asymilacji; nastąpiło to czy to w związku z utratą własnej państwowości (np. Czesi), czy też w ogóle z jej brakiem (np. Słowacy, Słowienicy). Od siebie dodam, że do tej samej grupy „społeczności” można zaliczyć Rusinów ukraińskich czy białoruskich na tzw. Kresach Wschodnich I i II Rzeczypospolitej, którzy znaleźli się w jej granicach w wyniku rozpadu księstw zachodnioruskich po podboju mongolskim oraz po antymongolskiej ekspansji Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Chlebowczyk zwraca uwagę, że w Europie istniały też społeczności, w których podczas formowania się w nowoczesny naród w ogóle nie wyodrębniły się rodzime klasy posiadające. Do takich narodów zaliczył przykładowo Łotyszy czy Estończyków.

W przypadku europejskich tzw. narodów państwowych - można je podzielić na państwa posiadające kolonie: a) zamorskie i pozaeuropejskie (np. Belgia, Francja, Hiszpania, Holandia, Portugalia czy Wielka Brytania), b) wewnątrz europejskie (np. Austria, Prusy, Rosja, Turcja, a wcześniej - również Polska, czego wyrazem były wojny kozackie). W takim znaczeniu narody i społeczności narodowe, które w Europie środkowo-wschodniej znalazły się pod panowaniem tzw. narodów państwowych - faktycznie były społeczeństwami pod panowaniem kolonialnym. Spotęgowany tym faktem wyzysk ekonomiczny powodował - zwłaszcza w XIX w., kiedy w ogóle pod wpływem kapitalizmu zaczęły się tworzyć nowoczesne społeczeństwa narodowe - wspomniane zniekształcenia struktury socjalnej, a w rezultacie zahamowania czy niekiedy wręcz regresy rozwoju świadomości narodowej.

Z takim potężnym zniekształceniem rozwoju świadomości narodowej ludności etnicznie polskiej na Śląsku mieliśmy właśnie do czynienia po pruskim podboju większości jego terytorium i oderwaniu go w połowie XVIII w. od krajów Korony Św. Wacława - monarchii habsburskiej. Zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę wcześniejszą likwidację mieszcowskich klas panujących i oświeconych w wyniku wojny 30-letniej (przypadek rodu Kochcickich) lub ich habsbursko-niemiecką asymilację (np. losy rodu Paczyńskich), a następnie - upadek Rzeczypospolitej szlacheckiej, która wcześniej była dla resztek tych klas narodowym punktem odniesienia, czyli motywacją do trwania na Śląsku jako polska społeczność narodowa.



Takie doprecyzowanie pozwala zastosować rozróżnienie między narodami korzystającymi z wyzysku kolonii przez swoje klasy posiadające i panujące oraz część klas pracujących a narodami wyzyskiwanymi w swej większościowej masie. Do drugich niewątpliwie należy w dzisiejszych czasach społeczeństwo polskie, którego rozwój został kolonialnie zniekształcony w warunkach rozbiorów oraz niemieckiej okupacji faszystowskiej i stalinowskiego oderwania tzw. Kresów Wschodnich, a następnie w wyniku 45 lat rozwoju zależnego, podporządkowanego interesom ZSRR. Poglębiające się obecnie pod wpływem kapitalistycznej globalizacji nekolonialnej oraz neoliberalnej tzw. integracji europejskiej zniekształcenia struktury gospodarczej i społecznej spychają pracowniczą większość społeczeństwa polskiego, w tym i mieszkańców Śląska, do trwałej roli taniej siły roboczej w Europie.

W „Podsumowaniu - wnioskach końcowych” Chlebowczyk syntetycznie wykazał różnice między rozwojem owych „narodów państwowych” Europy zachodniej a sytuacją społeczeństw w Europie środkowej i środkowo-wschodniej. Opóźniony w wyniku tzw. refeudalizacji rozwój społeczeństw na wschód od Łaby i wielonarodowościowy charakter ukształtowanych tu państw powodowały, że *w przeciwieństwie do stosunków zachodnioeuropejskich, rewolucyjna burżuazja, jak i zachodzące tu procesy stopniowego rozkładu miejscowych struktur feudalnych stworzyły dopiero możliwości i otworzyły drogę dla narodowych procesów integracyjnych. W warunkach owego środkowo-wschodnio-europejskiego modelu głównym*

wyjściowym czynnikiem procesu narodotwórczego stało się nie państwo, lecz język - podkreślał.

W początkach tych procesów wydawało się, że typowe dla procesów rozwojowych na pograniczach językowo-narodowościowych zjawiska asymilacji obiektywnie doprowadzą do zanikania zamieszkujących ten rejon Europy słabiej rozwiniętych lub mniej licznych społeczności językowo-etnicznych. Jednak w praktyce okazało się, że ich faktyczny rozwój podążył w wielu przypadkach w całkiem innym kierunku. Rozwijający się kapitalizm sprzyjał awansowi rodzimych języków tych społeczności, określanych jako grupy mniejszościowe. W rezultacie awans rodzimych języków owych mniejszości określił zasadnicze przejawy pierwszej fazy procesu narodotwórczego, czyli *emancypacji, integracji oraz unifikacji poszczególnych żyjących we wschodniej Europie Środkowej grup językowo-etnicznych*. Procesy te ukształtowały nowy typ zbiorowości - narodowość.

Podstawą formowania się narodowości w tej części Europy okazał się rozwój mowy od prostego narzęcza do współczesnego języka literackiego. Starania, jakie w tym kierunku podejmowano, uzasadnianie celowości jego istnienia oraz obrona jego odrębności stanowiły główne przejawy pierwszej fazy spontanicznego procesu narodotwórczego lub aktywności ruchu narodowego, rozumianego jako świadomie podejmowany i realizowany wysiłek poszczególnych jednostek, a następnie większych grupowych zbiorowości przekształcających się w narodowość. Jak podkreślał Chlebowczyk, *podstawowe interesy powstających narodowości, które w sposób kompleksowy*

można by sformułować jako prawo grupy etnicznej do samookreślenia językowego, znajdując z biegiem czasu najwzschodniejszą odbicie w postulatcie pełnego równouprawnienia języka grupy mniejszościowej w życiu publicznym całego kraju.

Jednak najważniejszą konstatacją autora „O prawie do bytu małych i młodych narodów...” było stwierdzenie, że procesy narodotwórcze mają *spontanicznie działający wewnętrzny mechanizm rozwojowy*. Jego przejawem ma być – według niego – nasilające się jako czynnik integrujący całą społeczność wraz z sukcesami ruchu narodowego w tzw. fazie językowo-kulturalnej kształtowania się narodowości *po-czucie wspólnych losów w przeszłości*. Oznacza to, że zaczyna się – oprócz wspólnego języka – krystalizować *świadomość historyczna zbiorowości narodowej*.

W taki sposób – w drugiej fazie procesów wyodrębniania się narodu – nad rozwijającą się świadomością bycia częścią pewnej wspólnoty językowej i etnicznej, którą spajają jednakowe losy i doświadczenia z przeszłości, nadbudowuje się nowa więź, mająca już charakter ideologiczny. Jest nią więź narodowa. Ta właśnie więź powoduje skok jakościowy, w którym pewne zmiany ilościowe tworzą nową jakość. Na tym etapie procesów narodotwórczych dochodzi do tzw. nieciągłości fazowej: *narodowość przekształca się w wewnętrznie spójną, wyraźnie na zewnątrz wyodrębniającą się grupę narodową*. Jeśli dotyczy to zbiorowości znacząco licznych – jest to nowy naród. Jeśli zbiorowość jest mniej liczna w otoczeniu innych wielkich zbiorowości narodowych – części tego nowego narodu krystalizują się jako mniejszości narodowe. Chlebowczyk podkreśla, że „imperatywem kategorycznym” narodowości przekształcającej się w naród *jest postulat prawa do samookreślenia narodowego*.

Jednak w odróżnieniu od sytuacji na zachodzie Europy przekształcanie narodowości w naród wymagało w warunkach Europy środkowo-wschodniej szczególnej aktywności: *świadomej akceptacji oraz celowego wysiłku wszystkich klas i warstw społeczno-ści publicznie się aktywizujących, w miarę demokratyzacji życia danej zbiorowości*.

O ile druga faza ruchu narodowego koncentrowała się na aktywności ideologicznej, kształtowaniu świadomości wspólnej dla zbiorowości, o tyle na kolejnym etapie punkt ciężkości przenosił się na płaszczyznę terytorialną: wyodrębniania się pewnych terenów zamieszkałych przez możliwie najbardziej jednolite zbiorowości narodowe. *W tych okolicznościach* – pisze J. Chlebowczyk – *pojawia się i ze wzrastającą siłą rozwija dążenie formującej się czy już ukształtowanej grupy narodowej do zinstytucjonalizowania jej form bytu w sensie ukonstytuowania się w samorządny, z tendencją do pełnej suwerenności, organizm publiczno-prawny o określonym zasięgu przestrzennym. Mamy*

tu do czynienia [...] ze szczytowym i ostatecznym celem całego procesu narodotwórczego. Jego podstawowe racje sprowadzić można do pojęcia prawa narodu do samookreślenia (samostanowienia).

Na tym etapie potęgują się sprzeczności socjalno-i narodowowyzwoleńcze, zwłaszcza tam, gdzie jedna społeczność narodowa walcząc o swoje całkowite równouprawnienie, jednocześnie odmawia prawa i możliwości urzeczywistnienia takiego samego postulatu innym, szczególnie mniejszym, słabszym, mniej pod względem rozwoju zaawansowanym zbiorowościom językowo-narodowościowym. W głównej mierze dotyczy to pokrewnych mniejszości językowo-etnicznych.

Ostateczne konsekwencje drugiej fazy ruchu narodowo-wyzwoleńczego podważały i – trzeba podkreślić – podważają historycznie ukształtowane i politycznie uwarunkowane wewnętrzne, a następnie również międzynarodowe układy nie tylko granic państwowych, ale i wewnątrz nich – stosunków, przywilejów, uprawnień grup narodowych. Jak podkreśla Chlebowczyk: *Tu tkwi klucz do zrozumienia genezy zjawiska nacjonalizmu politycznego narodów panujących, podobnie jak pojawiające się dezyderaty obozów grup mniejszościowych polityki reasymilacyjnej, rewindykacyjnej prowadzą logicznie do nacjonalistycznego ekspansjonizmu także i ze strony tych obozów narodowych, które w okresie swego formowania się występowały z pozycji czysto obronnych*.

Stawia to narody i państwa dotychczas panujące przed trudną alternatywą rozwojową: albo utrzymać wbrew wszelkim zmianom dotychczasowe stosunki narodowe, czyli hegemoniczną pozycję narodu panującego, albo dostosować ustrój państwa do zmieniającego się układu sił narodowościowych, czyli dopuścić do rozwiązań autonomicznych, przekształcić państwo z unitarnej w federacyjną lub w konfederację, aby umożliwić życie narodowe większości obywateli państwa z uwzględnieniem ich odrębności językowo-kulturalnych oraz przynależności narodowych w ramach wewnętrznych struktur parapaństwowych. Problemem, który utrudnia wybór drugiej strony tej możliwości, są doświadczenia rozpadu federacji różnych narodów w XX w.: Czechosłowacji, ZSRR czy Jugosławii w tej części Europy.

Obserwując działania śląskich autonomistów, widać, że mamy do czynienia z próbą wykreowania takiego właśnie procesu w komplementarnych działaniach RAŚ-u, stojącej za nim mniejszości niemieckiej na Śląsku oraz Związku Ludności Narodowości Śląskiej. *Rozbudzone – nie tylko na Śląsku, ale i w całym społeczeństwie polskim – oczekiwania na poprawę warunków życia po upadku postalinowskiego biurokratyzmu (upraszczając zwanego przez środowiska pravicowe komuną lub komunizmem)*

i podjęte przez część społeczeństwa aspiracje do ewolucji w ową mityczną „nową klasę średnią” w zderzeniu z neokolonialnym przekształcaniem przez ponadnarodowych i rodzimych kapitalistów większości społeczeństwa polskiego w tanią siłę roboczą Europy zrodziły frustracje znaczących grup społecznych nie tylko na Śląsku, ale i w całej Polsce. Zagospodarowywanie tych frustracji przez RAŚ poprzez projekt odseparowania się od społeczeństwa polskiego i przyspieszone tworzenie nowej społeczności narodowej na Śląsku jest jednak w tych obiektywnych warunkach nie tyle naturalnym procesem narodotwórczym, ile subiektywnie inspirowaną manipulacją społeczną na wielką skalę, która godzi w interesy większości społeczeństwa polskiego, grożąc jego dalszym osłabieniem w globalnym ponadnarodowym podziale pracy i wyzysku.

Poprzez przejście od fazy świadomościowo-kulturalnej przez etap autonomii terytorialnej do fazy samostanowienia terytorialnego konsekwencją realizacji projektu RAŚ-u może być bowiem nie tyle uwolnienie się tzw. narodu śląskiego od rzekomego wyzysku polskiego, ale jego zwielokrotniony wyzysk poprzez polityczną i gospodarczą zależność od naturalnego sojusznika mniejszości niemieckiej na Śląsku - państwa niemieckiego i korporacji ponadnarodowych wywodzących się z Niemiec.

Ponieważ tworzone przez neokolonialny menedżment aktualne władze państwa polskiego nie wykazują - poza niekonsekwentnymi próbami ośrodka prezydenckiego - zdolności do sprawnego

przeciwdziałania tym procesom, koniecznym staje się zorganizowanie ponadpartyjnego, społecznego ruchu, mogącego pomóc się uaktywnić i zorganizować w najbliższych wyborach samorządowych na Śląsku pracowniczej większości, którą stanowią w województwach śląskim i opolskim polscy Ślązacy i śląscy Polacy. We wspólnym interesie klasy pracowniczej na Śląsku i w całej Polsce jest zorganizowany opór przeciw wspomnianej manipulacji, prowadzonej pod hasłami autonomii dla Śląska, a ostatnio również - autonomizacji całej Polski.

Niestety - inicjatywa w kwestii samoorganizacji środowisk polskich na Śląsku pozostaje w kręgu ugrupowań prawicowych. Lewicowe środowiska patriotyczne nie znajdują sił i metodologiczno-programowych podstaw do większego zaangażowania się w obronę polskości Śląska. Liczę, że ten tekst ożywi wśród lewicy pracowniczej refleksję teoretyczną i pobudzi te środowiska do działań praktycznych nie tylko w obronie polskości Śląska, ale i przedstawienia atrakcyjnego dla pracowniczej większości Ślązaków projektu autonomii kulturalnej, a nie terytorialnej.

Czas na przeanalizowanie badań prof. Chlebowczyka i wyciągnięcie z nich praktycznych wniosków politycznych, tak jak to najwyraźniej - przeciw polskości Śląska - zrobił ideolog śląskiej „nowej klasy średniej”, J. Gorzelik. Czas na podjęcie wspólnych działań w imię obrony polskości Śląska i pracowniczej większości mieszkańców Śląska przed wzmocnionym wyzyskiem. ✂



Chciwość przeciwko społeczeństwu i przyrodzie

PROF. LUDWIK TOMIAŁOJC

Oto najzwięźlejsza przepowiednia zasad neoliberalnej ekonomiki, która opanowała wiele umysłów wśród polskiej elity: *Pierwiosnki i krajobrazy mają pewną wielką wadę: są darmowe. Miłość do przyrody nie napędza fabryk. Zdecydowano usunąć miłość do przyrody przynajmniej wśród kast niższych... Warunkujemy masy na niechęć do przyrody – równocześnie jednak wykształcamy w nich upodobanie do sportów na łonie natury. Dbamy [...] o to, by sporty te wymagały użycia skomplikowanych (drogich) przyrzędów* – Aldous Huxley.

Skuteczność działania w takich dziedzinach jak zarządzanie środowiskiem i ochrona przyrody wynika w znacznym stopniu z panującego systemu gospodarczo-politycznego. Starsi z nas wiedzą, że dawniej bywało nieraz łatwiej, gdyż wystarczyło przekonać paru despotycznych decydentów, aby utworzyć park narodowy. Dziś, w dobie globalizacji, pojedynczy decydenci nie mają takiej władzy, a i większość obywateli zmieniła sposób widzenia świata, przyjmując ultraliberalną regulację rynkową za obowiązującą we wszystkich dziedzinach życia. W Polsce nastąpiło to po 1990 r., gdy na barkach egalitarnego ruchu „Solidarność” i lewicowej monarchii władzę przejęli zwolennicy skrajnej elitarności. Choć w międzyczasie zostało udowodnione z pomocą ścisłych wyliczeń, że tam, gdzie panuje większa równość (mniejsze rozwarstwienie finansowe), tam prawie wszystkim żyje się lepiej, zdrowiej, dłużej, bezpieczniej i wydajniej. I co ważne dla przyrody: tam, gdzie społeczeństwo jest mniej rozwarstwione, tam występuje lepsze poszanowanie wspólnego dziedzictwa. Mogąc wzorować transformację na modelu brutalnej gospodarki neoliberalnej albo na tzw.

społecznej gospodarce rynkowej i zbliżonym do niej socjaldemokratycznym modelu skandynawskim – polska elita wybrała to pierwsze rozwiązanie. Mimo sprzeciwów oraz wbrew interesowi większości obywateli, zapanował model pojmujący życie społeczne jako niemal zwierzęcą walkę o byt. Stało się tak, choć ostra rywalizacja nie jest nawet najbardziej efektywna ekonomicznie, czego dowiodły badania amerykańskiej noblistki Elinor Ostrom nad wydajnością pracy w trzech typach własności środków produkcji. Najlepsze wyniki uzyskano w ramach spółdzielczości, jeśli tylko była ona tworzona naprawdę oddolnie. Nie w sektorze państwowym, ani w prywatnym!

Kiedy dziś słuchamy polityków, funkcjonariuszy administracji, mediów, ale także wielu obywateli, uderza dominujący nieomal religijny kult wartości materialnych. Rozwiązania zyskowe są najważniejsze, jak w wizji A. Huxleya, nie uwzględnia się skutków społecznych i ekologicznych, zawartych we wskaźnikach HDI, ISEW, GPI, Giniego i innych. Już nawet w nowelizacjach prawa o ochronie przyrody oraz w przypadku tworzenia obszarów chronionych pojawił się rygorystyczny wymóg, by *zmiana*

© Rainforest Action Network, flickr.com/photos/rainforestactionnetwork/5680734393/



nie pociągnęła za sobą skutków budżetowych! To zaś oznacza wycofywanie się Państwa z odpowiedzialności także za stan przyrody i środowiska. Nie widać już trendu ku rozważce, choć takie podejście jako zasadę rozwoju zrównoważonego tak niedawno wpisano do Konstytucji RP oraz Strategii Lizbońskiej UE.

Zamiast wdrażać tę zasadę około 1998 roku zaczęto u nas wprowadzać „kontrrewolucję ekologiczną”, wzorowaną ślepo na amerykańskiej fali antyintelektualizmu, nazwanej „zdradą nauki i rozumu”. Bezskutecznie spodziewane konsekwencje przyrodnicze staraliśmy się przybliżyć polskiej opinii publicznej w dwóch apelach: w „Manifeście ochrony przyrody” (Tomiałojć 2001) i w „Memoriale w sprawie ekorozwoju Polski” (prof. S. Kozłowski 2001). Zaraz potem zaczęto publicznie podważać sens i zakres ochrony przyrody oraz likwidować przyrodnicze gremia doradcze. Ukazały się agresywne wypowiedzi prasowe i stronnice antyekologiczne książki, a ochrona środowiska i przyrody znów znalazła się na marginesie uwagi rządzących¹. Powołane w epoce ekologizmu ministerstwo ochrony środowiska zmieniło się w niechętnie swym sprzymierzeńcom – profesjonalnym

przyrodnikom i proekologicznym organizacjom społecznym – ministerstwo środowiska. Mimo światowego kryzysu finansowego i zdecydowanego podważenia ultraliberalnej ortodoksji w innych krajach w Polsce interes garstki bogatych pozostał ważniejszy od ogólnospołecznego.

Tylko nieliczni decydenci są świadomi tego, że także społeczeństwo ludzkie jest produktem procesów biologiczno-ewolucyjnych, których przecież coraz lepsze rozumienie naukowe nie pozostaje w miejscu, i czasem odrzuca ono powszechnie dotąd przyjmowane interpretacje. Otóż jest wręcz **paradoksem**, że w czasie, gdy neoliberalizm sprowadził życie ekonomiczno-społeczne do brutalnej walki o byt, produkując miliony ludzi-odpadów, naukowcy ewolucjoniści coraz dobitniej wykazywali, że sama rywalizacja między osobnikami nie była w przyrodzie najważniejszym motorem progresywnych zmian ewolucyjnych. Ewolucyjna wiedza poszerzyła dzisiejsze horyzonty postrzegania świata żywego, w tym rozumienia ludzkich zachowań oraz systemów społecznych. Okazało się, że w toku ewolucji znaczenie miała nie tylko „męska” rywalizacja



(walka o byt i jej dzisiejszy przejaw – „wyścig szczurów”), ale także często występujące zjawiska **współpracy**. *Symbiotyczne współdziałanie jest kluczem do zrozumienia życia na naszej zatłoczonej planecie...* – napisała prof. Lynn Margulis. Zdaniem ewolucjonisty E. Mayra dopiero niedawno w pełni zrozumiano, że *jednostka jest obiektem doboru w potrójnym znaczeniu: jako osobnik, jako członek rodziny oraz jako członek grupy społecznej. Jeśli obiektem doboru jest osobnik, dobór premiuje wyłącznie tendencje egoistyczne... W dwóch pozostałych przypadkach dobór premiuje także troskę o innych członków rodziny (grupy), czyli altruizm*. Oceniając konsekwencje modeli gospodarczo-społecznych, powinniśmy zatem brać pod uwagę to potrójne działanie doboru. Niestety **gdy nauki biologiczne odkrywały znaczenie stonowania/ograniczania rywalizacji na rzecz współpracy**, w tym czasie na polu polityczno-gospodarczym **nastąpił nawrót do kapitalizmu naśladującego walkę o byt, dla większości szkodliwą**.

Prawidłowe rozumienie mechanizmów ewolucji ujawniło też wady modelu krańcowo indywidualistycznego w gospodarce jako rozbijającego spójność społeczeństw. Tak absurdalnie eksponowane w anglosaskim kapitalizmie egocentryzm i wyłączenie skupienia uwagi na sukcesach „zwycięzców” stały się dziś najpoważniejszym problemem ludzkości. Oznacza to ignorowanie losu jej **większości**, choć stabilne społeczeństwo może istnieć tylko na fundamencie współodpowiedzialności, troski o przegrywających. **Trudno wyobrazić sobie trwałą cywilizację zbudowaną na zasadach konkursów mistera lub miss, odrzucającą z obojętnością los milionów ludzi słabszych.**

Ale media serwują nam slogan, że każdy musi „stać się w czymś najlepszy”, ignorując nierealizowalność tego postulatu zarówno z powodów biologicznych (dziedzicznych predyspozycji), jak i statystycznych (jest nas zbyt wiele, by wszyscy byli najlepszymi). Co znamienne, główną „zabawą” w mediach stały się okrutne programy eliminujące typu „ty odpadasz”, niezawierające już nawet śladu współczucia dla wykluczanych z rywalizacji. Dla ludzi mojego pokolenia one wcale nie są zabawne, gdyż zbyt przypominały selekcję w obozach koncentracyjnych lub programy hodowlane Aryjczyków.

Dzisiejsza rywalizacja sprzyja akceptowaniu nienasyconości, z jej rażącymi skutkami w postaci rozkwitu wrogości i zaniku współczucia. Aż 46% Amerykanów sprzeciwia się objęciu ubezpieczeniem zdrowotnym uboższych współobywateli – to taka jest ta sławiona przez wieki „chrześcijańska miłość bliźniego”? Dezintegrację niektórych zachodnich społeczeństw widać też w zaniku szacunku dla ludzi biedniejszych, imigrantów, osób starszych, pracujących na roli itp.

O popełnieniu straszliwych błędów gospodarczych, politycznych i moralnych w skali wręcz światowej zaświadcza drugi z rzędu kryzys finansowy, który, jak zauważa Grzegorz Kołodko, *nie mógł się zrodzić w krajach ze społeczną gospodarką rynkową. Jego korzenie tkwią głęboko w neoliberalnym modelu anglo-amerykańskiego kapitalizmu*. Im więcej ubogich, zwłaszcza wtórnie ubogich, tym silniejszy nacisk na niezgodne z prawem i obyczajem użytkowanie dóbr wspólnych. Dzieje się tak, ponieważ pomiędzy elementarnymi życiowymi potrzebami



©© dezzouk, flickr.com/photos/dezzouk/5269235304/

ludzi zepchniętych w ubóstwo a koncesjami na rzecz ochrony środowiska istnieje prawdziwa sprzeczność, dla której osłabienia trzeba by sprawiedliwych społecznie rekompensat. Utrwała to szkodliwe przekonanie, że wszystko winno być eksploatowane, nawet każdy fragmencik dzikiej przyrody.

Mimo że w wypowiedziach pojedynczych osób (np. już u Platona, wspominającego o degradacji gór Attyki) znaleziono wzmianki sprzed dwóch tysiącleci o lokalnych zniszczeniach przyrody, to w starych kodeksach nie było jasnych nakazów przeciwdziałania destrukcji środowiska. Nawet ludzie nieprzeciętni, jak ekonomista F. Hayek czy niektórzy papieże, do niedawna uparcie zaprzeczali zagrożeniu wynikającemu z rosnącej populacji ludzkiej. I chociaż sprzeczność pomiędzy pędem do bogacenia się a koniecznością zawarcia rozsądnego kompromisu z potrzebami ogromnych mas ludzi biedniejszych, z prawami następnych pokoleń oraz z potrzebami środowiska/przyrody narastała od dawna, to wyrażenie została ona ujęta dopiero w XIX- i XX-wiecznej idei ochrony przyrody i etyki ekologicznej.

Przez tysiąclecia ludzkość żyła w okresach stabilności, tak w zakresie wielkości populacji, jak i nasilenia aktywności gospodarczej, zaburzanych tylko wojnami i klęskami żywiołowymi. Jedynie okresowo i lokalnie zdarzały się wielkie przyspieszenia - w Chinach, Indiach, Egipcie czy Grecji, dając podstawę dla stworzenia dziś tak czczonego, a niebezpiecznego terminu „wzrost gospodarczy”, nieodpowiedzialnie propagowanego w warunkach rosnącej populacji ludzkiej i hiperkonsumpcji. Wprawdzie za tendencją tą kryje się naturalna skłonność organizmów żywych

do reprodukcji i ekspansji, niemniej dawniej była ona hamowana czynnikami zewnętrznymi (drapieżniki, choroby lub wojny). To najbardziej „imperialistyczne” społeczności ludzkie sformułowały założenie o rzekomej niewyczerpywalności zasobów Ziemi. Co prawda pojawienie się egalitarnej idei socjalistycznej i zbiorowej siły związków zawodowych, przeciwstawiających się wyzyskowi wzorowanemu na walce o byt, a potem kryzys lat 30., doprowadziły do otrzeźwienia, do złagodzonego kapitalizmu racjonalnego i demokratycznego, to jednak tylko na krótko. Już od lat 80. propaganda thatcheryzmu-reaganizmu znowu wmówiła ludziom, jakoby pęd ku „wzrostowi” był odwieczny oraz jakoby miało tak pozostać na zawsze. Na tym tle idea sprawiedliwości społecznej oraz szerzej - zasada rozwoju zrównoważonego - jawią się jako epizody utopijnego myślenia.

Chciwość zabija dziś wszystko - etykę zawodową, przyzwoitość, współczucie, solidarność, odpowiedzialność, a nawet odwagę posiadania samodzielnego („niesłusznego”) osądu. *Zatraciliśmy gdzieś całą mądrość. Obchodzi nas tylko rachunek zysków* - zauważyła Jane Goodall. Jest to tryumf chamskiej chciwości nad kulturalnym umiarkowaniem, nad uczciwością oraz nad dobrem wspólnym. Da się tym nawet wytłumaczyć oddanie w obce ręce przeważającej części polskiego przemysłu, bankowości, wielu nieruchomości oraz sieciowego handlu, i to nieraz za 10-15% rzeczywistej ich wartości. Obecnie trwają zabiegi o podporządkowanie ziem uprawnnych pośrednio zagranicznemu agrobiznesowi, oczywiście kosztem rodzimych drobnych producentów żywności.

Kto tę chciwość napędza? Niestety, niemal wszyscy! W realizowaniu tej chciwości masowo zdają się brać udział nawet ludzie wierzący w nagrodę w życiu pozagrobowym – w tym chrześcijańscy i katoliccy politycy, administratorzy, kapłani. Mimo deklaracji ideowych część z nich chce zbudować sobie raj tu na Ziemi kosztem innych ludzi, wyeksploatowania przyrody i maksymalnego zdegradowania środowiska. To wskutek chciwości dla wielu nie ma już żadnej świętości w przyrodzie, a tylko pogardzane „trawki, żabki i ptaszki”, które trzeba obowiązkowo wysmiać. **Świecki teolog w opiniotwórczej „Gazecie Wyborczej” ostro wypowiadał się przeciw ochronie „pogańskich świętych gajów”, tym terminem określając rezerваты przyrody i parki narodowe, zajmujące nikły fragment naszego kraju – zaledwie 1,5% jego całkowitej powierzchni.** Krańcowo merkantylne zorientowanie życia społecznego nabiera już cech zbiorowej choroby psychicznej, jak uważa Lloyd. Pod wpływem kosztownych, a oślepiających reklam większość zatracą rozsądek, czyli rozagę cechującą ludzi doświadczonych losem, zdolność dostrzegania krzywdy innych i dobrowolnej rezygnacji z części swych korzyści. Już nie dziwimy się światu, w którym codziennie umierają z głodu dziesiątki tysięcy ludzi, Polsce, w której zimą zamarzają bezdomni, a dzieci są niedożywione, gdy równocześnie pozbawieni sumienia, przyzwoitości i resztek honoru prezesi banków i firm otrzymują kilkumilionowe odpłaty, hierarchowie kościoła bez umiaru stroją sobie pałace lub świątynie-piramidy, radni wznoszą stadiony-kolosea, a 8% najbogatszych ludzi kontroluje aż 60% globalnych zasobów. Choć zasoby Ziemi są jeszcze wystarczające dla spełnienia podstawowych potrzeb wszystkich jej mieszkańców, to nie wystarczają, *by nasycić naszą chciwość*, jak słusznie zauważył Gandhi.

Nadmierna eksploatacja zasobów przyrody i środowiska wynikała głównie z niewiedzy o skutkach. Później przyczynami były **ignorancja, chciwość i oszustwo**, w takiej właśnie kolejności. Jednak dziś ani władze państwowe lub szefowie koncernów, ani większość ludzi nie może się już usprawiedliwiać samą niewiedzą. Mimo iż z jednej strony, z wysokiego szczebla i z uroczystych trybun, padają zapewnienia o znaczeniu przyrody i „zdrowego środowiska”, to w rzeczywistości często bywa nawet odwrotnie. Chociaż niewątpliwie dokonał się postęp w niektórych dziedzinach (np. w zakresie fizykochemicznego oczyszczania środowiska), to w innych jest on niedostateczny, tylko pozorny, albo nawet trwa zęczenie kamuflowany regres. Właściwie nadal dominują dwie egoistyczne reguły: „mój zysk jest najważniejszy” oraz ustępstwa na rzecz środowiska mają zachodzić „nie moim kosztem i nie na moim podwórku”.

Do tego dochodzi wszechobecne kłamstwo i fałszowanie faktów. Nawet ministrom i premierom zdarza się wypowiadać jawną nieprawdę o rzekomo nadmiernej ochronie przyrody w Polsce, choć ściślej (jako parki narodowe i rezerваты przyrody) chronimy ledwie fragment kraju, na pozostałych 98,5% obszaru prowadząc różnorodną gospodarkę, nawet w obrębie unijnych obszarów chronionych sieci Natura 2000. Pod ściślejszą ochroną obszarową mamy dwa-trzy razy mniej niż przodujące cywilizacyjnie narody UE, choć fragmentów dobrze zachowanej przyrody posiadamy znacznie więcej niż one.

Zarysowuje się wspólny front inwestorów, polityków, administratorów i twórców prawa w celu blokowania opinii ludzi nauki lub troskliwych inicjatyw obywatelskich. Związane z władzą i administracją kręgi tworzą atmosferę pobażania dla łamania prawa o ochronie przyrody i środowiska wobec jakoby *nikłej szkodliwości społecznej takich czynów*. Wykrętne omijanie lub psucie prawa mają się całkiem bezkarnie, a nawet bywają broniące przez niejednego urzędnika, choć jego elementarnym obowiązkiem winno być akurat dbanie o tego prawa przestrzeganie. W atmosferze kultu zysku niejedna ręka drugą rękę myje. I to nie tylko u nas. Przykłady braku skłonności naszych władz do kompromisów na rzecz ochrony przyrody i środowiska opisywano już wielokrotnie – bezskutecznie.

Z upływem czasu narasta we mnie przeświadczenie, że wymagane prawem unijnym i krajowym oraz niewątpliwie potrzebne konsultacje społeczne programów rozwojowych i konkretnych inwestycji także przeradzają się nieraz w farsę. Często jest to tylko przykry obowiązek administracji, narzucony prawodawstwem unijnym, z którego kto może stara się wykręcić pozorowaniem: dając ledwie 21 dni (nieraz w czasie, gdy potencjalni opiniodawcy są zajęci egzaminowaniem, badaniami terenowymi lub są na urlopie), konsultując z byle kim (najlepiej z przez siebie wyznaczonym znajomym „ekspertem”), a pomijając naprawdę poważnych, lecz nielicznych opiniodawców zespołowych, takich jak instytuty naukowe lub stowarzyszenia niezależnych uczonych. Kiedy rozmawiamy konkretnie o pozostawieniu w jakimś rezerwacie procesów przyrodniczych swojemu biegowi, to od administratorów zaraz słyszymy lamenty, ile to kubików drewna lub ziemi się „zmarowało”. Według tak merkantylnego myślenia przyroda od milionów lat nic tylko się marnowała, skoro np. w karbonie drzew nie przerabiała na deski. To z podobnej krótkowzroczności wynika niemożność wyrwania się z chciwości, jaką zademonstrował pewien białoruski wysoki urzędnik. Przekonywany, że w tamtejszym parku narodowym wilki nie powinny być tępione, gdyż są naturalnym składnikiem pralasu,

Dla chwil emocji bezlitośnie eksploatuje się przyrodę i oszczędza na wynagrodzeniach dla najuboższych, by zebrane środki potem wydać na narkotyzujące pustką umysłową momenty zbiorowych „zawrotów głowy”.



tej „przyrodniczej Ziemi Świętej”, odpowiedział ze zniecierpliwieniem: *No, jakże to, czemuż to wilki mają zjadać nasze jelenie, a nie my? Wynikałoby z tego, że cała przyroda ma służyć nienasyconym bruchom tylko naszego gatunku, a nie także milionom innych istot żywych. Taki szowinizm gatunkowy jest jednak od dzieciństwa wszczepiany w młode umysły przez nieudolnych wychowawców, często nieczytających niczego, a którzy zasłyszeli tylko o jednym fragmencie Biblii, tym o czynieniu sobie Ziemi poddaną. Niestety, nie znają (a może celowo go pomijają?) drugiego: i Bóg wziął człowieka, i umieścił go w ogrodzie Eden, aby go uprawiał i doglądał, mówiącego o trosce o środowisko (Eden) w duchu bliskim dzisiejszemu ekologizmowi.*

Zagrożenia dla realizacji prawnych zapisów o ochronie przyrody i środowiska, a nawet złagodzenie tych przepisów i wprowadzanie „furtek” dla obchodzenia ograniczeń, wskazują na pilną potrzebę odbudowy edukacji proekologicznej, obejmującej dorosłą część społeczeństwa, w której brałby udział system szkolnictwa, świat nauki, kościoły, organizacje pozarządowe i media. Konieczna staje się edukacja etyczna i społeczna w duchu ekologizmu

i umiarkowania, czyli dalekowzrocznej odpowiedzialności za Ziemię. *Filozofowie i rządzący nie mogą tak po prostu przyjmować orientacji obywateli na teraźniejszość, ale muszą spróbować wychować ich zarówno w osobistych, jak i zbiorowych sprawach ku myśleniu perspektywicznemu* – trafnie zauważył Dietrich Birnbacher. Niestety takiej politycznej woli u nas nie ma, a uczonych za zajmowanie się praktyczną ochroną przyrody i edukacją (np. za pisanie polskich podręczników) wprost karze się niską punktacją dorobku naukowego!

Aby innych przekonywać i wychowywać, trzeba najpierw samemu być przekonanym o słuszności postaw prospołecznych. Kto jednak ma tego dokonać, jeśli dziś w kręgach wychowujących społeczeństwo i rządzących nim dominuje postawa nieprzychylna zarówno solidarności z biednymi, jak i ekologizmowi? Przyjrzyjmy się przykładowo stanowisku różnych kapłanów wobec potrzeby ochrony środowiska. Słusznie od tysiącleci piętnując chciwość i wychwalać umiarkowanie, chrześcijanie długo nie wiązali tego ze stanem przyrody i środowiska. Jednak już od lat 70. i 80., włączając się do dyskursu ekologicznego, Światowa Rada Kościołów oraz papieże poczęli

mocno akcentować obowiązek ochrony środowiska, choć wiązali go z korzyściami tylko dla ludzi. Ten ważny, aczkolwiek nieśmiały nurt nie znalazł jednak trwałego miejsca w edukacji etycznej kościołów. Przykładem może być los wypowiedzi Jana Pawła II oraz patriarchy prawosławnego Aleksieja II, obu z z troskaniem mówiących o obowiązku ochrony środowiska i przyrody. Choć obowiązek ten w latach 90. zapisano w rzymskokatolickich wydawnictwach („Katechezy ekologiczne”, „Poradnik ekologiczny”, „Chrześcijańskie podstawy ekologii” itp.), to już po kilku latach tak ostentacyjni w innych kwestiach wielbicieli papieża Polaka akurat o tym najważniejszym dla Ziemi, ludzi i przyrody przesłaniu nie pamiętają. W ten sposób doszło do znamienego paradoksu. Obecnie to zieloni i alterglobaliści nawołują, jak niegdyś pierwsi chrześcijanie, do skromniejszego życia, mniej uderzającego w biedniejszych, mniej niszczącego środowisko i inne gatunki, podczas gdy wielu wyznawców różnych religii walczy o jak najwięcej dóbr doczesnych. W radykalnym protestantyzmie sformułowano nawet tezę, że to bogactwo jest świadectwem boskiego błogosławieństwa. W konsekwencji wracamy do feudalnego dziedziczenia przywilejów przez wybrańców, a biedy przez większość obywateli! Także polska elita postsolidarnościowa nie chce już pamiętać o solidarności z biedniejszymi oraz z bezbronną przyrodą! Każdy sobie rzepkę skrobie, przy zaniku oddolnego organizowania się dla wspólnych działań. Dla takich „rynkowych zawodników” ochrona przyrody jest oczywiście czymś wysoce irytującym.

Konsumpcyjnie zaprogramowany umysł nie myśli o dalekosiężnych skutkach, kiedy to dwa-trzy razy więcej setek tysięcy ludzi zechce wejść/wjechać na Kasprowy Wierch czy do innego parku narodowego. Ani o tym, co tam zostanie naturalnego, jeśli przedtem ktoś ustosunkowany zbuduje w nim przyciągającą tłumy inwestycję w rodzaju kolejnej trasy narciarskiej, wyciągu czy wielkiego hotelu. Dla takich niebezpiecznych zamiarów przeciwnicy ochrony przyrody już wstawili odpowiednie furtki do znowelizowanej w r. 2004 Ustawy o ochronie przyrody.

Jak zatem w tych warunkach zapewnić przez następne dziesięciolecia, jeszcze bardziej przeludnione, nie tylko wyżywienie dla dodatkowych miliardów ludzi, ale i ochronić przed ich niszczącym naciskiem ostatnie nosorożce i stada słoni w Afryce albo na całym świecie przed zdeptaniem ocalić parki narodowe, dokąd już teraz przybywa corocznie po kilka milionów zwiedzających - **każdy z nich ze swym „demokratycznym” prawem do realizowania najgłupszych nawet zachcianek, i nikt nie próbuje im tego wyperswadowywać, bo straci poparcie w wyborach.**

Perswadująca myśl nie dociera już nawet do ludzi odpowiedzialnych, by choć oni kierowali się na wypoczynek gdzie indziej. Czyż to takie wielkie wyrzeczenie dla rozumnego człowieka? Co więcej, byłby w tym element społecznej solidarności: rezygnując z miejsc snobistycznych, wspieralibyśmy uboższe społeczności lokalne. Ale umysłowości opanowane manią zakupizmu nie chcą słuchać o umiarkowaniu.

Istnieje tylko jedna okoliczność, kiedy wszechmocne pragnienie zysku ustępuje z placu boju. Wymusza to jeszcze silniejsza chęć zabawy, co jest złem wcale nie mniejszym. Dla chwilowych emocji, dziecinnych, barbarzyńskich lub otumaniających, traci się prywatnie i publicznie miliony. Pilne łagodzenie niesprawiedliwości społecznych oraz zabezpieczanie ponadczasowych wartości przyrodniczych jest niczym w zderzeniu z chęcią zabawy. To dla chwil emocji bezlitośnie eksploatuje się przyrodę i oszczędza na wynagrodzeniach dla najuboższych, by zebrane środki potem wydać na narkotyzujące pustką umysłową momenty zbiorowych „zawrotów głowy”. U zwierząt bawią się tylko osobniki młode, i to dla doskonalenia umiejętności przydatnych potem w życiu dorosłym. My rozciągnęliśmy skłonność do rozrywek na większość życia, na czym bez wątpienia skorzystała twórcza działalność poznawcza, odkrywcza, artystyczna. Ciekawość i skłonność do rozrywek uczyniły nas ludźmi. Ale „szalona zabawa w stadzie” chyba niczego pozytywnego nie tworzy, a zużywa zasoby zabrane akurat najbardziej ich potrzebującym. *Przegęszczona ludzkość wytworzy cywilizację bez inteligencji* - ostrzegał jeden z francuskich myślicieli XX wieku, a co, zdaje się, już zaczyna spełniać.

Jak jednak rozmawiać o potrzebie wyrzeczeń i kompromisów z decydentami i ideologami żyjącymi w oazach dobrobytu, ponad społeczeństwem i praktycznie ponad prawem? Dla partnerstwa trzeba, aby strony miały zbliżoną siłę polityczną i choć trochę wzajemnego szacunku. Takiej równowagi nie ma ani w świecie, ani w Polsce. Gdy jedni mają 90% wpływów w mediach, pośród klasy politycznej i w odbiorze wyznawców, to obywatele z przyrodniczym i niezależnym filozoficznym wykształceniem pozostają na marginesie społeczeństwa. Nie wiemy nawet w przybliżeniu, ile w Polsce zatrudnia się na ważnych stanowiskach w administracji osób z wykształceniem biologiczno-ekologicznym, zdolnych do sprzeciwu i merytorycznej dyskusji o zyskach i stratach różnych „dochodowych” projektów pomijających aspekt ekologiczny. Rządzący i dominujący liczebnie „technicy” dyktują warunki wspólnie z partnerami biznesowymi, a usługowe media prowadzą dywersję przeciw kontynuowanej jeszcze tu i ówdzie edukacji prośrodowiskowej. Od kilkunastu lat niemal nie dopuszcza się do publicznych wypowiedzi w mediach

na tematy gospodarczo-społeczne żadnych profesjonalnych ekologów (doktorów, profesorów, przedstawicieli instytutów lub naukowych komitetów), zarazem wyśmiewając orientację ekologiczną, rzekomo blokującą rozwój kraju. Media co kilka miesięcy prowokują wybuchy nienawiści do ekologów, rozpowszechniając brednie o rzekomym wstrzymywaniu realizacji wielkich inwestycji z błahego powodu. Nie konsultuje się z ekologami-uczonymi, bo tu nie chodzi o prawdę, lecz o wywoływanie niechęci do ludzi starających się stawiać tamę dającej się uniknąć degradacji środowiska. Z opóźnieniem naśladujemy w tym byłego „toksycznego prezydenta” USA. Marcin Gadziński w lutym 2007 donosił w korespondencji z Waszyngtonu: *Naukowcom nagminnie odmawiano zgody na występy w mediach. Interwencje najczęściej podejmowali urzędnicy z Białego Domu. [...] Ponad 150 naukowców stwierdziło, że osobiście zetknęli się z próbami politycznych ingerencji w swoje prace nad zmianami klimatu Ziemi.*

O ile w kwestii egoizmu nie musimy się wzmacniać i douczać, o tyle myślenia altruistycznego o słabszych, w tym o przyrodzie, jak też umiejętności dyskusji i dochodzenia do rozwiązań kompromisowych, należałoby nieustannie uczyć naszych obywateli. Jednak polski system edukacji jest tak skonstruowany, aby jak najbardziej ograniczyć zdolność krytycznego myślenia ludzi... A to sprawia, że wszystkie neoliberalne dogmaty o społeczeństwie i gospodarce są przyjmowane jako element oczywistej wiedzy o świecie, jak stwierdza Jacek Kochanowski. Dlatego trzeba najpierw zapewnić niezależność mediów publicznych od monopolistycznej opcji politycznej, dając głos także poglądom centrowym, lewicowym, prośrodowiskowym oraz niezależnej nauce. Może wtedy dotrze do decydentów gdzie indziej już znana prawda, iż rozwiązania zgodne z ekologią zwykle na dłuższą metę okazują się opłacalne także ekonomicznie, lepiej służąc następnym pokoleniom. Wiedzą o tym twórcy takich projektów, jak koncepcja przebudowy Sztokholmu w „miasto ekologiczne” (*ecomunicipality*) czy niemieckiego Freiburga w miasto samowystarczalne energetycznie lub budowa eksperymentalnego miasta najbardziej „ekologicznego” – Greensburg w USA. To wielkie idee przyszłości, niestety, większości Polakom brak jest odważnego wizjonerstwa!

Czytając wypowiedzi nieszablonowych umysłów odzyskuje się nadzieję, że są jeszcze jednostki widzące jasno, iż ultraliberalna droga jest ślepym zaułkiem niebezpiecznym i dla ludzkości, i dla biosfery. Wywołane jest to wysunięciem na pierwszy plan dobra zwyczajnych jednostek oraz nienasyconych grup interesu, przy ignorowaniu kosztów społecznych oraz olbrzymich i dalekosiężnych zaburzeń w stanie środowiska. Oby udało się zapanować nad chciwością,



©©© Carsten ten Brink, flickr.com/photos/carsten_tenbrink/1786387/

w czym obecny kryzys ekonomiczny mógłby znakomicie dopomóc, gdyby stał się otrzeźwieniem wymuszającym odwrót od chciwości, rozrzutności i megalomanii, orientując myślicieli, polityków i administratorów na zainteresowanie się przyszłością bardziej bezpieczną zarówno dla ludzi, jak i dla przyrody. W wielu krajach powstały już ośrodki badań i propagowania zrównoważonego rozwoju gospodarczego, działające pod wspólnym hasłem „Dosyć znaczy dosyć”. Wśród nich jest nasz bardzo aktywny obywatelski Instytut na rzecz Ekorozwoju. Od oszczędnej gospodarki „ekologicznej” nie ma już ucieczki w żadnym kraju! Udawanie, że jest inaczej, w dalszej perspektywie byłoby samobójstwem nie tylko ekologicznym, ale i ekonomicznym. ✖

Spis cytowanego piśmiennictwa do uzyskania u autora.

Przypis

1. Błędne lub cyniczne jest wtłaczanie światopoglądu ekologiczno-ochroniarskiego w ramy orientacji lewicowej i czynienie z niego przeciwnika prawicy. Ekologizm zawiera elementy z obu tych orientacji politycznych. Opowiadanie się za ekologizmem oraz sprawiedliwością wewnątrz- i międzypokoleniową jest postawą centrową, bliską rozumnie pojmowanemu konserwatyzmowi. Nadrzędność dobra wspólnego, tu ochrony środowiska, winna być postulatem wszystkich rozumnych opcji politycznych.

O lepszą szkołę, pomysłność kraju i zdrowsze społeczeństwo

Tadeusz Łopuszański
jako pedagog i wychowawca

DR HAB. RAFAŁ ŁĘTOCHA

Od lat szukamy w Polsce po omacku właściwego systemu edukacji. Przeprowadzamy nic nie wnoszące reformy strukturalne, mając chyba nadzieję, iż od samego mieszania herbata może stać się słodsza. Ciągłe miotamy się, wycofując po kilkunastu latach z dokonanych przemian, widząc ich fiasko i coraz większą niewydolność całego systemu. Wprowadzamy zmiany, których cel nie jest tak naprawdę nikomu znany. Niewolniczo kopiujemy rozwiązania z krajów Zachodu w dziedzinie studiów wyższych, robiąc to w momencie, gdy we Francji czy Niemczech coraz częstsze są opinie, iż system ten jest pełen wad i należałoby go porzucić. Właśnie w takich realiach warto przypomnieć postać Tadeusza Łopuszańskiego i koncepcje, które nie tylko wypracował, ale i wcielił w życie w kierowanej przez siebie placówce w Rydzynie. Łopuszańskiemu udało się stworzyć koherentny system edukacyjno-wychowawczy, który sprawdził się w praktyce, dał spodziewane i pożądane efekty.

Tadeusz Łopuszański urodził się 15 stycznia 1874 r. we Lwowie¹. W 1891 r. ukończył w Krakowie gimnazjum św. Anny, a następnie kontynuował naukę na Uniwersytecie Jagiellońskim, podejmując studia z zakresu fizyki i matematyki na ówczesnym Wydziale Filozoficznym. Po ukończeniu studiów w 1896 r. podjął pracę w gimnazjum św. Anny, a następnie w I Krakowskiej Szkole Realnej. W 1899 r. objął natomiast stanowisko profesora gimnazjum w Rzeszowie, tworzył tam pierwsze laboratoria fizyczne i chemiczne, a także podejmował starania mające na celu aktywizację młodzieży, zagospodarowanie jej wolnego czasu, organizując dla uczniów chociażby wędrowniki wakacyjne.

Włączył się wówczas również bardzo mocno w działania zmierzające do przekształcenia systemu oświaty, wielokrotnie wyjeżdżał za granicę m.in. do Szwajcarii, Francji, Anglii, podpatrując tamtejsze rozwiązania w dziedzinie szkolnictwa. Od 1905 r.



© BiblioArchives / LibraryArchives, flickr.com/photos/lac-bac/7797310404/

przewodniczył Komisji Reformy Szkół Średnich, składającej się z krakowskich pedagogów, która utworzona została przy Towarzystwie Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych. Wynikiem działalności Komisji był referat „Nasza szkoła średnia, krytyka jej podstaw i konieczność reformy”. W tamtym czasie działał też aktywnie w Towarzystwie Tatrzańskim, w którym w latach 1906-1907 pełnił funkcje przewodniczącego sekcji turystycznej.

Po 1909 r. pełnił obowiązki inspektora szkolnictwa ludowego w Krakowie i okręgu krakowskim, a jednocześnie z ramienia Towarzystwa Szkoły Ludowej organizował polskie szkoły na Śląsku Cieszyńskim. W latach 1912-1914 kierował prywatną szkołą średnią w Prokocimiu koło Krakowa, będącą jednym z oddziałów tzw. Ogniska, założonego w 1907 r. przez ks. Jana Gralewskiego. Była to eksperymentalna męska szkoła średnia wraz z internatem, oparta na wzorach angielskich, w której usiłowano wdrażać

nowatorskie zasady nauczania i metody wychowawcze. W latach I wojny światowej Łopuszański był inspektorem szkolnym w Lublinie i powiecie lubelskim, w 1917 r. został jednak przeniesiony do Warszawy, gdzie objął stanowisko naczelnego inspektora szkolnictwa elementarnego w Departamencie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego (WRiOP) Tymczasowej Rady Stanu. W lutym kolejnego roku mianowano go natomiast szefem sekcji szkolnictwa średniego Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Popierany przez Macieja Rataja został w grudniu 1919 r. Ministrem WRiOP w gabinecie Leopolda Skulskiego, stanowisko to pełnił również w pierwszym gabinecie Władysława Grabskiego. Następnie od 7 sierpnia 1920 r. do 28 lutego 1927 r. sprawował obowiązki wiceministra w MWRiOP, niejednokrotnie jednak kierował faktycznie działaniami resortu, zwłaszcza gdy na jego czele stali Maciej Rataj i Antoni Ponikowski.

W 1919 r. opublikował anonimowo wydaną przez ministerstwo, jako jego oficjalny program, broszurę „Program naukowy szkoły średniej”, w której najpełniej przedstawił swoje poglądy dotyczące reformy organizacji szkolnictwa w Polsce. Centralnym punktem tej pracy było pojęcie „podstawy wychowawczej”, stanowiącej grupę pokrewnych przedmiotów, szczególnie mocno pod względem liczby godzin reprezentowanych w programie nauczania i tworzących główny warsztat pracy kształcącej w szkole danego typu. *Szkoła średnia nie może być szkołą zawodową, jednostronną, zasadniczy postulat realizmu musi być w niej spełniony, musi ona zaznaczać młodzież z najważniejszymi zjawiskami życia, z głównymi działaniami ludzkiej myśli i pracy. Aby jednak szkoła mimo tego uniknęła rozdrobnienia czasu, rozstrzelenia myśli i pracy ucznia oraz zabójczej powierzchowności, lecz przeciwnie – umożliwiła mu skupienie pracy, myśli i zainteresowań, głębsze wnikanie w zagadnienia naukowe, samodzielne łamanie się z trudnościami, należy pewną grupę pokrewnych sobie przedmiotów obrać za „podstawę wychowawczą” szkoły i wyposażywszy ją odpowiednio w czas i metody, uczynić głównym i skutecznym warsztatem umysłowego rozwoju młodzieży. [...] przedmioty „podstawy wychowawczej” wyposażone zostaną nieco obficie od innych w czas i to bynajmniej nie dla rozszerzenia zakresu udzielanej wiedzy, lecz dla udoskonalenia metody. Dzięki temu [...] nauka tych przedmiotów będzie się odbywała w swobodnym, dostatecznie powolnym tempie, będzie w możliwie najmniejszej mierze polegała na wykładzie nauczyciela lub uczeniu się z książki, tj. na podawaniu wiadomości gotowych, a w możliwie najwyższym stopniu na samodzielnej pracy ucznia, na zdobywaniu przezeń wiedzy drogą własnej samodzielnej obserwacji, własnego myślenia, własnego wysiłku, do czego potrzeba właśnie więcej czasu².*

Dlatego Łopuszański postulował powołanie do życia czterech podstawowych typów ogólnokształcących szkół średnich, mających różne „podstawy wychowawcze”. Przede wszystkim byłyby to szkoły matematyczno-przyrodnicze oraz szkoły humanistyczne, do tego dochodziłyby szkoły humanistyczne z łaciną, stanowiące typ przejściowy, ulepszony model współczesnych szkół „filologicznych”, oraz najmniej liczne szkoły klasyczne (z łaciną i greką)³. W latach tych Łopuszański tworzył też Komisję Pedagogiczną MWRiOP, stawiającą sobie za cel rozwój nauk o wychowaniu, organizował polski oddział YMCA (Young Men's Christian Association) czy wreszcie był również przewodniczącym Komisji Oceny Książek do Czytania dla Młodzieży Szkolnej.

Po zamachu majowym został mianowany przewodniczącym Komisji Egzaminów Państwowych w Warszawie dla nauczycieli szkół średnich. W 1928 r.

objął natomiast stanowisko dyrektora eksperymentalnego Gimnazjum i Liceum im. Sułkowskich w Rydzynie w powiecie leszczyńskim, którym kierował do 1939 r. Tam mógł zacząć wdrażać w życie swoje idee wychowawcze i projekty reform, z którymi występował od wielu lat. Po wybuchu wojny przeniósł się do Pruszkowa koło Warszawy, a następnie do Krakowa, gdzie brał czynny udział w naradach nad organizacją tajnego nauczania. Później, w latach 1942-1944, mieszkał w Żurawicy i Suliszowie w powiecie sandomierskim, po czym znów na kilka lat powrócił do Krakowa. Ostatnie lata życia spędził w Gliwicach. Po wojnie bezskutecznie podejmował działania na rzecz odbudowy zniszczonej w czasie wojny szkoły w Rydzynie. Zmarł 19 kwietnia 1955 r. w Chorzowie, pochowany został na cmentarzu w Gliwicach, trzy lata później staraniem wychowanków z Gimnazjum i Liceum im. Sułkowskich jego szczątki zostały ekshumowane i przewiezione do Rydzyny, gdzie spoczęły na miejscowym cmentarzu.

Bez wątpienia swoiste *opus vitae* Łopuszańskiego, dzieło, z którym dziś jest najmocniej kojarzony, pomimo iż pełnił eksponowane funkcje w Polsce międzywojennej, stanowi popularna Rydzyna, czyli Gimnazjum i Liceum im. Sułkowskich w Rydzynie. Ten zakład wychowawczy, którym kierował Łopuszański, funkcjonował w latach 1928-1939, kres jego działalności położył wybuch II wojny światowej. Szkoła powstała jako placówka doświadczalna, wdrażająca w życie nowe na gruncie polskim metody naukowo-wychowawcze.

Zasadniczym celem, jaki stawiał sobie Łopuszański, było utworzenie ośrodka, w którym program nauki i wychowania odpowiadałby najistotniejszym potrzebom nowo odrodzonego państwa polskiego. Inteligencja polska bowiem nie spełniała, jego zdaniem, warunków koniecznych, aby podołać tym zadaniom, wykazywała mnóstwo słabości. Potrzebą chwili więc stawało się wychowanie nowego typu ludzi, świadomych obowiązków, które przed nimi stoją na odcinku życia państwowego, i zdolnych stawić czoło niełatwym wyzwaniom. Można powiedzieć, że – podobnie jak przedstawiciele krakowskiej szkoły historycznej, reprezentujący pesymistyczną wizję dziejów Polski – Łopuszański przyczyn nieudolności państwa polskiego, katastrof dziejowych, poszukiwał w samych Polakach, wadach narodowych, słabościach ustrojowych. Uważał on, że przyzwyczailiśmy się szukać przyczyn wszystkich klęsk i niepowodzeń w perfidnej i grabieżczej polityce sąsiadów, długoletniej niewoli, zniszczeniach wojennych itp., mało kto jednak zdaje sobie sprawę z tego, w jak wielkim stopniu przyczyna naszej przypadłości tkwi w nas



samych, a przede wszystkim w brakach naszej warstwy inteligentnej, w zasadniczych wadach jej psychiki, w jej gnuśności, nieżyciowości i obojętności na najważniejsze przejawy życia, w jej słabym talencie organizacyjnym, w jej niezdolności do pokierowania podstawowymi dziedzinami bytu narodowego: gospodarczą i społeczną⁴.

Tymczasem zdaniem Łopuszańskiego to przede wszystkim właśnie na inteligencji ciąży odpowiedzialność za rozwój wszystkich warstw, za losy i kondycję całego narodu. Sprostanie płynącym stąd wielkim i trudnym zadaniom wymaga od inteligencji całkowitego im się oddania. Niestety warstwa ta często zbyt mało ma do tego skłonności. [...] poczucie obcości, ponęty bogatego życia duchowego, a niejednokrotnie i chęć użycia sprawiają, że inteligencja łatwo zapomina o swej odpowiedzialności, a nawet wręcz ją odrzuca i zamyka się w bliższym jej świecie inteligentkich spraw, zainteresowań i przyjemności ku szkodzie narodu, za przepaszczeniu swego w nim stanowiska, obniżeniu swej własnej wewnętrznej wartości. Zapobiec temu fatalnemu złu może szkoła średnia, wyrabiając w swej młodzieży siły duchowe, potrzebne do sprostania przez

nią jej odpowiedzialności względem narodu, oraz zwracając w tym kierunku wszystkie jej zainteresowania, pragnienia i dążenia. [...] Jeżeli jednak niechęć warstwy inteligentkiej do pełnego oddania się służbie narodu, jej pęd do pedagogicznego zamykania się w ramach jej własnego świata, jej inteligentcki snobizm, są szkodliwe nawet dla narodów żyjących w pomyślnych warunkach i stojących na wysokim poziomie kulturalnego rozwoju, to w Polsce były one zawsze katastrofą narodową i państwową⁵.

W związku z tego rodzaju pesymistycznymi konstatacjami Łopuszański stawiał przed kierowanym przez siebie Zakładem jako naczelny cel takie kształtowanie psychiki swych uczniów, aby ich uczucia, pragnienia i dążenia skupiały się z całym natężeniem na wielkim zadaniu fizycznego i duchowego odrodzenia Narodu i gruntownej przebudowy jego życia. Żeby tego dokonać, musiano oczywiście wcześniej przeanalizować główne wady i słabości polskiej inteligencji oraz ustalić, jaki zespół wartości należałoby rozwinąć w psychice, aby inteligencja była w stanie podołać stawianym przed nią zadaniom. Zakład obmyślił i opracował w szczegółach taki całokształt prac,

zająć i form życia młodzieży, który by rozwijał u niej ów potrzebny zespół sił i wartości duchowych. W ciągu jedenastu lat wypróbował go w praktyce i wynikami tej próby stwierdził, że stanowi on istotnie trafny system wychowywania polskiej warstwy inteligenckiej⁶.

Idea wychowawcza Łopuszańskiego opierała się na trzech głównych zasadach. Były to: **bezwzględne przestrzeganie prawdy przez wychowanków, rozwijanie w nich indywidualnych zainteresowań oraz zamiłowania do pracy twórczej⁷.** Walkę z kłamstwem uznał Łopuszański za jedno z naczelných zadań z kilku powodów, przede wszystkim ze względu na rozpowszechnienie tej wady w społeczeństwie polskim, a tym samym jej negatywne oddziaływanie na wszystkie dziedziny życia. Kłamstwo wraz z różnymi jego odmianami (nieszczerość, obłuda, poza, rozdzwitek między słowem a czynem, niesolidność, nieuczciwość itp.) *nie tylko rujnują u nas prywatne stosunki między ludźmi, ale zatruwają nasze instytucje i nasze życie publiczne, są kulą u nogi naszych zamierzeń i poczyniń, są śmiertelną chorobą, bez walki z którą wniwecz iść muszą wszelkie reformy i usiłowania odrodzeńcze. Drugim powodem jest łatwość, z jaką kłamstwo kojarzy się z innymi wadami, staje się ich tarczą ochronną, skutek czego walka z nimi wymaga walki z kłamstwem. Ostatni powód jest natury szkolnej. Kłamstwo, nieszczerość, nieuczciwość uczniów wznoszą między nimi a nauczycielami mur, o który rozbijają się najlepsze usiłowania nauczycieli oddziaływania na młodzież, kierowania jej krokami, przychodzenia jej z pomocą w trudnych a ważnych chwilach jej rozwoju⁸.*

Wśród postulatów wychowawczych propagowanych w Rydzynie jedno z najważniejszych miejsc zajmowało również **rozbudzenie w młodzieży zamiłowania do pracy twórczej, wykorzenienie typowo polskich wad, jakimi, zdaniem Łopuszańskiego, są lenistwo, niechęć do wysiłku, gnuśność, minimalizm, postawa vegetatywna.** Nacisk kładziony na realizację tego ideału wynikał z przekonania, że lenistwo leży u podstaw innych zasadniczych polskich przypadłości, takich jak egoizm, brak poczucia odpowiedzialności, brak uspołecznienia, niechęć do silnej władzy i organizacji itp., a także z pesymistycznych konstatacji dotyczących rozwoju cywilizacyjnego Polski. Przewyciężenie zacofania na wszystkich płaszczyznach względem krajów zachodnich, jak podkreślał, jest możliwe jedynie dzięki wyteżonej i ofiarnej pracy inteligencji⁹.

W związku z tym w Zakładzie dzień każdego ucznia był ściśle podzielony, regulowany, wypełniony stałym rytmem zajęć przedmiotowych i cyklicznych popołudniowych. Z tego powodu ważne miejsce w programie szkoły przyznano tak często lekceważonym przedmiotom, jak prace ręczne i wychowanie fizyczne. Łopuszański uznał bowiem, iż

niezwykle trudnym zadaniem jest ...przeprowadzenie przyszłej młodzieży inteligentnej ze świata zabawy w świat pracy, jeśli chce się tego dokonać wyłącznie [...] przy pomocy zwykłych tradycyjnych lekcji szkolnych. Otóż praca ręczna, uprawiana wydatnie i poważnie, jest znakomitą pomocą w dopełnieniu tego zadania. Dzięki dziedzictwu po długim łańcuchu pokoleń tkwi w ogóle młodzieży żywe zainteresowanie nią, dające się łatwo rozwinąć w zapał, a nawet pasję. Pod wpływem tego bezczynność traci urok i zabawa przestaje być jedynym i najgłębszym zainteresowaniem chłopca, który z własnego popędu poświęca ją dla pracy ręcznej. W ten sposób dokonywa się łatwo rzecz bardzo trudna: zerwanie z wyłącznym zainteresowaniem zabawą, i chłopiec staje na progu świata pracy. Nie jest to jeszcze praca umysłowa, mająca być jego dziedziną; zamiłowanie do niej trzeba dopiero rozbudzić. Ale dobrze postawiona praca ręczna wyrabia w chłopcu cały szereg dyspozycji psychicznych, ułatwiających mu bardzo wciągnięcie się w porządną pracę umysłową i polubienie jej¹⁰.

W przypadku wychowania fizycznego duży nacisk kładziony na nie wynikał z przekonania, iż stanowi ono nie tylko warunek zdrowia oraz właściwego rozwoju fizycznego i psychicznego, ale także ważny czynnik wychowania moralnego. Sześć razy w tygodniu przez 1,5 godziny niezależnie od zajęć szkolnych prowadzone były tzw. ćwiczenia popołudniowe (gry zespołowe, lekkoatletyka, w zimie łyżwiarstwo). Ważnym elementem wychowania fizycznego były także obozy i wycieczki turystyczne - w sumie w okresie funkcjonowania szkoły odbyło się 81 wycieczek pieszych i kajakowych (dwutygodniowych) oraz 13 obozów (czterotygodniowych), przeznaczonych także dla młodzieży z okolicznych wsi.

Kształcenie uczniów opierało się na nauczaniu poszczególnych przedmiotów oraz pracy indywidualnej wychowanków. Tutaj przestrzegano przede wszystkim trzech głównych zasad: **zasady stymulowania i rozbudzania w uczniach ich indywidualnych zainteresowań, zasady rzetelności pracy i wiedzy uczniów, polegającej na stuprocentowej realizacji zadań w nauce i przyjętych obowiązkach, a także zasady nieustannego motywowania podopiecznych do pracy, stawiania przed sobą śmiałych i niełatwych zadań oraz ich pełnej realizacji.** W wieku 13-14 lat, czyli w czwartej klasie gimnazjalnej, uczniowie wybierali jeden z profilów nauczania: matematyczno-przyrodniczy lub humanistyczny. Program poszczególnych przedmiotów był modyfikowany wedle założeń pedagogicznych Łopuszańskiego, który kładł nacisk na przeżywanie przyswajanych treści nauczania, ich związek z otaczającą rzeczywistością i możliwości zastosowania w praktyce.



© Futuredu / Edunews.pl, flickr.com/photos/futuredu/8991262928/

I tak na przykład jeżeli chodzi o język polski, wyrażało się to przede wszystkim w traktowaniu literatury jako narzędzi wychowania etycznego, społecznego i obywatelskiego młodzieży. Zagadnienia krytyczno i historyczno-literackie oraz estetyczne odsuwa się na plan dalszy. [...] Na bogatym materiale literackim pokazujemy uczniom słabości i niedostatki duszy polskiej, choroby i braki polskiego życia, a równocześnie podkreślamy silnie zdrowe odruchy i twórcze poczynania polskie. Staramy się krzewić kult bohaterstwa, nie tylko w walce zbrojnej, ale w walce ze złem, a przede wszystkim w pracy twórczej, budującej. Kojarząc - w miarę możliwości - treść poznawanych utworów literackich - także dawniejszych - z tą wiedzą o dzisiejszym życiu, zwłaszcza polskim, jaką uczniowie czerpią z nauki innych przedmiotów, z publicystyki, ze swych rozmów, spostrzeżeń i przeżyć, staramy się, by lektura tych utworów rzucała światło na współczesną rzeczywistość i jej zagadnienia, by pogłębiała spojrzenie młodzieży na nie i ku nim kierowała jej uczucie i wolę¹¹.

Na lekcjach języka niemieckiego zmierzano przede wszystkim do upowszechnienia wśród uczniów swobodnego czytania i rozumienia książek i pism niemieckich, uznając, iż mówienie i pisanie w tym języku osiągnięte zostanie jako produkt uboczny

przy dążeniu do celu właściwego. O tym, że założony cel udawało się osiągnąć, świadczy fakt, iż w czasie swojej nauki uczniowie czytali obowiązkowo od 15 do 20 książek niemieckich o objętości od 200 do 300 stron. Z kolei w przypadku nauczania historii można powiedzieć, że wychodzono od sformułowanej przez Józefa Szujskiego opinii, jakoby „fałszywa historia była mistrzynią fałszywej polityki”. W związku z tym silnie podkreślano polskie błędy dziejowe, „niedostatki i choroby duszy polskiej”. W nauczaniu geografii zwracano uwagę na umiejętność dokonywania pomiarów topograficznych przez uczniów, w przyrodoznawstwie na kontakt z naturalnym środowiskiem, stąd lekcje odbywały się również na łonie natury, w chemii i fizyce z kolei podkreślano znaczenie doświadczeń, pokazów, ćwiczeń, pracy w laboratorium.

Stymulowanie indywidualnych zdolności i zamiłowań było jednym z najważniejszych celów wychowawczych rydzyńskiego Zakładu. Służyły temu rozmaite koła naukowe, w których wychowankowie mogli rozwijać swoje zainteresowania, ale przede wszystkim tzw. prace indywidualne, obowiązujące uczniów starszych klas. Polegały one na tym, że każdy wybierał z pomocą nauczyciela interesujący go temat badań, a następnie pracował nad nim samodzielnie przez minimum dwa lata w wymiarze czterech godzin tygodniowo. Prace takie podejmowane były jednak dobrowolnie przez większość uczniów placówki, począwszy od najmłodszych klas, a głównym zamysłem było, aby tego rodzaju zajęcie nie polegało na analizowaniu przez ucznia od czasu do czasu luźnych, niepowiązanych ze sobą tematów, lecz na systematycznym studiowaniu danej dziedziny wiedzy, opracowywaniu szeregu zagadnień wiążących się w jedną spójną całość.

Temu wszystkiemu towarzyszył również postulat rzetelności i gruntowności pracy i wiedzy uczniów. Oznaczało to, że omawiany na lekcjach materiał miał być opanowany „stuprocentowo”. Zwracano szczególną uwagę na to, aby wiedza była wolna od luk i niejasności, gruntowna i pewna, tak żeby uczeń miał umiejętność jej swobodnego stosowania. Oczywiście pełna stuprocentowość nie jest osiągalna, stąd należy traktować ten postulat jako ideę regulatywną. Wreszcie zaś związana z powyższymi wytycznymi była też zasada śmiałych poczynań i dokonań, stanowiąca oręż walki z minimalizmem - młodzież zachęcano do wyznaczania sobie zadań trudnych, wymagających znacznego wysiłku oraz do konsekwentnej ich realizacji.

Warto także wspomnieć o pracach społecznych realizowanych przez uczniów rydzyńskiego gimnazjum



© BiblioArchives / LibraryArchives, flickr.com/photos/lac-bac/779731326/

i liceum. Rozwinięte zostały one od samego początku funkcjonowania Zakładu po to, aby 1. *spełnić swój obowiązek obywatelski* 2. *zaspokoić choć w części potrzeby Rydzyny i okolic* 3. *stworzyć na miejscu warsztat pracy społecznej, który by ułatwił wychowanie społeczne młodzieży Zakładu*¹². Wyrazem tego było powołanie do życia w 1932 r. Komitetu dla Bezrobotnych, który zbierał fundusze na pomoc bezrobotnym, wydawał bezpłatne posiłki, organizował różnego rodzaju prace, zwłaszcza porządkowe, aby unikać w miarę możliwości rozdawnictwa pieniędzy, wreszcie zaś zapoczątkował w 1939 r. akcję oddawania bezrobotnym działek ziemi pod uprawę warzyw. Obok niego funkcjonowały też złożony z nauczycieli i ich rodzin Komitet Oświatowy oraz uczniowskie Kółko Społeczne. Kierowały one tzw. Domem Oświatowym „Malaga” w Rydzynie, zaopatrzonym w bibliotekę, czytelnię oraz świetlicę, przeznaczone dla okolicznych mieszkańców. Organizowano tam odczyty, przedstawienia, koncerty, prelekcje, kursy wieczorne języka polskiego, fizyki, geografii czy przyrodoznawstwa, a także bezpłatnie udzielano pomieszczeń różnego rodzaju lokalnym stowarzyszeniom i instytucjom na zebrania czy uroczystości. Również w Dąbczu, wsi oddalonej kilka kilometrów od Rydzyny, powołano do życia Dom Oświatowy im. ks. Piotra Wawrzyniaka, który spełniał podobną rolę jak „Malaga”. W 1938 r. we wsi Moraczewo przystąpiono natomiast do budowy Domu Ludowego, którą

ukończono w tym samym roku dzięki dużemu zaangażowaniu nauczycieli, uczniów, rodziców i lokalnej społeczności¹³.

Młodzież z Zakładu kierowała w tych wsiach drużynami zuchowymi i harcerskimi, utworzono też Koła Włóścianek, organizujące różnego rodzaju kursy i szkolenia. Roztoczono opiekę nad dziećmi miejscowych rolników, wprowadzono zasadę bezpłatnego przyjmowania do zakładu najlepszych uczniów kończących rydzińską szkołę powszechną, podjęto również kształcenie niezamożnych chłopców w kierunku praktycznym. Utrzymywani byli oni wówczas w Zakładzie na równi z jego zwyczajnymi uczniami, a głównym ich zadaniem była praca w warsztatach Zakładu, mająca dać opanowanie ręcznej i maszynowej obróbki metalu, drewna i szkła. Poza tymi zajęciami uczęszczali oni na lekcje matematyki, fizyki i chemii oraz mogli pracować bez ograniczeń w pracowni chemicznej lub fizycznej pod okiem nauczycieli. Utrzymywano też kilkoro dzieci z pobliskich wsi w szkole rolniczej w Lesznie, wreszcie organizowano obozy i wycieczki dla miejscowej młodzieży, m.in. na polskie wybrzeże, na Górny Śląsk, do Krakowa, Częstochowy czy Zakopanego¹⁴.

Trzeba powiedzieć, iż praca podjęta przez Łopuszańskiego oraz grono pedagogiczne, jakie udało mu się zebrać w Rydzynie, przyniosła konkretne, wymierne

rezultaty. Analiza losów 168 absolwentów z okresu 11 lat istnienia Zakładu wykazała, że wszyscy podjęli studia wyższe, większość absolwentów wybierała kierunki gospodarcze lub pracę naukową, czyli kierunki preferowane w Rydzynie. W terminie studia ukończyło 63% absolwentów, przy średniej krajowej wynoszącej w latach trzydziestych 20%. Absolwenci Zakładu opatentowali 150 wynalazków, ogłosili ponad 1000 publikacji w 10 językach. W czasie wojny 80% „rydzyniaków” brało udział w walkach, a 29% zginęło na frontach świata, w więzieniach i obozach koncentracyjnych¹⁵. Absolwenci potwierdzili więc w swoim życiu słuszność koncepcji pedagogicznych Łopuszańskiego, które na trwałe ukształtowały w wychowankach umiejętność samodzielnego doskonalenia się, poważne zainteresowanie przynajmniej w jednej dziedzinie wiedzy, pasję pracy zawodowej oraz społecznej, dającej wymieralne efekty, zainteresowanie problematyką społeczno-gospodarczą kraju, głębokie poczucie patriotyzmu, wysoką etykę osobistą, uczciwość myśli i postępowania, prawość i odwagę cywilną¹⁶.

Po zakończeniu wojny byli uczniowie Zakładu czynili od 1946 r. starania o reaktywowanie Fundacji im. Sułkowskich i Szkoły w Rydzynie, spotkały się one jednak kilkakrotnie z odmową, a majątek Fundacji został przejęty przez władze państwowe. Dopiero w 1990 grupa 16 osób byłych „rydzyniaków”, wsparta kilkoma innymi zainteresowanymi tą sprawą, założyła w Warszawie Fundację im. Tadeusza Łopuszańskiego, która za cel postawiła sobie wprowadzenie i utrwalenie w polskim szkolnictwie koncepcji pedagogicznych wypracowanych i realizowanych przez

Łopuszańskiego w latach 1928-1939. Organizacja podjęła również działania mające na celu reaktywowanie szkoły w Rydzynie, nie uzyskując w tej sprawie jednak żadnego wsparcia ze strony kolejnych rządów III Rzeczypospolitej, które ciągle zachowują dobrą Fundacji im. Sułkowskich przywłaszczoną przez władze PRL dekretem z 1952 r.¹⁷ ✖

Przypisy:

1. Zyciorys Tadeusza Łopuszańskiego za S. Konarski, Łopuszański Tadeusz Jan Paweł, *Polski Słownik Biograficzny*, t. XVIII, Wrocław - Warszawa - Kraków - Gdańsk 1973, ss. 419-421.
2. *Program naukowy szkoły średniej. Projekt wypracowany przez Sekcję szkolnictwa średniego*, Warszawa 1919, ss. 18-20.
3. *Ibid.*, s. 46.
4. *Rydzyna. Gimnazjum im. Sułkowskich (1928-1936)*, oprac. T. Łopuszański, Rydzyna 1937, s. 9.
5. *Szkoła Doświadczalna. Trzechlecie 1936-1939 Gimnazjum i Liceum im. Sułkowskich w Rydzynie*, oprac. T. Łopuszański, Nakładem Towarzystwa Miłośników Rydzyny, Wydawnictwo „Polonia” 1985, ss. 116-118.
6. *Ibid.*, s. 119.
7. *Tadeusz Łopuszański i dzieło jego życia*, Warszawa-Rydzyna 1995, s. 14.
8. *Rydzyna. Gimnazjum...*, s. 154.
9. *Ibid.*, s. 137.
10. *Ibid.*, s. 141.
11. *Ibid.*, ss. 87-88.
12. *Ibid.*, s. 119.
13. *Szkoła Doświadczalna. Trzechlecie...*, s. 77.
14. *Ibid.*, ss. 80-85.
15. J. Gliński, T. Skarzyński, J. Tomaszewicz, *Realizacja założeń pedagogicznych Szkoły Rydzynskiej. Próba oceny*, w: *Znaczenie doświadczeń dydaktycznych i wychowawczych Liceum im. Sułkowskich w Rydzynie dla współczesnych prac nad doskonaleniem polskiej szkoły*, Rydzyna 1988.
16. *Tadeusz Łopuszański i dzieło...*, s. 34.
17. <http://biega.com/rydzyna/fundacja/index.html> (dostęp 27.09.2013).

REKLAMA

ZAREKLAMUJ SIĘ W „NOWYM OBYWATELU”.
TRAFIAMY DOKŁADNIE TAM, GDZIE CELUJESZ.



SZCZEGÓŁY OFERTY NA STRONIE:
NOWYBYWATEL.PL/REKLAMA

Roman Adler (ur. 1961) – absolwent Uniwersytetu Śląskiego, historyk kultury pracy na Śląsku, „czerwony” polski Ślonzok, autor artykułów historycznych do pism branżowych „Atest – Ochrona Pracy” i „Praca. Zdrowie. Bezpieczeństwo” oraz związkowych, m.in. dwutygodnika „Górnik”. Blogger historyczny („Tropy” <http://romaquil.blog.onet.pl/>) oraz polityczny („Razy” <http://staniflor.blogspot.com/>). Od końca lat 90. ubiegłego wieku założyciel i współanimatore Samorządowej Inicjatywy Mieszkańców najpierw w Chorzowskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, następnie wśród mieszkańców Chorzowa.

Gar Alperovitz (ur. 1936) – profesor ekonomii politycznej w katedrze im. Lionela R. Baumana na Uniwersytecie Maryland i współzałożyciel organizacji Democracy Collaborative. Członek zarządu New Economics Institute. Autor „America Beyond Capitalism: Reclaiming Our Wealth, Our Liberty, and Our Democracy”, w której porusza temat demokratyzacji własności.

Rafał Bakalarczyk (ur. 1986) – absolwent polityki społecznej na Uniwersytecie Warszawskim i socjologii politycznej w Höskolan Dalarna (Szwecja); od 2010 r. doktorant na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych UW. Interesuje się szeroko rozumianą polityką społeczną, zwłaszcza problemami opieki, edukacją, skandynawskim modelem dobrobytu oraz mechanizmami dialogu społecznego. Publikował m.in. w „Głosie Nauczycielskim”, „Dziś” i „Przeglądzie”. Współautor książki „Jaka Polska 2030?”, wydanej przez Ośrodek Myśli Społecznej im. Ferdynanda Lassalle’a, z którym stale współpracuje. Zwolennik współdziałania i wymiany doświadczeń między różnymi środowiskami prospołecznymi. Bliski jest mu duch książek Żeromskiego, zwłaszcza postać Szymona Gajowca z „Przedwiośnia”. Stały współpracownik „Nowego Obywatela”.

John Clay – dyrektor do spraw polityki i komunikacji w organizacji Jobs Now Coalition w St. Paul w Minnesocie. Jego artykuły ukazywały się w takich magazynach społeczno-politycznych jak „Truthout”, „Science & Society” oraz „Workday Minnesota”. Twórca portalu Democraticpromise.org.

Rafał Łętocha (ur. 1973) – politolog i religioznawca. Doktor habilitowany nauk humanistycznych, zastępca Dyrektora w Instytucie Religioznawstwa Uniwersytetu Jagiellońskiego, profesor w Instytucie Politologii Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Oświęcimiu. Autor książek „Katolicyzm a idea narodowa. Miejsce religii w myśli obozu narodowego lat okupacji” (2002), „Oporet vos nasci denuo. Myśl społeczno-polityczna Jerzego Brauna” (2006) i „O dobro wspólne. Szkice z katolicyzmu społecznego” (2010). Publikował m.in. we „Frondzie”, „Glaukopisie”, „Nomosie”, „Nowej Myśli Polskiej”, „Państwie i Społeczeństwie”, „Pro Fide Rege et Lege”, „Studiach Judaica”, „Templum Novum”. Od urodzenia mieszka w Myślenicach i bardzo jest z tego zadowolony. Stały współpracownik „Nowego Obywatela”.

Konrad Malec (ur. 1978) – przyrodnik, z zainteresowaniem i sympatią spogląda na tzw. hipotezę Gai, autorstwa Jamesa Lovelocka. Lubi przemieszczać się przy użyciu własnych sił, stąd rower i narty biegowe są mu nieocenionymi przyjaciółmi. Miłośnik tego, co lokalne i nieuchwytnie, czego nie da się w prosty sposób przenieść w inne miejsce. Każdą wolną chwilę spędza na łonie Natury. Dumny ojciec Olafa. Członek zespołu „Nowego Obywatela”.

Krzysztof Mroczkowski (ur. 1987) – publicysta, ekonomista i historyk. Propagator zapomnianej historii myśli ekonomicznej i teorii rozwoju. Stały współpracownik „Nowego Obywatela”.

Bartosz Oszczepalski (ur. 1986) – publicysta, absolwent politologii na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach, publikował m.in. w regionalnym kieleckim dzienniku „Echo Dnia”, portalach o tematyce politycznej i w mediach studenckich, działacz społeczny, kiedyś członek, a obecnie sympatyk Demokratycznego Zrzeszenia Studenckiego. Zajmuje się m.in. publikowaniem treści o tematyce społecznej na portalu myobywatele.org. Stały współpracownik „Nowego Obywatela”.

Krzysztof Posłajko (ur. 1981) – doktor filozofii, pracownik Uniwersytetu Jagiellońskiego, publicysta, członek redakcji portalu „Nowe Peryferie”, nieuleczalny socjaldemokrata.

Michał Sobczyk (ur. 1981) – absolwent ochrony środowiska, jednak

zawodowo związał się z działalnością wydawniczą. Sympatyk idei spółdzielczej oraz ruchu pracowniczego. Od urodzenia mieszka na Bałutach, kibic Łódzkiego Klubu Sportowego. Członek redakcji „Nowego Obywatela”.

Joanna Szalacha-Jarmużek

(ur. 1979) – posiada tytuł naukowy doktora, socjolog specjalizująca się w socjologii ekonomicznej i socjologii grup interesów. Autorka monografii „Instrumentarium globalnego panowania” – pierwszej na polskim rynku analizującej systematycznie problem podmiotowości organizacyjnej i mechanizmów realizacji interesów w warunkach globalizacji. Obecnie prowadzi badania nad zjawiskiem krzyżowania się zarządów i rad nadzorczych dużych firm w Polsce. Prezes Fundacji Kazimierza Wielkiego – organizacji prowadzącej program „Polski Ślad”, promującego m.in. patriotyzm konsumencki; członkini Stowarzyszenia „Obywatele Obywatelom”.

Ludwik Tomiałojć (ur. 1939) – biolog, ekolog, publicysta; profesor doktor habilitowany. Urodzony na Wileńszczyźnie, wyrastał na Mazurach, studiował w Toruniu i Wrocławiu. W latach 1961–2010 pracownik Wydziału Nauk Przyrodniczych Uniwersytetu Wrocławskiego. Pierwotnie ornitolog, badający awifaunę Polski i Europy, potem także specjalista ds. ochrony przyrody i rozwoju zrównoważonego. Członek Państwowej Rady Ochrony Przyrody, b. przewodniczący Komitetu Ochrony Przyrody PAN oraz Polskiego Komitetu przy Światowej Unii Ochrony Przyrody (IUCN). W latach 90. był członkiem Rady Ekologicznej przy Prezydencie RP i rady przy wiceministrze środowiska, a ostatnio w zespole doradców Prezydenta RP oraz przy komisjach senackiej i sejmowej w kwestii upraw GMO. Autor lub współautor kilkuset publikacji, w tym 9 książek.

Krzysztof Wołodźko (ur. 1977) – na ogół publicysta, blogger (consolamentum.salon24.pl). Pisał i/lub pisze m.in. do „Trybuny”, „Życia Duchowego”, „Znaku”, „Gazety Polskiej Codziennie”, „Kontaktu”, portali Teologii Politycznej, deon.pl, ngo.pl. Uczestnik cyklu dokumentalnego „System 09” i „System: rewolucja Solidarności”. Członek Zespołu „Pressji”. Członek zespołu „Nowego Obywatela”.

CZYTELNIKU, ZAPRENUMERUJ NOWEGO OBYWATELA

TYLKO
50 zł
ROCZNIE

- 1 Zapłacisz aż 10 zł taniej za kolejne cztery numery - prenumerata roczna to koszt 50 zł, zaś cena 4 numerów pisma wynosi 60 zł.
- 2 Wesprzesz finansowo nasze inicjatywy (pośrednicy pobierają nawet do 50% ceny pisma!).
- 3 Będziesz mieć pełny dostęp do internetowego archiwum kwartalnika.
- 4 Masz szansę otrzymania ciekawych upominków.
- 5 Prenumerata to wygoda - „Nowy Obywatel” w Twojej skrzynce pocztowej.

A MOŻE WERSJĘ ELEKTRONICZNĄ?

TYLKO
25 zł
ROCZNIE

- 6 W formatach **EPUB** i **MOBI**.
- 7 Bez zabezpieczeń **DRM**.
- 8 Najtaniej.

Więcej o prenumeracie można przeczytać tutaj:
nowyobywatel.pl/prenumerata

Opłacić prenumeratę w banku lub na poczcie i czekać, aż „Nowy Obywatel” sam do Ciebie przywędruje :). Możesz też skorzystać z naszego sklepu wysyłkowego, dostępnego na stronie nowyobywatel.pl/sklep

Wpłaty należy dokonywać na rachunek:
Stowarzyszenie „Obywatele Obywatelom”
Bank Spółdzielczy Rzemiosła
ul. Moniuszki 6, 90-111 Łódź
Numer konta: 78 8784 0003 2001 0000 1544 0001

Prenumeratę można rozpocząć od dowolnego numeru.



W tym kwartale do prenumeratorów trafi książka Davida Bolliera „The Commons. Dobro wspólne dla każdego”. Publikację otrzymają:

Włodzimierz Bojarski (Warszawa)

Paweł Helfer (Wrocław)

Jarosław Menażyk (Jelenia Góra)

Barbara Rycerz (Nisko)

Agnieszka Tadyszak (Żerków)

UPOMINKI

NOWY OBYWATEL

Przyświecają nam następujące wartości:

Samorządność, czyli faktyczny udział obywateli w procesach decyzyjnych we wszelkich możliwych sferach życia publicznego.

(Re)animacja społeczeństwa. Sprzeciwiając się zarówno onnipotentnemu państwu, jak i liberalnemu egoizmowi, dążymy do odtworzenia tkanki inicjatyw społecznych, kulturalnych, religijnych itp., dzięki którym zamiast biernych konsumentów zyskamy aktywnych obywateli.

„Demokracja przemysłowa”. Dążymy do zwiększenia wpływu obywateli na gospodarkę, poprzez np. akcjonariat pracowniczy, ruch związkowy, rady pracowników. 1/3 życia spędzamy w pracy - to zbyt wiele, aby nie mieć na nią wpływu.

Sprawiedliwe prawo i praktyka jego egzekwowania, aby służyło społeczeństwu, nie zaś interesom najsilniejszych grup.

Media obywatelskie, czyli takie, które w wyborze tematów i sposobów ich prezentowania kierują się interesem społecznym zamiast oczekiwaniami swoich sponsorów.

Wolna kultura. Chcemy takiej ochrony własności intelektualnej, która nie będzie ograniczała dostępu do kultury i dorobku ludzkości.

Rozwój autentyczny, nie pozorny. Kultowi wskaźników ekonomicznych i wzrostu konsumpcji, przeciwstawiamy dążenie do podniesienia jakości życia, na którą składa się m.in. sprawna publiczna służba zdrowia, powszechna edukacja na dobrym poziomie, wartościowa żywność i czyste powietrze.

Ochrona dzikiej przyrody, która obecnie jest niszczona i lekceważona w imię indywidualnych zysków i prymitywnie pojmowanego postępu. Jeśli mamy do wyboru nową autostradę i nowy park narodowy - wybieramy park.

Solidarne społeczeństwo. Egoizmowi i uznaniowej filantropii przeciwstawiamy społeczeństwo gotowe do wyrzeczeń w imię systemowej pomocy słabszym i wykluczonym oraz stwarzania im realnych możliwości poprawy własnego losu.

Sprawiedliwe państwo, czyli takie, w którym zróżnicowanie majątkowe obywateli jest możliwie najmniejsze (m.in. dzięki prospołecznej polityce podatkowej) i wynika z różnicy talentów i pracowitości, skromne dochody nie stanowią bariery w dostępie do edukacji, pomocy prawnej czy opieki zdrowotnej.

Gospodarka trójsektorowa. Mechanizmom rynkowym i własności prywatnej powinna towarzyszyć kontrola państwa nad strategicznymi sektorami gospodarki, sprawna własność publiczna (ogólnokrajowa i komunalna) oraz prężny sektor spółdzielczy. Nie zawsze prywatne jest najlepsze z punktu widzenia kondycji społeczeństwa.

Gospodarka dla człowieka - nie odwrotnie. Zamiast pochwał „globalnego wolnego handlu”, postulujemy dbałość o regionalne i lokalne systemy ekonomiczne oraz domagamy się, by państwo chroniło interesy swoich obywateli, nie zaś ponadnarodowych korporacji i „zagranicznych inwestorów”.

Przeszłość i różnorodność dla przyszłości. Odrzucamy jałowy konserwizm i sentymenty za „starymi dobrymi czasami”, ale wierzymy w mądrość gromadzoną przez pokolenia. Każdy kraj ma swoją specyfikę - mówimy „tak” dla wymiany kulturowej, lecz „nie” dla ślepego naśladownictwa.



**ZAWSZE RAZEM
W SŁUSZNEJ SPRAWIE**

Tygodnik
SOLIDARNOSĆ

ul. Grójecka 186 lok. 613, 02-390 Warszawa, tel./fax: 22 882 27 96
redakcja@tygodniksolidarnosc.com

Z TWOIM 1% RACZEJ NIE UPADNIEMY!



NOWYOBYWATEL.PL/1PROCENT



STOWARZYSZENIE „OBYWATELE OBYWATELOM”, KRS 0000248901